



AGATA
PRZYBYŁEK

Takie rzeczy tylko z mężem



Takie rzeczy tylko z mężem

AGATA
PRZYBYŁEK

Takie rzeczy tylko z mężem

Moim rodzicom

Rozdział 1

– O mój Boże, Zuzka! Ty właśnie zabiłaś człowieka! – wrzasnęła na cały głos moja przyjaciółka, Beata, podskakując na fotelu pasażera w zielonym cinquecento, które swego czasu kupił mi mąż. Przy okazji o mały włos nie wybiła głową dziury w dachu. – Zatrzymaj się! Zatrzymaj! – Krzyczała, nerwowo zaciskając palce na uchwycie nad oknem.

Nie wytrzymałam. Wywracając oczami, włączyłam kierunkowskaz, a potem zjechałam na najbliższy parking.

– Wielkie mi halo – odpowiedziałam nadzwyczaj spokojnie, sprawnym ruchem gasząc przy tym silnik.

Przecież w stresowych sytuacjach najlepsze, co można zrobić, to po prostu zachować spokój.

– Po pierwsze, to nikogo nie zabiłam, a po drugie, to tylko wyrwałam tej babie drzwi. Zresztą... – mruknęłam, sięgając po leżącą na tylnym siedzeniu torebkę. – Sama jest sobie winna. Mogła je zamknąć, a nie otwierać na połowę drogi i gadać przez telefon – nie odmówiłam sobie szczypty złośliwości.

Beatka spojrzała na mnie wielkimi, pełnymi przerażenia oczami. Jej klatka piersiowa unosiła się gwałtownie i opadała, a jej twarz była bielsza niż kartka papieru. Chociaż to może przez ten mój astygmatyzm. Czytałam kiedyś, że on zniekształca kolory.

– No co? – zapytałam i wyciągnęłam ze stacyjki kluczyki. Drugą ręką otworzyłam swoje drzwi.

– Dokąd idziesz? – zdołała tylko wydusić drżącym głosem Beata.

Znowu musiałam wywrócić oczami.

– Jak to dokąd? Zobaczyć, czy tej pozał się Boże sierocie nic się nie stało i zadzwonić na policję. Przez te jej otwarte na pół drogi drzwi urwałam sobie lusterko! – wytłumaczyłam już nieco mniej spokojnie. Zignorowałam też fakt, że moja przyjaciółka zzieleniała w tym momencie jeszcze bardziej.

– Ale...

Nie zwracając na nią uwagi, wysiadłam z samochodu i ruszyłam w stronę niedowierzającej w to, co właśnie się stało, właścicielki granatowego volkswagena.

– No i pięknie – mruknęłam jeszcze pod nosem, słysząc za sobą kroki Beatki. Teraz to na pewno spóźnię się na imprezę urodzinową mojej starszej siostry, Anki. A trzydzieści dwa lata kończy się przecież w życiu tylko raz!

– Co pani najlepszego narobiła?! – Natychmiast doskoczyła do mnie zalewająca się łzami blondynka. – Połowę samochodu mi pani wyrwała. Wie pani, ile to będzie kosztować? A ja nie jestem stąd! Byłam u matki zostawić dziecko, bo zaraz wyjeżdżam na drugi koniec Polski, na konferencję. Boże... Przecież szef to mnie jednym pstryknięciem palców z pracy teraz wywali. Jestem skończona, jestem skończona... – lamentowała, wycierając dłonią ociekające łzami policzki.

Muszę przyznać, że trochę mi się jej nawet zrobiło żal. Nie dość, że była bezmyślna i otwierała drzwi na połowę drogi, to jeszcze zaraz może będzie bezrobotna.

– Dobrze, już dobrze – czując, jak moje serce mięknie, podeszłam do niej i objęłam ramieniem. – Przecież to się da wszystko jakoś wyklepać.

– Wyklepać? Pani mi mówi: wyklepać? Przecież tu auto trzeba drugie kupić albo chociaż wstawić nowe drzwi. Co ja mówię drzwi. Połowy samochodu tutaj nie ma. A u mnie teraz krucho z pieniędzmi... – głośno pociągnęła nosem.

– Och, niech już pani tyle nie płacze. Kryzys jest, to u wszystkich krucho. Nie ma co z tego powodu

zalewać się łzami. – Uspokajająco pogłaskałam ją po drżących plechach i przytuliłam do siebie. – Ale niech się pani nie martwi, teraz człowiek płaci OC i AC, to zaraz pani za te drzwi zwróca. Nawet się pani nie zdąży obejrzeć!

Kobieta natychmiast ożywiła się, słysząc moje słowa.

– Tak? – spojrzała na mnie tymi swoimi załzawionymi oczami, jednocześnie unosząc głowę.

– No pewnie! – odpowiedziałam jej niemal natychmiast. – Jak pani do nich teraz zadzwoni, to jeszcze po panią przyjadą z lawetą. I samochód dadzą na zastępstwo. Reklam pani nie ogląda?

– Oczywiście, że oglądam – zachnęła się.

– No właśnie! – uśmiechnęłam się do niej szeroko. – To niech pani dzwoni i to zaraz. Podobno im prędzej, tym lepiej.

– Tak, tak – kiwając głową, bez chwili namysłu rzuciła się w stronę samochodu. – Mam w schowku dokumenty. To może chwilę potrwać.

– Nie spiesz się! – nie odklejając z twarzy uśmiechu, machnęłam do niej ręką i poczułam na ramieniu rękę Beatki.

– Dzwoni na policję? Będzie nas oskarżać? – nerwowo zaczęła szeptać mi do ucha. – Boże Zuzka! Za coś takiego to już nawet nie punkty, ale kryminał... Kto się zajmie twoimi dziećmi?!

– Uspokój się kobieto! – syknęłam. – Poszła dzwonić do ubezpieczyciela. Nie będzie żadnej policji – powiedziałam, a Beatka spojrzała na mnie, jak bym była co najmniej zielona.

Swoją drogą, to aż wzdrygnęłam się na samą myśl o wyjąłym radiowozie. Chociaż, właściwie dlaczego miałyby nie przyjeżdżać? W więzieniach teraz podobno o wiele lepiej niż w domu, a na pewno znośniej niż w tym moim wariatkowie. Wyżywienie, siłownia, spokój, a przede wszystkim zero stresów. Może poznałabym tam jakiegoś wytatuowanego karczka i potem wiedlibyśmy razem życie pełne wspomnień z tego pensjonatu? Moglibyśmy przypominać sobie o romantycznych karteczkach wysyłanych pod kratami albo...

Hm... Odgarniając opadające na czoło rude loki, aż się wzdrygnęłam. Nie mam pojęcia, czy w Polsce są więzienia koedukacyjne i ta myśl nieco zdezorganizowała mi stworzony na szybko życiowy plan.

Chyba że wyjechałabym za granicę. Do takiej Holandii na przykład. I pobiła w bramie jakiejś kamienicy kryjącą się pod parasolką emerytkę. Mogłabym zabrać jej portfel i prowadzonego na smyczy psa. Najchętniej jakiegoś jamnika, z nim nie byłoby problemu, bo taki terier na przykład, to już musi się porządnie wybiegać i mogłoby nie być tak łatwo.

Chyba ostatnio coś ze mną nie tak! Przecież funkcjonuje coś takiego jak ekstradycja, więc to też nie jest dobry pomysł. Tylko szkoda tego przystojnego kryminalisty. Na pewno byłby lepszym towarzyszem niż mój mąż, który zdaje się ostatnio zupełnie mnie nie zauważać...

– Jak to: nie będzie żadnej policji? – oderwał mnie jednak od tych przemyśleń pełen zdziwienia głos Beaty.

– Tak to. – Wzruszyłam ramionami, uśmiechając się przy tym ponownie do zerkającej na nas z samochodu blondynki. – Ona jest tym wszystkim bardziej przejęta niż ja.

– Ale ty wcale nie jesteś przejęta, Zuzka! – słusznie zauważyła Beatka.

– No i co z tego? Mało to mam swoich problemów, żeby się przejmować samochodem jakiejś rozchwianej emocjonalnie wariatki?

– Ale...

– Żadne ale. Zmywamy się stąd – zdecydowałam.

– Ale Zuzka! Ty jej właśnie rozbiłaś samochód i chcesz tak sobie po prostu odjechać? To jest ucieczka z miejsca przestępstwa.

– A coś ty się na mnie tak uwzięła, co? – nie wytrzymałam i spojrzałam na nią surowo. – Powtarzasz to od kilku minut!

Z jej twarzy znowu odpłynęła krew, a kolana zaczęły dygotać niebezpiecznie.

– Idź do samochodu – rzuciłam do niej, ruszając powoli w kierunku rozmawiającej przez telefon blondynki. Nie w głowie mi teraz było zajmować się neurotyzmem Beaty.

– Przepraszam, że przeszkadzam... – Nachyliłam się przez wielką dziurę do samochodu blondynki. Ta odsunęła od ucha telefon, przerywając rozmowę.

– My się chyba będziemy już zbierać. Wie pani, obowiązki, dzieci... Mąż czeka – wytłumaczyłam, zerkając w stronę swojego auta.

– Och, tak, tak. Nie ma sprawy – rozumnie pokiwała głową. – I tak bardzo mi już pani pomogła. – Obdarowała mnie ciepłym uśmiechem i ścisnęła moje przedramię. – Wie pani – ściszyła głos – oni rzeczywiście tu zaraz z lawetą przyjadą, miała pani rację. Nie ma sensu, żeby tu ze mną ktoś czekał. Już dalej sobie poradzę.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – odpowiedziałam i znowu wysiliłam się na uśmiech. – Życzę pani miłego wyjazdu na konferencję. – Pomachałam jej jeszcze, trochę się oddalając.

– Miłego dnia! – pozdrowiła mnie i wróciła do rozmowy przez telefon.

– Cieszę się, że mogłam pomóc?! – szepnęła mi natomiast do ucha czekająca kilka kroków dalej Beata. – Przecież to przez ciebie ona ma teraz problem. Ty jej w niczym nie pomogłaś, Zuzka! Nawet przeciwnie... Boże, ty to chyba naprawdę jesteś w czepku urodzona. Każdy problem cię omija – zaczęła lamentować, ale nie zamierzałam dłużej słuchać jej gadania, tylko wsiałam do auta i spojrzałam na zegarek. Była czwarta. Do imprezy urodzinowej Anki zostały cztery godziny. Do domu będziemy wracać czterdzieści minut. Muszę jeszcze kupić jej prezent, zaczęłam wyliczać w myślach, z powrotem włączając się do ruchu.

– Dokąd teraz jedziemy?! – Beata znowu krzyknęła mi do ucha, kiedy gwałtownie zmieniłam pas, w odpowiedzi na co kierowca za mną nacisnął na klakson.

Nie wytrzymałam i pokazałam mu środkowy palec, a potem w okamgnieniu zawróciłam do centrum.

– Zuzka! – kurczowo łapiąc się za uchwyt nad oknem, ponownie wrzasnęła rzucona na prawo Beatka. Tym razem też postanowiłam zignorować jej nerwową reakcję i nic nie odpowiedziałam. Włączając radio, pomyślałam jednak, że muszę w przyszłości pamiętać o dwóch rzeczach. Pierwsza: nie jeździć na zakupy z Beatą, a druga: kupić jej coś na uspokojenie albo od razu umówić do psychiatry. Przecież na dłuższą metę, to po prostu nie da się z tą jej lękliwością wytrzymać!

– Dokąd ty znowu idziesz?! – ponownie uniosła głos, kiedy po zatrzymaniu się na parkingu przed księgarnią złapałam swoją torebkę i otworzyłam drzwi.

– Muszę kupić coś na urodziny Ance. Pomyślałam o książce – wytłumaczyłam jej dosyć pobieżnie. Beata pokiwała głową.

– Idziesz ze mną? – zapytałam, stawiając jedną nogę na chodniku.

– Nie, lepiej poczekam. Dość mam już przygód na dziś, wolę poczytać sobie gazetę. Tylko nie wybieraj za długo, okej?

– Postaram się – rzuciłam tylko i na wszelki wypadek kazałam jej zamknąć się w samochodzie. Niby spokojna okolica i wcale nie dochodzi tu do porwań, a już zwłaszcza w środku dnia, ale zawsze może być ten pierwszy raz i lepiej dmuchać na zimne. Beatka to aktualnie moja najlepsza przyjaciółka z pracy, a na dodatek ma kochającego męża i dzieci. Strata kogoś takiego jak ona byłaby naprawdę wielka. No i dosyć problematyczna, bo co wtedy z tym mężem i dziećmi? Jak go znam, to pewnie sam by sobie nie poradził.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, ruszyłam w końcu przez pasy, o mało nie wpadając przy tym pod samochód.

– Wariatka! – wrzasnął w moją stronę przez uchylone okno kierowca i mocno popukał się w głowę. – Czerwone!

Spojrzała na niego przelotnie, nawet nie zwalniając kroku.

– No i co z tego, że czerwone?! – odkrzyknęłam, mocno walcząc ze sobą, żeby nie dodać do tego komentarza środkowego palca. Potem przeskoczyłam przez krawężnik i wbiegłam do ulubionej księgarni.

– O, może pani! – natychmiast dobiegł do moich uszu rozentuzjasmowany głos jakiejś kobiety.

Stałam jak wryta. Chociaż był piątek, to panował tu tłok. Ludzie kłębili się pod zawalonymi książkami regałami i siedzieli wygodnie na specjalnie poustawianych zielonych krzeselkach.

– Zapraszam, zapraszam! Śmiało! – ponowiła swoje wezwanie kobieta.

Co to, u licha, ma być?

Odgarnęłam z policzków niesforne pasma włosów i poczułam, że się czerwienię. Nie znosiłam niespodzianek, a już na pewno nie takich, gdy patrzyło na mnie co najmniej trzydzieści, a może nawet i czterdzieści obcych osób. Czy to jakiś żart? Ukryta kamera?! I dlaczego właśnie dziś?!

– Jak pani ma na imię? – mimo mojego zażenowania podekscytowana kobieta nie przestawała nie przestawała mówić. Dopiero teraz zauważyłam, że stała na podwyższeniu.

– Zuzanna – udało mi się wydusić.

– Super! – zaklasnęła w ręce. – Zróbcie miejsce Zuzce. – Spojrzała na tłum, a potem na mnie. – Kochanie! Mogę mówić do ciebie na ty?

Popatrzyłam na nią nieco przerażona, ale automatycznie kiwnęłam głową i nieśmiało zrobiłam krok w jej kierunku.

– Wspaniale! – rozpromieniła się jeszcze bardziej. – Jestem Matylda. Matylda Mak.

Nie umknęło mojej uwadze, że jej nazwisko idealnie współgrało z czerwoną sukienką, w którą była ubrana. Odważnie prezentowała swoje obfite kształty.

– Kto? – uniosłam brew.

Po sali rozległ się podejrzany szmer.

– Matyld Mak. Ta trenerka personalna, nie kojarzysz?

– Nie bardzo – mruknęłam zawstydzona.

– Nieważne. Chodź tu i siadaj wygodnie obok... – Matylda zawahała się, zerkając przy tym na wątlą kobietkę siedzącą już na dwuosobowej sofie.

– Kalina – uśmiechnęła się do niej tamta.

– Tak! Siadaj wygodnie obok Kali – powiedziała i gwałtownie rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem właściciela księgarni, podczas gdy ja przycupnęłam sobie na sofie.

– Czy mogę prosić o coś ciepłego dla Zuzki? – krzyknęła.

Patrzyłam na całą tę szopkę z niedowierzaniem. Widząc rozentuzjasmowane buzie zgromadzonych ludzi i ich kolorowe ubrania, poczułam się jak rodem wepchnięta do jakiejś podejrzanej komedii. To pierwsze spotkanie autorskie, w którym uczestniczyłam i z pewnością wyszłabym z niego, gdyby nie to, że ta stanowczo nazbyt szczęśliwa kobieta postanowiła zrobić ze mnie swojego specjalnego gościa.

Nerwowo spojrzałam na wiszący na ścianie zegarek. Miałam już tylko trzy godziny czterdzieści minut do imprezy Anki. I ciekawe, czy będę mogła tu kupić jakąś książkę, skoro...

– No dobrze, w takim razie do rzeczy! – oderwała mnie od rozmyślań Matylda. Rozsiadła się w bieluchnym fotelu stojącym naprzeciwko rustykalnej sofie.

Od razu rzuciły mi się w oczy jej idealnie wyćwiczone łydki i podziękowałam sobie w myślach za to, że ja dzisiaj włożyłam spodnie.

– Powiedzcie mi, moje drogie, co was w życiu ogranicza – zaczęła pewnie i wbiła we mnie swoje świdrujące, zielone oczka.

Gdybym miała w ustach tę herbatę, którą mieli mnie poczęstować, to chyba bym się nią zakrztusiła.

– Co? – zapytałam niepewnie.

– Och, kochana! – Matylda roześmiała się głośno. – Jesteś taka urocza, ale to ja się ciebie pytam. Co cię w życiu ogranicza?

– Nadmierna potrzeba kontroli – przerwała niezręczną chwilę ciszy siedząca obok Kalina.

Matylda rozpromieniła się, słysząc jej słowa, a ja głośno odetchnęłam z ulgą.

– Ty mi się tutaj nie ciesz, kochanie! – natychmiast dostrzegła moją reakcję.

Co ona, jakiś rosyjski szpieg, że taka wszystkowiedząca?

– To również pytanie do ciebie. Co cię ogranicza?

Znowu popatrzyłam na nią, jak gdybym była co najmniej przygłupia. Miałam zwierzać się jakiejś obcej babie na przypadkowym spotkaniu autorskim, na którym nie planowałam się nawet pojawić? I to jeszcze spiesząc się do domu, gdy w aucie czekała na mnie bliska załamania nerwowego Beatka? Nie ma co! Idealny czas na rozmowy od serca!

– A bo ja wiem... Ostatnio to chyba tylko mój mąż – rzuciłam więc od niechcenia.

– No i to jest już jakaś odpowiedź... – natychmiast rozpromieniła się Matylda, przez co znowu wmurowało mnie w sofę. Ja tu gadam od rzeczy, a ona co?

Popatrzyłam na nią jednak, odwzajemniając uśmiech, a potem poprawiłam się na sofie i pochyliłam lekko w lewo, żeby odsunąć się trochę od skulonej obok Kaliny.

– No więc mówisz, moja kochana, że mąż... – powoli powtórzyła moje słowa Matylda. – Ale w jaki sposób? – zapytała, przykładając trzymany w dłoni długopis do ust.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie zastanawiałam się nad tym nigdy. Prawdę powiedziawszy, to nawet nie czuję się przez niego w żaden sposób ograniczona – spróbowałam jeszcze z tego jakoś wybrnąć. – Tak mi się tylko powiedziało. Wiadomo: jesteś mężatką, to musisz cierpieć.

– Błąd! Karygodny błąd! – Matylda wyprostowała się gwałtownie, piorunując mnie wzrokiem. – Jakie jest pierwsze zdanie mojej książki? – zwróciła się do publiczności.

– Uświadom sobie swoje ograniczenia – uniosła rękę ubrana na czarno dziewczyna.

– Ach tak – wyrwało mi się, jakoś tak mimochodem.

– Brawo! Książka dla tej pani. Jak ci na imię? – krzyknęła Matylda.

– Jola – nieśmiało powiedziała tamta.

– Jesteś wspaniała kochanie! – Matylda posłała jej całusa. – Obym miała jak najwięcej tak wnikliwych czytelniczek!

Zachciało mi się śmiać, w odpowiedzi na co siedząca dumnie Kalina posłała mi piorunujące spojrzenie. Spuściłam wzrok i popatrzyłam na swoje podniszczone balerinki. Wypadałoby kupić nowe.

– W takim razie zacznijmy inaczej. – Matylda ponownie rozsiadła się w białym fotelu i założyła nogę na nogę. – Co jest w twoim życiu nie tak? Za czym tęsknisz i czego ci brakuje?

Popatrzyłam na nią uważnie, uświadamiając sobie, że mam dwa wyjścia. Albo zamknąć się w sobie, udawać głuchą (co z racji tego, że już kilka razy jej odpowiadałam, mogłoby nie być aż takie znów wiarygodne) i uciec stąd gdzie pieprz rośnie, albo wejść w narzucaną przez nią rolę, powiedzieć sobie: raz kozie śmierć, i zacząć odpowiadać na wyartykułowane przed chwilą pytania.

– Cóż... – westchnęłam dokładnie w momencie, w którym zjawił się obok mnie właściciel i podał mi kubek z herbatą. Gorąca esencja przyjemnie polectała moje zmysły. Kiedy to ja miałam czas usiąść w spokoju i wypić herbatę?

Matylda znów wbiła we mnie swoje przenikliwe spojrzenie.

– A więc... – zaczęłam niepewnie, rozglądając się przy tym, czy na sali nie ma kogoś znajomego, przed kim mogłabym się skompromitować.

– Śmiało, kochana, śmiało! Tutaj wszyscy mamy jakieś lęki.

– Tak... – mruknęłam, upijając pierwszy łyk.

Wszystkie twarze wydawały mi się tak samo obce. Do tego ta ciepła herbata...

– No więc boję się, że mój zajęty swoimi pasjami mąż kompletnie o mnie zapomni, znajdzie sobie młodszą, a ja umrę w samotności i jakiś przypadkowy przechodzień albo, co gorsza, moja sąsiadka zakopie mnie pod płotem, bo nikt nie zaprzętnie sobie głowy moim godnym pochówkiem. Właściwie to dla mnie żadna różnica. Jakby się nad tym zastanowić, to w sumie nawet może i lepiej. Nigdy nie lubiłam cmentarzy. Trzeba na nie długo dojeżdżać, a tak? Będzie na miejscu! – wypaliłam na jednym wdechu, czym widać wmurowałam w zielone krzeselka wszystkich zebranych na spotkaniu ludzi, ponieważ nagle zapanowała jakaś dziwna cisza, którą przerywało tylko bzyczenie jakichś nadpobudliwych much.

– Cóż... – odezwała się w końcu Matylda. – To już jakiś konkret.

– Prawda? – uśmiechnęłam się do niej, myśląc o swoim mężu, Ludwiku.

– Zawarłaś w nim swoje, jak mniemam, główne lęki. Samotność mimo trwania w związku i niewystarczające do godnego życia fundusze. Brak perspektyw i niepewną przyszłość. To naprawdę interesujące.

– Zawsze mi się zdawało, że jestem ciekawym okazem. Moja siostra w dzieciństwie radziła mi nawet, żeby dać się zamknąć do zoo, ale nie wyszło.

Tylko, dodałam sobie w myślach, chyba chodziło jej raczej o mój krzywy zgryz.

– O, lubisz zwierzęta? – ożywiła się siedząca obok Kalina.

– Takie w zoo? Nie bardzo – wzruszyłam ramionami. – Ale mam psa. Yorka. I dziecko.

– Zuzka chciała powiedzieć, że czuje się wyjątkowa ze swoimi problemami, ale wcale tak nie jest – wróciła do wnikliwego analizowania moich wypowiedzi Matylda.

– Poważnie? – zdziwiłam się, słysząc jej słowa. O mały włos nie oblałam się przy tym herbatą.

– Aha – skinęła głową. – Wiele młodych kobiet trwających w stałym związku, w którym wygasła już namiętność, zaczyna bać się porzucenia – powiedziała, a ja uświadomiłam sobie, że z jej słów płynęła dla mnie tylko jedna pocieszająca informacja. Wynikało z nich, że mimo swojego wieku i statusu społecznego w oczach niektórych ludzi nadal byłam młoda.

– A jak z tym u ciebie? – zapytała, zanim zdążyłam cokolwiek sensownego pomyśleć albo chociaż powiedzieć, bo u mnie to działało właśnie w tę stronę.

Pochyliłam się do przodu.

– Z czym?

– Z namiętnością.

– Kompletnie beznadziejnie. – Westchnęłam, ale Matylda za bardzo się tym nie przejęła. Co więcej, ta odpowiedź chyba nawet jej się spodobała.

– Opowiedz nam o tym – zachęciła mnie do dalszych zwierzeń.

– Och... – Oparłam się wygodniej o zagłówek sofy. – Chociaż mam dopiero 28 lat, to od kilku jestem mężatką i przez długi czas zdawało mi się, że zbudowaliśmy szczęśliwą rodzinę. Jeśli we współczesnych czasach można jeszcze taką posiadać, bo tyle się przecież szerzy patologii. Ciągle

tylko mówią, że kogoś córka nożem zadźgała. Albo widelcem. Że piją, palą, klną... A u nas? Czasem tylko ktoś w nerwach trzaśnie drzwiami, rzuci talerzem, ewentualnie jedno i drugie. Sami widzicie – spojrzałam wymownie na zgromadzonych w księgarni gości. – Problem tylko w tym, że ostatnio sypiam sama – znowu westchnęłam. – Tak. Z powodu wiecznej nieobecności mojego męża.

Matylda zrobiła smutną minę. Może jednak było w niej chociaż trochę empatii?

– Dlaczego? – zapytała, a ja znowu spojrzałam na swoje podniszczone buty.

– Może dlatego, że powoli się starzejemy? – raczej stwierdziłam i muszę przyznać, że zabrzmiało to bardziej refleksyjnie, niż zamierałam powiedzieć. – Ludwik ma już pierwsze siwe włosy i to za sprawą czego? A tego, że od dobrych czterech lat przedziemy tę wspólną nić zwaną życiem z oczami na zapałki, jeśli w ogóle można powiedzieć, że udaje nam się jakkolwiek funkcjonować. Więc może ten cały brak namiętności wynika ze zmęczenia? Nie chcę winić dziecka, ale to może też być sprawką naszego małego Marcelka, który temperamencik to ma wyjątkowy, oj wyjątkowy – zaczęłam analizować, jakbym była na jakiejś prywatnej psychoterapii. – Zwykłam twierdzić, że Marcel wdał się w ojca, już od momentu, kiedy mamusia podała mi go pierwszy raz, a on zaczął drzeć się wniebogłosy, chcąc jeść, teraz, zaraz, JUŻ! Ludwik też tak ma. Kilka razy rozważałam, czy nie załatwić mu po cichu całodobowego dokarmiania dożylnego. Wiecie, chodzi z kroplóweczką i skapuje mu glukoza – znowu wymownie spojrzałam na swoją widownię. Ludzie siedzieli żywo przejęci moimi wyznaniem, przez co miałam ochotę opowiadać dalej.

– Ale tak zupełnie poważnie... – wróciłam do tematu. – To nie do końca prawda, że Marcel wdał się tylko w Ludwika, bo sama do spokojnych nie należę, do czego przyznaję się bez bicia, choć z bolącym sercem. U nas w rodzinie, tej szerzej pojmowanej, rzecz jasna, to wszystko wydaje się dość oczywiste. Istna komedia silnych i dominujących charakterów, tworzących mieszankę wręcz wybuchową. – Tak podsumowałabym każdy nasz większy zjazd rodzinny i nikt z zainteresowanych nawet nie śmiałyby zaprzeczyć. Jesteśmy specyficzni, ale to chyba jak każda potężna, wielopokoleniowa, klasyczna rodzina, prawda? Okej, może moja chorowita mamusia umierająca kilka razy do roku bije na głowę inne, NORMALNE matki. Tak, tak! Nie śmiecie się! Ona naprawdę wydzwania do wszystkich, żegna się i przychodzi do mnie, żeby w spokoju umierać! Jakiś czas temu kupiła sobie już nawet urnę...

W sali rozległy się stłumione chichoty. Tylko mi jakoś nie było do śmiechu, bo mamusia za każdym razem żegnała się zupełnie na serio.

– Wracając jednak do tematu. Ludwik też nie jest do końca normalny z tym swoim zapaleńczym zamiłowaniem do biegania po polach w kraciastych gaciach i poszukiwaniu skarbów. Kupił sobie, choroba, za moim pozwoleniem kiedyś ten wykrywacz metalu i nie sposób go nieraz zapędzić do domu. Ma to jednak swoje dobre strony, przyznaję. Dzięki tej jego pasji do perfekcji opanowałam płacz na zawołanie, który, w zestawieniu z głośnym lamentem, że woli ten złom niż rodzinę, i wynoszeniem mu pościeli do salonu, potrafi zdziałać cuda. Tylko że on nie wyciąga z tego żadnych wniosków. Ja chyba najzwyczajniej w świecie przestałam go już interesować. Woli historię niż mnie. Czy wy wiecie, jak ja się czuję, kiedy antyczne wazy bardziej pociągają mojego mężczyznę niż ja... – W oczach zebrały mi się łzy.

– Kochanie, to takie przykre... – spróbowała pocieszyć mnie Matylda.

– Przykre? – nie dałam jej jednak dojść do głosu. – Przykro to mi jest, kiedy zbiję kubek. Ten związek to zupełna katastrofa. Gdyby on chociaż był jakiś bogaty albo piękny, to co innego. Mogłabym być z nim dla urody albo dla pieniędzy, a tak...

– Jest biedny? – pogłaskała mnie po rękę pełna współczucia Kalina.

– Jest nauczycielem. Historii! I to w gimnazjum! – rozbeczałam się. – A ja nawet nie jestem gruba

i brzydka! Gdybym była, to co innego. Wtedy mogłabym to zrozumieć, ale... – zaczęłam histeryzować i robić z siebie pośmiewisko.

Kalina przytuliła mnie w geście solidarności.

– Ale przecież to wszystko jest wspaniałe! – słuchając tego, co mówię, ożywiła się natomiast Matylda.

Otarłam z oczu łzy i razem z Kaliną popatrzyłyśmy na nią nieprzytomnie.

– Wspaniałe? – wydusiłam między jednym a drugim szlochem.

– No oczywiście! Czy ty nie widzisz, że to wszystko jest szansą, którą zsyła ci Bóg, żebyś mogła w końcu coś w swoim życiu zmienić?

Otarłam nos i patrzyłam na nią w osłupieniu.

– Ale co zmienić? – wydukałam.

– Ty mi powiedz. O czym tak naprawdę marzysz?

– O białym księciu na rasowym rumaku – powiedziałam tak na odwal się, chociaż to nie książę powinien być biały, ale jego koń.

– Ja marzę o tym, żeby mój ślub był idealny! – wyrwało się widzącej mój brak entuzjazmu Kalinie.

– Och, to wspaniale. Kiedy?

– Dwudziestego ósmego sierpnia.

– Moje gratulacje, kochana! – zerwała się z miejsca Matylda. – Będiesz wspaniałą panną młodą.

– Dziękuję! – rozpromieniła się Kalina. – Odbędzie się w starym dworku za miastem. A bukiet będę miała z orchidei. Suknia natomiast...

– A ty, Zuzka? O czym marzysz?! – weszła jej w słowo Matylda, przez co Kalina wydeła wargi, przybierając smutny wyraz twarzy.

Zrobiło mi się jej szkoda, ale potrząsnęłam głową i otarłam nos.

– O tym, żeby Ludwik znowu zobaczył we mnie kobietę. I żeby nie musiała spać sama... – Znowu się rozkleiłam.

– Kochana! – Kalina przytuliła mnie jeszcze raz. Dopiero teraz zauważyłam, że miała idealnie spiłowane paznokcie, przez co jeszcze bardziej zebrało mi się na płacz. Moje wyglądały jakbym spędziła ostatnie kilka dni, pracując na roli, chociaż to nieprawda, bo Marcel strącił z parapetu doniczkę z kwiatem i musiałam go przesadzić. Oczywiście roślinę, nie Marcela.

I kiedy tak sobie szlochałam w najlepsze w szczupłutkie ramię Kaliny, drzwi do księgarni otworzyły się gwałtownie, a stanął w nich nie kto inny, jak znudzona samotnym czekaniem Beatka. Miała na sobie rozpiętą kurtkę i nerwowo przyglądała rozwichrzone włosy.

– Ja... – stanęła jak wryta, czując na sobie dziesiątki par oczu. – Tylko szukam Zuzki. – wymamrotała przerażona.

– Tu jest! – wskazała na mnie zaangażowana w pocieszenie Kalina, w odpowiedzi na co uniosłam głowę i zaprezentowałam Beacie swoją zapłakaną twarz.

– Matko kochana, Zuzka! – rzuciła się do mnie natychmiast. – Co ci się stało?!

– Uświadomiła sobie swoje najskrytsze pragnienia – wspaniałomyślnie odpowiedziała za mnie Matylda, przez co Beata stanęła w połowie drogi między sceną a drzwiami i wbiła w nią surowe spojrzenie.

– Coście jej zrobili? To jakaś sekta?! Boże, Zuzka. Hipnotyzowali cię? To jakaś narkoza? Oddychaj, oddychaj!

Usłyszałam stłumione śmiechy.

– Jaka sekta, kochanie! – zabrała się za wyjaśnienia Matylda. – My tu jesteśmy, żeby sobie pomagać.

– Akurat. Ja już znam to wasze pomaganie. Mydlicie oczy, a zaraz potem człowiek zostaje zupełnie sam i pozbawiony pieniędzy. – Odzyskała wigor Beata i błyskawicznie znalazła się obok mnie. – Zuzka, co oni ci zrobili? – nachyliła się i odgarnęła na bok moje włosy. – Cała jesteś? Wszystko okej? – Padła na kolana obok sofy.

– Tak – bąknęłam, pociągając nosem i otarłam zapłakane policzki, ale chyba jej to nie przekonało.

– Przecież widzę!

– A może ty też do nas dołączysz, kochana? – zwróciła się do Beaty Matyllda. – Jesteś bardzo spięta. Może chcesz nam wszystkim powiedzieć, co cię ogranicza? – powiedziała słodko i lekko dotknęła jej ramienia.

– Łapy przy sobie! – Natychmiast szarpnęła ręką Beata. – Ja się nie dam wystrychnąć na dudka. Jeszcze słowo, a dzwonię na policję – krzyknęła, a potem spojrzała na mnie. – Porządnych ludzi doprowadzać do takiego stanu i to w biały dzień?! Przecież to nie do pomyślenia!

– Beata, daj spokój – udało mi się w końcu odzyskać głos i oderwać od ramienia przerażonej całym tym zamieszaniem Kaliny. – To jest tylko spotkanie autorskie, żadna sekta.

– Jakie spotkanie autorskie? Jaka sekta?! – nie spuszczała jednak z tonu Beata, przez co widzowie całej tej sceny znowu zaczęli się śmiać.

– No właśnie ci mówię, że żadna! To jest Matyllda Mak, trenerka personalna. Pomaga kobietom odkrywać ich najskrytsze marzenia, a ty tu urządzasz jakąś szopkę. Tylko rozmawialiśmy, nic mi się nie stało!

Beata popatrzyła to na mnie, to na Matylldę.

– Spotkanie autorskie? – wychrypiała.

– Aha – obie pokiwałyśmy głowami, przez co Beatce zrobiło się głupio. Natychmiast stanęła na nogi i rozglądając się po księgarni, poprawiła swoją sukienkę.

– Spotkanie autorskie – powtórzyła, trochę mechanicznie i spojrzała na mnie zawstydzona. – No dobrze, to ja może już pójdę i... – Spuściła wzrok, starając się uniknąć dziesiątek rozbawionych spojrzeń. – Tylko nie siedź za długo, Zuzka – zdołała jeszcze tylko mruknąć, a potem jak strzała popędziła do drzwi i za nimi zniknęła.

Po jej wyjściu w księgarni zapanowała pełna napięcia cisza.

– No cóż, moi drodzy... – pierwsza odezwała się zdezorientowana Matyllda.

– To może ja też już pójdę, żeby Beata nie musiała na mnie dłużej czekać – postanowiłam wyratować ją z opresji, w odpowiedzi na co spojrzała na mnie z wdzięcznością. – Dzięki za spotkanie i dobre rady – uśmiechnęłam się i do niej, i do szczupłutkiej Kaliny. – Mam nadzieję, że uda mi się dzięki tej rozmowie zmienić coś w swoim życiu i...

– Bo najważniejsze, to być świadomym swojego problemu! To pierwszy krok do sukcesu – wpadła mi w słowa Matyllda i podeszła, żeby mnie uściskać. – Miło cię było poznać, Zuzanno. Szkoda, że nie możemy dokończyć naszej rozmowy, ale mam nadzieję, że znajdziesz w sobie trochę odwagi, aby zaważać o uwagę ze strony męża.

Pokiwałam głową, gdy udało mi się wyswobodzić z jej uścisku.

– Postaram się.

– A na dobry początek przeczytaj sobie moją książkę. – Sięgnęła po leżący na stoliku egzemplarz swojego dzieła. – Mam nadzieję, że ci się spodoba. – Wręczyła mi książkę.

Wzięłam ją od niej aż nader chętnie. Przynajmniej wyjdę stąd z prezentem dla Anki, skoro godności już nie mam.

– Was też bardzo miło było mi poznać – zwróciłam się jeszcze do zebranych w księgarni gości i powoli ruszyłam do drzwi. Przez to, że byli świadkami tego mojego wybuchu płaczu, poczułam

z nimi wszystkimi jakąś wyjątkową więź.

– Wszystkiego dobrego, Zuzka! – Uściskała mnie po drodze jakaś brązowowłosa kobieta.

– Powodzenia z mężem – rzucił jeszcze ktoś, przez co znowu zebrały mi się w oczach łzy. Jednak tak bardzo się nie skompromitowałam.

– Udanego dnia! – Zamykając za sobą drzwi, usłyszałam ostatnie słowa Matyldy, a potem stanęłam na dworze i mocno zaczerpnęłam w płuca powietrza.

Raz koźie śmierć, pomyślałam, przyciskając do piersi egzemplarz książki Matyldy. Nie będę już dłużej spać sama. Nie po to brałam ślub, żeby w wieku 28 lat zasypiać w pustym łóżku!

No... Nie uwzględniając spragnionego miłości dziecka, które ostatnio przychodzi do mnie, żeby spać razem jakoś wyjątkowo często...

Rozdział 2

Na urodzinach Anki Ludwik oczywiście się nie pojawił, przez co następnego dnia byłam na niego nawet nie tyle zła, co po prostu wściekła. Chociaż może to za mało powiedziane? W każdym razie musiałam odłożyć odzyskiwanie go na trochę później, bo chyba bym go po prostu zabiła.

– Miałem wczoraj ważne spotkanie z chłopakami, a do Anki mogę wpaść każdego innego dnia. Przecież mieszka zaraz za płotem – spróbował się wytłumaczyć przy śniadaniu. Ponieważ nie widział w tym wszystkim swojej winy, za bardzo nie chciało mi się go słuchać. Zresztą... Ja te jego wymówki znam tak dobrze, że mogłabym je wyrecytować nawet obudzona o trzeciej w nocy. Koledzy są ważniejsi, nie zrozumieję męskiej przyjaźni, latanie w kraciastych gaciach z wykrywaczem metalu to jego hobby, a rodzina, zwłaszcza ta moja, to tylko nudny dodatek do tego jego wspaniałego życia.

Nie chcąc za bardzo się z nim kłócić (bo kłótnią to ja go na pewno nie odzyskam, a przecież dopiero to sobie postanowiłam), odwiozłam więc tylko Marcela do kolegi mieszkającego w sąsiedniej wsi, a potem wybrałam się na zakupy. Lodówka świeciła pustkami już od wczoraj i jeśli bym tego nie zrobiła, zmuszeni byłibyśmy zacząć jeść chłodzące się w niej puste pojemniki na żywność. Albo ewentualnie niemrawe światełko promieniujące od zamontowanej w niej lampki, chociaż nim to akurat byśmy się pewnie nie najedli... Ale może bym trochę schudła?

Zaczęłam zakupy od odwiedzenia apteki i kupienia testu ciążowego. Ale nie, nie. Spokojnie! Nie dla mnie, dla Anki. Obiecałam jej to wczoraj w łazience. Właściwie, to stojąc w nierównej kolejce do okienka, poczułam się trochę tak, jakbym to sama czekała na radosną nowinę dotyczącą pojawienia się kolejnego potomka.

No dobrze. Może w mojej sytuacji nie byłaby ona taka znów radosna. Wyznam wam w sekrecie, że trochę czarno śni mi się ponowne macierzyństwo, gdy noce, dzięki mojemu małemu synkowi, stają się w końcu chociaż częściowo przespane. Ale to i tak nic! Najbardziej boli mnie fakt, że ja cholernie się boję porodów. Całe to: „A teraz przyj, kochana” do tej pory powraca do mnie, gdy, nie mogąc zasnąć, tłukę się w łóżku po nocach i chce mi się normalnie wymiotować, kiedy o tym pomyślę. Albo co najmniej rzucić to całe macierzyństwo i zwać gdzieś w świat, chociaż do tego akurat trzeba by było dobrze znać jakiś język, a ja z angielskiego zawsze byłam noga.

Teraz co prawda są oczywiście nowoczesne metody: poród w wodzie, znieczulenia, techniki relaksacyjne i te inne sprawy. Mimo wszystko mam jednak ochotę krzyczeć, kiedy przypomnę sobie dramatyczny moment, gdy podczas pierwszej ciąży odeszły mi wody, mój mąż Ludwik zemdlał ze strachu, a poród finalnie odebrała moja mamusia w domowym zaciszu (które, tak na marginesie, wtedy wcale ciche nie było, bo darłam się wniebogłosy, chcąc wypchnąć w końcu Marcela na świat). To ona była pierwszą osobą, do której w tamtej sytuacji zadzwoniłam i dobrze, że nie pomyślałam wtedy o nikim innym, bo to mamusia mieszka ze mną płot w płot. Zamiast rodzić w naturalnych, szpitalnych i sterylnych warunkach, jak to było od dawna zaplanowane, Marcel postanowił przyjść na świat w zimę, śnieżycę i w domu. Idealne dziecko, nie ma co! Jeszcze przed urodzeniem był małym złośliwcem.

Sami więc widzicie, że nie mam jakichś magicznych doświadczeń. Dlatego marzę tylko o białej kozetce gdzieś na przytulnej porodowce i wykwalifikowanej kadrze, a nie zapłakany Ludwik z miską ciepłej wody, przeżywającym poród bardziej niż ja. I szczekającym z przerażenia psie, nierozumiejącym, dlaczego jego pani drze się wniebogłosy, jakby ją ze skóry obdzierali, leżąc w dziwnej pozycji na zakrwawionej sofie, którą potem trzeba było wymienić, bo nie nadawała się do

użytku.

Cóż. Wzdycham ciężko, robiąc krok do przodu, gdy grubawa pani w różowym bereciku podchodzi do okienka. Wtedy Ludwik chociaż mnie jeszcze kochał...

– Co dla pani? – wrywa mnie z zamyślenia szczupłutka farmaceutka o śnieżnobiałym uśmiechu, w który z pewnością musiała sporo zainwestować. Zawstydzona swoją osobą i robię wszystko, żeby nie zdradzić jej stanu swoich pożółkłych, no dobrze, być może od nadmiaru wypijanej ostatnio kawy, nie do końca idealnych, zębów.

Swoją drogą, to państwo powinno refundować wybielanie uzębienia wszystkim matkom Polkom. Każdej w nagrodę za chęci do rodzenia dzieci i to przynajmniej raz na kilka lat. W końcu to przez macierzyństwo wypija się dwa razy więcej kawy, niż normalnie. Może wybielanie mogłoby wejść do tych super założeń polityki prorodzinnej? Ja zawsze czułam, że mam zmysł do takich rzeczy! Zresztą... moja rodzina też, bo zawsze twierdziła, że się rządzą.

– Poproszę test ciążowy. Właściwie to nawet dwa – mówię w końcu, nachylając się do okienka i pokazuję liczbę na palcach. Trąbią ostatnio z każdej strony, że mamy wtórny analfabetyzm, więc trzeba się zabezpieczać. Rozumiecie. Tak dla pewności.

– Ma pani jakieś specjalne życzenia, czy podać pierwsze z brzegu? – pyta słodkim głosem wychudzona farmaceutka.

Co? Wypraszam sobie. Dziecko to poważna sprawa i nic na odwal się mi w tej sytuacji nie potrzeba! Co ona sobie myśli, że przychodzę tu dla zabawy z drżącym głosem i gulą przerażenia w okolicy gardła? Hola, hola. Ja nie z tych. Pomijając fakt, że niczego nie robię na odwal, to tym bardziej nie mam zamiaru w ten sposób traktować, być może, rozwijającego się pod sercem Anki maleństwa! Jeśli rzeczywiście jest w ciąży, to jego serduszko już bije!

– Proszę podać jak najbardziej wiarygodny – uśmiecham się fałszywie, pamiętając, by nie pokazać ani milimetra krzywego zgryzu, którego wcale się przecież nie wstydzę. W myślach wyobrażam sobie, jak moje ciepłe ręce coraz bardziej zaciskają się na jej wychudzonej szyi. Coraz bardziej i...

Matko kochana, co ja bredzę! Musicie mi wybaczyć, to pewnie przez tę poranną złość na Ludwika. Transferuję swoje emocje na farmaceutkę. Ale czy to już jest choroba?

– Naturalnie – kobieta nie daje mi jednak za długo o tym myśleć. – Pytałam raczej o to, czy życzy sobie pani paskowy, strumieniowy, czy płytkowy?

O cholera. Kiedyś to o tych testach czytałam od groma, ale to było jednak ponad cztery lata temu, kiedy ekscytowałam się ciążą, będąc młodą dziewczyną, a nie pofałdowaną kobietą ubraną w dres, wstającą dziesięć razy w nocy bo „Mama, pić! Mama, siku!”, kojarzącą ciążę głównie z bólem stóp, kręgosłupa i całodobowymi wymiotami, które specjaliści raczyli nazwać „porannymi mdłościami”. Chyba, żeby nie przerażać tych biednych młodych mam, bo kortyzol przecież szkodzi kształtującemu się układowi nerwowemu dziecka!

– Strumieniowe mogą być – zgadzam się po chwili zastanowienia i śmiało kiwam głową, chcąc ukryć swoje zakłopotanie.

Farmaceutka patrzy na mnie jakoś tak spode łba i raczy, zdecydowanie za bardzo kręcąc tyłkiem, ruszyć się w końcu po testy. No co, powinnam wybrać inne?!

Zerkam na nią i robi mi się jakoś tak smutno. Widok młodej, szczupłej, a przede wszystkim wyspanej dziewczyny, sprawia, że mój nastrój gwałtownie się obniża i chce mi się płakać. Aaa! Chce mi się nawet wyć!

Na domiar złego przez cały ten nagły smutek zapominam o tym, jak niedoskonale wygląda mój zgryz i szczerzę się do niej, podając banknot. A niech to szlag. Widocznie matki na pełen etat już tak mają! Może powinni nam w dowód wpisywać adnotację o zaburzeniach pamięci?

Finalnie więc, pomimo że weszłam do apteki wesóło i pełna życia, wychodzę z niej naprawdę podminowana, choć racjonalna częśćka mnie doskonale wie, że tak naprawdę kolejny raz robię z igły widły. Anka na pewno jest w ciąży, a mi się to po prostu udziela. Ta cała jej ciąża i hormony, oczywiście. Czuję to każdą częśćką siebie. Trybiki w moim mózgu zaczynają pracować w jakiś inny sposób, miotając mnie od radości do smutku, od złości do frustracji, od...

Wzdycham ciężko.

No cóż, może powinnam zacząć przedstawiać się z nagłówkiem: emocjonalnie rozchwiana, byłoby łatwiej innym ludziom mnie zrozumieć. Właściwie obilo mi się o uszy, że w tych szpitalach psychiatrycznych wcale nie jest tak źle. Mam koleżankę, która w jednym takim pracuje i pomimo pacjentów, którym zdaje się, że są Batmanami czy Duchem Świętym, to ponoć dużo bezpieczniej tam jest niż na zwykłej ulicy, bo kraty w oknach, to żaden samochód w ciebie nie walnie!

À propos... Czytałam ostatnio całkiem spory artykuł w jednym z pseudopsychologicznych pisemek, że najważniejsze, to być świadomym swojego problemu, o czym mówiła mi też wczoraj Matylda. I wiecie co? Stwierdzam, że guzik prawda. Jestem świadoma swojej huśtawki nastrojów i wcale nie jest mi z tego powodu lepiej. Co więcej, jeszcze bardziej chce mi się płakać, bo może po prostu jestem nieudana i nie umiem tej wiedzy w żaden konstruktywny sposób wykorzystać?

Z moich czysto filozoficznych przemyśleń, nie mających właściwie większej wartości ani sensu, wyrwał mnie dzwonek telefonu, na który jakiś czas temu ustawiłam piosenkę z koniem w tytule. Jak się można domyślać, tego ostatniego nie potrafię zapamiętać.

– Cześć, kochanie – rozlega się donośny głos mojego ślubnego, który widać zapomniał już o tym, że jestem na niego obrażona. – I co, zrobiłaś te zakupy?

– Prawie – odpowiadam bez entuzjazmu.

– No to świetnie, bo dzwonię, żeby ci powiedzieć, że musiałem zostawić małego u twojej mamy. Na śmierć zapomniałem o spotkaniu z chłopakami. Ale spokojnie, tylko się nie denerwuj. Marcel jest cały i zdrowy, Anka wzięła go pod swoje skrzydła, a za chwilę pewnie wróci z boiska Pawełek, to i on pomoże.

– Rozumiem, że mam go odebrać – mamroczę do słuchawki i zaczynam szukać kluczyków w torebce, chociaż aż się we mnie gotuje.

– Jesteś kochana, bo potem umówiłem się z chłopakami na mecz...

– Niech to szlag! – Kluczyki wplątały mi się w słuchawki i ciągnąc, wyrywam kabelek z jednej z nich. No ładnie. A dopiero co je kupiłam!

– Co kochanie? Nie rozumiem...

– Nie ma sprawy – wchodzę w słowo Ludwikowi niezbyt życzliwym tonem i wyswabadam w końcu kluczyki. Kolejny raz postanowił dać nogę z domu, cholera jasna! Matka to na pewno myśli teraz, że ze mnie kukułka, bo im ciągle dziecko podrzucam! A jak nie dziecko, to i męża. Ot cały mój wizerunek... Jakbym to za grosz nie miała godności!

Okej, właściwie jakby się tak nad tym poważnie zastanowić, to może i jej nie mam, bo ciągle odbiera mi ją mój mąż, co widać na załączonym obrazku. Można nawet powiedzieć, że to zjawisko robi się u nas coraz bardziej społecznie akceptowalne.

– No to fantastycznie. Aha. Słuchaj, dzwoniła Ludmiła, ale nie wiem dokładnie, co chciała, bo Marcel urządzał w tym momencie płacz, że mu coś spadło. Zadzwoń do niej i dowiedz się, o co chodzi.

Wzdycham głośno i jakaś przechodząca kobieta patrzy na mnie pytająco. Kiwam w jej stronę głową. Cały Ludwik.

Muszę wam przyznać, że patrząc na jego poczynania jako rodzica, naprawdę w głowę zachodzę,

jak udaje mu się ogarnąć trzydziestoosobowe klasy, z którymi pracuje. Pocziwy i flegmatyczny, owszem, ale zorganizowany to on jest, jak ślepej kurze jajko.

No dobra, wiem. To przysłowie nijak się ma do tej sytuacji, ale po prostu przyszło mi do głowy.

– Oddzwonię – zgadzam się wielkodusznie do telefonu po chwili dłuższego milczenia, po czym Ludwik dziękuje mi wylewnie i rozłączamy się, gdy ja stoję już przed samochodem.

Kawał drogi przede mną.

Mieszkamy z całą rodziną w Jaszczurkach, dość sporej miejscowości, w której mieści się nawet szkoła podstawowa, podnosząc tym samym status prowincji. Mam przyjemność pracować w tym świeżo wyremontowanym budynku stojącym naprzeciwko naszego domu, w przeciwieństwie do mojego męża, który jest zwariowanym historykiem w gimnazjum i musi do pracy dojeżdżać kilkanaście kilometrów. Najbliższe gimnazjum znajduje się w Sosenkach, z czego właściwie jestem zadowolona, bo z tych gimnazjalistów to teraz nic dobrego nie wyrasta. Palą, piją i klną do upadłego. Gdyby ich szkoła mieściła się u nas, to pewnie robiliby to pod moimi oknami, a tego ja i moje słabe nerwy pewnie byśmy nie zdzierżyli. Co tam pewnie. Na sto procent!

A ile to razy Ludwik dzwoni, że mu błyszczak do ust do zamka na klucz wcisnęli i nie może biedaczek otworzyć albo że przez okno wychodzą na lekcji? Moje dzieci w zerówce... no dobrze, to słabe porównanie. Wierzę jednak, że maluchy chociaż nie robią mi tych wszystkich świństw specjalnie. Chociaż... Właściwie, czy to ja czasem nie mam gorzej?!

Okej. To on regularnie musi chadzać do psychologa i psychiatry. W konkursie na zrujnowaną przez szkołę psychikę z pewnością to jemu musiałabym oddać pierwsze miejsce. Taka ot, sprawiedliwość, w tym naszym małżeństwie, że zawsze jak coś ciekawszego, to Ludwik! Ja mam tylko częściowy niedosłuch prawego ucha i nikt się nade mną nie trzęsie!

Totalnie rozwalona emocjonalnie przez te wszystkie refleksje podjeżdżam na zatłoczony parking i wysiadam szybko, żeby uniknąć przegrzania z powodu zepsutej klimatyzacji w moim samochodzie, której to od kilku lat Ludwik nie może naprawić. Bo na to też nigdy nie ma czasu!

W jednym z niewielu supermarketów w miasteczku, do którego wybrałam się na dzisiejszą eskapadę, panuje ogromny chaos, jak się potem dowiaduję, związany z posezonową wyprzedająką zimowych akcesoriów narciarskich. Ludzie kłębią się i pchają, jak za komuny, gdy rzucali coś na półki.

No dobra, przyznaję. Nie pamiętam, jak było za komuny, ale właśnie tak to sobie wyobrażam, gdy przychodzi mi odebrać telefon w tym całym gwarze, pośród dramatycznych scen wydzierania sobie odzieży z rąk i nieprzyzwoitych przymiotników, które sypią się na prawo i lewo.

– Słucham – rzucam do telefonu, uchylając się jednocześnie przed ramieniem żywo gestykulującej blondynki ubranej w sukienkę w panterkę i białe kozaki, żywcem wyciętej spod jakiejś latarni!

– Ja ci dam, dziadzie jeden, wrywać mi z ręki!!! – krzyczy ktoś obok mnie na całe gardło, sprawiając, że czuję się co najmniej półgłucha.

– Cześć, Zuzka, słuchaj, mały jest u nas – udaje mi się zrozumieć moją starszą siostrę, Ankę – ale strasznie blady i na wymioty mu się zbiera. Nie obraż się, ale boję się, żeby Zośki mi nie zaraził.

– Co? Aniu nie słyszę cię dobrze – mówię podniesionym głosem, gdy panterka klnie, wymachując rękoma w stronę faceta w czarnej kurtce.

– Marcel jest chory. Boję się, że to jakiś wirus i Zośkę zarazi!

– Gdzie łązi? – pytam zdziwiona. Co moje dziecko robi samo na ulicy? Czy ona do reszty zgłupiała?! Odpowiedzialna matka, nie ma co!

– Zarazi!!! Chory jest!!! – udaje mi się zrozumieć Ankę i dzięki Bogu Marcel nigdzie nie łązi. Pewnie do domu by nie umiał sam trafić, syneček mamusi. Te jego małe stópki...

– Zuzka! – krzyczy Anka, gdy ja dryfuję myślami gdzieś między Marcelem a jego bosymi stópkami.

– Jesteś?!

– No pewnie. – Potrząsam nerwowo głową i udaje mi się w końcu wrócić do rzeczywistości. –

Wyrzuc go na razie do pokoju do mamy, a ja kończę zakupy i zaraz...

– Cholera jasna, paniusiu. Już widzę, jak pani ten kask dostanie. A figę, nie kask!

– Ja cię nic nie słyszę, Zuzka. Co się dzieje? Gdzie ty jesteś?! – podnosi głos Anka i muszę odsunąć telefon, żeby nie uszkodzić sobie ucha. – Co mam zrobić z Marcelem?

– W sklepie! – drę się w odpowiedzi, chcąc przekrzyczeć rozemocjonowane towarzystwo. – Wyrzuc Marcela do mamy!

– O, ty męska szowinistyczna świniou!! – Rusza do boju panterka. Jej pazury wyglądają naprawdę groźnie.

– Gdzie? – krzyczy głośniejsze Anka.

– W sklepie!!!

– Ja ci cholera jasna... – unosi się facet, przyciskając do siebie mocniej kask.

– Ja cię nic nie słyszę, Zuzka... może wyjdź na zewnątrz!

– W sklepie jestem! – drę się na całe gardło z komórką tuż przy ustach. Jak mam wyjść z wózkiem pełnych zakupów, no jak?!

– I co się pani tak drze, do choroby! To sklep jest, nie targowisko. Jak sobie chce pani pokrzyczeć, to pani dalej pójdzie, bo nic nie słychać! – wydziera się do mnie agresywna pantera, posyłając mi lodowate spojrzenie.

Poddaję się.

Kończę rozmowę i piszę Ance SMS-a: *Trafiłam na wyprzedaż, gorzej, niż w cyrku. Podrzuc Marcela do mamy, będę za pół godziny*, po czym pędem lecę do kasy i pakuję zakupy jak popadnie, chociaż mama uczyła: *najcięższe na dół*, i z tymi tobołami biegnę do samochodu. Muszę jeszcze podjechać do apteki po jakiś węgiel i elektrolity, bo jeśli Anka ma rację, to czeka mnie w domu niezły dramat.

I kiedy już siedzę za kierownicą, gotowa, by ruszać, kolejny raz dzwoni moja komórka. Jak gdyby interesant nie mógł chociaż minuty poczekać, bo dziecko mam chore!

– Słucham? – rzucam do słuchawki, wyłączając silnik.

– Cześć, Zuzanna, tutaj Ludmiła.

– Ach tak, Ludwik uprzedzał mnie, że masz coś ważnego – mówię jakoś tak bez entuzjazmu. A właściwie zupełnie bez niego. Jak ja tej mały nie lubię, to nie macie pojęcia!

– No właśnie, mam. Mogę wpaść dziś wieczorem?

Co?!

– Wiesz, Marcel nam się rozchorował i ... – Próbuję ratować sytuację. Pedantyczna siostra Ludwika wiodąca salonowe życie w stolicy potrzebna mi do zarzyganego dziecka jak... nie wiem co. Ale dużo mniej od tego.

– To mi wcale, a wcale nie przeszkadza, Zuzanno – wchodzi mi w słowo Ludmiła, która, jak zwykła powtarzać przy każdej możliwej okazji, zrobiła nie jeden kurs asertywności i nie jest w stanie ugiąć się pod żadnym naciskiem.

Wzdycham więc postawiona pod ścianą.

– No dobrze, w takim razie zapraszam – mówię zrezygnowana i zamiast najpierw do apteki, jadę pod cukiernię, żeby kupić jakieś ciasto. Nie wiem, kto posprząta dom i nawet nie chce mi się o tym myśleć. Jak tak, to pół roku potrafi siedzieć w tej Warszawce i mieć nas gdzieś, a jak nie potrzeba, to proszę, wielka przyjaciółka rodziny, wspaniała i charytatywna ciotka. Po prostu pięknie. Jednak

z rodziną, przynajmniej tą, ze strony męża, to najlepiej wychodzi się na zdjęciach!

– Co dla pani? – pyta uprzejmym głosem grubawa ekspedientka w cukierni.

– Poproszę to ciasto. Może być połowa tego, co tu leży na wystawie. – Wskazuję palcem pyszny serniczek, na którego widok napływa mi ślinka do ust. Boże! Jak ja dawno nie miałam czasu upiec ciasta!

– Jak sobie pani tylko życzy. Co, jacyś goście pewnie na ostatnią chwilę? – przerywa moje ambitne rozmyślenia sklepowa i zabiera się za krojenie serniczka.

– A żeby pani wiedziała – wzdycham na samą myśl o Ludmile, z którą żremy się już od dnia mojego ślubu z Ludwikiem, kiedy to mała nie zrujnowała mi wesela, bo rzuciłam w nią ślubną wiązanką. Podczas oczepin wzięłam nieco zbyt duży zamach, a ona napatoczyła się, stając centralnie za mną.

No ale powiedzcie sami, czy to moja wina, że ona sobie wtedy obrała tamto miejsce i dostała tym pękiem kwiatów pod oko tak, że potem z tydzień chodziła z zielonym? Gdyby była aktorką, to może i na dobre by jej to wyszło, a że z niej bizneswoman, to wszyscy musieli słuchać, ile to ona spotkań przeze mnie odwołała, bo jak się w takim wydaniu pokazać prezesostwu? No jak?

Mniejsza o to. Istotny jest tylko fakt, że od tamtej pory rasowa salonowa kotka patrzy na mnie i ostrzy pazurki. Zresztą z wzajemnością. Nie mam pojęcia, jak wyglądają teraz rankingi najbardziej agresywnych kotów, ale ona króluje na nich jak nic! Gdybym w dniu ślubu wiedziała, że właśnie w ten sposób będą układać się nasze dalsze relacje, rzuciłabym tym bukietem dwa razy mocniej. I to w dodatku tym razem specjalnie!

– Coś jeszcze? – odrywa mnie od tych bolesnych refleksji zatroskana sklepowa.

– Kilo świętego spokoju – uśmiecham się do niej razem ze swoim krzywym zgryzem, tylko po to, by zaraz ponownie wrócić do rzeczywistości. – Jeszcze może jakiegoś z masą. Niech pani mi coś poleci. To białe wygląda apetycznie. Z czym?

– A to, droga pani, jest taki nasz specjał. Migdałowe ciasto z masą kokosową i białą czekoladą. Drogie jak cholera, ale w całej okolicy ludzie sobie chwalą!

– A to poproszę.

– Tyle samo?

– No niech będzie, nie ma co oszczędzać na gościach, prawda? – Zwłaszcza takich, dodaję sobie w myślach i uśmiecham się do ekspedientki. Do wystawnych ciast z najlepszych cukierni, jakimi honoruje nas okazjonalnie Ludmiła, to one się nie umywają, ale co tam.

Bo u nas na prowincji...

– Trzydzieści trzy pięćdziesiąt. – Zerka na mnie ukradkiem ekspedientka.

– Proszę bardzo. – Podaję jej banknot, czekam na resztę i wychodzę ze sklepu wściekła do granic możliwości, co tylko dopełnia wielobarwną paletę emocji, która unosi się wokół mnie jak jakaś tęcza aura. Tyle wydawać na ciasto! Mogłabym kupić Marcelowi za te pieniądze w końcu nowe buty, bo ta jędza i tak tego ciasta nie uszanuje.

Ot same zalety Ludwikowej rodziny. Nie ma co!

Mogłam zawczasu brać jedynaka! Gdybym tylko nie była młoda, głupia, a przede wszystkim pijana, to... Cholera jasna! Kiedy jestem już prawie pod Jaszczurkami przypomina mi się, że z tego wszystkiego nie kupiłam leków dla Marcela.

– Spokojnie, Zuzanno. Spokojnie – mówię do siebie w myślach i staram się opanować oddech. Może Anka coś mi pożyczy, bo jak nic będę musiała wieczorem wysłać Ludwika do apteki. OBY! Bo brakuje mi dziś jeszcze tylko miana wyrodnej matki do kompletu. Nie dość, że rozchwiana emocjonalnie, to jeszcze agresywna. Co sobie o mnie w końcu ludzie pomyślą?!

– Cześć słoneczko, jak ty się czujesz? – Wpadam do domu Ani, który dzieli razem z mamą i padam na kolana przy kanapie, na której opatulony zielonym kocykiem leży i cierpi mój pierworodny. Mało nie płacze na jego widok, płynnie przechodząc od stanu złości do fazy bezdennej rozpacz.

– Gorączki ma 38 stopni i mówi, że mu niedobrze – Anka tłumaczy, stojąc w drzwiach z założonymi rękami.

– Musiał w przedszkolu złapać jakiś wirus ... – zza pleców Anki wygląda moja bledziuchna mamusia.

Wzdycham kolejny już raz, słysząc jej słowa. Tyle razy mówiłam Ludwikowi, żeby nie puszczać go jeszcze do tego prywatnego przedszkola, bo tylko będą z tego kłopoty i dzieciństwo się małemu odbiera, to masz. Niech teraz przykładowy tatuś bierze wolne i siedzi przy chorym dziecku, bo ja zwalniałam się ostatnio, kiedy panowała wszawica!

– Dałam mu już syropu na gorączkę, ale nic więcej nie mam.

Gotuję się cała w środku. No ładnie, od kogo ja teraz pożyczę leki?

– Dzięki, kochana – rzucam jednak Ance najbardziej ciepły uśmiech, na jaki mnie stać i biorę małego na ręce, kolejny raz dziękując w myślach za to, że mam to szczęście i mieszkam z rodziną niemalże dom w dom, dzięki czemu nie trzeba się najeździć.

– Daj znać wieczorem, jak mały się czuje – mówi jeszcze na odchodne moja siostra, gdy z półprzytomnym Marcelem wychodzę na zewnątrz i od razu oślepia mnie majowe słońce.

Nie mam pojęcia, jakim cudem udaje mi się otworzyć drzwi i nie przewrócić przez płaczącą się pod nogami Sarę, naszego domowego pieska rasy Yorkshire, ale docieram w końcu ze śpiącym już Marcelem na górę, do jego małego pokoiku, który mieści się zaraz przy naszej sypialni. Z dzieckiem na ręku odchyłam kołdrę i już chcę go położyć, kiedy na prześcieradle dostrzegam ogrom brązowych kulek psiej karmy równiutko powciskanych w dopiero co zmieniane prześcieradło. Chce mi się krzyknąć na ten widok, ale rzucam merdającemu ogonem psu tylko krwiożercze spojrzenie i zrezygnowana kładę Marcela do naszej sypialni. Z ciśnieniem zdecydowanie ponad górną granicą zabieram się za zbieranie kulek.

– Ja wiem, Sara, że ty uważasz, że my w nocy możemy być głodni, ale naprawdę niepotrzebnie przynosisz nam do łóżek swoje jedzonko – mówię do psa, zrzucając na czystą kartkę papieru śmierdzące jedzenie, które suczka zachomikowała sobie w pościeli Marcela na czarną godzinę.

Właściwie to może powinnam być z niej dumna, zamiast mieć pretensje? Chociaż pies myśli przyszłościowo i będąc świadomym tego, że mogą przyjść cięższe czasy, zakopuje sobie jedzenie. No dobrze, co prawda w takich warunkach jakie ma, ale zawsze?

Wzdycham kolejny raz, zaglądając jeszcze do śpiącego Marcela. To całe szaleństwo dnia powszedniego zaczyna rzucać mi się na mózg. Innego wytłumaczenia nie mam.

Schodząc na dół, potykam się jeszcze o beładnie rzucony samochodzik i zaczynam wypakowywać zakupy, zastanawiając się, o której też Ludwik raczy dziś wrócić do domu. Obrzucam też wzrokiem nasz salon, w którym, jak to w salonie, wala się masa zabawek Marcelka i ubrań Ludwika. Nie wyprze się chyba ten mój ślubny, że to jego syn, bo już w tym wieku nawyki ma takie jak ojciec!

Po wypakowaniu zakupów, biorę się więc za ten salon, klnąc w myślach niemiłosiernie, a potem ruszam z naręczem ubrań męża na górę, żeby wrzucić je do kosza do prania, gdy wyrывa mnie z zalewu złości dzwonek do drzwi. Rzucam więc pranie czym prędzej, żeby mi nikt nie obudził dziecka i pędzę w stronę przedpokoju. Otwieram w pośpiechu i oczom nie mogę uwierzyć. Na moim ganku stoi sąsiad w samej koszulce na krótki rękaw i zawiniętym wokół pasa ręczniku.

Że co proszę?!

Nie do końca wiem, co się dzieje i gdyby to nie dobrze znany pan Kaziu, to pewnie od razu

zatrzasnęłabym drzwi przerażona, że jakiś obcy nudysta chce mnie we własnym domu zgwałcić!

– Dzień dobry, panie Kaziu... – rzucam po chwili konsternacji, nie odrywając oczu od twarzy sąsiada i starając się za wszelką cenę nie spuszczać wzroku na to jego niecodzienne odzienie.

– Pani Zuzanno, jak mi pani nie pomoże, to chyba nikt! – Patrzy na mnie przerażony i kurczowo trzyma rąbek niewielkiego ręcznika, żeby broń Boże mu nie spadł.

– Stało się coś? – pytam natychmiast żywo zainteresowana, nie mogąc w żaden sposób zrationalizować sobie, dlaczego poczciwy pan Kaziu stoi w ręczniku przed moimi drzwiami. Wiem jednak jedno: na pewno nie jest to sytuacja bezpieczna, bo co by to było, gdyby Ludmiła przyjechała już i zastała mnie z półnagim facetem na ganku?! Nie dość, że Ludwik rozwiódłby się ze mną bez mrugnięcia okiem, to jeszcze byłby z tego jeden wielki skandal: miejscowa nauczycielka bez pruderii flirtuje z nieodzianym sąsiadem! Jak nic wyrzuciliby mnie z pracy. I to bez wyjaśnienia!

– Ubierałem się właśnie, gdy usłyszałem na podwórku pisk, a że mała – jego sześciolatka wnuczka, gwoli wyjaśnienia – bawiła się na dworze, to pierwsza myśl przez głowę mi przeszła, że coś jej się stało. Wybiegłem z domu, łapiąc z łazienki tylko ten ręcznik, a że, niech to szlag, drzwi teraz mamy zatraskowe to... No zostałem, w takim oto dość skąpym, można powiedzieć, wydaniu na dworze i muszę czekać, aż kobita mi z zakupów wróci. Pani poratowałyby mnie może chociaż jakimiś spodniami pana Ludwika, co? Chociaż chwilowo. Oczywiście oddam wyprane! A nawet zapłacę... Tylko, no, gotówki teraz przy sobie nie mam... – Pan Kaziu bezradnie spuszcza wzrok na swój ręcznik, a ja muszę mocno się wysilać, żeby nie podążyć za jego wzrokiem.

– Nie no, w takiej sytuacji, to pewnie – odpowiadam więc temu mojemu wyjątkowo dziś rozgadanemu sąsiadowi, który widać z tych nerwów dostał prawdziwego słowotoku. – Może pan wejdzie, co? – pytam, rozglądając się dookoła, aby upewnić się, czy nikt nas nie obserwuje z ukrycia. Jeszcze by mi tego brakowało, żeby ktoś Ludwikowi doniósł, że się puszczam na boku, skoro się nie puszczam.

– A nie, dziękuję, poczekam tu. I tak za krzakami musiałem się skradać, żeby do pani dotrzeć, nie będę robił kłopotu. Chodzi tylko, o to...

– Tak, tak – przerywam mu, nie bardzo chcąc wiedzieć, o co jeszcze może mu chodzić i odwracam się do schodów, na których leży porozrzucane pranie Ludwika.

Chwytam pierwsze lepsze krótkie spodenki i wręczam je wdzięcznemu panu Kaziowi, który wciąga je na siebie, a potem rzuca się na mnie i wylewnie dziękuje.

Kiedy udaje mi się w końcu pożegnać nader wdzięcznego nudystę, zamykam w końcu drzwi i chcę wyprzeć ten widok z pamięci. Zaczynam śmiać się wniebogłose. Co jak co, ale tego to jeszcze Jaszczurki nie widziały, żeby chłop po wsi w samym ręczniku chodził!

Śmiejąc się pod nosem, zaczęłam ponownie segregować pranie. Upchnęłam do pralki to, co dało się upchnąć, po czym zajrzałam do Marcela, który nadal spał w najlepsze. Dotknęłam czule jego rozpalonej główki i otuliłam kocykiem pod samą szyję, bo zdążył się już spod niego wykopać. Widok jego zaróżowionych policzków i czerwonych usteczek rozczula mnie bez reszty, gdy znowu rozlega się dzwonek do drzwi.

Jeśli to jeszcze raz pan Kazio, to gwarantuję, że...

– Dzień dobry. Dziękuję pani, pani kochana! – gdy tylko otwieram drzwi, rzuca się na mnie od progu żona pana Kazia i ogarnia mnie swoimi chudymi ramionami. Jej kwiecista chusta zsuwa się z włosów, odsłaniając przede mną pierwsze oznaki starości. Zaskoczona chcę wyswobodzić się z jej uścisku, lecz ta zaczyna wylewnie całować mnie w oba policzki i ani myśli puścić.

– Ale... – udaje mi się wymamrotać, gdy kobieta w końcu wypuszcza mnie z ramion.

– Gdyby nie pani, to ten mój po wsi w ręczniku by chodził. Taki wstyd, pani, taki wstyd. Ale sama

pani wie, jak to jest, chłopca samego w domu zostawić. Gdyby nie pani, to bylibyśmy już na językach wszystkich, bo jak od pani zdążył wrócić, to paszę nam przywieźli i trzeba było wyjść do ludzi i ją rozpakować. Pani sobie wyobraża, jakby go kto tak zobaczył?! Sznur na szyję tylko...

– Pani Cecyljo... – Spróbowałam zachować powagę, choć, jak Boga kocham, okazało się to wyjątkowo trudne, bo wspomnienie sytuacji z panem Kaziem po prostu mimowolnie unosiło kąciki moich ust.

– Ja wiem, ja wiem. Pani z dobrego serca to zrobiła, dlatego bigosu własnej roboty pani dwa słoiki przyniosłam – wyciągnęła w moją stronę przezroczystą siateczkę. – Tyle co nic, ale wdzięczność wyrazić chciałam. Proszę bardzo, na zdrowie i smacznego. Jeszcze raz Bóg zapłać! – krzyknęła i machając mi wyjątkowo energicznie, ruszyła naszym podjazdem w stronę drogi.

Zostałam więc sama w progu z dwoma słoikami bigosu wepchniętymi w ręce i patrzyłam, jak żona pana Kazia oddalała się, nie dając mi nawet podziękować i...

A tam! Niektórych ludzkich zachowań zwykły, prosty człowieku nie zrozumiesz. Nauczona doświadczeniem, że w pewnych sytuacjach lepiej nawet się nie starać, zamknęłam drzwi, bigos wsadziłam do lodówki i zabrałam się za zmywanie naczyń zalegających w zlewie, zastanawiając się, co ja podam, jeśli Ludmiła zażyczy sobie zjeść z nami kolację. Bo przecież nie bigos, który mógłby zhańbić jej wymalowane na czerwono usta. Z pewnością pociągnie je szminką za tak horrendalną sumę pieniędzy, że ja mogłabym przeżyć spokojnie pół miesiąca razem z rodziną i to na całkiem przyzwoitym poziomie!

Ale nie myślcie sobie, że ja jestem o ten dobrobyt Ludmiły zazdrosna! Mnie tylko nerwica bierze, kiedy słyszę te jej ochy i achy, i jaka to ona nie jest we wszystkim najlepsza!

Rozdział 3

– Cześć, kochana! – Ucałowała mnie stanowczo za bardzo wyperfumowana Ludmiła, gdy udało jej się w końcu dotrzeć na naszą prowincję, czego nie omieszkała oznajmić wszem i wobec, a może i napisali o tym gdzieś już w jakiejś gazecie, cholera wie. Nie wiem, w czym ona się kąpała, ale gdy tylko stanęła przede mną, jej zapach uderzył mnie tak mocno, że zakręciło mi się w głowie.

– Zapraszam do środka, zapraszam – odpowiedziałam jej, łapiąc równowagę i siląc się na uśmiech, otworzyłam szerzej drzwi, żeby ona i jej rozbuchane ego mogły swobodnie zmieścić się razem w przejściu.

– Sama jesteś? – zdziwiła się, kiedy usadziłam ją w salonie. Jej długie blond włosy związane były w elegancki koczek z tyłu głowy, a ubrana była w białe spodnie i zwiewną koszulę.

– Jest jeszcze Marcel.

Ludmiła wyciągnęła papierosa z paczki, teatralnie wkładając go do swoich wymalowanych ust.

– U nas w domu się nie pali. – Posłałam jej chłodne spojrzenie.

– Tak? A to czemu? – zdziwiła się, niewinnie składając te swoje wampirze usta.

– Bo mamy małe dziecko, jakbyś zdążyła zapomnieć.

– Ale tak wcale? Nikt? – Ludmiła zrobiła wielkie oczy, a ja dałam sobie w myślach medal za to, że udało mi się ją do tego stanu doprowadzić.

– Nikt. Dlatego jeśli chcesz palić to proszę, wyjdź na zewnątrz – odpowiedziałam nieugięta, posyłając jej tym razem nie chłodne, ale wręcz lodowate spojrzenie.

– Nie no... aż tak mnie, prawda, nie ciągnie... – zaczęła się jąkać, a moje poczucie własnej wartości wywinęło salto, a może nawet i aksla.

– Nikotyna jest szkodliwa, więc może i dobrze – spojrzałam na nią z triumfem, nie mogąc odmówić sobie tej drobnej przyjemności. – Co chciałabyś do picia?

– Espresso z pianką. A nie, wróć! Kawę. Zwykłą, bo ty pewnie nie masz ekspresu – uśmiechnęła się do mnie soczyście, a we mnie aż się zagotowało. Cała Ludmiła! A Ludwika jak nie było, tak nie ma i będę musiała stawić jej czoło sama. O ironio. Ta ich rodzina to wpędzi mnie do grobu jeszcze przed trzydziestką!

I gdy już miałam zaparzyć jej tę kawę, na domiar złego rozdzwoniła się moja komórka.

– Słucham – krzyknęłam poirytowana.

– Administracja?

– Kto? – zdziwiłam się, kątem oka zerkając na rozglądającą się po salonie Ludmiłę.

– Administracja?

– Nie, nauczycielka. Pomyłka. – Rozłączyłam się natychmiast i gotując się w środku, zaparzyłam goszczącej u mnie gwieździe kawę. Jaka znów administracja?

– To co cię do nas sprowadza? – zapytałam uprzejmie, stawiając przed Ludmiłą filiżankę z czarną, aromatyczną esencją.

– Trzeba co jakiś czas odwiedzić rodzinę.

No jakoś trudno było mi w to uwierzyć, naprawdę!

– To bardzo miło z twojej strony. – Uśmiechnęłam się jadownicie.

– A Ludwika nie będzie?

– Ma dziś męski wieczór. U nas na prowincji czasem dobrze jest się gdzieś wyrwać – wytłumaczyłam, chociaż Ludwika to wypadałoby raczej uwiązać.

– No pewnie, no pewnie. Słuchaj, kochana, bo właściwie to miałabym do ciebie taką maleńką próbkę... – Upiła elegancko łyk kawy i zakładając nogę na nogę, odchyliła się do tyłu na naszej kanapie.

Nikt jej nie powiedział nigdy, że od takiego siedzenia mogą zrobić się żylaki?

– Słucham – wymamrotałam, dając sobie w myślach kolejny medal. Miałam rację, twierdząc, że cudów nie ma i Ludmiła pozostała sobą, to znaczy wredną i złośliwą jędzą. No wiem, nie powinnam obrażać siostry męża, ale po prostu tej francy nie znoszę!

– Zastanawiam się, czy nie moglibyście przyjąć na wakacje mojej Kaśki do siebie.

Jak Boga kocham, mało nie wyplułam kawy na biały obrus.

– Że co?!

– Bo wiesz, ona zdawała maturę, zaczęła wakacje i nie mam z nią w Warszawie co zrobić. Jest jakaś aspołeczna. Zamiast wychodzić ze znajomymi, żebym nie musiała się nią zajmować, to siedzi tylko i czyta.

Jak dla mnie złote dziecko, ale co ja się tam znam...

– Nie za bardzo rozumiem. Chcesz, żeby zamieszkała u nas, jak ty to uwielbiasz podkreślać, na prowincji? W wakacje? Przecież to hańba... Nie. Nie mogę do tego dopuścić. – Mrugnęłam głupio rzęsami, doprowadzając Ludmiłę do szewskiej pasji.

– To tylko cztery miesiące, potem pójdzie na studia.

– Jak ty to sobie wyobrażasz, Ludmiła? Co ja miałabym z nią tu robić...

– A czy ty musisz koniecznie z nią coś robić? Niech ona sobie całe dni czyta, ale na świeżym, wiejskim powietrzu, a nie zamknięta w klitce w bloku.

– No ten twój apartament to żadna klita nie jest i nie rozumiem, dlaczego tu by jej miało być lepiej niż w domu! – uniosłam głos, a mój telefon, jak na złość w takim momencie, rozdzwonił się kolejny raz.

– Słucham?

– Halo? Administracja?

– Nie! – niemalże krzyknęłam i odrzuciłam komórkę na blat w kuchni, opierając się o niego na wyprostowanych rękach i wbijając wzrok w Ludmiłę.

Niby dlaczego miałabym przygarniać na tyle czasu jej dziecko? Nie mogłaby na kolonie jej wysłać? Poza tym, duża jest, to chyba nie trzeba jej czasu organizować, a ja teraz może będę miała swoich problemów dwa razy tyle. O, co to to nie. Zresztą ja tę jej Kaśkę może ze trzy razy w życiu widziałam przy okazji ślubów czy pogrzebów, więc więzi rodzinne mamy co najmniej nikłe!

– Rozmawiałam już z Ludwikiem – przerwała mój strumień frustracji wymalowana gwiazda. – I on wstępnie się zgodził.

– Słucham? – wrzasnęłam. Ja tego faceta po prostu zabiję, niech tylko wróci do domu! – Nie do końca rozumiem, bo powinien takie rzeczy konsultować ze mną, nie uważasz? W końcu to ja będę miała na głowie dodatkową osobę, a nie on!

– Ja zawsze mówiłam, że powinien ożenić się z osobą, która dorównuje mu ogładą i ilorazem inteligencji – Ludmiła zadarła nos i spojrzała na mnie z prowokacją.

– Wyobraź sobie, że prędzej to Ludwik musi mi dorównywać, bo na moje dobre maniery nikt jeszcze nie narzekał, a tym stwierdzeniem sprawiłaś, że moja odpowiedź brzmi: zdecydowane i kategoryczne NIE!

Ludmiła zaczęła w odpowiedzi pakować swoje rzeczy, gdy na jej nieszczęście zszedł z góry zaspany Marcel, który, gdy tylko dostrzegł ciocię, cały zielony rzucił jej się na powitanie. Nie zdążyłam, choć jak Boga kocham, chciałam, ostrzec jej, że Marcel ma najpewniej grypę żołądkową

i lepiej, żeby się do siebie nie zbliżali, bo rozdzwonił się mój telefon.

– Słucham?

– Administracja? – rozległo się ponowne głupie pytanie.

– A co? – jęknęłam poirytowana.

– Pani, u mnie się leje woda z sedesu. Dołem wycieka, mam już dużą kałużę w łazience. Przyjdźcie natychmiast, bo się boję, że mi mieszkanie i sąsiadów zaleje!

Westchnęłam. Z nauczycielki zostałam zdegradowana na wiejskiego hydraulika. No awans społeczny to to nie jest, trzeba przyznać, ale człowiekowi wypadałoby pomóc. Chociaż dlatego, żeby więcej nie dzwonił.

– Musi pan zakręcić zaworek przy dopływie wody, wybrać wodę z muszli i wytrzeć podłogę – powiedziałam wspaniałomyślnie, głośno wzdychając. Może to coś pomoże, skąd mi to wiedzieć. Wytarcie podłogi na pewno, chociaż sąsiadów nie zaleje, nie?

– A kiedy ktoś od was przyjedzie?

– W przeciągu trzech godzin ktoś powinien się zgłosić – skłamałam, żeby mieć spokój i rozłączyłam się dokładnie w momencie, w którym biały jak ściana Marcel zaczął wymiotować na spodnie Ludmiły.

– Matko kochana! – Rzuciłam się ku dziecku.

– No matko, no matko! – darła się wniebogłosy Ludmiła, ze łzami w oczach patrząc na swoje, nie najlepiej prezentujące się spodnie, na których malowała się potężna, kolorowa plama w odcieniach zgniłych zieleni i beżów.

– Chodź do łazienki kochanie, umyjemy buzię, a mamusia zaraz tu posprząta. – Złapałam rozpalonego Marcela na ręce i wyniosłam go do łazienki, pozostawiając Ludmiłę i jej jęki w salonie.

– Jak chcesz, to dam ci coś do przebrania, a spodnie zaraz zapiorę. – Zlitowałam się nad nią, kiedy Marcel był już czysty i doprowadzony do stanu używalności, a przede wszystkim ułożony na moim widoku w pakiecie z wielką miską. Tak na wszelki wypadek.

– Będę wdzięczna. – poddała się tamta i ze łzami w oczach zdjęła spodnie, prezentując białe, koronkowe majtki, o jakich każda kobieta mogłaby marzyć, a na które mnie w życiu nie byłoby stać.

Przyniosłam więc z sypialni jedne z moich ciasniejszych spodenek i wrzuciłam jej białe jeansy do pralki, na krótkie pranie. Ludmiła wspaniałomyślnie zgodziła się poczekać, aż się upiorą i będzie mogła chociaż je ze sobą zabrać. Kosztowały bowiem co najmniej pół mojej wypłaty i nie chciałyby mi ich zostawiać, co oczywiście powtórzyła z pięć razy!

– Może zjesz z nami kolację? – zapytałam, kiedy spodnie wirowały w pralce.

Ludmiła stała z miną męczennicy i założonymi rękami w salonie, a za oknami powoli zaczynał zapadać zmierzch, zabierając w końcu to niemiłosiernie palące słońce chociaż na jakiś czas.

– Chyba nie mam wyjścia. Nie wrócę przecież za dnia... w tym... – Spojrzała z obrzydzeniem na spodenki. – Co masz na tę kolację?

– Bigos – odpowiedziałam urażona. Te moje spodenki wcale nie były takie najgorsze! Wypraszam sobie.

– Niech będzie i bigos. – Ludmiła zrezygnowana opadła, tym razem na fotel, bo tapicerka kanapy, którą też musiałam ratować, była cała mokra.

Kątem oka spojrzałam na jej ubolewającą twarz i chyba, o losie, nie wierzę, zrobiło mi się jej szkoda. Niedobrze.

Bigos pani Cecylii przydał się na kolację i muszę powiedzieć, że był naprawdę jednym z lepszych, jakie zdarzyło mi się w życiu zjeść, co potwierdził też zdziwiony na widok Ludmiły siedzącej w moich spodniach Ludwik po powrocie do domu.

Ku mojej wielkiej uldze i on poinformował swoją siostrę, że chyba musiał coś źle zrozumieć, bo niestety, ale u nas Kasią po prostu nie będzie się miał kto zajmować i już.

Zmęczona pobytem na prowincji Ludmiła pokiwała w końcu głową i pojechała do domu. Marcelowi zostały zaaplikowane stosowne leki, które mój ślubny kupił w drodze do domu, a my z Ludwikiem, po uprzednim ustaleniu, że to on bierze jutro chorobowe i zostaje z małym, poszliśmy w końcu spać. Tym razem o tej samej porze, przyznaję, chociaż mój mąż tylko odwrócił się do mnie plecami i zasnął. Ot, tyle między nami romantyzmu. Chyba naprawdę muszę pomyśleć nad tym, co mówiła mi na temat walki o marzenia Matylda i zacząć wdrażać w życie plan odzyskiwania swojego męża.

Tylko już może od jutra...

Rozdział 4

Budzenie się w poniedziałek po kilkakrotnym wstawaniu w nocy do chorego dziecka wcale nie jest czymś przyjemnym, zwłaszcza gdy śnicie o pięknej, sielskiej krainie, w której nie ma żadnych wrednych, wypacykowanych żołąd, pracy i nieustannych wymiotów, co prawda, niczemu winnego Marcela. Nie mam pojęcia, ile czasu starałam się dobudzić, gdy budzik wył uciążliwie, powtarzając tę swoją melodię, ale za nic w świecie nie mogłam zmobilizować się do odrzucenia kołdry i stawienia czoła rzeczywistości. Dopiero równie zmęczony jak ja Ludwik wypchnął mnie w końcu z łóżka siłą i udało mi się wstać.

Powłócząc nogami, dotarłam w końcu na dół, ubrałam się w pełni, a nawet zrobiłam coś na podobieństwo szybkiego makijażu i nalałam sobie pełną filiżaneczkę kawy. Sącząc aromatyczny napój przy kuchennym stole i patrząc za okno podpuchniętymi oczami, dziękowałam w myślach za to, że nie muszę dojeżdżać do pracy jak mój mąż, ale spaceruję do niej niecałe pięć minut, ponieważ szkoła znajduje się naprzeciwko naszego domu.

No dobrze, pomijam fakt, że właśnie z tego powodu dałam się na pierwszej radzie w tym roku zrobić w całoroczny dyżur na korytarzu od 7.30, kiedy to do szkoły przyjeżdżają pierwsze dzieci z sąsiednich wsi, do 8.00, kiedy to wybrzmiewa pierwszy dzwonek na lekcje i całe towarzystwo rozpierzcha się do klas. Dzięki temu nie muszę dyżurować na każdej przerwie przez jeden dzień w tygodniu, na czym właściwie wychodzę bardzo, ale to bardzo korzystnie, bo nie muszę zabierać na dół niesamowicie dzikiej grupy szesnastu indywidualistów, która w tym roku mi się trafiła, a raczej została siłą zapisana do mojego Oddziału Przedszkolnego przez pełnych bólu, rozdartych emocjonalnie rodziców.

– Cześć, Zuzka! – kiedy tylko przekroczyłam próg szkoły, pomachała do mnie energicznie Beatka, z którą zwykłam dyżurować. Była woźną w naszej szkole i przyjaźniłyśmy się odkąd tylko zaczęłam tu pracować. – Jakoś niewyraźnie wyglądasz. Mam w torebce Rutinoscorbin, chcesz? – zażartowała na mój widok.

– Nic nie mów – spojrzałam na nią z wyrzutem. – Mały jest chory, całą noc przy nim siedzieliśmy – odpowiedziałam jej z uśmiechem, a raczej jego cieniem, bo w tej sytuacji nie wypada się śmiać.

– Wirusówka?

– Niestety. Całą noc zwracał i miał wysoką gorączkę. Ludwik zabierze go dziś do lekarza.

– A, to głupia, trzeba było wziąć wolne i z dzieckiem zostać, a nie do pracy przychodzić.

Dyrektorka na pewno bez problemu dałaby ci wolne!

– Wolnego nigdy za wiele, a może jeszcze się przyda. Tym razem wykorzystałam Ludwika, niech trochę pobawi się w pielęgniarską. Jak trzeba, to nigdy go nie ma. Niech teraz odpokutuje te wszystkie spędzone z kolegami wieczory.

– Coś w tym jest. Chłopy do roboty – odparła Beatka, unosząc w uśmiechu pomarszczoną już skórę twarzy. Jej krótko ostrzyżone włosy zakołysały się przy tym zabawnie. – Więc mówisz, że wzięłaś do siebie słowa tej trenerki personalnej?

– Tak. Chyba tak – pokiwałam głową. – Może była nieco zwariowana, ale jest sporo prawdy w tym, że powinnam zmienić fakt, że niedługo mój mąż nie będzie odróżniał mnie od lodówki.

– Masz już jakiś plan?

– Zaczę klasycznie.

– To znaczy? – Zainteresowała się Beata.

– Pojadę na zakupy i kupię jakąś drogą bieliznę, a potem oddeleguję dziecko do mamy i zorganizuję nam przyjemny wieczór. Nic lepszego nie przychodzi mi dzisiaj do głowy. A jak to nie podziała, to wymyślę coś innego. Nie wiem. Zacznę zamykać go w domu na klucz albo coś w tym stylu.

– Zaproponowałabym ci, że pojadę z tobą, ale po naszej ostatniej wspólnej podróży to chyba wolę nie.

Tym razem to ja się głośno roześmiałam.

– Masz rację. Szkoda lusterek.

Beata spojrzała na mnie z ukosa.

– A mi się wydaje raczej, że drzwi. Nie jest ci żal tamtej kobiety? Naprawdę?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie. Sama była sobie winna. Kto normalny zostawia otwarte na połowę drogi drzwi i wychodzi rozmawiać przez telefon? Głupich się żałować nie powinno. A jak twój wczorajszy dzień? – zapytałam, chcąc zmienić temat i oparłam się o grzejnik, który ratował nas zimą tyłki, kiedy w całym budynku było zimno jak diabli, a wiosną i latem służył za nasz punkt obserwacyjny.

– Wywiozłam w końcu Iżę na studia, tydzień siedziała w domu i uczyła się na koła, bo sesja jej się zbliża. Teraz to pewnie wróci dopiero w czerwcu, jak wszystko sobie pozalicza – odpowiedziała mi Beata.

– *À propos* studiów, nie uwierzysz! Przyjechała do nas wczoraj siostra Ludwika z propozycją, że zostawi nam na cztery miesiące swoją Kasię, bo nie ma co dziewczyna ze sobą w wakacje po maturze robić. Masz pojęcie?

– Oczywiście się nie zgodziłaś? Jeszcze by ci tego brakowało, żeby sobie dokładać problemów.

– No pewnie, że się nie zgodziłam! – energicznie potrząsnęłam głową. – Jak to zwykła mawiać Ludmiła: byłam nader asertywna i pokazałam jej drzwi zaraz po tym, jak Marcel obrzygał jej spodnie.

– No nie wierzę! – Beata zrobiła wielkie oczy. Znała Ludmiłę jeszcze z czasów młodości i wyobrażenie jej w zarzyganych spodniach musiało rozbawić ją tak samo jak mnie.

– Uwierz, uwierz. Zaprałam je jej od razu, bo znając ją, to jeszcze rachunek z pralni by mi przysłała i może trzeba by było kredyt brać, żeby zapłacić! – Zaśmiałam się, gdy próg szkoły przekroczyła bibliotekarka.

Wymieniłyśmy z Beatką porozumiewawcze spojrzenia. Z naszej Leny była znana na całą okolicę hipochondryczka. Cierpiała na wszystkie możliwe schorzenia, tak samo jak cała jej rodzina, a nawet niespokrewnieni znajomi, i cały czas była umierająca. Na domiar złego jej dzieci to równie znani w okolicy geniusze (choć tylko w jej mniemaniu), którym Nobel to należy się już teraz, choć nie wyskoczyły jeszcze ponad poziom liceum. I to, nie zgadniecie, ale za samą chęć egzystencji na tym ciężkim, ziemskim padole. Jest się czym chwalić, prawda? Oj tak! Lenka nie odmawiała sobie tej przyjemności przy każdej możliwej okazji, a nawet i bez niej.

– Cześć, dziewczyny – powiedziała typowym dla siebie słabiutkim głosem i podeszła do nas, zdejmując przy tym wściekle amarantową kurtkę.

– Cześć – odparłyśmy, uśmiechając się do siebie pod nosem, gdy teatralnie odrzuciła do tyłu rękę. Musiało zakręcić jej się w głowie. Aha. Znałyśmy to za dobrze i obu nam zaczynała już działać na nerwy.

Co tam, zaczynała! Wkurzała nas i irytowała od kilku lat!

– Tak się dziś słabo czuję. Zjadłam chyba całe pudełko Ketonalu przed wyjściem, bo mam migrenę po prostu nie do zniesienia – poruszyła swój ulubiony temat, pocierając głowę. – Ale wiecie, taka

jestem dumna z mojej córki, bo nie dość, że zapisała się na dodatkowy francuski i hiszpański, to jeszcze na łacinę!

– I kiedy ona znajdzie na to wszystko czas, co? – Pochyliła się do niej Beata, której teksty Leny, dotyczące geniuszu jej dzieci zdecydowanie za bardzo działały na nerwy.

– Ano z książek nie wychodzi, to trzeba przyznać – westchnęła ciężko Lena. – Ale wiecie, nawet na wakacje nigdzie nie pojedzie, bo zamówiłam jej ostatnio kodeksy karne, żeby mogła już uczyć się na studia.

– Matko kochana, jakie studia, skoro ona dopiero jest w pierwszej liceum? – Beata nie wytrzymała, a ja musiałam mocno nad sobą panować, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Ja wiem Beatko, że twoje dzieci to żyją z chwili na chwilę, ale moja córusia jest taka mądra, że już myśli o przyszłości. Wiadomo, że nauczy się teraz, to później będzie miała lżej...

– Jeszcze się te kodeksy dziesięć razy do tego czasu zmienią!

– Oj, Beata, ale ty jesteś naiwna. Wszystko się w nich przecież nie zmieni, a poprawek nauczy się na bieżąco, to zawsze będzie mniej, prawda? Tylko tych Włoch szkoda, bo w tej sytuacji nie może jechać.

A ja się pytam, jakich, choroba, Włoch, skoro ona żyła tylko z bibliotekarskiej pensji, a jej mąż był średnio zarabiającym pracownikiem firmy budowlanej?!

– Bo wiecie... – ciągnęła Lena – pieniądze ze stypendium sobie przez cały rok odkładała, żeby trochę świat pozwiedzać, ale no, musi się uczyć, żeby sobie nie narobić zaległości. Wakacje, nie wakacje, ale ci, co chcą coś w życiu osiągnąć, to się jednak muszą uczyć.

– No tak... – Pokiwałam głową, bardziej z politowaniem niż ze zrozumieniem, czego na szczęście zakłamana Lena nie rozróżniła.

– Dobra dziewczyny, idę. Jeszcze zrobię sobie jakąś herbatkę przed dyżurem w bibliotece, a wy tu dalej gadajcie, bo tak mnie ta głowa boli... i na żołądku jakoś mi tak źle.

– To może ty masz to, co Zuzki Marcel? Wiesz, jakiegoś rotawirusa złapał.

– A nie, na pewno nie. Migrena to ciężka przypadłość. Ale pójdę już, pójdę... – jęknęła Lena i z opuszczoną głową powędrowała do pokoju nauczycielskiego.

– No ja ją kiedyś gdzieś utopię – szepnęła mi na ucho Beatka, trącając w ramię.

– Nie powinnaś. Ona ma tyle swoich nieszczęść, że nie powinnaś jej dokładać – odcięłam się z ironią, mając świadomość, jaka jestem w tym momencie wredna, no ale... jak Boga kocham, nikt mi bardziej ciśnienia nie podnosił niż ta kobieta i jej świat skąpany tylko w czarnych barwach!

– Dobrze, że te dzieci geniusze ma, bo inaczej to naprawdę tylko sznur na szyję... – Beata zaśmiała się, kiwając głową na dzień dobry właśnie wchodzącym do szkoły dyrektorce i katechetce.

– No co, trzeba już dzwonić – spojrzałam na zegarek, na którym była za minutę ósma i powędrowałam do szatni, żeby dać znać dzieciakom, że już czas zajęć, po czym zebrałam swoją grupę i ruszyliśmy do kolorowej klasy mieszczącej się na poddaszu.

– Dzień dobry – zagadnęła mnie jeszcze na schodach pięcioletnia Alicja i wsunęła rączkę w moją dłoń.

– Cześć, Alicja – odpowiedziałam jej z uśmiechem.

– A wie pani, że nam wczoraj ukradli psa?

– Ojeju, to musi być ci smutno z tego powodu, co?

– No, było nam smutno. Tata to nawet przeklinał, mogę pani powiedzieć jak!

– Nie kochanie, nie można powtarzać takich brzydkich słów. Mówiłam ci już kiedyś, że to bardzo nieładnie.

– No wiem, mama też tak mówi. – Dziewczynka zasępiła się. – Ale wieczorem nam psa oddali,

więc nie musimy się już martwić, a tatuś nie musi przeklinać, wie pani?

– A, to nie ma co się smucić, skoro pies wrócił. – Potrząsnęłam pocieszająco jej małą, pulchną rączką.

– On nie wrócił proszę pani! Jego nam przyniósł robotnik, co teraz u nas pracuje, bo zabrał go dla okupu, żeby tatuś piwo mu kupił i wtedy nam odda.

– I co, twój tatuś kupił to piwo temu panu?

– Ja nie wiem proszę pani, nie interesuję się alkoholem, ale podejrzewam, że tak – odpowiedziała wesoło dziewczynka, puściła moją dłoń i pobiegła do klasy w podskokach. Jej dwie brązowe kiteczki kołysały się, a falbaniasta sukienka wirowała w pędzie.

Zaśmiałam się sama do siebie. Powinnam być chyba dumna, że moi pięcioletni wychowankowie nie interesują się jeszcze alkoholem!

Gdy tylko weszłam do klasy, od razu uderzył mnie zapach świeżo malowanej farby. Musiał pozostać po tym, jak w zeszłym tygodniu razem z Beatką malowałyśmy na jednej ze ścian scenę z Czerwonego Kapturka. Dzieciaki siedziały już w maleńkich, zielonych ławeczkach, a raczej zabierały się do tego, żeby właśnie się w nich usadowić.

– Proszę pani, mogę usiąść z Łukaszem? – Flegmatyczny Bartek podszedł do mnie i wbił we mnie pytający wzrok.

Spojrzałam kontrolnie na Łukasza, który zdążył już wyciągnąć jedną z kanapek, jak to miał w zwyczaju, i zaczynał dzień od obfitego drugiego śniadania. Sadzanie ich razem nie było dobrym pomysłem, bo stanowili duet iście z piekła rodem, ale co mi tam! Raz niech sobie usiądą.

– Tylko grzecznie! – odpowiedziałam Bartkowi i wyjęłam z torby dziennik, żeby zawczasu uzupełnić zaległe tematy, których zdążyło mi się już sporo nazbierać. Dzieciaki, jak co dzień, rozpierzchły się między zabawkami, wśród których od kilku lat niezmiennie wiodły prym wielkie skajowe klocki.

– Ej, Łukasz, a ty masz dziewczynę? – zagadnął jedzącego Łukasza Bartosz. – Bo ja mam i ona ma dwa domy, wiesz? W jednym to nawet byłem!

– Ja też mam dziewczynę! – wtrącił się do dyskusji siedzący obok malutki Kacperek, któremu niezwykle trudno było się rano dobudzić.

– O, a jak ona ma na imię? – podchwycił temat Łukasz.

– Nie pamiętam, ale jest już nastolatką, chodzi do trzeciej klasy! – odpowiedział dumnie Kacper.

– A ty, Łukasz, masz tę dziewczynę czy nie? – drążył temat Bartek, niemalże leżąc już na zielonej ławeczce.

– Pewnie nie ma, skoro nie chce się przyznać! – zawtórował mu Kacperek.

– Na co mi dziewczyna? Ja mam kanapkę! – Łukasz uciał ich dociekania i zrobił kolejnego gryza, zaginając tym samym kolegę.

Zaśmiałam się kolejny raz.

Tak to właśnie na tym świecie jest, że jedni wybierają miłość, a inni zaspokajanie swoich potrzeb fizjologicznych. Coś w tym musi być, bo jak ja jestem głodna, to też nie mam ochoty na żadne miłości. Mądrość ludowa przez te moje dzieciaki od samego rana przemawia, to trzeba przyznać.

– Chłopaki, do zabawy! – Ponagliłam ich, kiedy udało mi się w końcu opanować śmiech. – Jak chcecie w ławkach siedzieć, to zaraz wam dam do pisania jakieś szlaczki.

– Spokojnie, spokojnie. Już idziemy – kiwnął do mnie głową Kacperek i pociągnął Bartka do szafek z ciągnikami, a ja, rzeczywiście jakaś taka spokojniejsza, wróciłam do wypełniania dziennika, w którym to z przerażeniem odkryłam, że ostatni temat mam wpisany dziesiątego kwietnia, podczas gdy była już połowa maja!

Na uzupełnianiu dziennika zleciał mi prawie cały dzień, pomijając oczywiście wspólne zabawy, naukę nowej piosenki oraz połowę zajęć lekcyjnych spędzonych na wygłupach na placu zabaw. Zmęczona i głodna wracałam do domu, gdy pomachała mi spod płotu pani Cecylia opierająca się o kosiarkę do trawy.

– I jak, pani Celu, drzwi więcej się nie zatrzaśkiwały? – zagadnęłam ją i podeszłam do płotu, gdy słońce paliło moje zaczerwienione już lekko ramiona i odkryte łydki.

– Ano nie, ale Kazik uparł się, że i tak je wymieni, żeby drugi raz się takiego wstydu najeść nie musiał. I tak się biedak boi pani teraz na oczy pokazać, a pomyśleć, że mogło być gorzej.

– Niech mu pani ode mnie przekaże, że ludzka rzecz i nie ma się czego obawiać. – Uśmiechnęłam się do pani Celi, mrużąc oczy, gdy mój wzrok padł na idącą chodnikiem dziewczynę z walizką. Zdecydowanie za bardzo rzucała się w oczy i odstawała od reszty młodzieży zamieszkującej Jaszczurki.

– Zagraniczna jaka, co? – Pani Cecylia machnęła w jej stronę głową. – Ciekawe do kogo, bo od razu widać, że nietutejsza.

Nie sposób było nie zgodzić się z panią Celinką, gdy dziewczyna ubrana w czarną sukienkę, obrozę z ćwiekami na szyi i nadgarstkach, a do tego przeraźliwie wysokie szpilki ścięte w szpic spacerowała, rozglądając się po wsi, jak gdyby czegoś szukała. Ciągnęła za sobą wielką walizkę, która niemalże pękała w szwach. Rozpuszczone bujne, błyszczące w słońcu blond włosy miały jej się po twarzy, którą praktycznie w całości zasłaniały wielkie, czarne okulary, a sylwetki mogłyby zazdrościć jej nawet rasowe modelki.

– A bo ja wiem. Wakacje się zbliżają, to może do kogoś przyjechała w gościnę – odpowiedziałam w końcu pani Cecylii, nie odrywając wzroku od idącej w naszą stronę, jak to moja sąsiadka określiła, zagranicznej. Krótka sukienka wirowała na wietrze do tego stopnia, że dziewczyna musiała podtrzymywać ją ręką, żeby nie zacząć świecić bielizną.

– A zmieniając temat, kochaniutka, truskawki nam na polu w tym roku tak obrodziły, że robić z nimi nie ma co, bo ludzie wiadomo, kupią trochę, ale nie co dzień. Dopiero początek sezonu, a my już ich sprzedać nie możemy i na krzakach nam schnąć zaczynają. Może wzięłaby pani trochę na kompoty i dzemy, co? Na jutro by mogło być, ile sobie tylko zażyczysz – zaproponowała pani Cecylia, nachylając się do mnie z uśmiechem.

– Teraz mały mi trochę choruje, więc nie da rady... Ale jakby pani te truskawki jakoś pod koniec tygodnia miała, to chętnie wezmę na przetwory, bo po co później w sklepie kupować dzemy i soki, jak swoje pod nosem.

– Och, jak ja się cieszę kochaniutka, kamień z serca! – Pani Cecylia zaklasnęła w dłonie i od razu się rozweseliła. – Ja powiem chłopu, niech pani do domu podrzuci, bo jak Marcelek chory, to fatygować nie będę. Ale nic poważnego, mam nadzieję?

– Nie, nie. Zwyczajny wirus żołądkowy. Podejrzewam, że za trzy dni mu przejdzie, ale Ludwik i tak do lekarza musiał go zabrać, bo wiadomo, mały to się odvodnić może lada chwila i później jeszcze o szpital by się otarł.

– Ano, kochana, trzeba, trzeba. Ja pamiętam, jak moje dzieciaki małe były, to też zawsze się człowiek trząsał, żeby tylko jak najszybciej przeszło, bo strach! – pani Cecylia przejęła się chorobą Marcela nie na żarty. – Ale patrzy pani – szturchnęła mnie nagle w ramię – ta zagraniczna to jakby w naszą stronę idzie!

Rzeczywiście, dziewczyna przeszła na pasach i trzymając w ręce kawałek papieru, ruszyła w naszą stronę. Do kogo ona może iść? Taka laska w Jaszczurkach? Świat chyba na głowie staje. Te jej buty to musiały moją całą miesięczną pensję kosztować, jak nie więcej. Czyżby ktoś

w Jaszczurkach nagle się wzbogacił, a mi nic by o tym nie było wiadomo?

– Może ona do sklepowej idzie, co? – Sąsiadka nachyliła się do mnie konspiracyjnie. Musiałyśmy wyglądać w tamtym momencie jak rasowe, wiejskie plotkary, które tylko czekają, żeby zwęszyć lokalny dramacik i rozsiać plotki czym prędzej po wsi.

– Może i tak – przytaknęłam, nie odrywając wzroku od dziewczyny, która im bliżej była, tym bardziej zaczynała mi kogoś przypominać. Tylko kogo?

– No, bo kto inny we wsi by tyle kasy miał co ona?

– Matko kochana! – Olśniło mnie nagle i od razu zrobiło mi się słabo, gdy uświadomiłam sobie, że dziewczyna idzie do nikogo innego, jak właśnie do nas.

– Stało się coś? – rzuciła się do mnie pani Cela.

– Nie, nie. Tak mi się tylko coś przypomniało. Muszę lecieć, pani Cecyljo – machnęłam do niej pośpiesznie ręką i ruszyłam do swojej bramy. – A o truskawkach proszę pamiętać, chętnie wezmę, skoro państwo mają w nadmiarze. – Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością, bo dobrze wiedziałam, że wcale im się nie przelewa i każdy grosz w tej sytuacji może się przydać. A jak się nadarza okazja, to czemu nie pomóc najbliższym sąsiadom?

– Bóg zapłać, Zuzanka, Bóg ci zapłać! – krzyczała za mną pani Cela, gdy ja rwałam przed siebie, modląc się w duchu, żebym nie miała racji i dziewczyna okazała się kimś innym, niż w moim najgorszym koszmarze.

Wpadłam do domu, rzuciłam torbę na półkę i krzycząc głośno:

– Już jestem! – Rzuciłam się do okna i zaczęłam patrzeć, jak zagraniczna staje przed naszym domem i zerka to na kartkę, to na nasze podwórko. Czyli jednak...

– Ludwiiiiiiiik! – wydarłam się ile sił, a mój mąż zbiegł na dół jak poparzony, mówiąc ściszym głosem, żebym się zamknęła, bo Marcelek zdążył dopiero zasnąć i dziecko obudzę.

– Przepraszam, przepraszam – zaczęłam machać do niego ręką, by podszedł do okna. – Chodź i zobacz – szepnęłam do niego niemalże tak samo konspiracyjnie, jak pani Cecylia do mnie dosłownie przed chwilą.

– No masz ci los... – wymamrotał Ludwik, gdy dziewczyna ruszyła podjazdem w stronę naszego ganku. – A to wredna baba! Już ja jej dam! – uniósł głos, żeby zaraz się jednak opamiętać, przypominając sobie o śpiącym na górze Marcelu.

– Co robimy? – Spojrzałam bezradnie w jego oczy, w których malowała się czysta złość.

– Zabiję ją. Czy ta baba nie rozumie, co to znaczy nie?

– Widocznie nie... – szepnęłam niemalże bezgłośnie, bo rozległ się głośny dzwonek do drzwi. – No co tak stoisz? – ponagliłam Ludwika. – Otwórz jej, bo dziecko zaraz tym dzwonieniem obudzi.

– Może by udawać, że nas nie ma? – Spojrzał na mnie mój ślubny.

– Ludwik! – prychnęłam na niego. – Są przecież jakieś granice przyzwoitości, a skoro Ludmiła ich nie ma, chociaż my nie róbmy sobie obciachu i zachowajmy się w tej sytuacji jak porządni ludzie!

Mój mąż spojrzał na mnie, wiedząc, że mam rację i ze spuszczoną głową mężnie pomaszzerował do drzwi, by otworzyć stojącej na ganku dziewczynie.

– Cześć – wyjąkała bezradnie i zdjęła przeciwsłoneczne okulary, gdy ujrzała naszą dwójkę stojącą na progu. – Jestem Kasia. Mama mówiła, że macie dla mnie pokój.

– Co? – Zdumieni popatrzeliśmy na siebie. Czyżby Ludmiła miała problemy ze słuchem?!

– No, Kasia, ta od Ludmiły. Podobno zgodziliście się, żeby matka wywiozła mnie do tej głuszy na wakacje. Wsadziła mnie rano w autobus i jestem. – Wzruszyła ramionami. Widocznie była tak samo rozentuzjasmowana tym całym pomysłem jak i my.

Popatrzeliśmy po sobie raz jeszcze. No co, trzeba było siostrzenicę marnotrawną wpuścić do

środku. Chciała czy nie, trudno. Przecież ona sama raczej nic nie winna, że jej matka ma nierówno pod sufitem.

– Wejdz, Kasia, wejdz – Ludwik zaprosił ją w końcu do środka. – A ja zadzwonię do twojej matki, bo widocznie się nie zrozumieliśmy – dodał i się wycofał.

– Może wujek nie dzwonić – powiedziała cicho, choć zdecydowanie. – Bo ona już dawno jest za granicą. Tylko ze mną nie miała co zrobić i musiała mnie komuś podrzucić, bo dziecko raczej nie sprzyja szybkim awansom. Odciąga od pracy. Czaicie?

– Ale jak to? – Spojrzeliśmy na nią przerażeni. – I co teraz?

– Projekt jakiś dostała, kupę kasy ma na nim trzaskać, a dziecko świeżo po odwyku tylko kulą u nogi, co nie?

Jakim, ja się pytam, odwyku?! Narkomankę mam do domu przyjąć?! Tak na poważnie?!

– Nie, nie! – Kasia dostrzegła przerażenie w naszych oczach. – Od pół roku jestem czysta, spoko. Skończyłam z tym głównem.

Odetchnęliśmy ciężko, zastanawiając się, czy jej wierzyć, no ale co było robić? Zaprosiliśmy Kasię do salonu. Ludwik zaniósł jej torbę na górę do przedpokoju, przenocuje tam dziś na kanapie, a jutro zastanowimy się razem, co dalej. Ja natomiast zabrałam się za obiad z nosem zwieszonym na kwintę. Jak gdyby to człowiek miał mało własnych problemów!

– Narkomanka? – szepnął do mnie Ludwik, niby to biorąc szklankę z szafki. – Jak się dyrekcja dowie, to na zbity pysk mnie wywali. Nikt nie będzie nawet słuchał moich tłumaczeń.

– Od zawsze mówiłam, że ta Ludmiła to wredna i podstępna żmija. Wiadomo było, że wreszcie coś takiego wywinie, małpa jedna. Może chciała się w ten sposób zemścić, za te zarzygane spodnie?

– Za spodnie? – Ludwik spojrzał na mnie zdezorientowany.

– Drogie były, co się dziwisz. Idź do tej dziewczyny i pogadaj. Trzeba się z wrogiem zbratać.

– Jakim wrogiem? – Zrobił wielkie oczy.

– Naszym, a jakim? – syknęłam w jego stronę.

Ludwik popatrzył na mnie jakoś tak tępo, aż w końcu się poddałam. Wytarłam ręce w leżącą na białej ściereczkę i poczłapałam za nim do salonu, gdzie rozsiadła się Kasia.

– No więc tak... – zaczął rozmowę, siadając obok mnie na kanapie.

Kasia odchrząknęła głośno, zerkając to na niego, to na mnie. Starła się pewnie podciągnąć nas pod schemat wiejskiego małżeństwa albo i jeszcze czegoś innego.

– Na długo twoja mama cię do nas przysłała? – Postanowiłam odciążyć Ludwika i wzięłam spytki na siebie.

– Na całe wakacje. Mam wrócić do naszego mieszkania dopiero na studia, bo matka je wynajęła.

– Tak... – Mój ślubny zasepił się, tępo patrząc na stół, a raczej leżący na nim haftowany obrus i okazałych rozmiarów wazon z kwiatami.

– Masz już jakieś plany? Chciałabyś robić u nas coś szczególnego?

– Lubię czytać książki.

– No tak... – Ludwik westchnął kolejny raz, a ja tym razem nie wytrzymałam i posłałam mu lodowate spojrzenie.

– To wspaniale! – Uśmiechnęłam się natomiast do Kasi i zapanowała między nami niezręczna chwila ciszy. Chyba wszystkim nam trudno było odnaleźć się w tej nowej sytuacji.

– Mogę już iść? – Dziewczyna kręcąc się niespokojnie, przerwała milczenie.

– Tak, tak! – Pokiwał głową Ludwik, którego widać cała ta sytuacja przyprawiła o jakiś dziwnego pochodzenia mutyzm!

– Na górę? – Kasia niepewnie spojrzała w stronę schodów.

– Ludwik cię zaprowadzi. – Popatrzyłam z uśmiechem na męża, który mógłby się w końcu do czegoś przydać, a nie siedzieć jak kołek.

– Tak... – mruknął.

Ja sama natomiast, bijąc się z myślami, poszłam do łazienki wyjąć pranie, żeby wywiesić je na dworze i odciąć się na chwilę od narkotycznej Kasi.

– A miało być tak pięknie – westchnęłam, wieszając ubrania na sznurkach.

Nie wiem, jak ja mam teraz uwieść tego swojego męża. No po prostu nie wiem, bo finalnie nie pojechałam tego dnia na żadne zakupy po żadną bieliznę i nie urządziłam żadnego romantycznego wieczoru.

Wydaje mi się zresztą, że w obecnej sytuacji nie będzie to raczej możliwe zbyt prędko...

Rozdział 5

Następnego dnia wpadłam jednak na nowy genialny pomysł odzyskania swojego ślubnego i postanowiłam wprowadzić go w życie, oczywiście pomysł, nie ślubnego, pomimo przyjazdu Kasi. Siedząc w pracy, myślałam zawzięcie i po kilkudziesięciominutowej debacie z Beatką, podczas której dzieci bezkarnie bawiły się na placu zabaw, udało mi się w końcu coś wymyślić. A mianowicie, uwaga: wpadłam na podróż sentymentalną! Jak nie mogłam sypialnią, postanowiłam zagrać wspomnieniami. Może to podziałałoby bardziej na kobietę, niż faceta, ale trudno. Żeby nie wyjść przed siostrzenicą Ludwika na jakąś seksoholiczkę dobre i tyle, a mój ślubny nie jest znów takim wielkim twardzielem, jakiego stara się zgrywać. W końcu kiedyś było nam razem całkiem dobrze. Może, jeśli uda mi się mu o tym przypomnieć, to znowu tak będzie?

Postanowiłam zaryzykować.

Zabrałam się za przygotowania do tej podróży zaraz po powrocie z pracy, a zaczęłam oczywiście od zrobienia się na bóstwo. Może nie wyciągnęłam z szafy najlepszej sukienki, bo było mi jej najzwyczajniej w świecie szkoda na takie wyjście, ale trochę się podmalowałam i ubranie też założyłam lepsze, niż to codzienne. I w takim właśnie prawie odświeżonym stanie zastała mnie Anka.

– O, Zuzka! – rzuciła, zamykając za sobą wejściowe drzwi. – Przyniosłam ci ten blender, który mi pożyczałaś. Jurek kupił mi własny. Powiedział, że całe życie nie mogę latać do ciebie przez płot i pora się w końcu ustatkować. Tym bardziej, że to ja jestem tą starszą siostrą – trajkotała, ale kiedy mnie w końcu zobaczyła, gwałtownie zatrzymała się w miejscu i prawie zamarła. – Wow. Nieźle wyglądasz. Stało się coś? – zapytała, lustrując mnie wzrokiem.

– A musiało się zaraz coś stać? Normalnie się przecież ubrałam... – bąknęłam, przechodząc do kuchni, jakbym została właśnie przyłapana na jakimś gorącym uczynku. – Chcesz coś do picia?

– Herbatę, dzięki – odpowiedziała, siadając przy stole i opierając łokcie o blat, znowu wbiła we mnie spojrzenie. – No to dokąd się tak wystroiłaś? – nie dała za wygraną i przez chwilę obie milczałyśmy.

– No dobra, powiem ci... – poddałam się w końcu i postawiwszy przed nią ciepłą herbatę, opowiedziałam jej o szalonym spotkaniu autorskim Matyldy i tym, co sobie po nim postanowiłam.

– No pięknie, pięknie... – Ania zamyśliła się, kiedy skończyłam mówić. – Ale dlaczego nie mówiłaś wcześniej, że między wami jest źle? Przecież wzięłabym do siebie Marcela, żebyście mogli gdzieś razem wyjechać i...

– Oj, Anka – weszłam jej w słowo. – Tragedii przecież nie ma. Ludwik jest mi wierny, zarabia, to wspaniały ojciec. Marcel wpatruje się w niego jak w obrazek... A to, że woli swoich kolegów ode mnie, to też przecież nie taki znowu wielki grzech. Smutno mi się po prostu nagle zrobiło, że już nie jest tak jak kiedyś.

– Znowu zaczynasz go usprawiedliwiać.

Spojrzałam na Ankę spod rzęs.

– No dobra, może trochę – przyznałam w końcu. – Niedługo to mnie nawet przestanie pytać, czy może z tymi swoimi kumplami wyjść i zupełnie mi do domu przestanie wracać. A wszystko na mojej głowie. Nie będę narzekać, że jestem zmęczona, bo nie w tym rzecz, ale chciałabym znowu mieć w tych wszystkich domowych obowiązkach wsparcie swojego męża. A zamiast tego – ściszyłam głos – mam jeszcze na głowie tę całą Kaśkę.

– No właśnie, co z nią? – Anka natychmiast podłapała temat.

Wzruszyłam ramionami, wymownie patrząc do góry.

– Nie wiem. Odkąd przyjechała, to siedzi tylko u góry i czyta. Muszę o tym porozmawiać z Ludwikiem. Tylko nie mieliśmy jeszcze kiedy, bo ciągle go nie ma.

Anka rozumnie pokiwała głową.

– No dobra, to jaki jest plan? – zapytała, upijając łyk ciepłej herbaty. – Bo jeśli chodzi o Marcela, to ja chętnie go wezmę do siebie. Mój Pawełek nie będzie mi chociaż marudził, że nie ma się z kim bawić.

Obdarzyłam Anię promiennym uśmiechem.

– Zabiorę go nad jezioro, wiesz, to pod miasteczkiem, gdzie przesiedzieliśmy prawie cały dzień, kiedy pierwszy raz tu do mnie przyjechał. Było nam wtedy tak miło... – rozmarzyłam się. – Siedzieliśmy sobie na pomoście, trzymaliśmy się za ręce, patrzyliśmy w oczy, a nasze twarze owiewał chłodny wiatr. Wieczorem wyciągnęliśmy z bagażnika samochodu ciepły koc i położyliśmy się na nim, żeby popatrzeć w gwiazdy. I właśnie wtedy, kiedy jedna z nich spadła, pierwszy raz mi powiedział, że mnie kocha.

– Jeju, jakie to romantyczne... – wyrwało się Ance.

– Prawda? Więc mam nadzieję, że on też to sobie przypomni i zacznie spędzać ze mną więcej czasu.

– Ale kto i co sobie przypomni? – usłyszałam nagle za plecami głos swojego ślubnego.

– Och, nikt, nikt. – Natychmiast oderwałam się od tych bajecznych wspomnień i wróciłam do rzeczywistości. – Jak w pracy?

– Wszystko okej. – Ludwik niezainteresowany rozmową podszedł do blatu i nalał sobie herbaty, w odpowiedzi na co teatralnie wywróciłam oczami.

– To może ja już pójdę. – Ania podniosła się. – I zabiorę ze sobą Marcela. Jeszcze raz dzięki za blender – rzuciła tylko i już jej nie było.

Ja tymczasem powoli podeszłam do mojego ślubnego i przymilnie przytuliłam się do jego ramienia.

– Ludwik? – zapytałam, słodkim głosikiem. – A może tak byśmy się wybrali gdzieś tylko we dwoje?

Słyszając tę propozycję, mój ślubny o mało włos nie zakrzusił się herbatą.

– Nie możesz sama jechać na zakupy? Weź jakąś koleżankę – mruknął wspaniałomyślnie, a we mnie omal się nie zagotowało. Postanowiłam jednak grać niewzruszoną.

– Ale ja nie mówię o zakupach, tylko jakiejś wycieczce dla relaksu. Też na pewno jesteś zmęczony.

Spojrzał na mnie, jakby zaczynając rozumieć, o co mi chodzi.

– To może lepiej włączymy sobie w salonie telewizor i razem pooglądamy? Będą dzisiaj powtarzać wczorajszy mecz – zaproponował, a we mnie tym razem już chyba zawrzało.

– Ale ja bym chciała tak romantycznie... – Zrobiłam smutną minę. – I na świeżym powietrzu. Mecz możesz sobie później obejrzyć z chłopakami. Na pewno któryś ci nagrał.

– Nie jest dzisiaj za ciepło. I mży.

– To możemy skoczyć do jakiejś restauracji.

– A nie możesz sama czegoś ugotować? I tak w tym miesiącu ledwo przedziemy. Musisz koniecznie na takie głupoty wydawać pieniądze?

– Ludwik... – zamruczałam mu do ucha bliska szewskiej pasji i coraz bardziej żądna czyjejś krwi.

– Ale Zuzka...

– Tak dawno nigdzie razem nie byliśmy. Nie tęskno ci za jakimś wspólnym wieczorem?

– O, właśnie dobrze, że o tym wspominasz, bo muszę dzisiaj wieczorem wyjść i pewnie wrócę dopiero rano, żeby się przebrać przed pracą. – Ożywił się nagle mój ślubny, ale próżno mi było robić sobie nadzieję, że to z mojego powodu. – Piotrek załatwił nam wejście na teren jakiejś byłej bazy wojskowej. To będzie taka żyła złota, Zuzka, mówię ci! – Zaczął się ekscytować, czym zupełnie przelał czarę mojej goryczy.

– Co?! – odsunęłam się od niego jak poparzona.

– Czy ty wiesz, co tam można będzie znaleźć?! Przecież ja nie byłem na takim wyjeździe od dobrych kilku miesięcy i...

– Po moim trupie! – wypaliłam, tracąc nagle cały dobry nastrój.

– Ale jak to? – Ludwik spojrzał na mnie wielkimi oczami.

– Tak to. Nigdzie nie jedziesz i tyle. Nie masz dla mnie czasu już od dobrych kilku miesięcy, bo tylko ciągle ci w głowie koledzy, a ja piorę, sprzątam, gotuję, pracuję i całymi dniami siedzę z naszym dzieckiem! Jeśli nie masz czasu, żeby wyjść ze mną sam na sam, to proszę bardzo, wyjdę dziś sobie wieczorem z przyjaciółką, a ty zostaniesz z Marcelem. Trzeba też ułożyć całe naręczce leżącego w garderobie prania. Odbierzesz małego od mamy, uśpiś i będziesz miał na to czas!

Mój ślubny patrzył na mnie, jakbym mu nagle zabrała jakąś ulubioną zabawkę.

– Ale Zuzka... Nie możesz...

– Nie? To popatrz! – wrzasnęłam i złapałam leżącą na blacie torebkę, a potem śmiało ruszyłam do drzwi.

Ludwik natychmiast pobiegł za mną i złapał mnie za rękę.

– Ale Zuzka! – krzyknął rozpaczliwie. – Wiesz, jak mi na tym zależy!

– A mi to nie zależy na tym, żeby gdzieś z kimś wyjść?! To ja ciągle siedzę w domu.

Pod wpływem tych słów z mojego ślubnego zeszło nagle całe powietrze.

– No dobrze. – Poddał się w końcu i puścił moją rękę. – To dokąd chciałaś iść na ten romantyczny spacer? – zapytał chyba najbardziej markotnie, jak tylko się da.

– Nad jezioro pod miastem. Ale przeszła mi już cała ochota. – Patrząc na niego, wydełam wargi.

Na jego twarzy znowu mignął cień przerażenia, w wyniku czego złapał mnie w ramiona i lekko do siebie przyciągnął.

– A teraz? – szepnął mi do ucha, przesuwając dłońmi po moich plecach. – Lepiej? – Musnął wargami moją szyję.

Muszę przyznać, że mimo tego, że była to tylko próba sił zakrawająca nawet o szantaż emocjonalny, zrobiło mi się całkiem przyjemnie.

– Trochę – mruknęłam, zaplatając ręce na jego szyi.

Uśmiechnął się i pocałował mnie w usta.

– A teraz? – zapytał, lekko się ode mnie odsuwając.

Zaśmiałam się.

– No dobrze, teraz jestem przekonana. – Postanowiłam ustąpić, chociaż milion razy bardziej wolałabym, żeby zrobił to z własnej woli, a nie próbując tym samym coś ugrać. Tak dawno jednak nigdzie razem nie byliśmy, że postanowiłam zupełnie zignorować fakt, jak do tego wyjścia doszło i po prostu się nim cieszyć.

– To co, jedziemy? – zaproponował ciepłym głosem mój mąż, w odpowiedzi na co pokiwałam głową i pojechaliśmy. Właściwie, to ostatnio zdążyłam już chyba zapomnieć, że on potrafi być taki miły i czarujący. Nawet, jeśli było to wymuszone.

No dobrze, może tylko mógłby podczas tego naszego wyjazdu trochę mniej narzekać, że to daleko i mogliśmy iść na spacer do pobliskiego parku, że wiatr na pomoście jest stanowczo za zimny i oboje

nabawimy się zaraz zapalenia płuc, a o siadaniu na deskach to nie było nawet mowy, bo w naszym wieku to trzeba uważać, żeby nie zaziębić sobie nerek albo korzonków. Wszystko to nie miało jednak dla mnie znaczenia, bo kiedy tak staliśmy sobie, patrząc na jezioro, wysilił się nawet, żeby mnie przytulić i wcale nie musiałam tego na nim wymuszać.

– A pamiętasz, Ludwik, że tutaj pierwszy raz powiedziałeś mi, że mnie kochasz? – zapytałam, wtulając się mocniej w jego ciepłe ramiona.

Pokiwał głową.

– Aha. Leżeliśmy sobie wtedy pod gwiazdami i jedna z nich spadła. Jak mógłbym nie pamiętać? – Uśmiechnął się, przez co kąciaki moich ust też drgnęły ku górze, a potem spojrzał na zegarek i czar tej romantycznej chwili prysnął dokładnie tak, jak w bajce o Kopciuszku, kiedy wybiła północ. – Tylko wiesz, Zuzka, może powinniśmy już jechać, co? – zapytał, zerkając na mnie niepewnie. – Mam być u Piotrka punkt dziewiętnasta, bo to jednak kawał drogi jest do tej bazy, a nie chciałbym się spóźnić.

No i co miała robić? Spojrzałam na niego z politowaniem i ze spuszczoną głową pomaszerowałam do auta.

– Proszę. – Zdobył się na miły gest i otworzył przede mną drzwi.

– Dzięki... – bąknęłam i wsiałam do środka.

Podczas drogi powrotnej udało nam się jeszcze porozmawiać o całej tej naszej Kasi oraz podjąć stosowne decyzje związane z jej wizytą.

Wróciliśmy do domu tuż przed kolacją i, tak jak Ludwik przewidział, zastaliśmy wiecznie czytającą Kasię, tym razem ubraną w inną, choć też czarną sukienkę, leżącą na kanapie w pokoju na górze, który udało nam się dla niej zaadaptować.

– Może chcesz pogadać? – zagadnęłam ją, stawiając na stoliku przy kanapie półmisek z obranymi jabłkami, pełna chęci, żeby choć trochę się zintegrować.

Dziewczyna spojrzała na mnie co najmniej tak, jakbym była zielona, odłożyła książkę i usiadła, wpatrując się we mnie wielkimi, wymalowane na czarno oczami. Była bardzo ładna, a ten cały makijaż na wampa jedynie ją szpecił. Miałam już skomentować ten fakt, ale ugryzłam się w język. No bo właściwie kim ja jestem, żeby ją pouczać? A taki początek znajomości nie wskazywałby na nic dobrego!

– Znaczą... – wymamrotała w końcu i pochyliła się do przodu. – Chcecie mnie wyrzucić, tak?

Przyznam, że zrobiło mi się jej trochę żal, kiedy zrobiła smutną minę. No bo co ona była winna, że ma niedojrzałą emocjonalnie, rąbniętą matkę, która woli karierę niż dziecko? Jedno wielkie nic!

– Nie, nie o to mi ... – zawahałam się. – Jeśli chodzi o kwestię mieszkania, to ustaliliśmy z Ludwikiem, że możesz u nas zostać, skoro wszyscy zostaliśmy postawieni w niezręcznej sytuacji. Do końca wakacji, tak?

Pokiwała głową.

– Matka ma wrócić pod koniec września.

– Aha... To znaczy, że chcesz u nas do tej pory mieszkać?

Kasia wzruszyła ramionami.

– Mnie się o zdanie nikt nie pytał. Matka dała mi wasz adres i wsadziła w autobus. Co miałam robić? Lepsze to, niż dworzec, nie?

– A wasze mieszkanie? Mówiłaś, że masz tam wrócić we wrześniu.

– Matka nie chciała mnie tam zostawiać samej i wynajęła je jakiejś parze na wakacje. Płacą kupę kasy, to co miałam dyskutować. Mi go wynająć nie chciała!

– A nie masz tam jakichś innych krewnych w Warszawie?

– Pewnie, że mam. Ale matka z nikim z nich nie gada, bo już wszystkich zdążyła do siebie zrazić.

Wy mieszkacie daleko to i wyżyć się na was nie miała kiedy.

Uhu, no tego to bym nie powiedziała. Sama jej obecność robiła za wyżywanie się, o to nie ma się nawet co sprzeczać! No, ale do rzeczy...

– Wiesz... no bo pomyślałam, że skoro masz z nami mieszkać, to może powinniśmy się jakoś zaprzyjaźnić...

– Znaczący... – Kasia popatrzyła na mnie. – Wy sobie życie, spoko, ja nie będę przeszkadzać. Tylko hasło do internetu moglibyście mi podać, żeby mogła e-booki ściągać i spoko, nie będę wam zawadzać.

– Jeśli chodzi o internet, to oczywiście hasło mogę ci podać, ale wątpię, żeby udało ci się coś pobrać – westchnęłam, nie chcąc rozczarowywać jej już na starcie. Ale skoro sama zapytała...

– A co, macie jakieś limity? Ja się mogę dorzucić, naprawdę, matka dała mi trochę kasy.

– Nie, nie o to chodzi... – Podrapałam się po głowie. Jak miałam powiedzieć jej, że mieszkamy w jakimś sieciowym dołku i głupia piosenka ściąga się u nas dwie godziny?!

– To o co?

– Po prostu mamy słabą prędkość, żeby nie powiedzieć, że tragiczną.

– I nawet e-book się nie ściągnie, serio? – Kasia się wyprostowała.

– Bardzo mi przykro, ale wątpię. Życie na wsi jednak różni się od życia w mieście.

– Niech to szlag. Zesłanie normalnie. Już chyba bym wolała obóz dla uchodźców, serio. – Dziewczyna naburmuszyła się i opadła do tyłu na kanapę, zakładając ramię na ramię, wyrażając tym samym swoją frustrację.

– Ale bibliotekę tu mamy w szkole, całkiem sporą. Nie wypożyczałam stamtąd książek, ale możesz zajrzeć i pogrzebać – zaproponowałam wspaniałomyślnie, chcąc złagodzić sytuację.

– Gdzie i kiedy? – rzuciła chłodno, choć jej oczy błysnęły.

– Nawet jutro, to w szkole podstawowej, w której pracuję. – Uśmiechnęłam się łagodnie.

– No spoko. Chociaż tyle – mruknęła pod nosem i zapanowała między nami cisza. Po kilku minutach milczenia postanowiłam dłużej nie zakłócać jej czarnej prywatności i powoli podniosłam się z kanapy.

– Zejdiesz na kolację? Robię dziś kaczkę z jabłkami, podobno pycha! – zdobyłam się na entuzjazm.

– Nie jem mięsa – rzuciła mi chłodno i włożyła do uszu słuchawki. Nawet z odległości kilku kroków słyszałam, że nie jest miłośniczką lekkich rytmów.

No cóż. Westchnęłam kolejny raz. Chociaż próbowałam. Ale lekko nie będzie, oj nie będzie!

Zrezygnowana poszłam na dół do salonu, w którym przygotowany do wyjazdu Ludwik układał z Marcelem puzzle.

– I co? – zapytał, widząc moją nietęgą minę i podniósł się z podłogi.

– No co, dobił ją fakt, że nie mamy internetu.

– Ach, tak – westchnął.

– A do tego jest wegetarianką, więc kolacji nie zje – obwieściłam i smutno pomaszero wałam do kuchni. To by było tyle, jeśli chodzi o znak pokoju i pojednanie. I zaprzestanie sypiania samej też, bo Ludwik zaraz po naszej rozmowie zabrał cały swój sprzęt i pojechał w swoją dal. Pocięczałam się jednak, że chociaż spędziliśmy razem romantyczne popołudnie.

O tym, jak do niego doszło, oczywiście starałam się zapomnieć. Nie ma co dodatkowo się upokarzać. Życie i tak jest okrutne.

Rozdział 6

– Kilo mąki tortowej jeszcze poproszę – powiedziałam do sprzedawczynie w niebieskim fartuszk, która wybijała na kasie kolejno jajka, cukier i wodę.

Wybrałam się na zakupy tuż po pracy, w której dzieciaki wyjątkowo mocno mnie wymęczyły. Głównie za sprawą tego, że Adaś ściągnął spodnie i majtki na placu zabaw i zaczął sikać na inne dzieci, żeby je trochę ochłodzić. A potem za nic w świecie nie chciał dać założyć na siebie tych rzeczy, bo w ubraniach zdecydowanie było mu za gorąco. Podobno widział w telewizji, jak straż pożarna polewała wodą jakichś rozgrzanych ludzi i sam chciał pobawić się w strażaka.

Sprawa skończyła się telefonem do mamy małego złoczyńcy, która na szczęście mieszka w sąsiedniej wsi i dysponowała samochodem, żeby po rozrabiakę od razu przyjechać. Przy okazji wylewnie mnie przeprosiła za karygodne zachowanie dziecka i zagwarantowała, że już nigdy się to nie powtórzy, w co naturalnie ciężko było mi uwierzyć. Adaś to bowiem tak wielki łobuziak, że momentami najzwyczajniej w świecie nie mam do niego już siły.

– Jakies ciasto się szykuje? – zapytała sprzedawczynie, nie podnosząc wzroku znad kasy fiskalnej. Było dzisiaj wyjątkowo gorące popołudnie (o ironio, dlaczego nie mogło tak być właśnie wczoraj!), a pot ciekł po naszych czołach jak szalony.

– Mam coś tam zamiar upiec. Właściwie to nie wiem sama jeszcze jakie – odpowiedziałam jej bez zastanowienia, wkładając mąkę do torebki, w której miałam już resztę zakupów.

– No tak, skoro taką gromadę teraz wykarmia, to i ciasta napiec musi więcej. Słyszałam, że ta z sekty, zagraniczna to u was mieszka, co? – zapytała, biorąc się pod boki i wlepiła we mnie świdrujące spojrzenie.

– Ano mieszka, ale że ona do jakiejś sekty należy, to wybaczy pani, ale ja nic o tym nie wiem. – Popatrzyłam na nią nieco oszołomiona.

– Ale pani naiwna! Czarna jak noc, sama widziałam, a te ćwieki? Tylko patrzeć, jak naszą młodzież zaczną na tę swoją wiarę nawracać! A tu tak spokojnie było... No i pani szkoda. – Spojrzała na mnie z politowaniem.

– Nie rozumiem.

– No jak wieś się wkurzy, to pani żyć nie dadzą. Pewnie niedługo tutaj pomieszkacie, jak ona po wsi zaczną chodzić z jakąś biblią szatana i nawracać. A tu młodzież podatna. Strach się bać, ja pani mówię. Strach się bać – westchnęła przeraźliwie.

– Pani Halino, no co pani gada. Gdzie ona może być z sekty, jak z rodziny wierzącej pochodzi.

– Wierzącej albo i niewierzącej, ja tam swoje wiem. Mówię pani, że jeszcze przez nią będą kłopoty, a wtedy wszyscy popamiętają. Wspomni pani moje słowa, oj wspomni... Coś jeszcze?

– Dżem wiśniowy proszę. – Poddałam się, nie chcąc wyprowadzać z błędu nieomyślnej sprzedawczynie, która z pewnością wiedziała lepiej, kogo pod swój dach przyjąłam, a tym bardziej posiadała rozległą wiedzę o subkulturach młodzieżowych, nie tak, jak ja, zwykły, biedny pedagog szkolny.

– Czterdzieści pięćdziesiąt będzie – podliczyła wszystko sprzedawczynie. – A na odchodne powiem pani, niech pani wywiezie ją stąd póki czas! – dorzuciła na koniec, a ja postanowiłam wyjść ze sklepu jak najszybciej, bo nie uśmiechało mi się robić sobie we wsi wrogów.

– Pogadają, pogadają i przestaną. Tak jest, było i będzie – uspokajałam się w myślach, wracając do domu, do którego niestety prędko nie doszłam, bo po drodze zaczepiły mnie, w tej samej sprawie

co sklepowa, jeszcze dwie przerażone kobiety, a na koniec moja własna matka zaciągnęła mnie z zakupami do siebie do domu na kawę i posadziła za stołem.

– Słuchaj, Zuzka, no tak nie może być – rzuciła bezceremonialnie, wzdychając przy tym słabiutko.
– Takich rzeczy o tej twojej zagranicznej się dowiaduję, że to strach się bać, a ty ją pod dach przyjęłaś. Czy ty wiesz, jaki ona może mieć wpływ na Marcelka? Pomyślałaś o tym? Ja tu będę zaraz umierać, a ty nieszczęście sobie na głowę sprowadzasz. – Matka zrobiła zmartwioną, teatralną minę i niczym omdlewająca panna opadła na stołek stojący naprzeciwko mnie.

– Ale mammo... – jęknęłam.

– Jakie „mamo”. Toć to trzeba dziecko ratować, póki czas, Zuzka! – zaczęła lamentować, pochylając się coraz bardziej, gotowa w obronie wnuka nawet się popłakać. – Skoro mam niedługo umierać, to wołałabym w spokoju, a nie mając siedlisko szataństwa pod nosem.

– A co tu tak głośno? – Ania weszła do maminej kuchni ze swoją czteromiesięczną Zosieńką na rękach.

– Mama się zamartwia, że Kasia zgorszenie i zarazę pod dach mi przyniosła. Zresztą tak samo, jak i pół wsi – wytłumaczyłam, wstając od stołu, żeby zabrać jej z rąk maleństwo. Skoro znowu była w ciąży, to nie powinna się teraz za bardzo przemęczać.

– No, teraz ciotka trochę cię ponosi, bo starej matce niedługo ręce będą się po ziemi ciągnąć! – ucieszyła się Anka i dała mi małą na ręce. Od razu zostałam opluta.

– My się ładnie ponosimy, a ty zrób mamie jakichś ziółek na uspokojenie, bo gotowa zawału dostać z tego przerażenia – powiedziałam słodkim głosem, kołyszac Zośkę na rękach i delektując się zapachem dzidziusia. Miała na sobie śliczne różowe śpioszki w groszki i maleńkie, białe buciki z antypoślizgami, oczywiście, gdyby zachciała stanąć na nogi i uciec rodzicom!

– Śmiej się, śmiej, Zuzka, ale co ty o niej wiesz? – Moja mama nie zamierzała jednak odpuścić tematu Kasi. – Kobiety na wsi mi mówiły, że ona jest z sekty! I ofiary z ludzi składa!

No wybaczcie, ale parsknęłam śmiechem. Jak to ludzie szybko potrafią człowiekowi przypiąć łatkę, kto by pomyślał!

– Mammo, Kasia nie jest z żadnej sekty. – Wołałam o odwyku nie wspominać. – Jej strój oznacza przynależność do subkultury – postanowiłam, mimo wszystko, bronić nowego domownika, choć obawiam się, że moja mama nie zrozumiała słowa subkultura. – W rzeczywistości to mądra, odczytana dziewczyna. Odkąd przyjechała, to tylko siedzi u góry i książki czyta. Tylko ubiera się trochę... inaczej.

– No, to ty chyba głupia, Zuzka, jesteś, naprawdę! – oburzyła się nagle matka. Nie wiem, co ja jej właściwie takiego powiedziałam, żeby miała powód do oburzania.

– Co? – zapytałam, przechadzając się po kuchni z Zosieńką na rękach.

– Wyciągnij ją z tego domu, bo to niezdrowe, żeby dziewczynka całe dni siedziała z nosem w książkach. Widzę, że to ja muszę tę zagraniczną odwiedzić, bo ty to ją zamkniesz przed światem w czterech ścianach i tyle z życia będzie miała – wstała od stołu. – Jak ja te swoje dzieci wychowałam, jak ja je wychowałam – lamentując i kręcąc głową, ruszyła ku drzwiom. – Człowiek nawet o umieraniu nie może myśleć w spokoju, bo musi zajmować się milionem innych spraw – dodała jeszcze i wymaszerowała, nie zwracając uwagi na moją konsternację.

– A nie przejmuj się – machnęła ręką Anka, gdy mamusia wyszła na podwórko. – Ona ma ostatnio jakieś wahania nastrojów. Może cukier jej skacze. – Uśmiechnęła się, a do pokoju wszedł Pawełek, starszy syn Anki.

– Ej, ciocia, mam do ciebie pytanie – zagadnął mnie, prawie tak samo bezceremonialnie, jak jego babcia.

– No pytaj kochanie, pytaj.

– Oglądałem taki program, że jak dzieci zostają bez rodziców, bo oni na przykład umierają, to się nimi opiekuje ktoś z rodziny, tylko musi być bogatszy. Jak mama z tatą umrą, to możemy się do was z Zosią wprowadzić, co nie? – zapytał, jak gdyby nigdy nic.

Anka zaczęła się śmiać.

– No chyba lepiej – zaczęłam, kołysząc małą Zośkę na prawo i lewo – żeby twoim rodzicom nic się nie stało, prawda?

– No wiem, no wiem. Ale wypadki chodzą po ludziach.

– Niby tak, ale...

– To jak będzie? – Pawełek nie dawał za wygraną.

– No cóż... skoro tak, to oczywiście, przygarne was do siebie. – Wysiliłam się na uśmiech, patrząc na bezradną Ankę.

– Super, jesteś kochana! – Ucieszył się i zadowolony pobiegł do swojego pokoju.

– Może ja powinnam ci ich oddać już teraz? – Zaśmiała się Anka. – Widać oboje wolą twoje towarzystwo od mojego. Ta mała paskuda też, cały dzień płacze, a weźmiesz ją tylko na ręce to proszę, aniołek!

– Oj, nie narzekaj. Zaproponuj Marcelowi, żeby przeniósł się do ciebie i też się do razu zgodzi. Taki już niewdzięczny los matek!

– No, na to wychodzi. A zostaniesz jeszcze? Bym sobie pranie wywiesiła na strychu, skoro możesz mi przypilnować małej.

– No pewnie, pewnie. Ponosimy się z Zosieńką – oznajmiłam słodkim głosem i cmoknęłam małą w pyzaty policzek. – A ty sobie rób, co masz robić.

– Może tylko idź z nią do naszej sypialni, bo tu jakoś chłodno – rzuciła jeszcze Anka, patrząc na obracający się wentylator, który postawiła na parapecie mamusia.

– Nie ma sprawy.

Gdy zaczęłam paradować z popłakującą Zośką po pokoju, Anka wymknęła się do łazienki. Całe to skakanie spowodowało mnie do refleksji, że młode matki zawsze są chude, bo ile to się trzeba tych kilogramów, w dodatku często płaczących, nanosić, to aż trudno naliczyć!

– Ona teraz to nie płacze tak mocno – zagadnął mnie Pawełek. Oderwał się od komputera, kiedy spacerowałam po jego pokoju z popłakującą Zosieńką. – W nocy i wieczorem to nieraz tak potrafi wyć, że muszę uszy zatykać, bo normalnie nie mogę wytrzymać! Mama mi nawet wczoraj powiedziała, że jak tak mi źle płacz siostry znosić, to się mogę wyprowadzić. Ale nie mam dokąd, chociaż już się nawet spakowałem. – Wskazał ręką na leżącą na jego łóżku jednorazową reklamówkę z kilkoma zmiętymi ubraniami.

Zaśmiałam się pod nosem. Sama nie wiem, czy było to bardziej rozczulające, czy raczej przykre.

– I co? – Wróciła do nas Anka. – Gawędzicie sobie we trójkę? – zagadnęła, nachylając się nad swoją córeczką.

– Właśnie się dowiedziałam, że chcesz wyrzucić z domu swoje najstarsze dziecko i już nawet jest spakowane – powiedziałam, oddając jej głodną Zosię.

– Paweł wie, że jak chce, to droga wolna, bo Zosi nikt nie wyrzuci. To jest jej dom tak samo, jak i jego. – Anka puściła do mnie oczko i usiadła, żeby nakarmić małą.

– Słyszałem to już wczoraj! – odszczeknął jej Paweł i założył na uszy słuchawki z głośno grającą muzyką.

– Ty się módl, żeby twój się nie zrobił taki pyskaty! – powiedziała Anka kręcąc głową. – Bo momentami to normalnie mam mu ochotę przylać na dupsko! Mam nadzieję, że Zośka będzie

grzeczniejsza.

– Dziewczynki podobno zawsze są. – Spojrzałam na nią uspokajająco.

– W takim razie i ty się postaraj o córkę, bo twój mały też cię niedługo zacznie wpędzać do grobu – powiedziała, a ja pomyślałam, że chyba udzielił się jej funeralny nastrój naszej wiecznie umierającej mamusi.

– A dziękuję bardzo, sama sobie też życzę, chociaż nie tak prędko. Ale jak będzie drugi chłopak, to ucieszy się Marcel. Był już czas, kiedy suszył nam głowę o braciszka, tak że tak czy siak, będzie dobrze! My tu gadu-gadu, a moi mężczyźni zdążyli już pewnie wrócić do domu. Dziś Ludwik odbierał małego z przedszkola. Na szczęście za rok będę mogła zabierać go ze sobą do pracy, a nie oddawać pod opiekę obcym przedszkolankom. Poza tym powinnam ugotować coś dla Kasi. Niby nic nie robi poza czytaniem, ale jakieś kalorie jednak spala.

– Zaciągnij ją może kiedyś do nas – zaproponowała Anka, gdy cmoknęłam Zośkę w główkę i ruszyłam po swoje zakupy do kuchni. – Nie wiem, co to da, ale zawsze to jakaś odmiana.

– Oj, wątpię, żeby ona zechciała wyjść z domu gdzie indziej niż do biblioteki, ale postaram się ją przekonać. Zajrzę do was jutro po południu z Marcelem, żeby mógł się pobawić z Pawełkiem.

– Będziemy czekać! – kiwnęła do mnie Anka i wyszłam z ich domu.

Dziś na obiad planowałam pieczony oscypek z ananasem i żurawiną, a do tego pyszne, ziemniaczane purée. Nie wiem, jak to posmakuje Marcelowi, ale może dzięki temu w końcu Kasia raczy zjeść z nami posiłek, a to już będzie i tak spory progres

Rozdział 7

– Cześć, mamusiu! – Rozległo się głośne wołanie Marcelka, kiedy razem z Ludwikiem wrócili z przedszkola. Siedziałam akurat w łazience i jedyne, co mogłam zrobić, to wesoło im odkrzyknąć.

– Cześć, kochani! – wydarłam się więc na całe gardło, myśląc o tym, że odkąd wykrzyczałam Ludwikowi całą swoją złość, to zrobiło mi się wewnątrz jakoś tak lżej i lepiej.

– Mamooo! Gdzie jesteś? – dotarł do mnie tupot stóp Marcela. – Mam dla ciebie ważną wiadomość!

– W łazience kochanie, poczekaj momencik!

– Ale mamoo! – Nie zważając na moje słowa, Marcel wsunął głowę do łazienki. – Jesteś bardzo zajęta? Co robisz? – zapytał niewinnie.

– Marcel, no matko kochana! Kupę robię, zamknij te drzwi!

– A jaką? – Zainteresował się.

– Wydaje mi się, że normalną, zamykaj!

– A ja wczoraj zrobiłem taką rzadką, wiesz? – zapytał rozczulającym głosikiem, wieszając się na klamce i otwierając tym samym drzwi jeszcze szerzej, czym nasilił tylko mój poziom frustracji.

– Tak, wiem, bo sama podcierałam ci pupę. A teraz proszę zamknąć drzwi i iść do tatusia – spróbowałam powiedzieć do niego stanowczo, ale nie zadziałało.

– A ty robisz rzadkie kupy? – Postanowił drażnić temat. Jego ciekawość świata zaczynała powoli działać mi na nerwy!

– Każdy robi, jak ma biegunkę.

– No ja też nieraz mam biegunkę. Po tych tabletkach na chorobę.

– Tabletki mają leczyć.

– Mnie nie leczą, ale chorują.

Wywróciłam oczami.

– No dobra, fajnie. Ale możesz zostawić mnie już samą?

– Nie, bo się za tobą stęskniłem i chciałbym z tobą trochę posiedzieć. Mogę?

Poddałam się. Marcel wszedł do łazienki i usadowił się na dywaniku leżącym pod kabiną prysznicową.

– Wiesz, że pani w przedszkolu mówiła nam, że trzeba spędzać dużo czasu z rodzicami, bo kiedyś, jak będziemy duzi, to się od nich wyprowadzimy? Ale ja się nie wyprowadzę od ciebie i zawsze już będę z tobą mieszkał i siedział w łazience, jak będziesz robiła kupę! – stwierdził rozpromieniony.

Nie mogłam powiedzieć mu przecież, że nie, skoro wyznał mi dozągoną miłość i wierność. Potaknęłam więc tylko głową, podczas gdy on sam zajął się dłubaniem palcem w rowku dywanika.

– Patrz, brud! – krzyknął wesoło, wyciągając palec z załamania tkaniny. – Chyba nie posprzątałaś tutaj dokładnie. – Pokręcił głową z dezaprobatą.

– No, chyba nie – zdołałam tylko wymruczeć, wiedząc doskonale, że teraz każdy, kto nas odwiedzi, dowie się z ust mojego pierworodnego, że marna ze mnie sprzątaczką.

Kiedy po kilku minutach burzliwej dyskusji na temat sprząkania, udało mi się w końcu wygonić Marcela z łazienki, pod pretekstem pomocy Ludwikowi przy obiedzie, dokończyłam czynności higieniczne związane z kupą i wyszłam do kuchni, w której Ludwik wspaniałomyślnie obierał ziemniaki, a obok niego siedział już nasz synek i wyrzucał wszystkie obierki poza wiadro. Odpadki nie marnowały się jednak, bo Sara łapała je w zęby i, jak przystało na wykwalifikowaną pomoc

domową, wynosiła na dywan do salonu. (Skąd oczywiście same nie wrócą!)

Westchnęłam głośno. Takich to właśnie miałam do wszystkiego pomocników.

– Marcel, nie siadaj na płytkach na pupie, bo się rozchorujesz! – zwróciłam uwagę synkowi, wyjmując z szafki deskę do krojenia i położyłam ją na blacie.

– I zostaniemy w domku razem z tatą, jak wtedy, i będziemy czytać książeczki? – rozpromienił się natychmiast.

– Jak się teraz rozchorujesz, to gwarantuję ci, że zostaniesz w domu sam! Zmykaj po jakiś kocyk! – rzuciłam do niego, zabierając się za krojenie rozmrożonego przed chwilą oscypka.

– Słuchaj, Zuzka – gdy, jak to miałam w zwyczaju, gotując coś w kuchni, zdążyłam włączyć radio, odezwał się Ludwik. – Martwię się o tę Kasię. Siedzi tylko i czyta, zamiast do ludzi wyjść. Może by ją gdzieś wyciągnąć, co?

– No, też o tym myślałam, nawet z mamą na ten temat rozmawiałam, ale Kaśka nie chce wyjść. Oczy sobie popytuje do reszty!

– A może by sposobem spróbować, co? Że niby nie ma kto małego na spacer zabrać i takie tam...

– Ja nie wiem, Ludwik, czy to jest dobry pomysł – rzuciłam znad deski do krojenia. – Pół wsi mnie ostatnio zaczepiało, twierdząc, że ona może należeć do jakiejś sekty, bo chodzi cała na czarno wymalowana i dzieciaki nam zgorszy w Jaszczurkach. Nie wiem, czy powinniśmy wypuszczać ją na spacer po wsi. Z tego mogą się zrodzić problemy.

– Zuzka, na litość boską! To co, całe wakacje ma w pokoju zamknięta siedzieć, bo ludzie gadają?! – oburzył się Ludwik, a ja w głębi duszy musiałam przyznać mu rację. Co tam gadanie ludzkie, skoro chodzi o dobro dziecka?

– No dobrze, dobrze – poddałam się i pokręciłam głową. – Zaproponuję jej dziś jakiś wyjazd do miasta na zakupy, czy coś. Może jej czegoś potrzeba, a jak nie, to ją skuszę na książki. A ty skrob te ziemniaki szybciej, bo ja zaraz skończę i będziemy musieli jeść sam ser! – machnęłam w jego stronę ścierą w kratkę, w tym samym momencie, w którym dołączył do nas Marcel, tym razem siadając na kocyku razem z psem.

– Marcel, a może ty chcesz siku, co? – zapytałam, gdy skończyłam kroić ananasa, widząc, jak mały niespokojnie się wierci. Zdarzało mu się tej zimy mieć problemy z pęcherzem i od tamtej pory byłam na punkcie jego sikania mocno przewrażliwiona.

Synek pokręcił jednak głową i zabrał się za układanie w misce psiej karmy, co ostatnio po prostu uwielbiał robić. Podobno z tej karmy wychodzą całkiem fajne ludziki, a przynajmniej tak zwykł twierdzić.

Ludwik natomiast skończył skrobać ziemniaki, które, wstawione na gaz, zaczynały powoli się gotować.

– Co to właściwie będzie? – zagadnął z zainteresowaniem, zerkając w moją stronę.

– Smażony oscypek z anansem i żurawiną. Podrzuciła mi ten pomysł Beatka, bo ponoć przywiozła go z ostatniego razu w górach i mocno chwali.

– Oscypek? Z żurawiną? – Ludwik popatrzył na mnie niepewnie.

– A co ja innego przygotuję wegetariance? – odpowiedziałam mu i ponownie spojrzałam na podejrzanie wierzącego się chłopca. – Marcel, na pewno nie chcesz siku?

– Nie chcę, mamusi – odpowiedział mi, pokładając się na psa.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zwrócić mu uwagi z tytułu męczenia zwierząt, ale Sarze też się to widać podobało, bo merdała ogonem jak głupia, gdy mój synek opadał na nią coraz bardziej i bardziej.

– Rozstawiać już? – zapytał Ludwik podchodząc do szafki z naczyniami. Widać moje krzyczenie na

niego naprawdę na coś się zdało, bo już nie pamiętam, kiedy ostatnio tak ofiarnie pomagał mi w kuchni.

– Możesz – odpowiedziałam na jego pytanie, lekko się przy tym uśmiechając. – Ale weź te ładniejsze talerze z komody w salonie. Co z tego, że w domu brudno. Niech raz będzie bardziej estetycznie.

Ludwik posłusznie wykonał moje polecenie, a ja oddelegowałam się do ściągnięcia na obiad Kasi, której pomysł wspólnego jedzenia nie do końca się spodobał. Po prośbach i groźbach, ze zdecydowaną przewagą tych pierwszych, udało mi się ją jednak przekonać i zasiedliśmy razem do stołu.

I tym razem wydawało mi się, że Marcel jakoś podejrzanie i niespokojnie wierci się na krześle, dlatego nie wytrzymałam i kolejny raz zapytałam go, czy nie chce siku, dokładnie w momencie, w którym do salonu wparowała moja mama.

– Mamusia, uspokój się w końcu – rzucił do mnie synek i spojrzał z wyrzutem na babcię. – Wiesz babciu, ta twoja córka strasznie mnie dziś męczy – powiedział kręcąc głową i wsadził sobie do buzi wielki kawał oscypka. Jak zawsze, to ja okazałam się być tą najgorszą! Męczę go dziś, rozumiecie? Męczę czterolatka.

Matka spojrzała na mnie spode łba, rozbawiona elokwencją swojego wnusia, po czym dała usadzić się do stołu, pomimo tego, że przez wzgląd na cukrzycę za posiłek podziękowała.

– I co, dziecko? – powiedziała, wpatrując się w jedzącą Kasię. – Siedzisz tu tylko i siedzisz zamknięta, a życie za oknem ucieka! – westchnęła smutno i funeralnie, jak to miała w zwyczaju.

Dziewczyna upuściła z brzdękiem widelec na talerz i uniosła wzrok.

Serce podeszło mi do gardła z obawy, że dojdzie zaraz do ostrej wymiany zdań. Jeśli Kasia wdała się w matkę ze swoją buzią, to możemy mieć tu zaraz niezłą awanturę. No... Chociaż w sumie nie. Moja mama pewnie zaraz się popłacze i pójdzie do siebie, żeby umrzeć w samotności, skoro przez wszystkich w tej rodzinie jest tylko poniewierana, co zawzięcie powtarzała nam przy każdej możliwej okazji.

Spojrzałam więc z trwogą na Ludwika, dając mu sygnał, że jeśli dojdzie do rękoczynów, to natychmiast ma interweniować.

Zrozumiał.

– Co ma pani na myśli? – Kasia natomiast spojrzała na moją matkę i położyła ręce płasko na stole, jak rasowy prokurator szykujący się do ataku.

Halo? Czy jest na sali lekarz?!

– Ano, że młoda jesteś, wiosna za oknem i wyjść gdzieś powinnaś – pochyliła się do przodu moja mamusia.

– A gdzie tutaj można wyjść, co? Tu prawie nic nie ma.

– Do mnie na przykład. Muszę róże w ogrodzie popielić, a potem, jak Bóg da, to warzywa, i pomoc się przyda jak raz! – mamusia zaproponowała wspaniałomyślnie, a mi zrobiło się słabo.

Kasia i róże, dobre sobie. Paznokcie za milion dolarów do grzebania w ziemi. Powinni moją matkę za ten pomysł chyba ozłocić!

Kasia spojrzała na mnie wymownie i już miałam zabrać głos, gdy ona, jak gdyby nic powiedziała niezwykle ciepłym tonem, kompletnie mnie zaskakując:

– A wie pani, że chętnie. Zawsze chciałam zająć się ogródkiem, ale my w mieście to mamy raptem kilka skrzynek na tarasie i ogrodnika. Matka wszystko musi mieć profesjonalne, nawet opiekę nad zielskiem. Kiedy pani te róże chce pielić? – Pochyliła się do przodu i, o matko, nie wierzę, uśmiechnęła się do mojej matki, a ta niemalże uniosła się nad ziemią, polectana swoim

przypadkowym sukcesem wychowawczym.

– Choćby i jutro kochana. Ogród mam spory, a i wytłumaczyć ci mogę co i jak, jeśli będziesz zainteresowana. – W moją mamę jak na zawołanie wstąpiły nowe siły witalne.

– Dziękuję – odpowiedziała jej Kasia z pełną kulturą, a moja szczeka musiała opaść chyba aż na podłogę. – No to jesteście umówione. A teraz przepraszam bardzo, ale muszę wrócić do książki, skoro jutro odpadnie mi popołudnie – dodała i zaniósła swój talerz do zlewu.

Co jak co, ale maniery miała naprawdę imponujące, to trzeba przyznać.

– A widzisz – szepnęła do mnie usatysfakcjonowana i dumna z siebie mamusia. – Ja wiedziałam od zawsze, że ona przyzwoita, tylko ty w domu ją niepotrzebnie zamykasz! Głowę dam uciąć, że nawet nie próbowałaś jej stąd wyrwać, a ona taka grzeczna i ułożona. Oj, wstydziłabyś się, Zuzka, wstydziła. Nie tak cię wychowałam. I jak ja mam teraz w spokoju umierać?! – Pokręciła z dezaprobatą głową i wyszła.

Ot, cała moja matka. Uwielbia przypisywać sobie cudze sukcesy!

Ale z tym ogródkiem to naprawdę jej się udało, trzeba przyznać. W życiu bym nie pomyślała, że na pozór zbuntowana Kasia to taka zapalona ogrodniczka. Ale może i lepiej, że w końcu wyjdzie z tego domu. Pospędza czas na świeżym powietrzu w towarzystwie mojej matki, to chociaż coś na tych wczasach skorzysta. Ludwik miał chyba rację, dumałam, zmywając naczynia. Na dłuższą metę i tak będzie jej trzeba jakieś zajęcie znaleźć, bo to grzech dziewczynę w czterech ścianach, no i na podwórku matki, zamykać. Gorzej niż w więzieniu!

– Mamusiu, telefon dzwoni! – Gdy ręce miałam po łokcie zanurzone w wodzie i zastanawiałam się, co też mogłabym zrobić z Kasią, dobiegł mnie z pokoju rozentuzjasmowany głos Marcela.

– Odbierz syneczku i powiedz, że mamusia jest zajęta – odkrzyknęłam mu, nie mając możliwości odebrać.

– Halo? – Marcel posłusznie przyłożył telefon do ucha i przywędrował z nim do kuchni. Jego słodki, dziecięcy głosik od razu wypełnił pomieszczenie. Był jak balsam na moje uszy. Mogłabym słuchać go i słuchać, godzinami.

– Nie, mamusia jest zajęta. – Pokręcił głową, gawędząc z kimś przez telefon. – Nie wiem, jak ostatnio była zajęta, to robiła kupę. Jaką? Normalną, bo rzadką robi tylko wtedy, kiedy ma biegunkę...

Nie wytrzymałam. Nie zważając na mokre ręce, wyrwałam zdziwionemu Marcelowi telefon.

Dzwoniła na szczęście tylko Anka, żeby powiedzieć, że ksiądz się do nas podobno z wizytą wybiera, bo gospodyni z plebanii jej cynk dała i prosiła, żeby się przygotować, bo podobno już, teraz, zaraz.

Oddychając z ulgą, a zarazem zdziwieniem, czemu to zawdzięczamy nagłą wizytę księdza proboszcza, dziękowałam w myślach za to, że to tylko Anka, a nie na przykład dyrektorka. Cała szkoła miałaby ubaw, że robię normalne kupy, a rzadkie tylko, jak mam biegunkę! Jednak zatrudnianie Marcelka w roli sekretarki nie było dobrym pomysłem, mimo jego najszczerzych chęci.

Ksiądz proboszcz zjawił się u nas punktualnie o osiemnastej i został przywitany nader wylewnie, głównie przez popisującego się Marcela i rozszczękanego psa, któremu, widać, gość w sutannie nie za bardzo się spodobał. Marcela trzeba było więc skarcić, a psa wyrzucić na dwór, choć w głębi duszy zastanawiałam się, czy zamiana ich miejscami nie byłaby w tej sytuacji bardziej optymalnym rozwiązaniem. W końcu to nie pies rzucił się na kolana i to nie on zaczął recytować przed księdzem Aniele Boży, ale Marcel.

– Witam, witam. – Uśmiechnęłam się do księdza przepraszająco, ignorując klęczące na kolanach dziecko. – Zapraszam do salonu, proszę. – Wskazałam mu drogę, podczas gdy Marcel urządził sobie

za nami pielgrzymkę na kolanach, przechodząc płynnie do Zdrowaś Maryjo.

– Dziękuję. – Proboszcz uśmiechnął się rozbawiony. – Może mały następca mi tu u was rośnie, co?

– Posłał Marcelowi dyskretne spojrzenie.

– Kto wie – odpowiedziałam, rumieniąc się ze wstydu.

– Ja to muszę chyba najpierw do komunii zacząć chodzić, żeby być księdzem – rzucił natomiast Marcel.

– Zawsze to dobry start. – Ksiądz uśmiechnął się. – A ile ty masz lat, maluchu, co? – zagadnął go po przyjacielsku.

– Prawie tyle. – Marcel pokazał na palcach.

– Duży z ciebie chłopak!

– No wiem. Mama mówi, że jak mam duży jeźor, to muszę być duży. – Marcel wypiął się dumnie, a mi kolejny raz zrobiło się wstyd. Że też ten mały łobuz zawsze musi coś takiego palnąć i to w najmniej odpowiednim momencie!

– Co księdza do nas sprowadza? – zmieniając temat, zagadnął proboszcza Ludwik i wziął nasze popisujące się dziecko na kolana, podczas gdy ja zajęłam się zaparzeniem herbaty w kuchni i krojeniem ciasta.

– Doszły mnie słuchy, że mamy nową parafiankę. – Pochylił się do przodu ksiądz proboszcz.

– A tak, córka siostry, można powiedzieć, pojawiła się u nas z niezapowiedzianą wizytą. – Uchwyciłam spojrzenie Ludwika ponad blatem odgradzającym kuchnię od salonu.

O, co to, to racja. Niezapowiedzianą, jak najbardziej! Idealne słowo, żeby określić tę zgotowaną przez Ludmiłę komedię!

– Miejskowa społeczność jest tym faktem co najmniej wzburzona. – Ksiądz proboszcz bez skrępowania spojrzał na Ludwika, gdy ja stawiałam na stole ciasto, co Marcel skomentował głośnym:

– Bóg ci zapłać, mamusiu. – Za co został natychmiast wygoniony na górę.

Ten jego nagły przyptyk katolicyzmu nieźle mnie zaskoczył, muszę przyznać.

– Nie za bardzo rozumiem – odpowiedział natomiast Ludwik, a ja usiadłam obok niego, kątem oka dostrzegając, że na podłodze za plecami księdza znajduje się potężna góra psich chrupek usypana przez naszą kochaną Sarę.

– No to chyba nie jest trudne. Skoro innowiercę pod swój dach przyjmujecie, to zgorszenie na całą wieś idzie! Ale, że ty, Zuzanna... taka porządna, ułożona, z katolickiej rodziny i takie rzeczy! – Pokręcił głową, a mi zachciało się śmiać.

Niedługo może jeszcze na tej Kasi zarobimy, bo jakby ją zacząć w klatce jako niespotykany okaz wystawiać, to cała wieś zdolna by była zapłacić za obejrzenie ekspozycji!

– A nie, nie. Ksiądz nie ma się co martwić – zaczął uspokajać go Ludwik. – Kasia jest wierząca, żadnego zgorszenia, póki co, nie ma. Ona tylko na czarno się ubiera, a to się ludziom nie podoba.

– Już ty jej, Ludwiku, nie broń.

– A to Biblia nie mówi, że trzeba bronić słabszych? – wyrwało mi się, za co natychmiast zganiłam się w myślach.

– Proszę księdza, to moja siostrzenica, na litość boską! Wiem chyba, co mówię, tak? Sam na jej bierzmowaniu byłem i komunii, i wszystkim innym – powiedział Ludwik stanowczo, ratując sytuację.

Ksiądz popatrzył na nas skonsternowany, jak gdybyśmy zaczęli mówić co najmniej, że Kopernik wcale nie miał racji i to ziemia jest w centrum wszechświata, a potem zapatrzył się gdzieś w dal. Albo raczej na nasze schody na górę.

– Ale jak to... – wydusił w końcu. – Pół wsi u mnie było i o egzorcystę prosiło od razu, a ona

katoliczka? Nie może być.

Popatrzyliśmy po sobie z Ludwikiem. A to mamy sąsiadów! Powinniśmy im być chyba wdzięczni za tak wielką troskę, jaką w tej sytuacji wykazują się wobec naszej rodziny, nie ma co!

– Szczęść Boże. – Dyskusję przerwała nam dopiero Kasia, na którą wszyscy spojrzeliśmy, jak gdybyśmy zobaczyli ducha. Ksiądz proboszcz, bo cała znów ubrana była na czarno, a ja i Ludwik, bo pojawiła się na dole, oderwała od ksiązek i uwaga: raczyła się nawet odezwać.

– Znaczy, bo ja nie chcę wam przeszkadzać, ale mały wszystkie ubrania z szafy wam wyrzuca i nie wiem, o co mu chodzi. Jakbyś mogła zajrzeć... – spojrzała na mnie błagalnie, a ja od razu zerwałam się z miejsca.

Cholera jasna! Raptem tydzień temu wszystko poukładałam, a Marcelowi coś odbiło i cyrki urządza! Nie zważając na księdza, ruszyłam biegiem na górę, chcąc ratować co popadnie, gdy Marcel w najlepsze wciskał się w moją czarną, obcisłą sukienkę, którą kupiłam sobie na zeszłego sylwestra.

– Co ty tu robisz? – Posłałam mu lodowate spojrzenie i założyłam rękę na rękę, chcąc wyglądać groźnie. Cała sypialnia tonęła w ubraniach moich i Ludwika, a na środku stał nagusieńki Marcel i się przebierał.

– Przebieram się – wytłumaczył mi, jak gdyby nigdy nic.

Przecież nie jestem jeszcze ślepa!

– Widzę. Ale dlaczego wyrzuciłeś wszystkie moje i tatusia ubrania z szafy? Kto to teraz posprząta? – Spojrzałam na niego z wyrzutem

– Ja, mamusiu, posprzątam, ale najpierw muszę ubrać się jak ksiądz. Może wtedy będę mógł w kościele nie siedzieć w ławce, tylko robić te wszystkie fajne rzeczy i rozdawać komunię! – wytłumaczył mi synek, a ja rozłożyłam ręce w geście załamania.

– Spoko, ja się mogę nim zająć, a ty idź na dół do gościa. – Usłyszałam za plecami głos Kasi i wpadłam w stan jeszcze większej konsternacji. Słucham?

– Ja... – Otworzyłam usta zdziwiona, nie wiedząc, co mam powiedzieć. Ona potrafi zająć się dzieckiem? No proszę.

– Niańczyłam kiedyś dzieciaki sąsiadom, więc mam wprawę. Ale posprzątać będziesz musiała już sobie sama – kiwnęła do mnie uspokajająco i podeszła do Marcela, żeby zdjąć z niego moją najlepszą sukienkę i na nowo go ubrać.

Spojrzałam jeszcze raz na stertę wyrzuconych z szafy ubrań. No trudno. Jakoś to będzie trzeba ogarnąć, chociaż tyle wysiłku jak zawsze na marne, tyle wysiłku...

Stałam jeszcze przez chwilę skołowana widokiem swojej sypialni, zerkając kątem oka, jak Kasia zachęca ociągającego się Marcela do ponownego założenia spodni. Muszę powiedzieć, że kompletnie się tego po niej spodziewałam, kompletnie. Była w stosunku do małego taka ciepła i delikatna! Już chyba szybciej bym się półnagiego sąsiada spodziewała zobaczyć u mnie na progu.

No dobra, wiem. Zabrzmiało głupio, przez wzgląd na niedawną sytuację. Widocznie życie przestało być przewidywalne i dla odmiany takie rzeczy stają się normą. Ot, odwrócenie obyczajów o sto osiemdziesiąt stopni, a nawet i więcej!

Zadowolona, że może w końcu będzie miał kto pomóc mi trochę w opiece nad Marcelem, choć nadal nie dowierzając w to, co zobaczyłam, zesłam na dół. Ludwik z proboszczem zdążyli już przejść do tematu wędkowania. Obaj byli zapaleńcami w tej dziedzinie.

Ne mówiąc zbyt wiele, napiłam się więc herbatki, tak dla spokojności. Nie wiem sama, czy ona ma jakieś działanie uspokajające, ale musiała mi pomóc, bo niemalże uśmiechałam się pod nosem na wspomnienie wpatrującej się w Marcela Kasi. Może ona rzeczywiście nie jest taka straszna, jak na początku wszyscy myśleli i będą z niej ludzie?

No i dobrze, że Marcel nie wyciągnął z szuflady mojej nowej, czarnej bielizny, którą jednak na wszelki wypadek kupiłam, żeby pracować nad Ludwikiem. Dopiero byłby przed Kasią wstyd, a porzrzućane ubrania jakoś w końcu przeżyję.

Rozdział 8

– Cześć. – Pojawiając się w kuchni o szóstej trzydzieści, wystraszyła mnie gotowa do wyjścia i pełna życia Kasia, choć jej strój był co najmniej grobowy. Ot, paradoks, prawda?

– Cześć – odpowiedziałam jej cicho, prawie dławiąc się śniadaniem. – Wychodzisz gdzieś?

– Mówiłaś niedawno, że mogę zajrzeć do tej waszej biblioteki, to pomyślałam, że pójdę z tobą dzisiaj i się rozejrzę. Bo to w waszej szkole, tak? – wytłumaczyła grzecznie, a mi herbata w gardle stanęła, gdy przed moimi oczami wymalowały się miny nauczycielek na widok wprowadzanej przeze mnie do szkoły, ubranej i wymalowanej na czarno Kasi z ćwiekami na szyi.

– Ale... – zająknęłam się, nie za bardzo wiedząc, jak wybrnąć z tej patowej sytuacji.

– Jakiś problem?

– Nie, nie. Skąd – nerwowo pokręciłam głową, pobudzając szare komórki do myślenia. – Ale ona jest otwarta dopiero od jedenastej – przyszło mi do głowy w ostatniej chwili i niemalże odetchnęłam z ulgą.

– A. No spoko. – Kasia wzruszyła ramionami. – To wpadnę o jedenastej.

– Nie! – wyrwało mi się na głos i musiało brzmieć dość przeraźliwie. – To znaczy... może lepiej o czternastej, jak skończę lekcje, co? Bo głupio tak w czasie lekcji przeszkadzać – wydusiłam przez zaciśnięte gardło i wbiłam w Kasię błagalny wzrok.

Spojrzała na mnie jak na głupią.

– W bibliotece nie ma lekcji.

– Czasem tam są jakieś zastępstwa. Mała szkoła, to i takie różne dziwactwa się dzieją. – Zaśmiałam się nerwowo.

– No dobra – poddała się po chwili Kasia. – To o czternastej?

– Aha. – Pokiwałam jej głową, patrząc, jak odwraca się na pięcie i wraca na górę. Serce biło mi, jakbym weszła co najmniej na jakiś himalajski szczyt, a za te kłamstwa to będę się kiedyś smażyć w piekle. No ale co miałam zrobić, skoro ona taką sensację wywołuje w całej wsi? Jeszcze dyrektorka gotowa byłaby mnie zwolnić i dopiero by było!

Uspokajając swój rozszalały puls, wzięłam jeszcze tylko witaminy i na drżących nogach wyszłam do szkoły. Cieszyłam się w duchu, że słońce nie zdążyło jeszcze dobrze wstać, darując nam tym samym choć chwilę pozbawioną niemożliwego do wytrzymania upału, dzięki czemu krótki spacerok okazał się wyjątkowo przyjemny.

– Słyszałam, że wczoraj był u was proboszcz egzorcyzmy odprawiać – zagadnęła mnie Lena, kiedy tylko, ubrana w różowe balerinki i zwiewną sukienkę, zdążyłam przekroczyć próg szkoły.

– Jakie egzorcyzmy? – zdziwiła się Beata, gdy podeszłam do naszego grzejnika.

– Też chciałabym wiedzieć. – Spojrzałam na Lenę, zdejmując z ramienia wielką torebkę i postawiłam ją na ziemi.

– Nad tą zagraniczną, co się do was sprowadziła, sama słyszałam, jak pani Halina dzwo... – Lena zaczęła pewnie, ale musiała ugryźć się w język, gdy zorientowała się, że właśnie wyspała naszą kochaną sklepową. Oj, już ja się z nią rozmówię! A taka to zawsze kochana i do rany przyłóż, aha!

– Ksiądz proboszcz, owszem, był. – Posłałam czerwonej jak burak Lenie zabójcze spojrzenie. – Ale na herbatkę, żeby umówić się z Ludwikiem na ryby. Kojarzysz, że razem wędkują? – Nagięłam lekko rzeczywistość, ale musicie mi wierzyć, że jej mina była tego naprawdę warta.

– Ale ja osobiście słyszałam... – szła w zaparte.

– To źle słyszałaś – powiedziałam ostentacyjnym tonem i odwróciłam wzrok, żeby nie patrzeć na tę wredną, zakłamaną francję, co sama też musiała mieć spory udział w nasyłaniu na mnie księdza. Teraz nie ulegało to już moim najmniejszym wątpliwościom.

– Współczuję ci, Zuzka, naprawdę – w odpowiedzi ścisnęła mnie za ramię. – Takie dziecko to kara za grzechy. Moja córusia w życiu by się tak nie ubrała jak ta Kasia cała, Bogu dziękować. – Popatrzyła na mnie jak na ułomną i spuszczać głowę, odeszła do pokoju nauczycielskiego.

– Nie słuchaj jej. Jak znam życie, to sama pierwsza pod plebanią wczoraj stała, żeby nasłać na ciebie tego księdza. – Beata próbowała załagodzić sytuację.

– Mam to gdzieś. – Spojrzałam na nią tępo w odpowiedzi. – Zmieniamy temat?

– Okej. No to co tam u Anki? Rozumiem, że zrobiła już test?

– Była nawet u lekarza. Będziemy mieli kolejne dziecko w rodzinie.

– Kochana! – Beata wyrzuciła w górę ręce i nie zwracając na nic uwagi, porwała mnie w ramiona.

– Tak się cieszę! – zapiszczała mi do ucha i zaczęła ścisnąć mnie jeszcze mocniej.

Nie zdążyłam jej jednak nic odpowiedzieć, bo z pokoju nauczycielskiego wyjrzała zaniepokojona pani dyrektor.

– A co tu się dzieje? – spytała skonsternowana, gdy jej wzrok padł na woźną ściskającą jednego z pedagogów.

– Zuzka będzie miała dziecko! – odpowiedziała jej natychmiast rozentuzjasmowana Beatka i już po chwili obie mnie ścisnęły, izolując tym samym od swobodnego dopływu powietrza.

– Uducie mnie! – udało mi się tylko zaprotestować.

– Który tydzień? – zapytała dyrektorka, gdy wyswobodziłam się w końcu z ich ośmiorniczych objęć.

– Ósmy tydzień – zdążyłam tylko powiedzieć, dopiero po chwili orientując się, jak to zabrzmiało. Dyrekcja z pewnością myślała już sobie, że to na mnie spadło to szczęście. Wcale się nie pomyliłam, bo nachyliła się do mnie, radośnie szepcząc:

– Zjrzyj do mnie później – i zostawiła mnie zszokowaną na korytarzu. No tego, to się nie spodziewałam! Może jeszcze dostanę z tego powodu jakąś ulgę podatkową i uda mi się nawet na tym Anki dziecku wzbogacić? Kasię w zoo, tutaj wszyscy biorą mnie za przyszlą matkę... Czysty biznes! A mówią, że u nas taka polityka prorodzinna, że kot by więcej napłakał!

Tylko szkoda, że dyrekcję trzeba będzie jednak uświadomić, że ja wcale w żadnej ciąży nie jestem, a na ulgę podatkową nie ma co liczyć, bo dziecko nie moje. A mogło być tak pięknie!

Z od razu lepszym humorem po całym tym nieporozumieniu powędrowałam na górę, gdzie przed drzwiami czekali już mali uczniowie, domagający się wejścia do klasy. Nowym przebojem tamtego dnia stał się weselny hit disco polo w wykonaniu Franka. Chłopczyk śpiewał ciągle pod nosem „Andrzej się żeni”, doprowadzając mnie tym do śmiechu.

No dobrze, może poza chwilą, kiedy to kazałam dzieciakom posprzątać zabawki i, zdzierając sobie głos, krzyczałam na nich, a on, gdy tylko skończyłam, bez najmniejszych oporów wskoczył na ławkę i wymachując rękoma, krzyknął głośniejszym głosem niż ja:

– A teraz wszyscy! – I zaczął ile sił w płucach śpiewać „Andrzej się żeni”, dodając tym samym ducha walki sprzątającemu narodowi, całkowicie wyprowadzając mnie tym samym z równowagi.

Taki lokalny patriotyzm, można powiedzieć, który, jak później wytłumaczyła mi mama Franka, wziął się stąd, że zeszłego wieczoru oglądali rodzinnie płytę z wesela i wspomniany utwór musiał zapaść Frankowi w pamięć wyjątkowo mocno, bo w domu ciągle też go nucił. Nauczona doświadczeniem innych zanotowałam sobie więc w głowie, żeby nigdy nie włączać tej piosenki przy Marcelu, bo on też ma skłonność do młócenia niektórych tekstów nawet kilka dni, a dwadzieścia

cztery godziny na dobę to raczej bym tego hitu nie zniosła. Aktualnie mój synek był na etapie powtarzania w kółko: „Więcej piorunów do pioruna”. Bodajże z Herkulesa.

Rodzice poodbierali swoje dzieci punktualnie, dając mi tym samym jeszcze chwilę przerwy między skończeniem zajęć a przybyciem Kasi do szkoły.

Zjawiała się punkt czternasta w bibliotece, w której oczekiwałam na nią razem z Leną i Beatą, przy czym tylko ta druga pałała prawdziwym entuzjazmem, żeby dziewczynę poznać.

– Dzień dobry. – Dygnęła lekko wymalowana na czarno Kasia i stukając swoimi wysokimi szpileczkami o drewnianą podłogę biblioteki, bez słowa podeszła do półek z literaturą piękną. Zaczęła niemalże z namaszczeniem brać do rąk kolejne pozycje i odkładać je na niewielkie stosiki.

– Całkiem ładna ta Kasia. – Beatka pochyliła się do mnie i konspiracyjnie szepnęła mi na ucho.
– Prawda? – odpowiedziałam jej niewiele głośniej. – Żeby tylko się jakoś lepiej ubierała, bo tymi ćwiekami tylko straszy.

– Może to okres buntu?
– No co ty, w jej wieku powinna mieć go już za sobą.
– Czytałam kiedyś, że w patologicznych rodzinach to może się przedłużać. A sama mówiłaś, że Ludmiła nie jest do końca normalna – zaśmiała się Beatka i powróciłyśmy do obserwowania Kasi.

Na wyborze książek zeszło jej kilka długich chwil. Musiała być dość wybredną czytelniczką.
– Nowości to tutaj nie macie – powiedziała po chwili, podchodząc do biurka Leny ze sporym naręczem książek.

Bibliotekarka posłała jej w odpowiedzi pełne obrzydzenia spojrzenie.
– Nie twoja sprawa chyba, smarkulo? – mruknęła do niej niemiło, a we mnie od razu się zagotowało.

– Kasia jestem – jak gdyby nigdy nic odpowiedziała dziewczyna i położyła przed nią książki. – Mam sama wyjąć karty?

– Już ty się lepiej tych książek nie dotykaj – Lena wyrwała jej stos z rąk, a Beata musiała mocno mnie przytrzymać, żebym nie mogła wstać i jej przyłożyć. – Za zniszczenie mamy duże kary, więc jak coś uszkodzisz, to...

– Lena, na litość boską! – nie wytrzymałam w końcu.
– No co? Nigdy nie wiadomo, co się po takiej można spodziewać – burknęła, a Kasia posłała mi pytające spojrzenie.

– Pani Lena jest nieco przewrażliwiona – mruknęłam do niej i puściłam oczko, czując nagle jakąś dziwną solidarność z dziewczyną. Jak to wspólny wróg może ludzi nagle połączyć!

– To może ziółka na uspokojenie, co? – zwróciła się do Leny Kasia i zamrugnęła wolno swoimi wywiniętymi do góry, czarnymi rzęsami, niewinnie się przy tym uśmiechając.

Beatka zaczęła cicho chichotać.
– Hamuj się, drogie dziecko – odparowała jej Lena. – Kultury trochę!

– Ale ja do pani z troską przecież...
– Twojej troski mi nie trzeba.
– Ale jak to, Lenka, mówiłaś ostatnio, że przez tę ciągłą naukę twojej córusi jesteś samotna i nikt się tobą nie interesuje. Mąż zabiegany i sama musisz cierpieć – wyrwało się tym razem Beatce.

– Moje dziecko chociaż chodzi przyzwoicie ubrane – napuszyła się Lena i naprężyła plecy, jak gdyby szykując się do ataku.

– Ale przecież to nie wygląd świadczy o człowieku. – Kasia tym razem przeholowała, bo Lena natychmiast wbiła w nią swoje najbardziej mroczne spojrzenie.

– To może my już pójdziemy. – Zerwałam się gwałtownie i chwyciłam torebkę z ławki. – Chodź,

mamy dużo spraw jeszcze do załatwienia – zaczęłam jak opętana machać do nich rękami i wyciągnęłam zdezorientowaną Kasię na korytarz, podczas gdy Beata skoczyła do roztrzęsionej Leny i zaczęła ją pocieszać.

Jeszcze nie daj Boże niczego nieświadoma Kasia zahaczyłaby przy okazji o domniemany geniusz córki Lenki i mogłoby dojść do nieszczęścia! Już widzę te nagłówki: „Bibliotekarka z małej wsi zagryzła niewinną czytelniczkę”. Ludmiła chyba ducha by wyzionęła, gdyby się dowiedziała, co spotyka tu na prowincji jej dziecko! Chociaż czy dzięki temu nie powstałby jakiś program szczepienia ludzi z miasta przeciwko panującej na wsi wścieklicznie?

– Nie za bardzo rozumiem, dlaczego wyciągnęłaś mnie tak szybko z tej biblioteki – Kasia zwróciła się do mnie, gdy razem z jej stosikiem książek, który solidarnie podzieliliśmy na dwie sterty, szliśmy powolnym krokiem do domu, skąpane w czerwcowym słońcu, parszywie opiekającym odsłonięte ramiona i dekolty.

– Jakby ci to powiedzieć... – zawahałam się. – Lenka jest bardzo przewrażliwiona na punkcie swojej córki.

– Nie da się ukryć, ta jej mina! Bezcenna. – Kasia, roześmiała się głośno chyba pierwszy raz, odkąd u nas mieszkała.

Swoją drogą, może wcale nie taki pierwszy, bo wcześniej po prostu nie miałyśmy okazji porozmawiać. Albo i miałyśmy, ale ona skutecznie wzbraniała się przed towarzystwem jakichkolwiek osób żywych, wybierając książkowych bohaterów.

– Bałam się, że rzuci się na ciebie z pięściami. Nasza bibliotekarka jest osobą mało zrównoważoną emocjonalnie. To taka lokalna hipochondryczka, a do tego jeszcze choleryczka, gdy w grę wchodzi honor jej dzieci.

– Nie da się ukryć. Ale dziwne, nie? Zawsze wydawało mi się, że takie kobiety to flegmatyczki, a nie wulkany energii z długimi pazurami. Tylko ona jakoś tak dziwnie na mnie patrzyła. Mam wrażenie, że chodziło jej jeszcze o coś innego, a nie tylko córkę. Naskoczyła na mnie od razu... Jak gdyby wiedziała coś, czego ja nie wiem... – zamyśliła się Kasia i spojrzała na mnie, wyczekując odpowiedzi.

No ale co miałam jej powiedzieć, że ludzie we wsi i okolicy traktują ją jak obcą, bo ma zamiłowanie do czarnego, ćwieków i mocnego makijażu? Nie za bardzo mam doświadczenie w pracy z młodzieżą, jednak to nie mój ulubiony przedział wiekowy, ale wydaje mi się, że nie powinno się mówić takich rzeczy jednak wciąż dojrzewającym młodym dziewczynom. Mam rację?

Z opresji wyrwały mnie, na szczęście albo i nie, głośne krzyki dochodzące z naszego podwórka i miarowe, o wiele głośniejsze niż krzyki, uderzenia w coś metalowego.

– Jakiś remont czy co? – spojrzała na mnie Kasia, a ja bez słowa pędem ruszyłam na podwórko, doświadczeniem nauczona, że w tej wsi zdarzyć się może dosłownie wszystko.

Ku mojemu zaskoczeniu, już po przekroczeniu furtki spostrzegłam, że po naszym trawniku, tym razem ubrany od stóp do głów w biały kombinezon i kapelusz z woalką, biegał pan Kaziu i wydając z siebie dziwne dźwięki, uderzał metalową chochlą o wielką pokrywkę od garnka. Ale czemu akurat u nas i w takim stroju skoro upał jak diabli? Pomijając oczywiście fakt, że już samo jego zachowanie mogło budzić niepokój. Albo i więcej?

– A to co, jakiś kolejny lokalny opóźniony w rozwoju? – Kasia spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem.

– Nie, nie. To mój sąsiad – powiedziałam, obserwując coraz bardziej żywe poczynania pana Kazia. Mężczyzna krążył w dziwny sposób wokół jednego z drzew rosnących na naszym podwórku.

– Za dużo słońca widocznie. – Kasia zaśmiała się i biorąc ode mnie stos książek, powędrowała do

domu. Zostałam sama z panem Kaziem i jego szamańskim tańcem, przybierającym coraz bardziej ekspansywną formę.

Kręcąc tylko głową z politowaniem, doszłam do wniosku, że nie ma co zastanawiać się i szukać racjonalnego powodu dla dziwnego zachowania pana Kazia i najlepiej będzie zapytać samego zainteresowanego. Zbliżając się więc powoli do pohukującego sąsiada, pomachałam do niego ręką.

– O, pani Zuzia! – krzyknął i odwracając się do mnie, przerwał na moment swój specyficzny występ. – Lepiej niech pani do domu idzie!

– Stało się coś?

– Nie, czemu? – zapytał jak gdyby nigdy nic, a ja jeszcze raz zlustrowałam go wzrokiem. No nie, nie wydawało mi się przecież. Miał na sobie biały kombinezon i w ręce trzymał chochlę. To nie mogą być zaburzenia percepcyjne ani żaden udar. Kasia też to przecież widziała. Nie zgłupiałam!

– Jakoś tak dziwnie się pan zachowuje. – Zaczęłam ostrożnie, przygotowując się na to, że być może zaraz będzie trzeba dzwonić po pogotowie psychiatryczne, skoro według niego to normalne.

– A! To! – Pan Kazio machnął uspokajająco ręką. – Nie, nie. Pszczoły mi się wyroiły, wie pani? I u was się usadowiły na drzewie. No to wziąłem ul i teraz chcę je do niego zapędzić, prawda.

Popatrzyłam w stronę drzewa. No rzeczywiście, stała pod nim mała kolorowa budka z otwartym wieczkiem, a na drzewie kłębiła się chmara bzyjących owadów, której wcześniej nie zauważyłam.

– Pani lepiej do domu idzie, bo tak lekko ubraną to jeszcze mogą pożądlić. Uczulona nie jest? – zapytał z troską pan Kazio, gdy ja nadal trawiłam w myślach otrzymane od niego informacje.

– Co?

– No bo to trochę jeszcze może potrwać. Nawet do wieczora. Ale spokojnie, spokojnie. Ja tu będę działał, a pani niech się nie denerwuje. Tylko lepiej dzisiaj nie wychodźcie z domu, bo jak głupie będą latały. Dobra? – zapytał niczym niezrażony i, uśmiechając się do mnie, wrócił do skakania i walenia pod drzewem, podczas gdy mi nie pozostało nic innego, jak, pomimo doraźnego szoku, odmaszerować w stronę domu.

– I co, i co? Bo już znalazłam w internecie nawet numer telefonu do najbliższego psychiatry – gdy tylko przekroczyłam próg i weszłam do domu, rzuciła się do mnie Kasia.

– Co? – Spojrzałam na nią spode łba.

– No co z tym sąsiadem? Zgłupiał?

– A! – machnęłam do niej uspokajająco ręką. Prawie tak samo, jak pan Kazio do mnie. – Pszczoły mu się wyroiły i musi je zagonić do ula. Powiedział, że do wieczora skończy. Tylko Kasia – złapałam ją za przedramię. – Ty lepiej nie wychodź, bo ja nie wiem, czy uczulona nie jesteś. Poczytaj sobie czy coś.

– Ale ja miałam pani Grażynce dzisiaj pomagać z różami... – dziewczyna wydeła usta.

– Nie, nie. Spokojnie. Do mamy też muszę zadzwonić, żeby nie wychodzili, bo te pszczoły mogą i u nich latać, nie? – uśmiechnęłam się do Kasi uspokajająco i wyciągnęłam z torby telefon, po czym zadzwoniłam do Anki, żeby dać jej znać o zaistniałej kryzysowej sytuacji.

– Wy to macie tutaj niezłe życie. Kto by pomyślał, że takie atrakcje serwują na tym waszym zadupiu – podeszła do mnie Kasia, gdy skończyłam rozmawiać i stanęłam w oknie, podziwiając śmiałe harce pana Kazia zaklinającego pszczoły.

– To jeszcze nic. Kiedyś zaproponował mi, że pół świniaka mi może odstąpić, a że to przed świętami było, zgodziłam się, bo wiadomo, mięso zawsze lepsze swojskie niż ze sklepu. Biedny pan Kazio tak się przejął, że nie zdąży na czas, bo obiecał mi go jeszcze tego samego wieczoru, że przytargał pół biednego zwierzęcia razem z łbem, skórą i wszystkim innym, tyle, że pozbawionym tylniej partii świńskiego ciała.

– Żartujesz – Kasia zrobiła wielkie oczy. – Tak na poważnie?!

– No. Pół nocy rzygałam w łazience, tak mnie ten widok tknął. A biedny Ludwik musiał odnieść mu tego świniaka, bo powiedziałam, że jak Boga kocham, nic z nim nie zrobię w tej sytuacji i w takim wydaniu. Tak że widzisz, Kasia – westchnęłam. – Takie to mamy życie na tej prowincji.

– Kto by pomyślał, nie?

– Zjesz zupę ogórkową? Mam ochotę na coś kwaśnego – powiedziałam, odrywając się od tańczącego pana Kazia.

– Chętnie. Pomóc ci? – zaproponowała dobrodusznie.

– Pewnie, czemu nie – zgodziłam się niemalże od razu. – Ale powinnaś chyba się przebrać. Szkoda będzie tę sukienkę pobrudzić – dodałam, patrząc na jej luksusowy strój.

– W takim razie zaraz wracam – pognęła na górę ile sił, a mi zrobiło się jakoś tak miło na sercu. Przyda się pomoc, oj przyda. Zawsze marzyłam o starszej córce, z którą można by pogadać i pośmiać się przy wspólnej produkcji chociażby obiadu.

– A co to się dzieje? – do domu wszedł Ludwik i prowadząc Marcela za rękę, posłał mi i Kasi pytające spojrzenie, kiedy to siedziałyśmy przy stole i ucierałyśmy ogórki.

– Gotujemy zupę – odpowiedziałam, patrząc na niego spode łba.

– O podwórko mi chodzi, Zuzka. Co pan Kazio robi na naszym podwórku? Może trzeba mu pomóc?

– Pan Kazio tańczy! O tak! – Marcel zaklasnął w łapki i podskoczył parę razy, naśladując ruchy sąsiada.

– A, to. Pszczoły do ula chce zagonić czy coś takiego. A co do pomocy, nie wiem kochanie, jak chcesz, to idź, zapytaj, ale nie mam pojęcia, skąd ja ci taki kombinezon wytrzasnę. Tylko uważaj, żeby cię nie pożądliły, bo ponoć strasznie cięte, jak się im po podwórku łązi, wiesz? – rzuciłam do skonsternowanego Ludwika, nie odrywając się od ogórków, a Kasia się zaśmiała.

No co, taka prawda. Ewentualnie mogłabym mu dać od malowania pochlapany farbą kostiumik, co gdzieś w kotłowni powinien jeszcze leżeć. Ale ja wiem, czy on się nada?

– Świat staje na głowie – wymruczał tylko Ludwik i zabrał Marcela na górę, żeby przebrać go z najlepszych spodni, które wyjęłam mu rano do przedszkola, pozostawiając nas same na pastwę ogórków, zupy i tańczącego pana Kazia za oknem.

Rozdział 9

Jednego z kolejnych gorących popołudni razem z Kasią, która z każdym kolejnym dniem zaczynała stawać się coraz bardziej rozmowna, towarzyska i pomocna, postanowiłyśmy upichcić dla siebie i naszych mężczyzn coś dobrego. W pracy przyszło mi do głowy chwalebne stwierdzenie, że do serca mężczyzny najlepiej jest się dostać przez żołądek i postanowiłam spróbować. W takim układzie wybór padł oczywiście na pyszne ciasto wiśniowe skąpane w mlecznej czekoladzie, do którego bazą był ciemny, kakaowy biszkopt. Ludwik żadnym innym smakołykiem nie delektował się tak, jak nim.

– Wszystko fajnie, tylko nie mamy kakao – stwierdziłam jednak rozczarowana po przeszukaniu w tym celu wszystkich możliwych szafek z przyprawami, łakociami, artykułami do ciast, a nawet lodówki, bo w naszym domu przecież wszystko może się zdarzyć.

– To co, może pójde po nie do sklepu? – zaproponowała nieświadoma wioskowego linczu Kasia.

– Wiesz co, to chyba nie jest dobry pomysł. – Musiałam interweniować, żeby uchronić ją przed najgorszym. – Może zacznij robić bitą śmietaną albo drylować wiśnie, które powinny się już chyba rozmrozić, a ja wyślę Ludwika. – Uśmiechnęłam się szeroko. No bo po co narażać na niepotrzebne stresy dziewczynę? Wiadomo co ślina na język przyniesie sklepowej i czego się Kasia może nasłuchać na swój temat? Przy naszej sklepowej nawet cięta Lenka z biblioteki to przyszcz, musicie mi wierzyć. Kiedyś tak obgadała parę młodych ludzi, którzy sprowadzili się do Jaszczurek i mieszkali razem bez ślubu, że wieś im żyć nie dała i się biedni musieli z powrotem do Warszawy wyprowadzić, bo tak im życie uprzykrzała. A to bramę wynieśli, a to śnieg z chodników nagle w ich wjazd zepchnęli, niby to przypadkiem. I a to tamto, a to siamto, aż finalnie straciliśmy bardzo fajnych mieszkańców.

Tylko dziwią się potem, że przyrost naturalny w okolicy ujemny niedługo będzie, skoro sami na młodych wjeżdżają, co widać dokładnie na przykładzie naszej Kasi. No tak, no tak. Mówię naszej, bo już do niej trochę przywykliśmy, skoro ona wcale nie jest taka czarna, jak by się mogło wydawać, i zła. Właściwie to całkiem mądra dziewczyna, choć w to akurat nigdy z Ludwikiem nie wąpiliśmy, ze względu na pochłanianie przez nią naprawdę ambitne tytuły naprawdę ambitnych twórców. Bo kto z młodzieży w dzisiejszych czasach sam z siebie czyta Dostojewskiego?

No dobrze, pewnie córusia Lenki czyta, ale ja mówię o normalnych ludziach, co to mają jeszcze równo pod sufitem.

Wracając jednak do ciasta, Ludwik naturalnie odmówił spaceru do sklepu, ale po moich prośbach i groźbach poddał się w końcu wspaniałomyślnie i postanowił zabrać ze sobą nawet Marcela, żeby maluch przewietrzył się choć trochę, a nie jak zaklęty oglądał swój ulubiony program z kreskówkami dla najmłodszych.

– Słuchaj Zuzka, przepraszam, że ja spytam, może to wasza prywatna sprawa i nie chcesz mówić...

– zagadnęła mnie Kasia podczas drylowania wiśni.

– Eee, przecież jesteśmy rodziną! – postanowiłam ją zachęcić. Choć nie wiem, jakie licho mnie podkusiło. Może chciała pytać o moje życie erotyczne czy co?

– Może zdradziłabyś mi więcej informacji o tej ciąży twojej siostry? Bo jedyne co wiem, to że w niej jest, a ona tutaj wpada każdego dnia, więc boję się, żeby nie palnęła czegoś głupiego, na przykład o mężu, którego ona magicznie nie ma albo coś... Oczywiście nie chcę być wścibska... – zawahała się.

– Nie no, coś ty! – Roześmiałam się do niej uspokajająco. – Żadna tajemnica. Właściwie już od

dawna powtarzali z Jurkiem, że chcą mieć dziecko po dziecku. Nie mieli zamiaru robić z Pawełka rozpuszczonego jedynaka, chociaż patrząc na niego i jego wybryki, to trudno będzie to zmienić. Co prawda nie planowali, że stanie się dokładnie w tej chwili, ale skoro dziecko już w drodze, to czemu nie, prawda? Są jeszcze na tych polskich wsiach ludzie, dla których głównym priorytetem są szczęśliwe dzieci. Nieważne ile ich jest.

– Wkurza mnie trochę to, że jesteście taką szczęśliwą rodziną, wiesz? – stwierdziła po chwili Kasia, totalnie zabijając mi klina tym wyznaniem.

Spojrzałam na nią dużymi oczami.

– Nie rozumiem – mruknęłam.

– No, bo jak to jest, że jedni mają takie szczęśliwe rodziny i takie świetne dzieciństwo jak te wasze maluchy, kiedy dookoła spokój, cisza, a za płotem ciocia i babcia zawsze chętne się nimi zając, a ja mam rąbniętą matkę, która nie ma oporów, żeby mnie komuś zostawić. Nie znam ojca, poza numerem jego konta, którym śle mi kasę, a z całą resztą rodziny nie gadam, bo matka ich do nas skutecznie zraziła. Wiesz, nie chcę się użalać, nie, bo w końcu nie jestem już małym dzieckiem, ale nieraz potwornie mnie to boli – wyznała, a jej oczy zrobiły się nagle tak smutne, że aż słów mi zabrakło. No i co ja mam, choroba jasna, w takiej sytuacji odpowiedzieć? Jestem pedagogiem małych dzieci, a nie dojrzewających nastolatków.

– Swoją drogą, nie ma co liczyć na sprawiedliwość, nie? – przerwała chwilę niezręcznej ciszy Kasia i upiła łyk truskawkowego kompotu, który męczyła od śniadania. – Widocznie sobie nie zasłużyłam na szczęśliwe dzieciństwo. – Uśmiechnęła się blado i wróciła do drylowania wiśni.

– Mogę też cię o coś zapytać? – Postanowiłam zmienić nieco temat.

– Jasne.

– Jak to było z tymi twoimi narkotykami, co? Jesteś naprawdę mądrą dziewczyną, a od wejścia zarzuciłaś nas tematem odwyku. Przyznam, że to nie buduje spójnego obrazu twojej osoby w moich oczach. – Uśmiechnęłam się do niej lekko.

– A tam, stare dzieje i jakoś za bardzo dumna z tego nie jestem.

– Nie sposób się nie zgodzić. Powód do dumy to to nie jest. – Uśmiechnęłam się łagodnie, widząc, że poruszyłam bolesny temat.

– Na początku chciałam zrobić na złość matce, wiesz? Moja terapeutka w ośrodku nazwała to „wołaniem o pomoc” zaniedbanego dziecka, któremu brak czasu rodzic rekompensuje drogimi zabawkami. No, znasz moją matkę, wiesz jaka jest. Wiele można o niej powiedzieć, ale że ciepła i kochana to chyba by mi przez gardło nie przeszło.

– Twoja mama rzeczywiście... – zawahałam się. – Jest dość specyficzna.

– Ona nawet mnie wysłała do szkoły dla dziewcząt, czaisz? Takiej z mundurkami! Bo ubzdurzyła sobie, że to mi zapewni lepszy start. Okej, dobra szkoła, ja nie mówię, że nie, ale nie zapytała mnie o zdanie, a jednak wybierać liceum to każdy powinien sobie już sam, nie? Rozdzieliła mnie ze wszystkimi moimi znajomymi. Prochy to była zemsta. Żebyś ty widziała tę jej minę, jak mnie pierwszy raz jakieś dresy do domu odprowadziły! Bezcenna! – zaśmiała się gorzko Kasia.

– Ale to nie łatwiej było w jakiś inny sposób zwrócić tę jej uwagę? Wiedziałaś chyba, jakie konsekwencje niesie za sobą zażywanie narkotyków.

– Niby tak. Całe to neuroprzekaznictwo, pewnie, wiadomo: narkotyki to głównie powodujące takie zmiany w mózgu, że głowa mała i to dosłownie. Chciałam iść na medycynę, tak gwoli wyjaśnienia, więc wiem to wszystko, nie patrz na mnie takimi wielkimi oczami, jestem normalna. Ale wtedy byłam na nią taka wściekła za to, jak mnie traktuje, że albo prochy, albo podcięcie sobie żył.

Zatkało mnie.

– Tylko doszłam do wniosku, że sama sobie to bym podciąć nie mogła. Jednak spory ból, a ja nie mam zapędów psychopatycznych. To zaczęłam ćpać. Ale też, może ćpać to za dużo powiedziane. Tak okazjnie sobie jaraliśmy z chłopakami z bloków i tyle. To wszystko było kontrolowane, nigdy nie przesadziłam na tyle, żeby nie wiedzieć, co się ze mną dzieje. Nic się nikomu nie stało, poza tym, że matka małego padaczki nie dostała albo innego zawału serca. Gorzej to się chyba tylko przejmowała, jak od was wróciła niedawno z tymi spodniami zarzyganymi. Pomijając oczywiście fakt, że ją wszyscy z okolicy palcami zaczęli wytykać, że ma córkę narkomankę, a to chyba dla niej największa kara. Korona z głowy spadła. – Zaśmiała się Kasia, a mi zrobiło się jej bardzo, ale to bardzo szkoda.

Co prawda, podejrzewam, że te moje wahania nastrojów spowodowane są w sporej mierze comiesięcznymi zmianami hormonalnymi, ale powiedzcie sami, jak ma mi nie być jej szkoda. Taka mądra dziewczyna, a takie rzeczy. Świadomie wejść w świat używek i to takich, żeby zwrócić na siebie uwagę matki? Szok. Jakbym teraz dorwała tę całą Ludmiłę, to chyba bym jej normalnie natłukła! Doprowadzić takie mądre dziecko do takiego głupiego stanu! Ot, ironia, co?

Dalsze pogaduszki, na mniej męczące tematy, przerwał nam powrót chłopców ze sklepu, którzy, ku mojemu zaskoczeniu, wrócili nie tylko bez kakao, ale przede wszystkim bez dobrego humoru. No, przynajmniej ten starszy mężczyzna, bo Marcelowi to chyba było wszystko jedno, ponieważ od razu pobiegł przed telewizor, przy okazji włączając swój wiatraczek. W ten sposób trochę zredukował dokuczający mu upał.

– Co się stało?! – zapytałam zdziwiona.

– Sam chciałybym wiedzieć – westchnął tylko mój ślubny i ciężko opadł na krzesło w kuchni.

– Ludwik, do rzeczy! – zaniepokoiłam się, widząc go w takim stanie. Może i on mnie już nie kochał, to przykre, ale ja go jednak tak i od razu zaczęłam się martwić!

– Sklepowa nie chciała mi nic sprzedać – wyznał w końcu.

– Co?! – obie z Kasią spojrzaliśmy na niego żywo zainteresowane.

– Jak to?

– Oj, Zuzka. Nie denerwuj się, kortyzol szkodzi. – Spojrzał na mnie spode łba, a mnie jakby olśniło! Uwzięła się na Kasię na dobre, franca jedna i teraz będzie się na nas odgrywać.

– To przeze mnie? – zapytała natomiast dość obcesowo Kasia i posłała pytające spojrzenie najpierw mi, a potem zdenerwowanemu Ludwikowi.

– I tak i nie. – Ludwik rozłożył bezradnie ręce.

– Jakby ci to wytłumaczyć... – zawahałam się, chcąc ratować sytuację. – Nasza wieś dość specyficjnie podchodzi do nowych młodych ludzi, którzy prezentują odmienny sposób bycia od ich dzieci i ośmielają się wyróżniać.

– Nie rozumiem.

– Oj, Kasia, chodzisz w tych ćwiekach, na czarno, ładna jesteś, zadbana, to nie pasujesz im i tyle – bez ogródek wywalił prosto z mostu Ludwik, a ja posłałam mu mordercze spojrzenie. Chyba nie tak uczyli nas rozmawiać z dziećmi wielki panie pedagogu!

– I co, przez to, że u was mieszkam, będą się teraz na was mścić? Jak ta sklepowa i bibliotekarka? – uniosła się Kasia.

– Przejdzie im. – Uspokajająco skinęłam do niej głową, ale zignorowała to kompletnie i poszła na górę.

– Ale cyrk, co? – Spojrzałam na chowającego twarz w dłoniach Ludwika.

– Zaczęła mi się wygrażać, że dopóki u nas innowierczyni mieszka, to ona mnie do swojego sklepu nie wpuści i moja noga na jej podłodze nie postanie, bo ona z dziada pradziada katoliczka. Nawet nie dała mi nic wytłumaczyć, tylko razem z dzieckiem nas na oczach wsi za drzwiami wypchnęła – wyjaśnił

Ludwik, korzystając z okazji, że nie ma przy rozmowie Kasi.

– Nie jej wina – szepnęłam cicho.

– No pewnie, że nie jej, ale żeby nie było jak z tymi młodymi z Warszawy.

– Coś wymyślimy – westchnęłam ciężko, gdy w mojej głowie wymalowała się mroczna wizja izolacji społecznej, na którą zostaliśmy właśnie wystawieni.

– Nie martw się tym tylko, proszę – powiedział Ludwik i wstając od stołu, cmoknął mnie uspokajająco w czoło, w wyniku czego o mało się nie przewróciłam. Że co proszę on właśnie zrobił?!

– Łatwo ci powiedzieć, to nie ty pracujesz i mieszkasz tu od urodzenia.

– Może i nie, ale to ja jestem facetem i ja zamierzam wziąć to na klatę, tym bardziej, że chodzi o moją rodzinę. – Obdarzył mnie jeszcze szerokim uśmiechem i tym razem dosłownie zrobiło mi się ciemno przed oczami. Takie wyznanie to ja słyszałam ostatnio chyba na ślubnym kobiercu.

– Zabrzmiało rycersko – zauważyłam.

– Jak zawsze. – Ludwik wyszczerzył zęby

– Dobra rycerzu, zmykaj do dziecka, bo jeszcze traumatyczne wyrzucenie ze sklepu odbije się w jakiś negatywny sposób na jego małej psychice, a ja zmodyfikuję jakoś to ciasto. Najwyżej biszkopt będzie biały. Albo o, wsypię słodzone kakao, które pije Marcel.

– Ja się na garach nie znam – rzucił jeszcze Ludwik w bardziej typowy dla siebie sposób i przeszedł do salonu, gdzie rozciągnięty na sofie Marcel na dobre wbił wzrok w telewizor, nie okazując żadnych głębszych oznak dziecięcej traumy.

Oddychając z ulgą, że jednak mi w sklepie męża nie podmienili, a Marcela nie będzie trzeba wozić do psychologa, zabrałam się więc za miksowanie ciasta, do którego ostatecznie dodałam słodzone kakao Marcela. Gdy masa była gotowa, przelałam ją do obficie wysmarowanej margaryną blaszki i zdążyłam tylko wsunąć do nagrzanego piekarnika, gdy do moich uszu dobiegły głośne dźwięki przypominające dudnienie.

– Matko kochana, co jest? – W pośpiechu wytarłam ręce w ścierkę i rzucając ją na blat, przeszłam do salonu, w którym znajdował się równie zaniepokojony Ludwik.

– Sufit nam się na głowy nie wali – stwierdził, zupełnie nie odkrywczco, patrząc z niepokojem w górę.

– Jeszcze nie, ale brzmi tak, jak gdyby zaraz miał zacząć! No, co tak stoisz, rusz się! – Szturchnęłam tego mojego szlachetnego rycerza łokciem, aż w końcu ruszył ku schodom.

– Matko kochana, Kasia! – Stał jak wryty, a ja dołączyłam do niego już po chwili. Moim oczom ukazała się ubrana na czarno Kasia ściągająca ze schodów swoją potężną, wypchaną po brzegi walizkę.

– No co się tak patrzycie? – rzuciła tylko i kolejny raz szarpnęła walizką, Ta, upadając na niższy schodek, wywołała znajomy huk, którego przestraszyliśmy się przed momentem.

– Co robisz?! – zapytałam, chcąc przekrzyczeć kolejny huk.

– Jak to co, wyprowadzam się – powiedziała jak gdyby nigdy nic.

– Co?! – nie mogłam ukryć swojego zaskoczenia.

– Daj tę walizkę. – Ruszył natomiast do Kasi Ludwik i uwalniając ją od wielkiego, ciężkiego potwora, zaniósł bagaż z powrotem na górę, podczas gdy dziewczyna stała jak słup soli na schodach i patrzyła na mnie tępo.

– Co ci do głowy strzeliło? – zapytałam podenerwowana, gdy nadal nie wykazywała żadnych oznak normalnego funkcjonowania.

– Nie chcę, żebyście przeze mnie mieli problemy. – Wzruszyła ramionami i w końcu na mnie

spojrzała, prezentując przy tym wyjątkowo smutne oczy.

– Ale co ty gadasz, Kasiu, jakie problemy?

– Wujek powiedział przecież, że wieś się od was przeze mnie odwróciła!

– Ale to nie jest powód, dla którego miałabyś się od nas zaraz wyprowadzić! – Rzuciłam się do niej i czym prędzej porwałam jej wątłe ciało w ramiona. Ku mojemu zdziwieniu Kasia wtuliła się we mnie natychmiast i rozszłochała na dobre.

– Same przeze mnie zawsze kłopoty! – Załkała, szlochając w moje ramiona. Nie mogąc oprzeć się matczynej trosce, postanowiłam zaryzykować i pogłaskałam ją lekko po drżących plecach.

– Głupoty gadasz – szepnęłam cicho.

– Jestem beznadziejna. Nie nadaję się do ludzi.

– No chyba zgłupiałaś od tego słońca i upałów, naprawdę! – zachnęłam się i odsunęłam się od niej lekko, po czym spojrzałam jej prosto w oczy. – Nigdzie się nie wyprowadzasz, rozumiesz?

Kasia spojrzała na mnie smutno jeszcze raz, ale w końcu, ocierając łzy, pokiwała głową, wywołując u mnie tym samym ogromne uczucie ulgi.

– Może ewentualnie powinniśmy pomyśleć nad zmianą twojego wizerunku – wszedł nam w paradę schodzący z góry Ludwik, co spotkało się z dziwnym spojrzeniem Kasi.

– No co, żyjemy na prowincji – wzruszył ramionami mój mężczyzna. – Cała na czarno chodzisz ubrana, to ludzie przypięli ci łątkę dziewczyny z sekty, która chce podstępem zdemonizować im dzieci.

– Naprawdę ludzie jeszcze tak myślą? – Popatrzyła tym razem na mnie, żywo zaskoczona.

– Niestety. Mentalność ludzi na wsi nie zmieniła się tak bardzo jak u was, w wielkim mieście.

– Ale to przecież... normalnie średniowiecze – wydusiła przez ściśnięte gardło. – Tyle krzyku przez to jak się ubieram? – Pokiwała z niepokojem głową. – Totalna paranoja. Totalna – wymamrotała jeszcze, po czym odsunęła się od nas nieco. – No dobra, nie ma co. Pójdę się z powrotem rozpakować, dzięki – rzuciła jeszcze tylko, ruszając na górę.

Ludwik natomiast spojrzał na mnie rozbawiony i poszliśmy na dół.

– Mam nadzieję, że nie ze wszystkimi nastolatkami są takie problemy – szepnął do mnie, gdy znowu znaleźliśmy się w kuchni. – Jak Marcel taki będzie, to nasze schody mogą tego nie wytrzymać.

– Oj, kochany, jeszcze byś się zdziwił. – Roześmiałam się cicho.

– Nasze na pewno takie nie będą – uparł się jednak mój ślubny i wskazał głową na Marcela. – No popatrz, jaki spokojny i grzeczny. Aniołek. Jakby go nie było.

Przez moją głowę przeleciały nagle tysiące scen, w których Marcel zupełnie nieświadomie wyprowadzał mnie z równowagi, malując nasze ściany w sypialni, na przykład.

– Nie mów hop, kochany, nie mów hop – wyrwało mi się jakoś tak samoistnie, ale musiałam się w końcu uśmiechnąć. Sytuacja z Kasią została opanowana, a ciasto mojemu ślubnemu wyjątkowo smakowało. I chociaż nie miało to żadnego przełożenia na nasz późniejszy wieczór, ponieważ wpadli do nas, dla odmiany, koledzy Ludwika, i tak czułam, że było jeden zero dla mnie. A może nawet i dwa?

Rozdział 10

Jeśli wydawało mi się wcześniej, że nasza romantyczna wycieczka nad jezioro i specjalnie upichcone przeze mnie ciasto w jakikolwiek sposób rozwiążą problem z nieustannym brakiem Ludwika w domu, to już dwa dni później okazało się, że byłam w wielkim błędzie. Nie wiem, czy większym, jeśli chodzi o myślenie, że gorzej już być nie może, czy w kwestii tego, że ta wyprawa cokolwiek między nami zmieni. Mój ślubny tak samo jak i wcześniej po prostu mnie zaniedbywał, czego największym dowodem było to, że zapomniał o naszej rocznicy ślubu i wybrał się tego dnia na długą, wieczorną eskapadę ze swoim Piotrusiem. Wtedy czara gorzycy znowu się przelała i postanowiłam ponownie wziąć sprawy w swoje ręce.

A zaczęłam już następnego dnia i to zupełnie niewinnie, bo od nieobudzenia mojego męża do pracy. Z racji tego, że dzieciaki z zerówki miały dziś na dziewiątą, a potem przychodził do nich ksiądz na religię, ja zaczynałam pracę dopiero o dziesiątej, podczas gdy mój ślubny normalnie, to znaczy, o ósmej. Kasia spała sobie w najlepsze, Marcela szlachetnie odwoziłam do szkoły, a sama zaszyłam się w salonie z podartymi skarpetkami pierwородnego do cerowania i w napięciu nasłuchiwałam jakichkolwiek oznak życia ze strony Ludwika.

Przez pierwsze pół godziny bezskutecznie. Mój ślubny spał jak kamień. W tym czasie zdążyłam opróżnić filiżankę herbaty i zacerować wszystkie skarpetki. Ba. Nawet wstawić pranie. Udało mi się też w porę wyciszyć dzwiek w jego telefonie, kiedy zadzwonił do niego, jak znam życie, rozjuszony do granic możliwości dyrektor, a nie było to łatwe, kiedy biega się w rajstopach z lycrą po mozolnie wypastowanej przez siebie podłodze.

O dziewiątej piętnaście w końcu coś usłyszałam, ale okazało się, że to wstała Kasia. Już po paru chwilach od pierwszych dochodzących z góry odgłosów pojawiła się w kuchni i zaczęła sobie robić śniadanie, przez co trochę się zaczęłam o tego mojego ślubnego niepokoić. A jak mu się coś stało? Jednak całkiem sporo ludzi we śnie umiera. Może by jednak iść go obudzić?

– A co ty siedzisz tak cicho? – oderwała mnie od tych moich rozterek Kasia. – Zawsze jak jesteś w kuchni, to gra radio. Coś się stało? – zapytała z nieudawaną troską, wyciągając z lodówki jogurt.

Pokręciłam głową, chociaż nie powiem, zrobiło mi się dość miło, że ktoś w tym domu dostrzega takie rzeczy.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Myślę sobie po prostu i potrzebuję ciszy.

– A o czym? – podchwyciła temat. – Może byśmy mogły o tym podyskutować? Bo wiesz, ja chętnie. Chodziłam kiedyś na terapię to mniej więcej wiem, na czym polega takie dyskusowanie o problemach. Myślałam nawet kiedyś o tym, żeby się tym zająć w przyszłości, ale nie pykło... To jak?

– Och... Nie, chyba nie – westchnęłam, z niepokojem zerkając ku górze. – Nie gniewaj się Kasiu, ale ja muszę sama sobie pomyśleć. I w ciszy. Bo rozmyślam o małżeńskim życiu, a ty chyba jeszcze jesteś na takie przemyślenia za młoda.

Kasia spojrzała na mnie spode łba, ale nic już nie powiedziała. Widać miała mnie teraz za wariatkę albo po prostu nie chciała przeszkadzać w tym moim myśleniu. Nalała sobie tylko kubek gorącej herbaty, a potem z jogurtem w jednej i piciem w drugiej ręce ruszyła na górę.

– Kasia! – zdążyłam jednak krzyknąć do niej szeptem, zanim weszła na schody. – A mogłabyś włączyć teraz tę swoją muzykę? – zapytałam cicho, przez co o mało nie zaczęła się dusić połykanym właśnie haustem herbaty.

– Chcesz, żebym włączyła metal? – udało jej się w końcu wykrztusić, kiedy przestała kaszleć. – Jeszcze wczoraj krzyczałaś, że jak jeszcze raz to gównu usłyszysz, to mnie z domu wyrzucisz razem z tą całą muzyką i nie pomoże mi nawet, że jesteśmy z Ludwikiem rodziną. Zuzka, ty się dobrze czujesz? Na pewno?

– Oj, dobrze się czuję i jeszcze nie jest ze mną tak źle, żebym nie pamiętała, co wczoraj mówiłam. – Rozwiałam obawy Kasi co do początków mojej starczej demencji. – To jest po prostu sytuacja... – zawahałam się. – No... Awaryjna – znalazłam w końcu dobre słowo.

Kasia spojrzała na mnie podejrzliwie.

– A nie próbujesz mnie czasem podstępem sprowokować do złamania twoich zasad, a potem wyrzucić z domu?

Tym razem to ja popatrzyłam na nią z konsternacją. Od zawsze powtarzam, że najgorzej jak dziecko jest za mądre!

– Kaśka, na litość boską, co ty opowiadasz? – jęknęłam. – Nikt cię stąd nie będzie wyrzucał, bez obaw. Ja chcę żebyś mi tylko pomogła. Po prostu.

– Metalem? – zapytała, tak dla pewności.

Pokiwałam głową.

– Aha. Ludwik zapomniał o naszej wczorajszej rocznicy ślubu i mam dzisiaj dzień zemsty. Nie obudziłam go rano do pracy i jest już dwie godziny spóźniony. Co jak co, ale zemsta też ma swoje granice i lepiej, żeby jednak wstał, zanim dyrektor wpadnie tu z młotkiem i jeszcze go zabije. Spóźnić się to co innego, niż wcale nie iść do pracy. A może mu się coś w tym śnie stało, że tak długo nie schodzi? Weź go obudź, tak niby przypadkiem. Żebym nie wyszła na jakąś całkiem złą i okrutną, co?

Kasia trawiła przez chwilę moje słowa, ale w końcu wsadziła do ust kolejną łyżeczkę jogurtu i kiwając głową na znak solidarności, poczłapała na górę, skąd już za moment dobiegła do moich uszu ciężka, metalowa muzyka, a zaraz po niej głośny łomot z okolic naszej sypialni.

Zaniepokojona tym odgłosem nie na żarty, bo jeszcze tego mi było trzeba, żeby Ludwik zdemolował nam dom, natychmiast pobiegłam na górę i zastałam mojego ubranego w piżamkę ślubnego, który z przerażoną miną podtrzymywał stojący obok łóżka regał. Na podłodze leżała natomiast potłuczona moja ulubiona lampa, na widok której nie mogłam nie wydać z siebie bolesnego jęku.

– Co ty wyprawiasz?! – z wściekłością zwróciłam się do mojego ślubnego, który nie przestawał podtrzymywać stojącej stabilnie szafki, robiąc z siebie przy tym błazna.

– Jak to co, Zuzka? – Spojrzał na mnie przerażony. – Dom nam się wali na głowę, to regał trzymam. Żeby na nas nic z góry nie spadło.

– A co ci pomoże przy zawaleniu domu trzymanie regału? Jak to marnej jakości drewno pod naporem gruzów zostanie zgniecione razem z tobą? Zresztą... Nic się przecież nie wali. Coś ci się uroiło.

Ludwik zerknął to na mnie, to na nasz całkiem nieźle trzymający się sufit.

– Nie? – zapytał, nie puszczając jednak regału.

– Nie – oświeciłam go łaskawie i rzuciłam się do stratowanej przez niego lampki. – Kasia sobie tylko muzykę włączyła. Puśćże w końcu do cholery tę szafkę, bo mi książki wepchnałeś głębiej i stoją teraz nierówno! – zganiłam go, biorąc do ręki kawałki potłuczonej porcelany. A taka ta lampka była piękna. Gdzie ja teraz podobną kupię?

– Ale Zuzka, czemu Kasia słucha muzyki w środku nocy? I czemu ty z tym nic nie zrobiłaś? I czemu ty sama nie śpisz? – Odsuwając się łaskawie od regału, zaczął powoli wracać do rzeczywistości

Ludwik. – Matko kochana, Zuzka! – pisał w końcu przerażony. – Która jest godzina?!

Za moimi plecami rozległ się cichy śmiech rozbawionej całą tą sytuacją Kasi.

– Wpół do dziesiątej – obwieściła mojemu ślubnemu za mnie, dzięki czemu swobodnie mogłam obserwować, jak twarz Ludwika przechodzi przez wszystkie możliwe odcienie czerwieni.

– Przecież ja dziś miałem na ósmą – bąknął tylko i spojrzał na mnie z wyrzutem, a mi autentycznie zrobiłoby się go szkoda, gdyby zaraz nie krzyknął, że go nie obudziłam.

– A co to jest, mój obowiązek budzić cię do pracy? – odparowałam, wstając z podłogi. – Jesteś dorosły, masz prawo wstawać, kiedy ci się tylko chce – dorzuciłam dla zaognienia atmosfery i nie zwracając uwagi na to, jak z furią zaczyna wyrzucać z szafy kolejne ubrania, wymaszerowałam z sypialni, a za mną rozbawiona Kasia.

– Trochę się wkurzył, nie? – szepnęła, kiedy zeszyliśmy na dół po wyłączeniu przez nią tej szatańskiej muzyki.

Wzruszyłam ramionami dokładnie w momencie, w którym purpurowy na twarzy Ludwik chwycił spod lustra swoją teczkę i trzaskając drzwiami, wybiegł na podwórko.

– Należało mu się – mruknęłam do Kasi, zerkając zza firanki, jak mój ślubny miota się wokół samochodu, a potem wraca po buty, bo uprzytomnił sobie, że wyszedł do pracy w kapciach. – Może przez to wszystko sobie uświadomi, o czym wczoraj zapomniał. Chociaż znając jego dyrektora, to nie będzie miał na to zbyt wiele czasu, bo przez cały dzień będzie słuchał jego upomnień.

– Naprawdę w to wierzysz? – odgryzając kawałek jabłka, zapytała mnie Kasia. – Mnie się wydaje, że on się bardziej na ciebie obrazi, niż zjawi tutaj potem z kwiatami.

Spojrzałam na nią rozbawiona.

– Oj, moja droga. Jak ty jeszcze życia nie znasz. My już z Ludwikiem to kiedyś przerabialiśmy, tylko, że wtedy zapomniał o moich urodzinach. Wtedy też go rano nie obudziłam do pracy a w dodatku schowałam mu kluczyki od samochodu i nie miał czym pojechać. Biedaczek wybiegł na drogę w swoich kraciastych gaciach, w których zwykle latał z wykrywaczem metali i rozpaczliwie machał do ludzi, chcąc złapać okazję. On doskonale wie, dlaczego spotkało go dzisiaj to, co spotkało. Zresztą... – uśmiechnęłam się, zarzucając sobie na ramię swoją szkolną torbę. – Dzisiaj i tak byłam dla niego całkiem łaskawa. Kluczyki leżały przecież na swoim miejscu.

– Jak tak na was nieraz patrzę, Zuzka, to odechciewa mi się zamążpójścia – skomentowała nasz dzisiejszy poranek Kasia, w wyniku czego nie mogłam się nie roześmiać.

– Och, daj spokój. Wcale nie jest tak źle – rzuciłam, przesuwając się powoli do wyjścia. – Aha, Kasia! – przypomniało mi się jeszcze przy drzwiach. – Czy mogłabyś wyjąć z pralki pranie i rozwiesić na zewnątrz? W tym słońcu to wyschnie raz dwa.

– Jasne, nie ma problemu.

Uśmiechnęłam się do niej w podziękowaniu.

– Tylko nie zdziw się proszę, jak wyciągając je z bębna, zobaczysz, że dwie ulubione koszule Ludwika zrobiły się nagle różowe – uprzedziłam ją tylko i z uśmiechem na ustach powędrowałam do szkoły.

– A co ten twój Ludwik tak dziś biegał wokół samochodu jak wściekły? – zagadnęła mnie przecierająca przy wejściu szyby Beatka. – Zamiatałam właśnie chodnik przed szkołą, gdy wybiegł z domu w samych kapciach, a potem, wyjeżdżając, o mały włos nie wpakował się autem pod jadący samochód. Coś się stało? Ktoś jest chory?

Uspokajająco dotknęłam jej przedramienia.

– E tam, zaraz stało. Zapomniał o naszej rocznicy ślubu i tyle.

Na usta Beaty wypłynął złowieszczy uśmieszek.

– Znowu go nie obudziłaś?

– Aha. Cały ranek filowałam przy jego telefonie, żeby jego dyrektor tego nie zrobił..

– O której wstał?

– Sam to spałby pewnie do południa. Poprosiłam Kasię, żeby włączyła swój metal.

– Zdziałało?

– Ba, moja droga. I to jak! Tylko łapiąc regał, zbił mi ulubioną lampkę stojącą przy łóżku. No ale cóż. Małżeństwo wymaga poświęceń.

– A po co, u diabła, łapał ten regał? – zdziwiła się Beatka.

– Szczerze, to nie wiem. Podobno uroił sobie, że wali się nasz dom.

– Oj, Zuzka, Zuzka – Beata pokręciła głową. – Miałaś ten wasz związek ratować, a nie jeszcze go psuć.

Spojrzałam na nią wymownie.

– No przecież ratuję.

– Mszcząc się na własnym mężu?

– A, kochana! – zauważyłam radośnie. – To nie żadna zemsta tylko znak.

– Znak? Ja cię, Zuzka czasem nie rozumiem.

– Bo widzisz, on to moje dyskretne przypomnienie o naszej rocznicy na pewno trafnie odczyta, a potem wróci do domu i zacznie mnie przeproszać. Spędzimy sobie upojny wieczór w zaciszu naszej sypialni, więc finalnie wyjdzie na moje. A o to przecież mi chodzi, prawda? Będzie wino, truskawki, romantyczna muzyka... Tylko szkoda, że to wszystko nie wczoraj – pospieszyłam jej z wyjaśnieniami, a potem poszłam na lekcje, po których, rzeczywiście, czekała mnie miła niespodzianka. Mój ślubny, tak jak założyłam, zrozumiał swój karygodny błąd i przyszedł pod szkołę z bukietem kwiatów.

– Trochę spóźnione, ale wszystkiego najlepszego kochanie – powitał mnie, kiedy wyszłam na zewnątrz. – To dla ciebie. – Wręczył mi okazałe naręczce czerwonych róż. – Przepraszam, że zapomniałem.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

– Och, nic nie szkodzi – udałam niewiniątko i pozwoliłam mu się przytulić. – Liczy się gest.

– A tę lampkę nocną to ja ci, Zuzka odkupię, nie musisz się przejmować. – Cmoknął mnie pojednawczo w policzek, a potem ujął za rękę i ruszyliśmy spacerkiem w stronę domu. – Tylko błagam, nie rób mi tego już więcej. Cały dzień przez ciebie słuchałem jak to dyrektor mojego gimnazjum ceni punktualność u swoich pracowników.

Chociaż bardzo się starałam nie roześmiać, nie udało mi się tego uniknąć.

– To ty nie zapominaj o ważnych dla nas datach i nie zmuszaj mnie do ostateczności – zauważyłam, uśmiechając się do mijającej nas sąsiadki. – No ale dobrze, koniec zemsty. Wybaczone. – Dałam się udobruchać i postanowiłam o tych różowych koszulach chwilowo nie napomykać.

– Cieszę się. – Przyciągnął mnie bliżej, kiedy przekroczyliśmy furtkę prowadzącą na nasze podwórko. – A żeby ci jeszcze bardziej udowodnić tę moją radość, to poprosiłem Kasię, żeby zajęła się małym, a my będziemy mieli chwilę dla siebie – wymruczał mi do ucha.

– Poważnie? – zdziwiłam się.

– Aha. – Ludwik uśmiechnął się i gdy tylko weszliśmy do domu, pociągnął mnie w stronę sypialni.

Nie zdążyłam się jednak tą naszą chwilą intymności nacieszyć, bo gdy tylko opadliśmy na łóżko, rozzwonił się mój telefon.

– Nie odbieraj – wyszeptał Ludwik z ustami tuż przy moim uchu. – To może poczekać.

Spojrzałam na niego tęsknie. Tak przykro było się od niego odrywać i to w takiej chwili, bo doskonale wiecie, że nie zdarzają nam się zbyt często, ale miałam przecucie, że ten telefon niesie za

sobą coś ważnego.

– A jak nie? – zapytałam, wyswabadzając się z jego objęć i wyciągnęłam z torebki komórkę.

Nie myliłam się. Dzwoniła Kasia.

– Słuchaj, Zuzka, wiem, że wy chcieliście pobyć teraz sami, ale mamy tutaj z Marcelem mały problem. Właściwie, to nawet nie mały. Wybraliśmy się nad rzekę, tak jak nam radził Ludwik i małego coś strasznie pogryzło. Nie wzięliśmy żadnego sprayu, a tutaj tyle komarów. Aż cała ręka mu spuchła. Nie wiem, może on ma jakąś alergię...

Słyszając ostatnie słowa Kasi, poczułam, że robi mi się słabo. Mój romantyczny nastrój przysłabł momentalnie. Przecież tu trzeba pędzić ratować nasze dziecko, a nie się obściskować!

– Gdzie jesteście? – wychrypiałam ściśniętym z przejęcia głosem. – Zaraz po was jedziemy.

– Tutaj, nad rzeką. Nie wiem, przy mostku, jakiejś tamie. Wiesz, gdzie to?

Pokiwałam głową.

– Wiem. Zaraz wsiadamy w samochód, jesteście i jedziemy na pogotowie – wyrzuciłam z siebie na jednym tchu, przez co Ludwik też zbladł i spojrzał na mnie przerażony.

– Ale to jeszcze nie wszystko – Kasia kontynuowała. – Jak zaczęłam od niego odganiać te komary, to się potknęliśmy oboje i wpadliśmy do rzeki.

– Matko kochana...

– Nie, nie. Spokojnie. Jesteśmy cali. Musisz nam zabrać tylko jakieś ręczniki i ubrania. Możesz?

Głośno przełknęłam ślinę.

– Oczywiście, że tak. Nie ruszajcie się nigdzie. Zaraz jesteście – rzuciłam jeszcze tylko i w pośpiechu zaczęłam się ubierać.

– Musimy jechać z małym na pogotowie. Są nad rzeką. I mokrzy. Cholera jasna! – dramatyzując, zwróciłam się do męża. – Jak ty mogłeś wysłać ich nad rzekę kretynie, skoro wiesz, że jak Marcela pogryzie komar, to zaraz puchnie?! Podobno cała chmara go pogryzła. I jeszcze wpadli do rzeki! A jakby się utopili?! Ty to naprawdę nie masz za grosz rozumu. I czemu tak stoisz?! – wrzasnęłam, drżącymi dłońmi zapinając guziki u bluzki. – Idź, znajdź jego książeczkę zdrowia, a ja wezmę jakieś ubrania i ręczniki!

Ludwik momentalnie zrozumiał swój błąd i nie protestując, natychmiast pognął po dokumenty. Finalnie całe popołudnie spędziliśmy czekając na lekarza, a potem zabawiając cierpiącego z bólu Marcela. Jeśli więc chodzi o romantyzm i rozsądek mojego męża, sami widzicie, kolejny raz przekonałam się, że na niego nie ma co liczyć. Siedząc w salonie i oglądając znany na pamięć odcinek bajki o Kubusiu Puchatku, doszłam do wniosku, że chyba powinnam sobie odzyskiwanie jego uwagi po prostu darować, bo nijak mi to nie wychodzi. Jak nie zwraca na mnie uwagi, źle, ale jak ją na mnie zwraca, też niedobrze, a może jeszcze i gorzej, bo same z tego nieszczęścia. A mówi się, że życie po ślubie jest prostsze! Nic bardziej mylnego, jak widać na załączonym obrazku. Zupełna katastrofa. Chociaż może i nie? Sama nie wiem.

Dobra wiadomość tego dnia była tylko jedna: na całe szczęście żaden z naszych niedoszłych topielców nie przeziębził się. Z doświadczenia wiem, że z pogryzieniami łatwiej sobie poradzić niż z gorączką.

Rozdział 11

Jeden z pierwszych dni czerwca upłynął mi w pracy wyjątkowo spokojnie. Dzieciaki w szkole bawiły się tak grzecznie, że momentami musiałam mocno zastanawiać się, czy ktoś przypadkiem nie podmienił mi grupy. Sprzątanie zabawek też odbywało się błyskawicznie, a kolorowanki, w przeciwieństwie do zwykłych dni, nie zostały pomazane, lecz starannie pomalowane kredkami nawet przez największe leniwce.

– No, no, moi kochani! – Zaklaskałam w dłonie pod koniec zajęć, gdy dzieciaki zdążyły odwrócić swoje małe krzeselczka i położyć je na ławkach. – Muszę was dziś pochwalić. Byliście super, ale to super grzeczni! – powiedziałam, by po chwili usłyszeć tabun dzikich koni tupiących i krzyczących z zachwytem.

– Pani też była grzeczna! – wyrwało się Adasiowi w moją stronę.

– Dziękuję ci, kochanie. – Zaśmiałam się i podeszłam do drzwi. – A teraz schodzimy na dół. Tylko grzecznie! – zastrzegłam. – Żadnego biegania po schodach i przepychania – dodałam i zgasiłam światło. Tupot kilkunastu małych stópek zlał się ze stukotem moich obcasów, gdy schodziliśmy na dół, gdzie czekała na mnie wielka niespodzianka.

– Dzień dobry! – wykrzyknęła do mnie czekająca przed szkołą Anka, której towarzyszyła śpiąca w wózku Zośka ubrana tym razem jak mała, pasiasta pszczołka.

– Cześć! – Pomachałam jej, schodząc ze schodów razem z kilkorgiem uczniów. – Co tu robicie? – Uściskałam Ankę i zajrzałam do wózka. Mina śpiącej Zosieńki i jej zaciśnięte powieczki rozanieliły mnie w jednym momencie.

– Czekamy na ciebie. Masz ochotę na spacer?

– Tylko pod warunkiem, że dasz mi wczuć się w rolę młodej matki i prowadzić wózek. – Zaśmiałam się. – Liczę też, że będę mogła włożyć gdzieś to – uniosłam znacząco reklamówkę wypchaną kolorowym papierem i dokumentami, którymi obdarowała mnie hojnie pani dyrektor, ale o tym później. – Trochę ciężkie.

– No tak, nie możesz się przemęczać, skoro na chwilę zamieniamy się rolami – Anka spojrzała na mnie z ukosa, powodując, że głośno się zaśmiałam.

– Och, dziękuję, że o nas myślisz – odpowiedziałam jej roześmiana i płynnie przejęłam od niej kolorowy wózek ze śpiącą Zosią. – Dokąd idziemy?

– Myślałam, że możemy przespacerować się w stronę lasu. Małej przyda się trochę świeżego powietrza, a tamtą drogą prawie nikt nie jeździ, więc będzie cicho i bezpiecznie.

– Czemu nie! – zgodziłam się na ten pomysł i wykręciłam wózkiem, by zawrócić w stronę bramy wyjazdowej ze szkoły, starając się nie obudzić przy tym Zośki.

– Jak radzicie sobie z Kasią? – zagadnęła Ania, gdy zrobiłyśmy już kilka kroków poza terenem szkoły. Skierowałyśmy się w stronę małego zagajnika, który przecinał wąły strumyczek szemrzący leniwie i kojący zmysły, szczególnie w tak ciepłe dni.

– Przyznam ci, że ostatnio miło mnie zaskakuje, chociaż przez wojnę, którą wydała nam wieś, nie do końca potrafi się tu odnaleźć.

– Co masz na myśli? – zdziwiła się Anka.

– Lena na nią napadła w bibliotece, poza tym Kasia usłyszała skargę Ludwika, że nasza sklepowa nie chciała sprzedać mu niczego w sklepie. Mało tego, pani Halina jeszcze go stamtąd wyrzuciła.

– Myślisz, że powtarza się scenariusz znany z przykładu z warszawiakami? – przejęła się moja

siostra.

– Być może.

– Co na to Ludwik?

– Jak to co, wkurzył się, ale nie odpowiedział nic sklepowej, chcąc uniknąć awantury na środku wsi. Poza tym był z nim akurat Marcel, więc co on mógł przy dziecku? Na razie będzie robił zakupy po pracy w Sosenkach, a z czasem pewnie wszystko przycichnie i wróci do normy.

– Oj, Zuzka, Zuzka. – Anka pokręciła głową. – Kto by pomyślał, że w dwudziestym pierwszym wieku ludzie potrafią wbić sobie do głowy jakąś głupotę i trzymać się jej tak mocno, żeby mścić się na całej rodzinie.

– Taki lokalny folklor, nie? – uśmiechnęłam się słabo, pchając do przodu wózek. – Nie ma co walczyć z całą wsią, a zamiast szarpać sobie nerwy, lepiej przeczekać, prawda? Prędzej czy później wszystkim im przejdzie.

– Może i do nas kiedyś dotrze cywilizacja i myślenie ludzi z Zachodu – podsumowała filozoficznie Anka.

– Ale chyba nie o tym chciałaś rozmawiać, co? – przerwałam chwilę ciszy, która zapanowała po ostatniej wypowiedzi siostry. Zosia przeciągnęła się natomiast w wózek, rozczulając mnie tym samym do granic możliwości. Jej małe rączki zacisnęły się w piastki i wylądowały tym razem nad głową, a powieczki uniosły się na chwilę, by zaraz ponownie się zamknąć.

– Ano nie – przyznała zgodnie z prawdą Anka. W oddali widziałyśmy już zagajnik i mostek przecinający strumyk.

– Więc? – nacisnęłam na nią trochę mniej subtelnie.

– Jerzy dostał propozycję pracy za granicą. Proponują mu półroczny kontrakt i naprawdę dobre zarobki. Poważnie zastanawiamy się nad tym, czy go nie przyjąć. Wiesz, jak słabo u nas ostatnio z pieniędzmi, a nowe dziecko to też, nie ukrywajmy, jednak kolejne wydatki. Każdy przyptyw gotówki się przyda, a u nas ma ostatnio tak mało zleceń.

– No tak. Od kiedy miałyby jechać?

– Od początku przyszłego miesiąca. Proponują mu nawet służbowe mieszkanie.

– Ale nie chcesz mi chyba powiedzieć, że... – Spojrzałam na Ankę zaniepokojona wizją nagłej utraty siostry.

– Nie, nie, spokojnie. Wyjazd całą rodziną nie wchodzi nawet w grę, nie ma mowy. Dzieci są za małe, ja nie znam języka, poza tym jest przecież jeszcze mama. Kto miałby na nią oko przez cały dzień? Wiesz przecież, jaka ona potrafi być roztrzepana. Trzeba pilnować ją z lekami jak małe dziecko, a skoki cukru zdarzają jej się ostatnio coraz częściej. Lekarz zalecił nawet przejście na insulinę.

– A ona?

– No co, jak to mama. Nie zgodziła się. Stwierdziła, że nie będzie się kłuć i tyle. Co on mógł w takiej sytuacji. Uparła się i już – westchnęła Ania.

– Rozumiem, że jeśli chodzi o wyjazd Jurka to podjęliście już decyzję, tak? – Spojrzałam na nią pytająco, choć z tonu głosu mogłam wywnioskować, że przykro jej na samą myśl o wyjeździe męża. Ania z Jerzym, odkąd tylko dziesięć lat temu wzięli ślub, nie rozstawali się nawet na kilka dni, a tu mowa o sześciu miesiącach! Byli jak papużki nierozłączki i przyznam, że ciężko było mi sobie ten jego wyjazd wyobrazić. Oczywiście, gdyby nie fakt, że wiedziałam, iż ostatnio naprawdę im się nie przelewa i przydadzą się każde pieniądze.

– Pojechał dziś do miasta załatwiać ostatnie dokumenty – powiedziała smutno Ania, a w jej głosie było coś takiego, co od razu ścisnęło mnie za serce.

– Nie martw się, pół roku szybko zleci, a masz przecież nas. – Spróbowałam chociaż trochę ją rozweselić, choć doskonale wiedziałam, że moje wysiłki nie przyniosą żadnego skutku. – Jeśli będzie ci bardzo źle, zawsze możesz przecież przyjść do mnie i się wygadać.

– Kocham cię, Zuzka, ale wiesz, że nie o to chodzi – Anka kolejny raz potarła dłońmi swoje ramiona. – Co innego wychowywać dwójkę dzieci i opiekować się matką, mając u boku męża, a co innego być z tym wszystkim sama.

Tym razem to ja westchnęłam w odpowiedzi. Doskonale rozumiałam jej obawy. Dopiero co urodziła się Zosia, a Jurek stracił poprzednią pracę. Z samych pieniędzy z tytułu jej urlopu macierzyńskiego nie byli w stanie się utrzymać, a pojawienie się nowego dziecka zwiększało wydatki i to bardzo. Do tego mama i jej skoki cukrzycowe. Ech. Nie wyglądało to dobrze. Gdybym ja była na jej miejscu...

Nie. Nie byłam sobie tego w stanie nawet wyobrazić. Rozłąka z Ludwikiem na pół roku? Nawet gdy nie było go tylko przez weekend, bo wyjeżdżał z powodu jakiegoś szkolenia, dostawałam kota i dochodziłam do wniosku, że problemy mnie przytłaczają. Może i we współczesnym świecie promuje się wizerunek niezależnej kobiety sukcesu, ale ani ja, ani Anka nie pasowałyśmy to tego schematu. Facet to facet. Niby świnia, ale jak go nie ma, to gorzej, niż jak jest!

– Więc rozumiesz sama, że wcale nie jest mi do śmiechu. No, ale co ja ci będę, Zuzka, opowiadać, skoro jak sama mówisz, masz swoje problemy. – Anka spróbowała niemrawo się uśmiechnąć. – Swoją drogą, wiesz, że ta twoja Kasia od rana siedzi dziś z matką w ogrodzie i nawet się nie zająknie, pomagając jej przy tych różach? Aż miło popatrzeć.

– No proszę. Nie wiedziałam, że finalnie umówiły się na to kopanie w ziemi na dziś.

– Mama chodziła podekscytowana na samą myśl o tym, odkąd tylko Kasia zgodziła się na tę jej szaloną propozycję. Kto by pomyślał, że tak się dogadają?

– Rzeczywiście. – Nie sposób było się nie zgodzić z Anką. Ten duet od początku wydawał mi się tak wybuchowy, jak żaden inny do tej pory. – Ale może i dobrze, co? Mama ostatnio nie wychodzi do nikogo i nigdzie poza kółkiem różańcowym. Przyda jej się młody duch u boku – stwierdziłam i nachyliłam się do kręcącej się Zosi, by poprawić cieniuchną pieluszkę, którą była przykryta, z obawy przed atakującymi insektami tylko czyhającymi na jej pulchniutkie nóżki.

– Powinnyśmy już chyba wracać. My tu gadu-gadu, a niedługo dzieci wrócą ze szkoły – gdy doszliśmy w końcu do upragnionego zagajnika, rzuciła Anka. Zawróciłyśmy na mostku.

– Oby, oby. Bo mój Marcel ostatnio nie ma ochoty stamtąd wcale wracać – rzuciłam mimochodem, pchając wózek tym razem pod słońce.

– Co masz na myśli?

– Doszła do nich do grupy pod koniec semestru jakaś Ulka, którą mój synuś jest po prostu oczarowany. Wyobraź sobie, że ostatnio pół dnia rysował dla niej laurkę, a później, gdy zaczęło się już ściemniać, prosił Ludwika, by zawiózł go do Ulki z laurką, bo musi dać jej ją natychmiast.

– Rośnie ci mały Romeo. Jednak coś w tym jest, że teraz miłość rozkwita wśród nastolatków w coraz to wcześniejszym wieku.

– Hola, hola! – Uniosłam w górę ręce, gdy udało mi się choć trochę rozpromienić smutną do tej pory twarz Anki. – Jaka miłość? Jakie nastolatki? Marcel ma niecałe cztery lata i błagam cię, nie zapominaj o tym.

– Ach, ten wasz owocny finał oblewania pracy magisterskiej – nie zdołała sobie odmówić złościwości Anka, pamiętając doskonale, jak przesadziłam tamtego wieczoru z alkoholem i poszłam z Ludwikiem na całość w jednej z klubowych toalet.

– Daruj sobie, moja droga. Przez tyle lat zrozumiałam, że po prostu zazdrościsz mi tamtej pikantnej

nocy – zachnęłam się, mrużąc oczy i spojrziałam na starszą siostrę ironicznie.

– Gdyby było czego zazdrościć, to może owszem. Swoją drogą, nie było ci tak do śmiechu, kiedy następnego ranka obudziłaś się w akademiku skacowana i nie pamiętałaś nawet, że to się stało. W toalecie. W jakimś obskurnym klubie. – Zaśmiała się, a mnie na samo wspomnienie tamtego poranka rozboleła głowa.

Rzeczywiście, nie było mi wtedy jakoś wyjątkowo miło, a spółczenie naszego pierwородnego nie odbyło się w zaskakująco estetycznych albo chociaż sterylnych warunkach.

– Anka, na litość boską! – Szturchnęłam ją w ramię, nie przestając się jednak uśmiechać. – Nie przy dziecku! – spojrziałam wymownie na śpiącą słodko Zośkę, która w odpowiedzi przekręciła główkę na drugą stronę.

– Oj, nie udawaj takiej cnotliwej, siostrzyczko. To w końcu nie twój facet wyjedzie na pół roku i to nie ty będziesz musiała cierpieć. Muszę jakoś wyładować swoją frustrację, a ty od lat jesteś moją ulubioną ofiarą.

– Nie da się ukryć – mruknęłam tylko pod nosem, przypominając sobie, jak Anka wyżywała się na mnie już w dzieciństwie.

Po jednym z takich sensacyjnych, siostrzanych starć została mi blizna na górnej wardze tuż przy kąciku ust. Jak powstała? Moja starsza siostra kazała mi zejść z drzewa, rzekomo bojąc się, że spadnę. A kiedy ja, zawzięta i uparta, nie chciałam wykonać jej polecenia, bez zastanowienia złapała leżący jak najbliżej niej największy kamień i perfekcyjnie wycelowała nim w moją twarz.

Na szczęście historia skończyła się tylko na krwawieniu z przeciętych ust i trzech szwach okraszonych morzem łez, ale ja do tej pory wypominam Ance całe zdarzenie. Zawsze kończę konkluzją, że widocznie chciała celować w mój mózg, żebym chociaż trochę zgłupiała, bo źle czuła się z tym, że młodsza siostra już od wczesnego dzieciństwa przewyższa ją mądrością i ilorazem inteligencji. Tylko, jak widać na załączonym obrazku, jej plan nie wypalił.

Ach, te rodzinne porachunki, prawda? Jednak nie ma nic piękniejszego niż czysta, siostrzana miłość kwitnąca w każdym domu rodzinnym. Oby tylko w przyszłości moje czy Anki maluchy nie miały takich pomysłów, bo mam wrażenie, że ja nie byłabym tak opanowana jak moja mama. Zemdlałabym na sam widok krwi i finalnie to mnie trzeba by było ratować w pierwszej kolejności, a nie dziecko z przeciętymi ustami.

No, wiem. Marna ze mnie matka, ale z biegiem lat zaczynam powoli nabierać wprawy. Albo przynajmniej tak mi się wydaje.

A po powrocie do domu zabrałam się w końcu za wyniesione ze szkoły dokumenty, którymi, jak wam wspomniałam, obarczyła mnie moja dyrektorka. Nie były to jednak papiery byle jakie, ponieważ teczki zawierały dokumenty i arkusze informacyjne odnośnie dwóch wniosków unijnych, które trzeba było wypełnić do pierwszego lipca i pech chciał, że właśnie mnie dyrekcja wybrała na ich koordynatora. Właściwie to nie było to wcale takie znowu złe, bo odpowiednie dodatki do wynagrodzenia za ten wysiłek miały spłynąć też na moje konto, ale roboty będzie z nimi od groma. Jeden z nich dotyczył infrastruktury wychowania przedszkolnego, w skrócie placu zabaw, którym to miałam zająć się razem z wuefistą, a drugi to poprawa dostępności i jakości edukacji przedszkolnej, którym, nie wiedzieć czemu, miałam się zająć z naszym muzykiem. Nie rozumiem, co ma muzyk do jakości nauczania w przedszkolu, ale nie mi to wiedzieć. Siła wyższa tak zdecydowała i już. Trzeba było się tylko podporządkować.

Marcel spędzał popołudnie u Anki, Kasia w ogrodzie mojej mamusi, a Ludwika jak zawsze nie było. Popijając więc herbatę z bergamotką, mogłam w spokoju włączyć się w cały ten administracyjny żargon, którego szczerze nie znosiłam. I wykonywałam to zawzięcie, dopóki moje

oczy nie zaczęły powoli robić się coraz cięższe i cięższe...

Rozdział 12

Kolejny dzień okazał się w naszym domu dniem odwiedzin, chociaż może powinnam powiedzieć, że w moim domu, ponieważ Ludwik znów z niego wybył. Z racji tego, że była sobota, postanowił zapakować swój sprzęt do szukania skarbów do samochodu Piotrusia i ruszyć w siną dal. Tym razem jego „sina dal” oznaczała tereny wokół budynku, w którym mieściło się niegdyś muzeum. Mój zapalony łowca stwierdził, że na pewno podczas wywozu antyków upadło na ziemię coś ciekawego i fajnie by było poszukać. Patrząc na ten jego nadmierny entuzjazm, bezradnie rozłożyłam tylko ręce (bo po co strzepić sobie język, skoro mówiąc do ściany, odniosłabym większy sukces konwersacyjny) i zabrałam się za sprzątanie, myśląc sobie, że z poszukiwacza skarbów mój Ludwik stanie się niedługo łowcą duchów. A to dlaczego? Bo ostatnio nic z tych swoich eskapad nie przywoził. Chociaż to może i lepiej.

Kiedy więc tak sobie beztrosko sprzątałam, między jednym a drugim włączeniem odkurzacza udało mi się usłyszeć dzwonek do drzwi. Rzuciwszy wszystko, popędziłam do nich jak szalona i ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu ujrzałam po drugiej stronie zatroskanego księdza proboszcza.

– Szczęść Boże – grzecznie skinęłam głową na powitanie. – Ksiądz do nas? O tej porze?

– A do kogo, Zuzanno, skoro stoję przed twoimi drzwiami? Wpuścisz mnie?

– Ach, tak. Oczywiście – zreflektowałam się i wpuściłam wielebnego do środka. – Napije się ksiądz czegoś?

– Poproszę – powiedział i ruszyliśmy do salonu, a za nami ubrany w piżamę Marcel, który zawsze niespodziewanie zjawiał się na dole właśnie w momencie, w którym przychodzili do nas goście. Rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciwko księdza, a potem wbił w niego wzrok.

– Ja pana to chyba skądś znam – mruknął, kiedy robiłam herbatę i obserwowałam go jedynie przez oddzielający kuchnię od salonu blat.

Ksiądz też spojrział na niego z zainteresowaniem.

– Tak? – zapytał, uśmiechając się pod nosem. – A skąd?

Marcel nie mówił nic przez chwilę, ale w końcu zaklasnął w ręce i bardzo pewnym głosem wypalił:

– Przecież ja z pana synem chodzę do przedszkola! – w odpowiedzi na co moje ręce złowieszczo się zatrzęsły i musiałam znowu wydelegować malucha do Kasi, na górę. To ona zabrała się do tłumaczenia mojemu odkrywczemu dziecku, że ksiądz raczej nie może posiadać potomstwa.

– Bardzo przepraszam – ja natomiast zwróciłam się do naszego gościa.

– Daj spokój, Zuzanno, to tylko dziecko. Notabene ja przychodzę do was właśnie w tej sprawie.

– W sprawie Marcela? – zdziwiłam się.

– Nie, no skąd! W sprawie tej całej waszej Kasi. Ludwika nie ma?

Pokręciłam głową.

– Nie. I pewnie nie wróci do jutra. Ma dzisiaj poszukiwanie skarbów.

– Ach, bo ja właściwie to jego chciałem zapytać o to, czy wieś dała wam już spokój, ale trudno, zapytałem ciebie.

Spojrzałam na księdza nie za bardzo rozumiejąc, w czym jestem gorsza od Ludwika, ale postanowiłam się nie obrażać.

– Na tę chwilę jest okej – powiedziałam. – Tylko nie możemy robić zakupów w naszym sklepie, bo pani Halina nie chce nam nic sprzedać. Ludwik z Sosenek przywozi co trzeba albo jeżdżę do

miasteczka – wytłumaczyłam, pomijając incydent nienawiści wobec Kasi, który wydarzył się w bibliotece. – Nie ma się ksiądz chyba na razie czym martwić. Jakoś sobie radzimy.

Ksiądz przez chwilę trawił moje słowa, ale w końcu rozumnie pokiwał głową.

– I nadal nie potrzebujecie do Kasi pomocy egzorcysty?

– Proszę księdza! – Zgromiłam go wzrokiem.

– Oj, nie denerwuj się, Zuzanno, ja pytam z troski. Chociaż twoja odpowiedź bardzo mnie cieszy. Gdybyście jednak potrzebowali mojej pomocy z tą dziewczyną albo szerzącą nienawiść wsią, to pamiętaj, że na mnie zawsze możecie liczyć.

– Dziękuję. – Teraz to ja pokiwałam głową, a potem zaczęliśmy rozmawiać na inne, nieco mniej związane z Kasią tematy, na przykład o nauczaniu religii w naszej szkole i niechcących się uczyć dzieciakach.

Kiedy ksiądz proboszcz dopił już swoją herbatę i raczył się ze mną pożegnać, wróciłam do sprzątnia. Nie było mi dane jednak zbyt długo oddawać się tej frapującej czynności, bo za chwilę zajrzała do mnie Beatka.

– Cześć! – rzuciła już od progu i usadowiła się w mojej kuchni.

– Kawy?

– Poproszę. Byłam na zakupach i wracając, stwierdziłam, że do ciebie zajrzę. Jechałam rowerem, to trochę się zmęczyłam. Zanim dojadę do Sosenek, muszę odpocząć. Nie masz nic przeciwko?

– Nie, skąd. – Uśmiechnęłam się do niej.

– Co u ciebie?

Wymownie spojrzałam na odkurzacz.

– Próbuję sprzątać, ale jakoś mi dzisiaj nie wychodzi.

– Słaby dzień? – zapytała, biorąc ode mnie ciepłą filiżankę aromatycznej kawy.

– Tak. Ludwik znowu wyjechał na te swoje poszukiwania, a ja zostałam ze sprzątniem sama. Gdybym wiedziała, że tak będzie, to w życiu nie zgodziłabym się na taki duży dom. Mieszkalibyśmy w dwóch pokojach i kuchni a nie na prawie trzystu metrach kwadratowych. Ale ty też nie najlepiej wyglądasz. Stało się coś?

– A daj spokój, Zuzka, aż szkoda mówić. Iza ma teraz sesję i co drugi dzień słucham w telefonie jej jęków, że tego egzaminu to na pewno nie zda.

– Przecież ona zawsze ma piątki.

– No właśnie! Nie przeszkadza jej to jednak w lamentowaniu.

– To przez to wyglądasz dzisiaj jak cień człowieka?

Beatka pokręciła głową.

– Nie. Dzisiaj pół nocy słuchałam przez telefon jej płaczu.

– Jutro egzamin?

– Nie. Chłopak z nią zerwał!

– Ten grzeczny Krzysiek co to byli ze sobą od czasu liceum?

– Aha. Okazał się nie być wcale taki znowu grzeczny.

– Zdradzał ją?

– Gdzie tam zdradzał. Jaka normalna dziewczyna by go chciała? Przecież on jest chudy, piegowaty i się garbi. Po prostu coś mu się odwidziało i tyle. Chociaż właściwie to wcale nie „coś”, ale Izka. A wiesz, jak z nią zerwał?

Pokręciłam głową.

– Izka wróciła do siebie na stację po jednym z egzaminów i zastała w pokoju wielki bukiet kwiatów. Czerwonych róż.

Popatrzyłam na Beatę skonsternowana.

– Na przeprosiny czy jak?

– Nie. Dołączona była do nich karteczka, że Krzysiu potrzebuje przerwy i że wrócą do siebie, jak kwiaty uschną.

– Eee. To czym ona się martwi? Róże długo nie postoją. Zwłaszcza czerwone.

Beatka spojrzała na mnie z żądzą mordy w oczach.

– Zuzka, przecież ja wiem... Sęk w tym, że te kwiaty były sztuczne!

Na chwilę zapadła między nami cisza.

– Cóż... – wyrwało mi się w końcu. – No to fatalnie.

– I to jak! Ale patrz, jaki dupek kreatywny, co? Iza całą noc mi lamentowała, że miała takiego wspaniałego, romantycznego faceta, który zerwał z nią chyba w najbardziej wymyślny sposób, jaki tylko się dało. Mój mąż to wpadł w taki szał, jak się dowiedział, że od razu chciał tam pojechać. Całe szczęście, że samochód u mechanika, bo jeszcze skłonny byłby tam gnać po nocy i obić gówniarzowi twarz.

– No popatrz. Nie powiedziałabym, że on taki bojowy.

– Ja też nie. Ale na szczęście tylko w gadce. Tylko jakby nie było, drugie pół nocy go potem uspokajałam, bo z tych nerwów dała o sobie znać jego nerwica. Był moment, że już miałam dzwonić po pogotowie... – Beatka nie zdołała skończyć, bo kolejny już raz tego dnia rozległ się dzwonek do drzwi.

– Wybacz, muszę otworzyć – mruknęłam do niej przepaszająco i ruszyłam do drzwi, żeby sprawdzić, kogo jeszcze dziś do mnie licho przyniosło.

I już po chwili ujrzałam na progu zapłakanego wuefistę, z którym miałam zajmować się jednym z inżynierskich projektów. Aż mi dech zaparło na jego widok. Stał ze spuszczoną głową, a po jego policzkach kapały wielkie łzy.

– Mogę? – zapytał, pociągając nosem.

– Ach, tak, proszę... – wyjąkałam zakłopotana. – Zapraszam do kuchni.

Marek spojrzał na mnie z wdzięcznością i o mały włos nie przewracając się o rurę od odkurzacza (udało mi się go złapać, kiedy upadał, Marka, nie odkurzacza) przeszedł do kuchni, w której piła kawę Beatka.

– Matko kochana! – wykrzyknęła na widok zapłakanych oczu Marcuszka. – A panu co się stało?!

Wuefista spojrzał to na nią, to na mnie i jeszcze bardziej zaczął zalewać się łzami.

Popatrzyłam na Beatę nad jego głową.

– Ale panie Marku, tu nie ma co płakać – odezwała się pod wpływem mojego wzroku.

– Proszę nam powiedzieć, o co chodzi, to może coś z Beatą zaradzimy na pana problem – zawtórowałam jej. – Kawy?

Wuefista znowu otarł dłonią łzy.

– Tak, poproszę – wydukał, powoli wracając do rzeczywistości.

– Z mleczkiem?

– Może być bez. Takie rzeczy nie mają już dla mnie żadnego znaczenia...

– No, to co się stało? – mało taktownie znowu nagabnęła go Beatka.

– Życie mi się na łeb wali, to się stało! – Zaszlochał rozpaczliwie w odpowiedzi na jej pytanie i schował twarz w dłoniach.

Tym razem moje spojrzenie na Beatę było co najmniej zabójcze.

– A tak dokładniej? – Pogłaskałam wuefistę po plecach.

– No bo tak... – zaczął mówić. – Przedwczoraj zabrałem moją dziewczynę, Jagodę na plażę. Tam

nad jezioro pod miasteczkiem. Ludzi nie było zbyt dużo, staliśmy sobie na pomoście, przytulaliśmy, aż tu nagle nie wiadomo skąd pojawił się samolot.

– Samolot?! – zapytałyśmy z Beatką jednocześnie.

– Aha. I to nie było jakie, bo ciągnął za sobą tę cholerną szarfę i gdyby nie ona to... – Wuefista znowu zaczął zanosić się płaczem.

– Cichutko, spokojnie – szepnęłam, znowu gładząc go po plecach.

– Co było na tej szarfie? – nie odpuszczała mu jednak Beata.

– Napis wielki jak stodoła: „Kochanie, czy wyjdiesz za mnie?”.

– Ojeju, to gratulacje! – wyrwało mi się radośnie.

– I co, nie zgodziła się? – Beata nie straciła natomiast rozumu.

– Gdzie tam nie. – Wuefista spojrział na nią zapłakanyimi oczami. – Oczywiście, że się zgodziła. Chyba by głupia była, żeby się nie zgadzać. Wszystko było idealnie.

– No to w czym problem, panie Mareczku?

– A w tym – znowu rozkleił się wuefista – że ja jej się wcale nie chciałem wtedy oświadczać! To nie był mój samolot, nie miałem żadnego pierścionka, a ona tak szybko się zgodziła, że nie wiedziałem, co robić i zacząłem cieszyć się razem z nią...

– A to wtopa... – mruknęła tym razem Beata.

– I to jaka! A w dodatku już na drugi dzień zaczęła planować nasz ślub. Dzwoniła do swojej matki, oglądała w internecie sale i suknie ślubne...

– Te baby...

– To wszystko po prostu mnie przerosło. Ja mam dopiero trzydzieści lat, ja jeszcze nie jestem na tyle dojrzały, żeby się bawić w jakieś małżeństwa...

– Co prawda to prawda – szepnęła do mnie Beata.

– I co, przyjechał pan się poradzić, jak się wywinąć z tego całego małżeństwa?

– A gdzie, ja już to zrobiłem. Jak chciała dzisiaj mnie zaciągnąć do salonu ślubnego, to nie wytrzymałem i jej wszystko wyjaśniłem. A ona wyrzuciła mnie z mieszkania i powiedziała, że nie chce więcej widzieć na oczy takiego chama. Jeszcze jak furiatka wywaliała moje rzeczy przez okno, robiąc mi wstyd na całą okolicę... No dobrze, mieszkanie jest jej, była zła, miała prawo, ale ja nie mam teraz gdzie mieszkać. Przyjechałem tutaj do szkoły z nadzieją, że może jakoś w niej przenocuję dziś, jutro, kilka dni, zanim znajdę sobie coś swojego, ale zamknięte.

– Bo jest sobota.

Wuefista spojrział na mnie rozpaczliwie.

– Boże, no przecież. Kompletnie o tym zapomniałem, ale racja... Dzisiaj sobota. Zamknięte – jęknął. – No to ja nie wiem, co ja ze sobą zrobię. Po prostu strzelę sobie w łeb, bo innego wyjścia nie widzę. Nawet jakbym chciał, to nie mam się tu u kogo zatrzymać, bo nie jestem stąd, a mój jedyny kumpel wyjechał na wczasy ze swoją małżonką. I to do Grecji. Na trzy tygodnie! – Znowu zaczął płakać.

– Panie Mareczku, ale spokojnie. No przecież my tu coś zaraz na to poradzimy... – zaczęła znów go pocieszać Beata.

– Ale oczywiście. U mnie dom duży, może pan przenocować kilka dni, to żaden problem – zaproponowałam miłosiernie.

Wuefista uniósł wzrok i popatrzył na mnie mocno zdziwiony.

– Naprawdę?

Posłałam mu promienny uśmiech.

– Ależ oczywiście. Trzeba sobie w biedzie pomagać. Nie zostawimy pana przecież bez dachu nad

głową.

Marek otarł łzy, a na jego twarzy w końcu wymalowała się ulga.

– Ja od zawsze wiedziałem, że z pani to jest po prostu złota kobieta. Ja oczywiście zapłacę za ten pobyt i to nie skąpiąc... – Zaczął mnie ścisnąć nad stołem, na co natknęła się zaniepokojona dochodzącymi z dołu szlochami Kasia.

– A co tu się dzieje? – zapytała, gdy jej oczom ukazał się obraz wątlej mnie tonącej w okazałych ramionach zapłakanego wuefisty.

– Pan Marek zatrzyma się u nas na kilka dni, bo stracił nagle dach nad głową – oświeciłam ją, kiedy już udało mi się wyswobodzić z jego uścisku. – Poznajcie się. To siostrzenica mojego męża, Kasia, a to Marek, wuefista z mojej szkoły.

Podali sobie ręce.

– A co, laska pana z domu wyrzuciła? – zagadnęła go Kasia, niby to po przyjacielsku, w wyniku czego znowu się rozplakał i musiałam go zaprowadzić na górę, gdzie przespał resztę dnia. Kasię natomiast wyczuliłam, żeby żadnych dyskretnych aluzji do tematu jego rozstania broń Boże nie robiła, a Beatka sama odprawiła się do domu, widząc, jaki panuje dziś u mnie chaos.

A chaos panował jeszcze następnego dnia, bo chyba w złą porę powiedziałam rano, że Ludwik nic ostatnio z tych swoich wypraw nie przywozi. Tym razem przywiózł i zawałił tym złomem pół garażu tak, że auto musi nocować na dworze. A wśród tych jego gratów były głównie pociągnięte połączoną farbą ramy od obrazów. Ku mojemu przerażeniu przywiózł ich całą przyczepkę, tłumacząc mi, że złotko to może da się zdrapać i sprzedać, tak że finalnie będziemy bogaci. Nie muszę wam chyba mówić, jak zareagowałam na ten jego poroniony pomysł. Skomentuję to tylko stwierdzeniem, że było gorąco, a moja twarz czerwieniała i bladła, gdy wpadałam w furję.

Rozdział 13

– Cześć! – krzyknęła od progu Kasia. Wróciła do domu, gdy zaczęło się już ściemniać. Kolejny dzień zawzięcie grzebały z moją mamą w ogródku, a atmosfera w naszym domu zrobiła się trochę mniej dramatyczna. No, może poza Markiem, który nadal rozpaczał po stracie mieszkania, a nawet ukochanej, bo powoli uświadamiał sobie, że być może jednak ją kocha. W każdym razie... na pewno mocno się wahał w tej kwestii.

Siedziałam właśnie w salonie, zaszywając kolejne dziury w małych skarpetkach Marcela, a Ludwik kąpał malucha u góry, by potem przeczytać mu jedną z bajek, które oboje znali już na pamięć, i położyć spać.

– Cześć! – odpowiedziałam Kasi, kolejny raz wbijając igłę w kolorowy materiał. – Jak dziś poszło z różami?

– Bardzo dobrze! – Kasia weszła do salonu, zdejmując z rąk materiałowe, brudne rękawiczki. Jej nogi i dłonie całe pokryte były czarnym pyłem, a na kolanach widniały wielkie, ciemne plamy, powstałe z pewnością od klęczenia na ziemi. – Wyrzucę to tylko, dobrze? – uniosła nieco rękawice i oddaliła się do kuchni, podczas gdy ja zaszyłam kolejną dziurę, tym razem znajdującą się na pięcie.

Zamiłowanie Marcela do chodzenia bez kapci po klasie, gdzie na podłodze rozciągnięta była szorstka wykładzina, doprowadzało do ciągłego niszczenia kolejnych chłopięcych skarpetek. Ku olbrzymiej radości mamusi małego urwisa, oczywiście. Jak tak dalej pójdzie, to przecież nie nadążę cerować tych skarpet! A na kupowanie nowych na każdy dzień z pensji nauczycielskich nas nie stać.

– Twoja mama jest fantastyczną ogrodniczką, serio, – Kasia wróciła do salonu z czystymi dłońmi i szklanką soku w rękę. Nie sposób było się nie uśmiechnąć, widząc w końcu jej roz pogodzoną twarz, a także to, że powoli zaczynała zadamawiać się w Jaszczurkach.

– Cieszę się, że w końcu znalazłaś tu jakieś inne zajęcie niż czytanie książek i opiekowanie się Marcelem.

– Ja też. Jestem naprawdę szczęśliwa, że mogę spędzać z nią czas. Okazało się, że przy tych różach jest tyle roboty! Twoja mama ma ich o wiele więcej, niż mogłam się spodziewać. Dziś rozkładaliśmy pod nimi specjalny materiał, żeby nie przebijały spod niego chwaty...

– Włókninę – weszłam jej w słowo, zabierając się za kolejną skarpetkę.

– Tak, wyleciało mi z głowy – Kasia mówiła jak nakręcona. – Nie wiedziałam, że całe to ogrodnictwo może sprawiać taką frajdę, mówię ci, to jeden z najlepszych dni w moim życiu. No, albo chociaż w ciągu ostatnich kilku miesięcy – zawahała się, nie przestając się jednak uśmiechać.

– Nie myślałam, że zaczniesz podobać ci się w takiej głuszy.

– Ja też nie! – wykrzyknęła rozentuzjasmowana. – Ale muszę się wykapać, bo padam z nóg, a nie chcę zabrudzić wam mebli.

– Ludwik kąpie na górze Marcela, ale prysznic na dole jest wolny. Przyniesiesz sobie z góry czyste ręczniki? – spojrzałam na nią.

– Pewnie, dzięki. Opowiem ci resztę, jak doprowadzę się do porządku. – Zaśmiała się i już po chwili do moich uszu dobiegł klekot jej kapci, gdy wchodziła po schodach.

Mimowolnie zaczęłam się uśmiechać. Kto by pomyślał, że zwariowany z początku pomysł mojej matki odniesie taki sukces wychowawczy i przypadnie do gustu wielkomiejskiej Kasi, do której po tych kilku tygodniach zdążyłam się już sama przyzwyczaić?

Moja radość z wiadomego powodu nie trwała jednak długo, bo po kilku chwilach ktoś natarczywie

zaczął dzwonić do drzwi i walić w nie pięścią. Zrywając się z fotela w salonie, odrzuciłam na bok wszystkie pozszywane już skarpetki. Szybko wsunęłam stopy w kapcie, zasznurowałam mocniej szlafrok i ruszyłam ku drzwiom.

– Moment, moment – krzyknęłam w ich stronę, zdejmując z wieszaczki klucz i natychmiast otworzyłam drzwi.

– Dobry wieczór, aspirant Grzelak – powitał mnie, ku wielkiemu zdziwieniu, wysoki policjant w granatowym mundurze. No bo w jakim innym mógłby być?

– Dobry wieczór – wydukałam słabo.

– Nowicki – przedstawił się drugi z policjantów. – Czy pani Zuzanna?

– Tak, to ja – powiedziałam niepewnie.

– Mamy nakaz przeszukania państwa domu w związku z podejrzeniem składowania tu substancji psychoaktywnych. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko? – zapytał pan Nowicki, wbijając we mnie wyczekujące spojrzenie, od którego zrobiło mi się gorąco.

Ale jak to, przeszukanie?

– Jakich substancji?

– Dostaliśmy kilkakrotne zawiadomienie od anonimach informatorów, że w państwa domu mogą znajdować się spore ilości narkotyków. Rozumie pani, że w takiej sytuacji musimy interweniować. – Potulnie, choć oficjalnie wyjaśnił mi pan Grzelak.

– Ale jak to? – głos stanął mi w gardle.

Skąd u diabła w naszym domu miałyby się wziąć nagle narkotyki? I to w dużej ilości?

– Co tu się dzieje kochanie? – Dołączył do nas Ludwik, który musiał widocznie położyć już Marcela. Ja stałam jak wryta i nie mogłam wydusić ani jednego słowa więcej.

– Aspirant Nowicki – ponownie przedstawił się policjant.

– Grzelak – wtrącił ten drugi. – Mamy nakaz przeszukania państwa domu.

– Jak to nakaz? – Ludwik zdziwił się tak samo jak ja. – W związku z czym?

– W związku z licznymi zawiadomieniami, że mogą znajdować się u państwa duże ilości narkotyków i innych substancji psychoaktywnych. Czy możemy wejść i rozejrzeć się, czy też będą państwo utrudniać nam pracę?

– Nie, nie. – Potrząsnął głową Ludwik i zrobił krok w bok, by policjanci mogli w końcu wejść do środka. – Proszę. Skoro mają państwo nakaz. – Ludwik popatrzył na mnie wielkimi oczami, a ja poczułam, jak z mojej twarzy natychmiast odpływa krew.

– Spokojnie, kochanie. – Ludwik otoczył mnie ramieniem, gdy policjanci zaczęli przeszukiwać nasz dom, zagłądając w każdy możliwy kąt.

Jak miałam być spokojna, skoro ktoś posądził nas o to, że robimy z naszego domu spelunę albo inny cholerny magazyn?!

– Zuzka? – dał się po chwili słyszeć głos zawiniętej w ręcznik Kasi, która wyszła właśnie spod prysznic. – Co tu się dzieje? – Zaaferowana dziewczyna przybiegła do nas na boso, a z jej włosów zawiniętych w ręcznik spływały po twarzy kropelki wody.

– A to... to jest przeszukanie – odpowiedział jej słabo Ludwik, podnosząc na nią wzrok.

– Jak to przeszukanie? I czemu mówisz to takim spokojnym głosem? – zdziwiła się Kasia. – Coś się stało?

– Ktoś, a raczej kilkoro naszych wielkodusznych sąsiadów złożyło na policję zawiadomienie, że przechowujemy u nas w domu narkotyki – wyjaśnił jej Ludwik, gdy ja po raz kolejny pocierałam twarz dłońmi, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje.

– Ale... jak to? – wydusiła słabo Kasia.

– Przyjaźń sąsiedzka nie zna granic – odpowiedziałam jej słabo, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że któryś z naszych sąsiadów musiał dowiedzieć się ze swoich tajnych źródeł o tym, że Kasia przebywała niegdyś na odwyku i zrobił nam wieczorną niespodziankę.

– Cholera – zakłęła tylko Kasia i odsunęła sobie krzesło, by usiąść z nami przy stole. – Oni naprawdę aż tak się mszczą? – zapytała, wbijając wzrok w Ludwika.

– Na to wygląda – odpowiedział jej mój mąż. – Ale nie martw się, niech szukają. Przecież i tak nic tutaj nie znajdą – stwierdził, a Kasia nerwowo przełknęła ślinę.

– Jeśli o mnie chodzi, to naprawdę jestem czysta.

– Kasiu, spokojnie, nikt cię o nic nie posądza. Skoro muszą się rozejrzeć, to niech szukają. I tak niczego nie znajdą. Tyle, że ciśnienie nam podnieśli i już – powiedział do niej łagodnie Ludwik. – Komuś zaparzyć herbatę? – zapytał, podnosząc się z krzesła.

Żadnej z nas nie chciało się jednak pić.

– Zuzka, Ludwik, co tu się dzieje, co to za policja? – pojawił się na dole wystraszony całym tym zajściem zapłakany Mareczek.

Bezsilnie spojrzałam na Ludwika, który w mig zrozumiał, że to on powinien wytłumaczyć naszemu gościowi całą tę sytuację, co zaraz też zrobił.

– No cóż. – Zjawili się w kuchni po pewnym czasie także policjanci.

Na dworze zrobiło się zupełnie ciemno, a zegar wiszący na kuchennej ścianie wskazywał, że jest już grubo po jedenastej. Całe to przeszukanie trwało więc o wiele dłużej, niż nam się wydawało. Widać w nerwach człowiek rzeczywiście traci poczucie czasu.

– Nic nie znaleźliśmy – powiedział jeden z aspirantów, gdy Ludwik wstał i ruszył w jego stronę. – Wygląda na to, że nie przechowujecie tu państwo żadnych narkotyków ani innych substancji psychoaktywnych.

– Albo po prostu dobrze je ukrywacie – wszedł mu w słowo ten drugi.

– Panie Nowicki... – zaprotestował Ludwik. – Uczę pana dzieci, a pan posądza mnie o coś takiego?

– Ja o nic nikogo nie posądzam. Dostaliśmy zawiadomienie i nakaz, to trzeba było sprawdzić. Takie są procedury.

– Naturalnie – jęknęłam, wstając z krzesła i podchodząc do Ludwika. Kasia stała nieruchomo oparta plecami o kuchenne szafki.

– Poprosimy tutaj o podpis któregoś z państwa. – Aspirant Grzelak podsunął w naszą stronę jakiś dokument.

– A w celu wyjaśnienia będą musieli niestety stawić się państwo jutro na komendzie. Mam nadzieję, że to nie problem. – Spojrzał na nas pan Nowicki.

– Nie, nie. Skoro takie są procedury – Ludwik pokiwał głową, składając podpis na podsunętej mu pod nos kartce.

– No dobrze, zapraszamy w takim razie jutro, a tymczasem nie będziemy już państwu zakłócać ładu domowego. Dobrej nocy – uklonił się w moją stronę jeden z policjantów, gdy biała jak ściana patrzyłam na nich mętym wzrokiem, nie biorąc czynnego udziału w rozmowie.

– Odprowadzę panów – zaoferował Ludwik i razem z nimi oddalił się w kierunku drzwi.

– Przynoszę wam same problemy – powiedziała natomiast Kasia, wbijając we mnie swoje smutne oczy. – Za co oni mnie tak nie lubią, co? Nie potrafię tego zrozumieć.

– Oj, słonko. – Podeszłam do niej i mocno przytuliłam, starając się ukryć swój stan emocjonalny. – Nie wszyscy ludzie muszą mieć racjonalne powody do tego, by kogoś oceniać. Tak jest i już – szepnęłam do niej cicho. Gładziłam ją po plecach, mocno się hamując, by się przy niej nie rozkleić.

– Beznadzieja – Kasia wydusiła tylko, a po jej twarzy widać było, że cała ta sytuacja mocno nią wstrząsnęła.

– Chodźmy już na górę, co? Jutro się posprząta ten cały bałagan, który nam zgotowali. – wysiliłam się na uśmiech, sama nie do końca wiedząc, czy mówiłam w tamtym momencie o sąsiadach czy policjantach i poprzekładanych z miejsca na miejsce rzeczach. – Prześpimy się, zobaczymy co dalej zrobić z tym fantem. Z każdej sytuacji jest przecież jakieś wyjście – dodałam.

Zgasiałam światło w kuchni i obie z Kasią powędrowałyśmy na górę, gdzie po chwili dołączył do nas Ludwik.

– Ciężka sprawa, co? – szepnął do mnie cicho, gdy oboje znaleźliśmy się już w łóżku.

– Beznadziejna – przyznałam mu rację.

– Trzeba jakoś zareagować, bo sąsiedzi żyć nam tutaj nie dadzą. Strategia na przeczekanie jakoś nie za bardzo się sprawdza – stwierdził mało odkrywczco, a ja musiałam w duchu przyznać mu rację.

– Pomyślmy o tym już jutro, dobrze? Jestem bardzo zmęczona i chce mi się spać – jęknęłam, przytulając się do niego lekko. Tak bardzo lubiłam dni, podczas których nie musiałam spać sama.

Ludwik pocałował mnie w czoło i sięgnął dłonią, by wyłączyć stojącą na etażerze przy łóżku lampkę:

– Słodkich snów – mruknął jeszcze.

– Wzajemnie – odpowiedziałam, gdy umościł się w końcu obok mnie, ale zamykając oczy, doskonale wiedziałam, że wcale nie będą słodkie.

Prawdę powiedziawszy spodziewałam się raczej koszmarów, w których zdeterminowana wieś przywiązuje nas do drewnianych słupów, a potem pali na stosie albo topi jak czarownice w zamierzchłych czasach.

Jakby to powiedziała Kasia: totalna patologia. Totalna.

Rozdział 14

Z powodu nieoczekiwanego zaproszenia na komendę zarówno ja, jak i Ludwik, musieliśmy następnego dnia wziąć wolne w pracy, oczywiście z powodów zdrowotnych. Oficjalnie dopadła nas oboje jakaś paskudna grypa żołądkowa, która do następnego dnia powinna przejść. Choć moja dyrektorka uparła się, żebym na wszelki wypadek wzięła wolne jeszcze jutro. Rzecz jasna, ze względu na to, że wirus może zagrażać dzieciom w szkole i lepiej dmuchać na zimne, żeby zapobiec epidemii. Wyznam wam, że bałam się dzwonić do niej i wybierając numer, zastanawiałam się, czy w ogóle kupi całą tę bajkę, ale spokojnie. Kupiła. Jak widzicie, w dodatku dodała mi dzień wolny gratis. Chyba powinnam chorować częściej.

Wizyta na komendzie, mimo moich obaw, okazała się czystą formalnością. Gdy czekałam na Ludwika, panowie policjanci zaproponowali mi herbatkę i ciasto. Skakali przy mnie jak opętani, żebym czasem nie zestresowała się i nie zaczęła przedwcześnie rodzić. Uroili to sobie, podsłuchując moją rozmowę z Anką, która dotyczyła rzecz jasna ciąży. Pomijając fakt, że ja na ciężarną na pewno nie wyglądam, to muszę powiedzieć, że chyba tylko faceci mogli wpaść na to, że można urodzić dziecko pod koniec drugiego miesiąca, ale cóż. Płci, jak powszechnie wiadomo, się nie wybiera i trzeba żyć z ograniczeniami, jakie dla nas pod tym kątem z góry przewidziano.

– Może jeszcze ciasteczka, co?

– Nie, nie. Chociaż jest bardzo dobre, to zjadłam już tyle, że zaraz zacznę mnie mdlić.

– O nie, to może ja otworzę okno, żeby świeże powietrze wpadło, co? – gdy przesłuchiowano Ludwika, pytał mnie ciągle jeden z policjantów. Siedziałam wtedy spokojnie w poczekalni i ćwiczyłam cierpliwość.

– Dziękuję, ale naprawdę niczego mi nie trzeba – uśmiechnęłam się łagodnie, gdy policjant z chwili na chwilę robił się coraz bledszy.

– A może podać pani wody? I lepiej otworzę to okno, bo duszno jakoś. Żeby dziecko się dotleniło – podeszedł do okna i uchylił je do środka tak niezgrabnie, że aż zaczęłam się śmiać.

– Ale... – spróbowałam odezwać się i wytłumaczyć mu, że zaszło tutaj jakieś wielkie nieporozumienie. Nie dał mi nawet dojść do słowa, bo ponownie zapytał, czy może czegoś nie potrzebuję.

– Tylko niech się pani nie denerwuje! – zareagował natychmiast, widząc moją groźną minę. – I pod żadnym pozorem nie zaczyna rodzić. Komendant to by mi chyba głową urwał, gdyby się dowiedział, że my tak tutaj ciężarną stresujemy – zaczął nerwowo tłumaczyć, a potem znowu wydusił: „Na pewno nie chce pani pić?”.

Aha, wody to tobie koleś potrzeba. Albo i powietrza. Może ogranicz stesy, bo ja nie umieram, a ciąża to nie choroba! Swoją drogą, co ten facet robił w szkole na lekcjach biologii? Przecież już z daleka widać, że ja w żadnej ciąży nie jestem. Ba, nawet nie jestem jakaś przesadnie gruba! To już nie można mieć mdłości? Fakt, że gość nosi mundur, nie zwalnia go raczej z przywileju posiadania wysokiego ilorazu inteligencji! Albo chociaż minimum życiowych informacji!

– Naprawdę nie trzeba. Proszę się mną nie przejmować – uspokajałam go więc, a w duchu obrzucałam jego natarczywość niecenzuralnymi określeniami.

Co on myśli, że jak kobieta w ciąży, to od razu ułomna i wody sobie nie potrafi nalać albo otworzyć okna? Nawet jeśli chodzi tu o ciążę urojoną? I to przez niego?! Faceci. Jakby się przydali, to latają w kraciastych gaciach gdzieś po łąkach, a jak nie trzeba, to proszę. Do rany przyłoż!

– Gdyby jednak zmieniła pani zdanie, to ja będę czekał tu obok, w jedenastce, dobrze? – nie ustępował policjant, natarczywie mi się przyglądając. – Albo wie pani co, zostanę. Na wszelki wypadek, bo u nas na porodach to mało kto się zna i lepiej dmuchać na zimne, prawda? – zakręcił się nerwowo w miejscu, by finalnie usiąść na krzesło obok mnie i zacząć ciężko oddychać.

Jak na moje oko to jemu przydałby się teraz kubek wody, nie mi, ale co ja tam głupia baba wiem.

– Nie ma pan dzieci, co? – zagadnęłam go, gdy uświadomiłam sobie, że mimo mojego wyraźnego nalegania nie odejdzie i będzie warował przy mnie dzielnie, dopóki nie wypuszczą Ludwika i nie będziemy mogli iść w końcu do domu.

– Nie – pokręcił głową, robiąc się z białego zielony. – Ale oświadczyłem się niedawno kobiecie mojego życia.

– No to gratulacje. Kiedy ślub?

– W przyszłym roku w kwietniu. Chciała, żebyśmy wzięli ślub w rocznicę dnia, w którym się poznaliśmy – odpowiedział nieco bardziej normalnym głosem, opierając się o ścianę, nadal jednak ciężko łapiąc powietrze, jak gdyby sam miał zaraz zacząć rodzić.

– Bardzo romantycznie. – Uśmiechnęłam się do niego, żeby podtrzymać go na duchu w tych ciężkich dla niego chwilach. I niby to faceci są twardzi! Przecież oni potrafią niemalże zemdleć na samą myśl o porodzie!

– Ona zawsze taka jest. Trochę oderwana od rzeczywistości.

– Artystka?

– Nie, nie. Dentystka. Ale lubi wrywać. Zęby. Wie pani, ma w miasteczku swój gabinet. Prywatny. Powinienem mieć gdzieś nawet wizytówkę. – Policjant zaczął ponownie nerwowo kręcić się na fotelu.

– Nie trzeba, niech pan nie szuka. – Złapałam go uspokajająco za przedramię. – Poszukam sobie numeru w internecie, jak będzie potrzebny.

– Ach, tak. Widzi pani, tak się zdenerwowałem tym porodem, że kompletnie rozum mi odbiera. – Policjant na nowo oparł się o ścianę i położył dłonie płasko na kolanach, starając się uspokoić oddech.

– Spokojnie. – Roześmiałam się znowu. – Proszę oddychać. Gwarantuję panu, że nic tutaj nie urodzę.

– Niby tak, ale wie pani, w tych czasach to wszystko się może zdarzyć. – Rozłożył mnie na łopatki ostatnim stwierdzeniem do tego stopnia, że postanowiłam zaniechać dalszej rozmowy. Postanowiłam dać mu przeżywać ten stres indywidualnie. Wiecie, jak to bywa. Niby jesteśmy tacy sami, a każdy w sytuacjach stresowych reaguje inaczej.

– Och, Ludwik! – Zerwałam się z krzesła, gdy po około dwudziestu minutach milczenia wypuszczono w końcu mojego męża na korytarz. – W porządku? – Podeszłam do niego.

– Pewnie. Tak, jak wczoraj mówili panowie, to była tylko czysta formalność. A u ciebie? Nie wynudziłaś się, czekając na mnie?

– Było dość znośnie. – Uśmiechnęłam się do siedzącego za moimi plecami policjanta. Wyraźnie odetchnął z ulgą, że żadnego porodu jednak na komendzie nie będzie.

Szczegółów dotyczących spędzania przeze mnie czasu w poczekalni postanowiłam mojemu mężowi oszczędzić.

– No to dobrze... – mruknął Ludwik, a potem wyszliśmy na zewnątrz.

Powrót do Jaszczurek upłynął nam bardzo, ale to bardzo spokojnie. Mimo burzliwego wczorajszego wieczoru, nocy i poranka, promienie słoneczne docierające do nas ostatnimi tygodniami ze wzmożoną siłą potrafiły zdziałać cuda i pobudzić produkcję hormonów szczęścia

w liczbie znacznie przewyższającej zapotrzebowanie.

Jak się jednak okazało w domu, nie u wszystkich. Gdy tylko zdążyliśmy z Ludwikiem wejść do środka i usiąść przy kuchennym stole, moja zasmucona mamusia złożyła nam niezapowiedzianą wizytę.

– Matko kochana, Zuzka! – Zaczęła lamentować cichym głosem, gdy tylko przekroczyła próg kuchni. Przeraziła mnie, że ma nagły skok cukru i trzeba będzie jechać z nią do lekarza.

Zanim jednak zdążyłam cokolwiek wydusić z siebie, mamusia opadła na jedno z kuchennych krzeseł i pokręciła głową.

– Tak nie może być... – oznajmiła pełnym bólesci głosem, przez co popatrzyliśmy z Ludwikiem po sobie z niepokojem.

– Ale o co chodzi? – zapytałam, odstawiając szklankę z sokiem, niemalże dławiąc się nerwowo przełykanym napojem.

– Jak to: o co? Ty się godzisz na to wszystko? Książdz jak książdz, niech go sobie na was nasyłają do woli, ale żeby policja i to w środku nocy? Dziecko, tu trzeba działać! – Mamusia prawie zaczęła płakać.

– Co?

– Nie wiem, co ja teraz zrobię, Zuzka. Jak mam spokojnie umrzeć w takiej sytuacji? – Nie przerywała swojego przedstawienia.

Nabrała się jakichś środków na wahania nastrojów czy co? Może to jej dom mieli wczoraj sprawdzić policjanci, bo żrenice zdecydowanie miała teraz rozszerzone!

– Ale dlaczego się mama przejmuje? – spróbował pocieszyć ją. – Ludzie pogadają, ale Ludwik w końcu im przejdzie.

– Dziecko i wnuka mi we wsi linczują, a ty każesz mi spokojnie na to patrzeć? – Mama spojrzała na niego załzawionymi oczami i głośno pociągnęła nosem. – Ja się na to nie godzę. Moje matczyne serce mi na to nie pozwala. I honor.

– A co ma do tego honor? – zapytałam, nie do końca rozumiejąc.

– Już ty mi się, Zuzka, nie odszczekuj. Nie przypominaj mi chociaż o tym, że ja cię wcale dobrze nie wychowałam – lamentowała jak najęta. – Chociaż o tym nie chcę myśleć w godzinie swojej śmierci. Mało to mamy teraz problemów?

– Ale mammo...

– Co mammo? Ja drugą noc już nie spałam z tego zmartwienia. Ciągle tylko myślę, co ja mogę dla was zrobić...

– I co, wymyśliła mama coś? – zapytał ją Ludwik, w odpowiedzi na co pociągnęła nosem i w końcu przestała płakać.

– Tak – wydusiła.

– Tak?! – Spojrzeliśmy na nią oboje.

– Jeśli wy nie potraficie załatwić swoich spraw, to ja powinnam to zrobić. Mnie na opinii ludzi we wsi już nie zależy. Stara jestem, zaraz tylko proch ze mnie zostanie. Doskonale rozumiem, że trzeba ustępować na tym świecie miejsca młodym. I zrobię to. Ja się umiem zachować jak trzeba.

– Ale mammo...

– Żadne ale, Zuzka, żadne ale – smutno pokręciła głową i wstała od stołu. – Ubrana jesteś, to idziemy.

– Ale gdzie idziemy? – Spojrzałam na nią jak na głupią, coraz bardziej podejrzewając, że naprawdę tego ranka mocno się czegoś naćpała. Może te leki na cukrzycę mają jakieś niepożądane działanie uboczne i wchodzą w reakcję ze słońcem?

– Jak to gdzie? Do sklepu zrobić z tym wszystkim porządek. Tu nie ma na co czekać, Zuzka. Wiadomo, że to Halina tym wszystkim trzęsie. No już, już. Wstawaj, dziecko. Idziemy – zaczęła mnie ponaglać.

– Da może mama spokój. Przejdzie im. – Spróbował jeszcze wtrącić się Ludwik, za co został objechany przeraźliwie przygnębnym spojrzeniem od góry do dołu.

– Ty lepiej zostań z dziećmi i pilnuj domu, żeby ci jeszcze kogo tutaj nie nasłali. Kiedyś tajne służby to i za dnia potrafiły człowieka aresztować. Miej się na baczności młody człowieku i pozamykaj tu wszystko dokładnie. Rolety zasłoń! Dziecko małe masz w domu, a siedzisz beczynnio! – rzuciła mamusia, a potem ponownie zwróciła się do mnie. – Gotowa?

– No tak, tak. – Niechętnie pokiwałam głową. Widząc, że nie mam zbyt dużego wyboru, posłusznie wstałam z krzesła.

– No, to jak trzeba, to trzeba. Młodszych ode mnie na ścięcie wysyłali, więc nie ma się co bać. Będę twarda w tej ostatniej chwili próby – szepnęła i biorąc mnie pod ramię (nie zważając przy tym na pełne sprzeciwu spojrzenia Ludwika), wyciągnęła mnie na ganek, po czym poprowadziła w stronę sklepu.

– Ja nie wiem mamusiu, czy to jest taki dobry pomysł – spróbowałam zaprotestować, gdy przekroczyliśmy teren naszego podwórka. Czerwcowy wiatr od razu zaczął smagać nas po twarzach i rozwiewać nasze włosy.

– Nie będę beczynnio siedzieć i patrzeć, jak cała wieś zaczyna wyżywać się na moim dziecku. Ty jesteś nowoczesną matką, Zuzka, to może tego nie rozumiesz. Serce nakazuje mi wziąć sprawy we własne ręce. Zresztą... Za długo tu mieszkam, żeby nie wiedzieć, jak to wszystko działa. Byłam sołtysiem przez dwie kadencje? Byłam.

– No cóż... – westchnęłam. Nie można temu zaprzeczyć. Te piękne czasy każdy z mieszkańców Jaszczurek zapamięta do końca życia, nie ma co.

– No właśnie. – Pokiwała głową moja matka. – Myślisz, że ja nie mam na sklepową żadnych haków? Oj, kochana, widać, ty życia nie znasz. – Roześmiała się nagle, mocniej ściskając moją rękę. Trzęsła się przy tym jak histeryczka.

– Mamo, czy ty dobrze się dziś czujesz? – Spojrzałam na nią zaniepokojona, gdy skończyła się śmiać. Na pierwszy rzut oka wyglądała dobrze, ale wiadomo? Może te jej proszki nie wywołały objawów somatycznych, ale same psychiczne? Mało to takich przypadków teraz, no mało?

I tak oto rozmyślając, dotarłam w końcu do sklepu.

– Dzień dobry, Halinko – moja matka jak gdyby nigdy nic rzuciła do sklepowej i zbliżyła się do lady, podczas gdy ja postanowiłam przeczekać cały ten szturm w bezpiecznej odległości. To znaczy: na wszelki wypadek stanęłam w drzwiach i byłam przygotowana do ucieczki.

– Co podać? – pani Halina odpowiedziała wyjątkowo bez życia, lustrując wzrokiem to mnie, to moją matkę. Kwiecisty fartuszek nieco za mocno opinał się wokół jej krągłych bioder.

– Rękę na zgodę, to podać. – Mamusia spojrzała na nią swoim pociągłym i bolesnym spojrzeniem.

– Niedoczekanie wasze! – sprzedawczyni zachnęła się i agresywnie oparła ręce o ladę.

– Ach tak... Spodziewałam się tego. – Mamusia opadła na stojące obok lodówki krzesło. – Chcesz wojny Halinko? Przecież trzeba być miłosiernym. Miłować bliźniego. Zwłaszcza w tych ostatnich latach... – jęknęła. – No ale dobrze, to twój wybór, każdy człowiek jest wolny. Bądź jednak gotowa na to, że ja nie zawaham się ani przez chwilę powiedzieć ludziom, jakie ty przekręty robisz, do gminy jeżdżąc i w komitywę z wójtem wchodząc, żeby tylko kredyty na sklep brać i dotacje. Że niby miejsca pracy nowe, tak? Jak żyję ten sklep nie widział nowych miejsc pracy i cała wieś to potwierdzi. A dowody są, oj, są – szła w zaparte moja matka, podczas gdy mina pani Haliny rzedła

z sekundy na sekundę.

– Nikt ci nie uwierzy – zdołała wydusić tylko, gdy moja mamusia skończyła ją oskarżać.

– Uwierzy albo nie uwierzy, ale sklep na wszelki wypadek omijać będą, bo kto by chciał zakupy robić u kobiety oskarżonej o oszustwa i to na taką skalę – dokończyła mamusia, swoim tonem, wbijając w deskę ostatniego gwoźdź. Musiałam mocno opanowywać cisnący się na moje usta uśmiech zwycięzcy. Nie ma co, z moją mamusią to sukces gwarantowany!

– Czego chcesz w zamian? – pani Halina odezwała się po chwili ciszy, jakimś takim potulniejszym głosem.

– To chyba oczywiste. Skończ atakować Zuzkę i moją rodzinę. Na stare lata nie potrzeba mi wojny. Zwłaszcza w tej ostatniej godzinie.

– Jakby do wsi innowierców nie sprowadzała...

– Nie pozwalaj sobie Halinka. Gorsze rzeczy ludzkość widziała, a Kasia nie jest wcale żaden innowierca. Ostatni raz ci powiem kochana: skończ atakować Katarzynę i mścić się na Zuzannie, bo jak tu stoję, kamień na kamieniu z tego sklepu nie zostanie.

Zapadła niezręczna cisza.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – mama zapytała dla pewności niemalże omdlewając.

– Tak – pani Halina wydusiła słabo.

– No to świetnie. A teraz litr łowickiego poproszę, bo Ance się po śniadaniu skończyło. – Mama jak gdyby nigdy nic przeszła do zakupów, a mój żołądek z radości wywinął koziółka.

Kto by pomyślał, że terror emocjonalny, który od dawien dawna ćwiczyła na mnie i Ance przyniesie jakieś skutki. Muszę wam przyznać, że byłam pod wrażeniem.

– No to widzisz kochanie, będziesz miała już spokój – mama powiedziała do mnie, gdy szłyśmy chodnikiem w kierunku domu, niosąc w wolnych rękach niewielkie siatki z zakupami. – A i ja mogę teraz żegnać się z tym światem spokojniejsza.

– Jesteś niezastąpiona mammo. Ta akcja... no po prostu mistrzostwo. – Roześmiałam się.

– Wy, młodzi, po prostu musicie się nauczyć rozmawiać z ludźmi, wiesz? – Spojrzała na mnie, mrużąc oczy. – Może powinnaś pomyśleć o jakimś kursie komunikacji albo asertywności, bo z takim podejściem do świata, jaki prezentujesz, moje drogie dziecko, to ty za wiele w życiu nie osiągniesz. A proszę, można? Można.

– Dzięki Bogu mam ciebie. – Cmoknęłam ją w pomarszczony lekko policzek. – A skoro mieszkasz tuż obok i zawsze jesteś gotowa do interwencji, to na co mi się szkolić, skoro ciebie i tak nie przebiję, co?

– Może i racja... – zamyśliła się mamusia.

– A w ramach rekompensaty zapraszam cię do nas na obiad. Robimy dziś z Kasią makaron z truskawkami, bo pan Kazio znosi nam je jak opętany I nie przyjmuję odmowy! – Spojrzałam na nią twardo, ale chyba zbędnie, bo raczej nie miała ochoty protestować i bez słowa przystała na moją pełną wdzięczności propozycję.

– I co? – powitał nas w domu Ludwik. Układał właśnie z Marcelem puzzle na stole w salonie. – Szturm na Jaszczurki udany?

– A żebyś wiedział, żebyś wiedział – mama uniosła triumfująco głowę i z pewnością siebie podniesioną do niebotycznych rozmiarów, przeszła do kuchni. Na całe szczęście chwilowo odechciało jej się umierania.

– Och, kobietki – Ludwik zaśmiał się cichutko i pocałował mnie czule. – Co by ten biedny świat bez was zrobił – mruknął i poszedł na górę.

Spojrzałam za nim rozanielonym wzrokiem. Jednak jest ziarno prawdy w tym, że problemy do

siebie zbliżają. Może powinniśmy mieć ich jeszcze więcej? Że też ja wcześniej na to nie wpadłam!

Rozdział 15

Kolejnego dnia, a był to mój pierwszy od wieków wolny piątek (dzięki łaskawości pani dyrektor, która myślała przecież, że jestem chora), zadzwoniła do mnie Kalina. Dziewczyna, z którą poznałyśmy się na tamtym pamiętnym spotkaniu autorskim. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęła mój numer telefonu, ale ochoczo zgodziłam się na wspólne wyjście. Od wieków nie wychodziłam do miasta, nie wspominając już o tym, że poza Anką i Beatką nie miałam ostatnio więcej koleżanek.

Znowu więc ubrałam się lepiej niż zwykle, ponieważ po nocach śniły mi się idealne paznokcie Kaliny i wstyd byłoby wyglądać przy niej jak postać wycięta z historycznego filmu o życiu na wsi. Podświadomie liczyłam też oczywiście na to, że Ludwik dostrzeże ten fakt i chociaż zapyta, dokąd się tak wystroiłam.

Niestety, jak przekonałam się już chwilę później, pracując z dziećmi, musiałam mocno uwstecznić się z matematyki.

– Jak wychodzisz, to kup po drodze coś do chleba. Lodówka jest pusta – powiedział tylko znad pęta kielbasy, kiedy kręciłam się po domu w poszukiwaniu kolczyka.

Obrzuciłam go zimnym spojrzeniem, krzycząc w myślach, że mógłby dla odmiany sam wybrać się raz na zakupy i ruszył na górę

Moje starania zauważył jednak zdecydowanie mniej zapłakany niż ostatnio wuefista, który większość czasu spędzał zamknięty w wynajmowanym od nas pokoju.

– Wow, Zuzka. Wyglądasz po prostu wspaniale. Czemu nie ubierasz się tak częściej? – Rozpromienił się, gdy zapukałam do niego z nadzieją, że może mój kolczyk zaplątał się w jego pokoju. Oczywiście zanim się do niego wprowadził.

Uśmiechnęłam się, słysząc ten jego niewymuszony komplement.

– Naprawdę? Dziękuję, to miłe. Trzymam takie stroje na specjalne okazje.

– Wychodzisz gdzieś? – zagadnął, odkładając na bok trzymanego na kolanach laptopa.

– Tak. Umówiłam się z niedawno poznaną dziewczyną.

– Gdybyś nie była mężatką, to podejrzewałbym cię raczej o jakąś randkę z przystojnym facetem.

Posłałam mu uśmiech.

– Randki to już chyba nie dla mnie.

– Czemu? Przecież jesteś młoda i atrakcyjna...

– Ale jednak mężatka.

Marek przyjrzał mi się uważnie.

– No i co z tego? Ślub teraz przecież za wiele nie znaczy. Nie żyjemy już w średniowieczu.

– Chyba mam w tej kwestii trochę inne zdanie.

– Tak?

Pokiwałam głową.

– Ale to raczej nie jest dobry moment na takie dyskusje. Spieszę się.

– W takim razie pogadamy o tym kiedy indziej. Baw się dobrze – rzucił jeszcze, za co grzecznie mu podziękowałam i finalnie wyszłam z domu dowartościowana. Szkoda tylko, że nie przez własnego męża.

Na miejsce spotkania z Kaliną dotarłam dość punktualnie. Zaprosiła mnie do świeżo odnowionej restauracji mieszczącej się niedaleko starego młyna. Z okien rozciągał się wspaniały widok na rzekę. Nie mogłyśmy odmówić sobie przyjemności wsłuchiwania się w jej cichy szmer, dlatego

postanowiłyśmy zająć miejsca na okazałym, zadaszonym tarasie. Było tak przyjemnie ciepło, że chyba grzechem byłoby siedzieć dzisiaj w środku.

– Miło cię widzieć, naprawdę. – Gdy usiadłyśmy, uśmiechnęła się do mnie Kalina.

– Ciebie również – nie pozostałam jej dłużna. Naprawdę chciałam bardziej poznać tę dziewczynę. Chociaż z pozoru wydawać by się mogła zwykłą osobą, miała w sobie coś magnetycznego. No i sprawiała wrażenie bardzo sympatycznej.

– Takie spokojne miejsce to całkiem miła odmiana po chaotycznym spotkaniu z Matyldą. – Zachichotała.

Słyszając jej słowa, też się roześmiałam.

– O tak, nawet bardzo – zdążyłam tylko powiedzieć, bo u naszego boku zjawił się elegancko ubrany kelner.

– Czy wybrały już może panie coś z naszego menu? – zapytał.

– Tak. – Kalina pokiwała głową. – Ja poproszę herbatę z cytryną, a do tego szarlotkę z lodami.

Spojrzałam na nią z uznaniem.

– Ja to samo. – Uśmiechnęłam się do kelnera. Chociaż może bardziej ze względu na myśl o pysznej szarlotce?

– No więc co u ciebie? – zagadnęłam Kalinę, kiedy kelner raczył zniknąć. – Jak przygotowania do ślubu?

– Dobrze, chociaż mam wrażenie, że cały ten chaos spoczywa właśnie na mojej głowie. Pracuję w dość sporej korporacji na kierowniczym stanowisku i nie mam czasu na bieganie po kwaciarniach, sklepach z butami czy oglądanie sal. Wiesz, ja podczas tego spotkania autorskiego się tak tym wszystkim emocjonowałam, a tu proszę, szara rzeczywistość. Tak naprawdę to nie miałam jeszcze czasu pomyśleć o sukni ślubnej, a zawsze zdawało mi się, że właśnie to jest dla każdej panny młodej zadanie priorytetowe. Zastanawiam się, czy nie zatrudnić do tego wszystkiego konsultantki ślubnej. Wiem, że to kosztuje dość sporo, ale będę miała wtedy pewność, że wszystko zostanie dopięte na ostatni guzik. Mój narzeczony nijak nie chce się zaangażować, a ja już po prostu nie wyrabiam.

Spojrzałam na nią ze zrozumieniem.

– Och, skąd ja to znam.

– Też właśnie tak wyglądały twoje przygotowania do ślubu?

– Nie, nie – pokręciłam głową, wspominając swój własny ślub. – Miałam raczej na myśli to, że mnie też Ludwik odciąża tylko, jeśli chodzi o przywożenie i odwożenie do szkoły Marcela albo w zajmowaniu się nim. Też czuję, że nie nadążam ze wszystkimi obowiązkami. Na szczęście zaraz mam wakacje, bo pranie piętury się w łazience niemalże pod sufit, a pierwszy korytarz w moim domu aż błaga o odmalowanie.

– Pracujesz w szkole?

– Tak. Jestem przedszkolanką.

– Jeny, ale ci zazdroścę. Dwa miesiące wakacji. Przecież ja przeleżałabym je całe gdzieś na pięknej plaży Chorwacji...

Uśmiechnęłam się, słyszając zachwyt Kaliny. Mnie do odpoczynku musiał wystarczyć ogródek z niewielkim basenem rozłożonym dla mojego pierworodnego.

– Więc mówisz, że masz dziecko? – gdy przez chwilę nic nie mówiłam, zagadnęła Kalina.

– Tak. Czteroletniego Marcela. Łobuziak z niego, że hej. Ty i twój narzeczony planujecie dzieci?

– Dzieci? Daj spokój. W takim momencie?

Popatrzyłam na nią, za bardzo nie rozumiejąc.

– Och, Wolfgang też pracuje w dużej firmie. W Pelframie, tym zakładzie, co produkuje leki. Oboje jesteście szykowni teraz do awansu, Wolfgang to nawet na dyrektora. Nie w głowie nam dzieci. To byłaby tylko kula u nogi. Bez sensu podejmować się wyzwań, którym nie jest w stanie stawić się czoła, a w naszym przypadku właśnie tak byłoby z wychowaniem. Sama rozumiesz...

Pokiwałam głową, chociaż muszę przyznać, że nie rozumiałam. Dla mnie takie podejście było raczej niewyobrażalne, ale wiem, że to przez moje wartościowanie świata. W moich oczach najważniejsza była rodzina, a nie pięcie się po drabinie hierarchii zawodowej za pomocą kolejnych awansów. Gdybyśmy tak z Ludwikiem myśleli, to na pewno Marcel nie pojawiłby się na świecie i chociaż teraz nie w głowie było nam kolejne dziecko, to oboje wiedzieliśmy, że w niedalekiej przyszłości trzeba będzie to zmienić. Albo taka Anka na przykład... U nich z pieniędzmi było dość krucho, a jednak kochali z Jerzym swoje dzieci ponad życie i zamiast zamartwiać się niepewną przyszłością, cieszyli się, że będą mieli następne.

Moje przemyślenia na temat podejścia do rodziny przerwał pojawiający się przy nas kelner wraz z pięknie pachnącą szarlotką.

– Smacznego. – Postawił przed nami apetycznie wyglądające ciastka i zniknął.

– A jak z twoim mężem? – słodząc herbatę, zapytała Kalina. – Od spotkania z Matyldą coś się między wami poprawiło?

Spojrzałam na nią, nie za bardzo wiedząc, co mam odpowiedzieć.

– Jak to w małżeństwie. Raz gorzej, raz lepiej – mruknęłam wymijająco.

– To znaczy, że wcale nie jest między wami lepiej?

Głośno wypuściłam powietrze.

– Czasami jest naprawdę źle. Ostatnio nawet mnie pocałował. Sam z siebie. Tylko nadal wychodzi prawie co wieczór, nie zwraca na mnie w ogóle uwagi i...

– To czemu go nie zostawisz? – wpadła mi w słowo Kalina, tak, że o mało nie udusiłam się kawałkiem ciasta.

– Czemu miałabym go zostawiać?

– No bo jest ci z nim źle.

Spróbowałam w spokoju rozważyć jej słowa.

– Może nie jest mi jakoś wspaniale i świetnie, ale wcale nie mogę powiedzieć, żeby było nam ze sobą źle. Raczej neutralnie.

– Neutralnie?

– Aha. Chciałabym tylko, żeby zwracał na mnie więcej uwagi i był bardziej czuły, bardziej romantyczny... No wiesz. Jak kiedyś. Brakuje mi w tym związku po prostu iskierki. Ludwik zachowuje się trochę... – zabrakło mi słowa. – Dziwnie, ale jest świetnym ojcem dla naszego dziecka i wiem, że mnie kocha

– To brzmi trochę jak usprawiedliwianie go.

– Wcale nie. Mówię przecież, że Ludwik jest trochę szorstki w obyciu – szczególnie, jak się nie ogoli, dodałam w myślach – ale wiem o tym nie od dziś i to niczego nie zmienia.

– A mi się wydaje, że tobie brakuje szaleństwa. Jakiegoś powalającego romansu, który zwróci ci chęci do życia.

Roześmiałam się głośno.

– No co? Nigdy nie miałaś ochoty wskoczyć jakiemuś facetowi do łóżka?

Pokręciłam głową.

– Nie. Innemu niż Ludwik nie. No, chyba, że wtedy, kiedy byłam nastolatką i całowałam wiszące na ścianie plakaty.

Moja ironiczna odpowiedź nieco ją zaniepokoiła.

– Boże... Kiedy tak cię słucham, to dochodzę do wniosku, że chyba jestem dziwna.

Uśmiechnęłam się do niej, biorąc do ręki filiżankę z herbatą.

– Co masz na myśli?

– No wiesz... Zaraz biorę ślub, a nieustannie patrzę na innych facetów i oni naprawdę mi się podobają i często myślę o jakichś hm... Szybkich numerkach w windzie albo w toalecie. A już ubrani w garnitur mężczyźni z mojej firmy to działają na mnie jak lep na muchy. Patrząc na nich, ciągle zastanawiam się, czy Wolfgang to ten właściwy. Miałaś tak przed ślubem?

Szybko wróciłam w myślach do przeszłości.

– Nie. Ale nie byłam wtedy ustatkowaną kobietą biznesu tuż przed trzydziestką pracującą na kierowniczym stanowisku.

– A kim?

– Och, raczej szaloną studentką, nie bojącą się wyzwiać. Nie myślałam o swojej przyszłości i cieszyłam się chwilą. Byłam na zabój zakochana w Ludwiku i wtedy wskoczyłabym za nim w ogień. Albo chociaż z trzeciego piętra – przypomniał mi się jeden z wieczorów, kiedy Ludwik, po ciszy nocnej, kazał mi skoczyć w swoje ramiona z okna w akademiku.

No i oczywiście skoczyłam. Dobrze tylko, że rozłożyli z chłopakami materac, a ja spadłam na nogi.

– Naprawdę?! – zdziwiła się jednak Kalina. – To jeszcze powiedz mi, że to jest twój jeden jedyny.

– No... Właściwie to jest.

– Boże – znowu jęknęła, słysząc moje słowa. – Ja chyba naprawdę jestem dziwna – mruknęła tylko, a potem zaczęłyśmy rozmawiać na luźniejsze tematy. Chociaż była ode mnie naprawdę niewiele młodsza, to czułam się przy tej kobiecie, jakbym żyła co najmniej w średniowieczu. Takie zderzenie światów. Ja kontra XXI wiek. Tylko kto wygrał?

No więc na zakończenie tego wieczoru okazało się, że wygrał mój samochód. Kalina zdążyła już odjechać swoją czarną terenówką z przyciemnianymi szybami, a ja zostałam na parkingu razem z moim cinquecento, które znowu postanowiło się zepsuć. No, a przynajmniej nie chciało zapalić. Jako że byłam sama, ciemną nocą i w dodatku na parkingu, wyjęłam więc z torebki swoją tajną broń, czytaj komórkę, i wybrałam numer mojego ślubnego, który raczył odebrać już za trzecim razem.

– Po co dzwonisz? Oglądam mecz – rzucił beznamiętnie między jednym a drugim krzykiem dochodzącym z telewizora.

– No to musisz przestać, bo mój samochód znowu postanowił się zepsuć.

– Matko kochana! TERAŻ?! Liga światowa, kobieto! – przejął się boleśnie Ludwik.

– No i co ja poradzę, że twoja liga światowa?! Nie mam jak wrócić do domu, więc nie wyjeżdżaj mi z meczem tylko po mnie przyjedź.

– A ta twoja koleżanka nie może cię odwieźć?

– Pojechała już.

– A Anka? Może Jurek mógłby jechać?

– Ludwik, na litość boską! Wyłącz ten telewizor i przyjedź po mnie, bo jestem sama, po ciemku i zła. Jeszcze tu kogoś ubiję z tej złości!!! – wrzasnęłam na niego, nie mogąc już dłużej słuchać tych jego jęków.

– Dobra, coś wymyślę – poddał się w końcu.

– Ty mi nic nie wymyślaj, tylko po mnie przyjedź. Jestem w restauracji nad rzeką. Masz dwadzieścia minut. Jak nie, to nie ręczę za siebie. – Zakończyłam dość ostro i rozłączając się, wsiadłam do samochodu.

Kiedy już dostrzegłam w oddali samochód Ludwika i ucieszyłam się, że w końcu raczył mnie

posłuchać, okazało się, że to wcale nie on po mnie przyjechał, ale wysłał w zastępstwie nieplaczącego już wuefistę.

Marek, jak to na dżentelmena przystało, wysiadł z auta, a nawet otworzył maskę mojego fiata, spod której już po chwili dobiegło:

– Akumulator. Musiałaś zostawić włączone światła. – W wyniku czego o mało nie spaliłam się przed nim ze wstydu.

– Kurczę... – jęknęłam.

– Daj spokój, Zuzka, każdemu się zdarza. Będzie tu trzeba jutro przyjechać i podładować. Zrobiłbym to teraz, ale nie mam kabli. Zamknij auto, przenocuje tutaj i tyle.

– Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować. – Spojrzałam na niego z wdzięcznością.

– Ludzka rzecz – odpowiedział, zamykając maskę. – Nie zapominaj, że to ja nadużywam twojej gościnności. Ale nie martw się, naprawdę już szukam mieszkania. Tylko w okolicy tak trudno znaleźć coś w rozsądnej cenie...

– Daj spokój – nie dałam mu skończyć. – Jesteś bezkonfliktowym lokatorem, więc możesz mieszkać u nas nawet do końca wakacji.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

– Boże, to kamień z serca. – Marek uśmiechnął się i kazał wziąć mi z auta torebkę, a potem je zamknąć.

A wiecie, co zrobił później? Otworzył przede mną drzwi do samochodu Ludwika. Jak Boga kocham, naprawdę, przez co o mało nie padłam z wrażenia.

– Och... – wsiałam do środka zakłopotana, a potem zapięłam pas.

– Gotowa? – siadając za kierownicą, zapytał Mareczek.

– Tak. Dziękuję.

– No to jedziemy. – Uśmiechnął się do mnie, a potem odpalił silnik i nacisnął na gaz.

– A jak z tą twoją Jagodą, co? – zagadnęłam go po przyjacielsku po drodze. – Rozumiem, że to naprawdę skończone?

Pokiwał głową.

– Tak. Rozstanie udowodniło mi to, co w sumie od dawna wiedziałem. Jagoda jest furiatką, a ja szukam bardziej poukładanej kobiety. Kto normalny wyrzucałby rzeczy swojego byłego przez okno, drąc się przy tym na całe osiedle? Brakuje mi bycia w związku, ale obawiam się, że bardziej brakuje mi jakiegokolwiek kobiety, a nie konkretnie jej.

– Może to całe nieporozumienie wyszło ci więc na dobre?

Roześmiał się ciepło. Musiałam przyznać sama przed sobą, że miał naprawdę czarujący śmiech.

– Tak, chyba tak. Jak to mówią, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – odpowiedział, a potem zaczęliśmy gawędzić o pracy i projekcie, za którym musieliśmy się w końcu razem wziąć. Zdziwiło mnie, ile w Mareczku było pasji i miłości do sportu i dzieci. Aż chciałam słuchać, jak o tym mówi, co naprawdę zdarza mi się rzadko. Tylko był kobieciarzem. Wiedziałam nie od dziś, że miał słabość do młodziutkich dziewczyn, o czym swojego czasu huczał cały pokój nauczycielski. To właśnie z tego powodu został wyrzucony z pracy w liceum, w którym to wdał się w romans z jedną ze swoich uczennic.

– No dobrze – powiedział, gdy byliśmy mniej więcej w połowie drogi. – A teraz opowiedz mi coś o sobie, skoro tak mnie maglujesz.

– Och, wydaje mi się, że nie ma w moim życiu rzeczy, których ktoś, kto pracuje w tej samej szkole co ja, po prostu nie wie – odpowiedziałam wymijająco.

– Tak?

– Aha.

– Więc wszyscy wiedzą to, że wieczorami lubisz głośno zachowywać się z mężem?

Spojrzałam na niego piorunującym wzrokiem. Jego dowcip lokował się mniej więcej na poziomie gimnazjalisty. Żartowanie sobie z braku mojego życia erotycznego było co najmniej paskudne!

– Nie wiem, o co ci chodzi – rzuciłam kąśliwie, w odpowiedzi na co parsknął głośnym śmiechem.

– Daj spokój, przecież ja tylko żartuję. Jesteś urocza, kiedy się złościś.

– Możesz się nabijać z tego, że jestem nudną mężatką, nie dbam o to. Właściwie to lubię swoje nudne życie rodzinne – zazwyczaj, dopowiedziałam sobie w myślach.

Marek wykonał delikatny ruch kierownicą.

– Nic takiego nie powiedziałem. Zresztą... Od kiedy to, że jesteś mężatką coś znaczy.

Spojrzałam na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Owszem, gdy widzę młode dziewczyny w skąpych strojach, muzykę, zadymiony klub, alkohol to łatwiej tracę głowę, ale...

– Zaraz, zaraz. Czy ty mnie teraz podrywasz?

– Nie powiem, doświadczenia mam różne i czasem mężatki smakują najlepiej. No i ta świadomość, że się udało zdobyć..

Popatrzyłam na niego skonsternowana.

– To znowu żart, prawda?

Marek roześmiał się gardłowo.

– Jeśli poczujesz się lepiej, kiedy będziesz tak myśleć, to okej, to był żart – rzucił w moją stronę i puścił do mnie oczko.

Nie odpowiedziałam.

– Chociaż wątpię, żeby akurat twój mąż wskakiwał do łóżka z inną kobietą, mając w domu ciebie – dodał po chwili.

Włączyłam radio.

Reszta drogi upłynęła nam w milczeniu, co odbiłam sobie, wpadając do domu i z wściekłością wygarniając leżącemu przed telewizorem Ludwikowi, że jest leniem i nierobem. Już sam widok mojego ślubnego w jego ulubionej, biernej pozycji rozwścieczył mnie do granic możliwości.

Rozdział 16

– Słuchaj, Zuzka – gdy wróciłam zmęczona po pracy, zagadnęła mnie Kasia. Już od rana zanosiło się na burzę, dlatego dzieciaki wyjątkowo dały mi w kość.

Oczywiście wielu z was popuka się w głowę, myśląc, co też ona plecie. No bo jak niby burza miałyby wpływać na zmęczenie po pracy? Otóż wpływa i jeśli jesteście nauczycielami, to z pewnością doskonale to wiecie, a jeśli nie jesteście... To trudno. Ale naprawdę szczerze nam współczujecie, bo, gdy zbliża się burza, dzieci w szkole zachowują się po prostu nieznośnie. Drą się na całe gardło, biegają jak oszalałe, nie potrafią usiedzieć w miejscu, piszczą, biją się i generalnie tworzą jeden wielki chaos. Nieziemski chaos. A do tego hałas wręcz piekielny, który, gdyby pociągnąć go jeszcze kilka tonów w górę, z pewnością nie jednego pedagoga przyprawiłby o natychmiastowe pęknięcie błony bębenkowej.

Taka ot, bezpieczna i nieobciążająca praca z dziećmi. Lekka i przyjemna, bo tak się ludziom wydaje. Przecież dzieci zawsze są takie słodkie. I urocze. I grzeczne. Po prostu unoszą się nad ziemią z aureolami nad jaśniejącymi niezwykłym światłem główkami. Rasowe aniołki. Zupełnie tak, jak w domu! A nauczyciele, to w ogóle dostają za dużo wolnego, bo niby od czego oni mają odpoczywać? Od tych grzecznych i niebiańskich istotek?

Dobre sobie. Podejście naszego społeczeństwa do kadry pedagogicznej po prostu rozkłada mnie na łopatki.

Ale do rzeczy...

– Tak sobie myślę, że skoro z ogrodem pani Grażynki już prawie kończymy, to mogłabym zająć się teraz waszym ogródkiem. Jeśli oczywiście nie miałabyś nic przeciwko. – Kasia spojrzała na mnie niepewnie, przestępując z nogi na nogę.

– Cóż... – Opadłam zmęczona na sofę w salonie, rzucając przy tom torebkę na stół. – Jeśli tylko masz zapal, to pewnie.

– Ojeju, ale wspaniale! – Ucieszyła się i wyciągnęła w moją stronę zarysowaną niemalże w całości kartkę. – Przygotowałam już wstępny projekt. Wiesz, co można by było w nim zrobić – zawahała się, widząc moją zdziwioną minę. – Jeśli oczywiście zaakceptujesz moje szkice. Nic na siłę.

Zszokowana wzięłam od Kasi kartkę i uwaga, zdziwiłam się podwójnie. Po pierwsze, to nie były jakieś tam byle jakie szkice, ale pięknie zaprojektowany ogródek. Czyżby Kasia miała ukryte talenty plastyczne? Po drugie... Sam pomysł, można powiedzieć, zwałił mnie z nóg. Albo zwałiłby mnie, rzecz jasna, gdybym już nie siedziała bez życia na kanapie.

– Wow. Jestem pod wrażeniem. – Błądziłam wzrokiem po małych, kwiatowych kompozycjach, które Kasia zaplanowała wokół huśtawki Marcela i altanki mieszczącej się pod starą, pochylającą się wierzba, w której zwykliśmy jadać wakacyjne śniadania i grillować do upadłego ze znajomymi, jeśli nadarzyła się ku temu jakaś ciekawa okazja.

– Mam rozumieć, że ci się podoba.

– Kasiu, to jest po prostu świetne. Za taki projekt płaci się architektom kupę pieniędzy, a ty serwujesz mi go ot tak. Jak ma mi się nie podobać? – Spojrzałam w końcu na zawstydzoną moimi słowami dziewczynę, uświadamiając sobie kolejny raz, jaki skarb mieszka pod moim dachem.

– No to fajnie. Mogłabym zacząć nawet od jutra, jeśli nie miałabyś nic przeciwko – powiedziała, tym razem dużo bardziej nieśmiało.

– Będziesz potrzebowała wielu rzeczy.

– Zrobiłam listę. – Kasia wręczyła mi do ręki następną kartkę, kolejny raz zaskakując mnie swoim profesjonalnym podejściem do sprawy naszego ogrodu.

– No dobrze, skoro wszystko pięknie zaplanowałaś, to poczekamy tylko aż Ludwik z Marcelem wrócą z Sosenek i możemy jechać.

– Ale dokąd? – zdziwiła się Kasia.

– Jak to dokąd, na zakupy – powiedziałam, powoli wstając z sofy. – W sąsiednim miasteczku jest sklep ogrodniczy, więc kupimy te wszystkie rzeczy, żebyś mogła spokojnie zabrać się za nasz ogródek. Skoro masz zapal, to nie ma na co czekać. I ja, i Ludwik chętnie ci pomożemy. – Uśmiechnęłam się do niej i podeszłam do blatu dzielącego kuchnię z salonem.

Kasia zaklasnęła w dłonie i spojrzała na leżącą na stole kartkę z projektem ogrodu.

– Normalnie zaczyna mi się tu coraz bardziej podobać! – pisnęła radośnie.

– Swoją drogą... ten twój szkic to kawał dobrej roboty. Czy ty chodziłaś kiedyś na jakieś zajęcia plastyczne? – Odwróciłam się w jej stronę i nalałam sobie do szklanki trochę zimnego soku.

– Maluję obrazy – wyznała nieśmiało.

Czy ona nie skończy przyprawiać mnie o kolejne zawały serca? Albo chociaż stany przedzawałowe?

– Jestem... – zakrztusiłam się. – Naprawdę zaskoczona – wyznałam zgodnie z prawdą, gdy przestałam dusić się sokiem. Kasia i malarstwo?!

– E, to nic wielkiego. Głównie akwarele. Jak chcesz, to pokażę ci moje portfolio.

– Pewnie! – Wzięłam kolejny łyk soku, tym razem się nie dusząc. – Chętnie zobaczę.

Ładne mi rzeczy, nic takiego, a portfolio ma! I to, jak przyszło mi się przekonać za kilka minut, naprawdę profesjonalne.

– To jest... piękne! – Wpadłam w zachwyt, wodząc palcami po oprawianych w foliowe koszulki zdjęciach przedstawiających obrazy Kasi. Choć nie znam się za bardzo na malarstwie i nigdy mnie do niego nie ciągnęło, to te zdjęcia naprawdę mi się podobały. Piękne, ciepłe i kolorowe pejzaże, natura, stare budynki... Coś wspaniałego, musicie mi wierzyć!

– Dzięki. – Kasia uśmiechnęła się lekko, śledząc z uwagą moją twarz podczas oglądania.

– Może kupimy ci w miasteczku jakieś farby i płótna, co? A Ludwik zbiłby ci sztalugę z kilku desek. Szkoda, żebyś siedziała tu całe wakacje i marnowała taki talent! – spojrzałam na jej twarz, która w mgnieniu oka się rozpozodziła.

– Naprawdę?! – Kasia odchyliła głowę do tyłu i popatrzyła na mnie z wdzięcznością. – Byłoby wspaniale!

– W takim razie załatwione. – Uśmiechnęłam się do niej ciepło, oddając oprawiony w skórę, całkiem obfity zbiór zdjęć jej prac. – Mam nawet świetne miejsce, które z pewnością zechcesz namalować – dodałam tajemniczo.

– Nie no, teraz to musisz zdradzić więcej! – Poruszyła się niespokojnie.

Widząc, że stoję pod ścianą, zabrałam się za opowiadanie.

– Jest w okolicy stary park, którego centralny punkt stanowi opuszczona zabudowa pałacowa. Podobno bywał w nim na przyjęciach sam Stanisław August, a podziemne tunele ciągną się stamtąd na plebanię i do kościoła.

– Nie wierzę. Tutaj?! – Podekscytowała się, a jej oczy zaczęły błyszczeć jakimś nowym, nieznanym mi do tej pory blaskiem, wywołując u mnie uśmiech od ucha do ucha.

– Całość zachowana jest, na szczęście, w całkiem niezłym stanie. Podobno ostatnio ktoś go nawet kupił i ma powstać tam hotel z salą weselną na dole, bo szkoda, żeby takie budynki marnowały się

i stały odłogiem, ale to jeszcze nic pewnego. Ludzie kochają plotkować, a właściciel młody, przystojny, to i jest o czym.

– Ale ekstra. W takiej głuszy!

– Niedaleko pałacu przepływa rzeka, gdzie młodzież chadza na spacer. Wiesz, ta, do której wpadliście, tylko to po drugiej stronie wsi. Sama w młodości przesiadywałam z Ludwikiem godzinami na ciągnących się nad jej brzegiem alejkach. Stare kapliczki, drzewa, a przede wszystkim niesamowity klimat starego pałacu... Myślę, że to wszystko może ci się spodobać.

– Co może się wam spodobać? – dołączył do dyskusji Ludwik, który w jednej ręce trzymał plecak Marcela, a drugą umorusane na zielono dziecko.

– Opowiadałam Kasi o pałacu. Okazało się, że ona naprawdę świetnie maluje – wytłumaczyłam Ludwikowi. – Co się stało? – Ukucnęłam przy synku, którego spodenki, kolana, ręce, a miejscowo nawet i twarz, zazielenione były od tarzania się po trawie.

– Byliśmy dziś na placu zabaw! Ale było super, wiesz? Bawiliśmy się z kolegami w łapaczy zombie! – zaczął tłumaczyć, przyprawiając mnie o zawrót głowy. Czym ja to dopiorę?!

– No to super – wykrztusiłam bez entuzjazmu i spojrzałam na Ludwika.

– Też myślę, że te spodenki najlepiej będzie po prostu wyrzucić – zrozumiał mnie w mig i pokiwał głową.

Ach, ten nasz Marcel!

No cóż, było nie było, musiałam zabrać naszego rozentuzjzmowanego zabawą w zombie Marcela do wanny, gdzie został wyszorowany gąbką niemalże do czerwoności, a potem zawinięty w wielki, niebieski ręcznik i przekazany pod opiekę tatusiowi czytającemu gazetę skierowaną do kolekcjonerów skarbów.

– Ubierz go, proszę, bo Kasia zaproponowała, że zajmie się naszym, pozał się Boże ogrodem. A skoro już się nad nim zlitowała i to nie na żarty, to obiecałam jej, że zabiorę ją na zakupy do miasteczka po potrzebne rzeczy.

– Mamy już listę! – rzuciła zza moich pleców Kasia.

– Też chcę z wami jechać! – oburzył się natomiast Marcel, twierdząc, że zawsze zostawiam go z tatą, gdy jadę robić coś fajnego.

Cóż. Po kilkunastu minutach doprowadzania do jako takiego ładu Marcel pojechał z nami, bym mogła już za moment żałować tej decyzji. Gdy tylko dojechaliśmy do sklepu i weszliśmy do działu „Ogród” po ceramiczne doniczki do kompozycji kwiatowych, Marcel zaczął tańczyć. Kręcił się przy tym między wspomnianymi osłonkami jak smród w gaciach, zupełnie ignorując moje prośby i błagania, by wyszedł stamtąd, bo może coś stłuc.

– Co myślisz o tych stylizowanych? – zagadnęła mnie Kasia, podczas, gdy mój wzrok uparcie śledził Marcela.

– Pod wierzbę? Czemu nie. Mogą ładnie kontrastować z dziką trawą, którą chcesz do nich wsadzić i tymi fioletowymi kwiatkami – nie mogłam się z nią nie zgodzić. Doniczki były śliczne.

– Gdybyśmy jedną z nich postawiły na jakiś stary pień albo coś w tym stylu, to mogłybyśmy kupić dwie. Jedną dałybyśmy niżej, drugą wyżej. Co o tym myślisz?

Kasia nie dowiedziała się jednak, co myślę, ponieważ Marcel ze swoją małą głową pełną pomysłów postanowił wdrapać się na jedną z wielkich, ceramicznych donic, doprowadzając mnie tym samym do szału.

– Czego ty nie rozumiesz, Marcel? – zapytałam go, używając mało przyjemnego tonu i złapałam za rękę. – Wyjdź mi natychmiast z tych doniczek, bo stłuczysz coś i zrobisz sobie krzywdę. – Posłałam malcowi chłodne spojrzenie, a on, ze spokojem popatrzył na mnie, jakbym co najmniej była zielona

i wolno powiedział:

– I po co ten cały dramat? – Po czym jak gdyby nigdy nic, zszedł z doniczki i poprosił o wsadzenie do pchanego przez Kasię wózka.

Jeśli myślicie jednak, że mój synek poprzestał na tej jednej wyjazdowej atrakcji, jesteście w błędzie. Kolejną zaserwował mi, gdy znalazłyśmy się z Kasią i wypchanym po brzegi wózkiem w kolejce do kasy.

– Mamo, a kupisz mi to? – Podekscytowany Marcel wychylając się z wózka, wskazał ręką na paczkę prezerwatyw wiszącą przy kasie, sprawiając, że od razu zaczerwieniłam się, czując na sobie spojrzenia stojących za mną ludzi w kolejce.

– Nie kupię ci, bo to jest dla dorosłych – odpowiedziałam, starając się nie patrzeć na niego i przyjąć taktykę polegającą na udawaniu, że to nic wyjątkowego, żeby samoistnie przestał się tym interesować.

– No ale te truskawkowe to chyba nie? – Marcel zapytał jak gdyby nigdy nic, zdejmując z haczyka jedną z paczek, którą natychmiast wyszarpnęłam mu z ręki i odwiesiłam na bok. Przyznaję, więcej niż „nieco” agresywnie.

– Też nie – warknęłam na niego, popychając wózek do przodu.

– A tatuś mógł sobie takie kupować! Co to jest? – rzucił na cały głos i ostentacyjnie założył sobie ramię na ramię, oburzając się na cały świat. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię, czując na sobie wścibskie spojrzenia zgromadzonych dookoła nas ludzi i widząc, jak Kasia mało co nie dusi się, próbując głośno się nie roześmiać.

– To są, synku, takie trutki... Na bociany i kapustę – rzuciłam do niego ze złością, a potem odsunęłam go od kasy najdalej, jak się da.

Zakupy z Marcelem skończyły się więc, jak widać, dokładnie w taki sam sposób, jak każde inne. Dobitnie przypomniały mi, dlaczego tak bardzo nie przepadam za braniem mojego ciekawego świata czterolatka ze sobą do sklepów.

Swoją drogą... Cholerny temat tabu. Co kogo interesuje moje życie prywatne, co? Szczególnie rozgrywające się na łonie mojej własnej sypialni?! Albo i nie rozgrywające? Ale skoro nie, to po co Ludwik to właściwie kupował? – zaczęłam się zastanawiać, ale chyba za bardzo byłam zła, żeby poddawać w wątpliwość wierność Ludwika.

– Oni wszyscy na pewno święci, na pewno! Nie ma co. Parszywość ludzka nie zna granic – lamentowałam do Kasi, pchając wózek z artykułami ogrodniczymi przez parking w stronę samochodu. Marcel płakał na cały głos, bo był niezadowolony z faktu, że nie chciałam mu kupić truskawkowych „słodczy”. Jak się można domyślić, frustrował mnie tym samym jeszcze bardziej.

Okej. Mam świadomość tego, że dramatyzuję, bo wszystkie dzieci przechodzą etap wtykania nosa w otaczające ich sprawy, ale dlaczego akurat w sklepie? I to publicznie upokarzając matkę? No, dlaczego Marcel nie mógł chcieć normalnych cukierków?

A gdyby tego było mało, po powrocie zadzwonił do moich drzwi przejęty nie na żarty pan Kazio.

– Pani Zuzanno, musi mi pani pomóc. Jak nic żona mi właśnie umiera! – rzucił pełnym przerażenia głosem, emocjonując mi się na ganku.

– Panie Kaziu, spokojnie...

– Gdzie tam spokojnie! – nie dał mi więcej powiedzieć. – Kobieta mi leży prawie nieprzytomna, zwraca jak najęta a pani mi mówi o zachowaniu spokoju?! – spojrzał na mnie jak na wariatkę, kręcąc się przy tym i machając rękoma.

– No to może trzeba tam pędzić i to migiem, a nie stać na moim ganku? – Zauważyłam, chcąc wykazać się opanowaniem, ale wizja dogorywającej pani Cecylii trochę namieszała mi w głowie.

– Ano trzeba i to koniecznie, tylko niech mi najpierw pani da numer na pogotowie, bo nie znam, a tu trzeba do nich dzwonić! Specjalnie do pani przybiegłem, bo ta moja to gdzieś w jakimś kalendarzu ma zapisane i ja nigdy nie mogę nic znaleźć. Zadzwońłaby pani?

Tym razem to ja popatrzyłam na pana Kazia spode łba, ale czując presję z jego strony i nie chcąc, żeby pani Cecylii coś się stało, poszłam do kuchni po telefon i powiadomiłam odpowiednie służby. Jak się pewnie domyślacie, ten jakże trudny numer telefonu, w odróżnieniu od pana Kazia, miałam w głowie.

– Zrobione – powiedziałam do niego, wracając na ganek. – A teraz chodźmy do tej pana żony, zanim naprawdę coś jej się stanie. Dlaczego w ogóle zostawił ją pan samą? Nie mógł pan do mnie zadzwonić?

– A nie, samej to ja jej nie zostawiłem. Tylko z wnuczką.

– Tą malutką? – zdziwiłam się.

– Tak. Ale teraz dzieci podobnie szybko dorastają, to sobie z Celą poradzi.

Znowu popatrzyłam na niego spode łba.

– Wie pan co? To może chodźmy szybciej! – rzuciłam do niego bardziej chyba niepokojąc się o małą Anielkę niż o panią Cecylię. – No ale co właściwie się stało?

– Jak to co? Miód wirowałem, kobieta mi pomagała i nagle jej się zaczęło w głowie kręcić. Pomyślałem sobie, że to pewnie z gorąca. Wirujemy w tym naszym małym garażu, żeby pszczoły nie wlatywały, a tam ciemno jak w grobie i nie ma żadnego okna. No więc wysłałem ją do domu, żeby się trochę wody napiła, to może jej przejdzie, a ona nie wraca i nie wraca. Za to przyleciała do mnie przejęta nie na żarty Anielka i krzyczy, że babci coś się stało. Że leży na podłodze i zwraca. No to rzuciłem ten miód i pobiegłem do domu, a ona naprawdę leży i z bólu się zwija. Przeniosłem ją na kanapę, podłożyłem pod buzię miskę i ręczniki i szukam tego numeru na pogotowie, ale za cholerę nie mogę znaleźć. No to zostawiłem Celę z Anielką i przybiegłem do pani, wiedząc, że pani mi na pewno pomoże... – skończył swoją opowieść, gdy byliśmy u drzwi jego domu. – Myśli pani, że ona umrze?! – zapytał mnie jeszcze, naciskając na kłamkę.

– Panie Kaziu, bój się Boga! Może pana żona po prostu się przegrzała?! Proszę nie zakładać mi tutaj najgorszego! – Spojrzałam na niego wymownie. – Nie wiem, nie jestem lekarzem, ale zaraz tu będzie pogotowie to wszystkiego się pan dowie. Proszę zachowywać się jak prawdziwy mężczyzna i mi się tutaj nie rozklejać! – przywołałam go do porządku i chyba zrozumiał, bo dzielnie usiadł przy żonie, podczas gdy ja zabrałam do kuchni wystraszoną Anielkę.

– Babcia umrze? – zapytała mnie drżącym głosem.

– No skąd, kochanie. Babcia po prostu jest chora. Każdemu czasami się zdarza, prawda? – wzięłam ją na kolana. – Zaraz tutaj przyjedzie pan lekarz, da babci lekarstwo i wszystko będzie dobrze.

Mała spojrzała na mnie wyraźnie spokojniejsza.

– Naprawdę? Nie kłamie pani?

– No oczywiście, że nie. Przecież lekarze są od tego, żeby pomagać – powiedziałam do niej jeszcze bardziej kojąco, a za kilka chwil zjawilo się pogotowie. Ratownicy natychmiast zajęli się panią Celą.

– To pani dzwoniła? – gdy było po wszystkim i pani Celi zostały zaaplikowane specjalne leki, zapytał mnie jeden z ratowników.

– Tak, to ja.

– Jest pani kimś z rodziny?

– Nie, jestem sąsiadką.

Ratownik popatrzył na mnie skonsternowany.

– No cóż, to niezgodne z przepisami, ale muszę panią poinformować o stanie zdrowia pani...

– Cecylii – dokończyłam za niego.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością.

– Tak, dziękuję. Mówiłem o tym już jej mężowi, ale on chyba nie za bardzo mnie zrozumiał... –

Mężczyzna spojrzał na skaczącego z radości pana Kazia, który na wieść o tym, że jego żona jednak nie umrze, o mały włos nie dostał zawału.

– Proszę mówić. Tutaj powinien wrócić po pracy syn tych państwa, więc oczywiście mu wszystko przekażę.

Ratownik wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Ona jest po prostu uczulona na jad pszczoł – powiedział w końcu. – To była typowa reakcja alergiczna. Tym razem niegroźna i wystarczyły zastrzyki z surowicą, bo została ukąszona tylko raz, ale w przyszłości różnie może się to skończyć. Trzeba na tę panią teraz szczególnie uważać. Musiała o tym po prostu nie wiedzieć.

– Ale oni mają pszczoły od ponad trzydziestu lat!

– Naprawdę?! – zdziwił się ratownik.

Energicznie pokiwałam głową i dyskretnie spojrzałam w stronę leżącej na kanapie w salonie pani Celi i klęczącego obok niej pana Kazia.

– Tak – dopiero po chwili odpowiedziałam ratownikowi. Mnie samą też bardzo zdziwiła niewiedza pani Celi. Czy naprawdę przez tyle lat nigdy nie użądliła jej pszczoła? Było to dla mnie trochę dziwne.

– I nigdy nic się tej kobiecie podobnego nie stało? – męczył dalej ten temat ratownik.

Potrząsnęłam głową, wracając wzrokiem do jego twarzy.

– Prawdę powiedziawszy, to nie wiem, ale chyba nie...

– Ale ciekawa sytuacja, co? – uśmiechnął się pod nosem. – Mieszkać tyle lat na podwórku razem z pszczołami i nie wiedzieć, że jest się uczulonym... Pierwszy raz zdarza mi się taka interwencja. Naprawdę. No, ale cóż. Na nas już pora. Proszę tylko poinformować syna tej pani o zaistniałej sytuacji. I powiedzieć mu, że teraz mąż pani... – Znowu spojrzał na mnie pytająco.

– Cecylii – podrzuciłam mu z uśmiechem.

– Tak. Że ten pan będzie musiał pewnie zrezygnować z pasieki. Albo chociaż przewieźć ją w inne miejsce, żeby pszczoły nie znajdowały się w pobliżu pacjentki.

– Oczywiście.

– No – uśmiechnął się do mnie ratownik. – To na nas już czas. – Spojrzał w stronę swojego kolegi, a potem uklonił mi się i rzucając zdawkowe „do widzenia”, oboje wyszli na zewnątrz i odjechali.

Ja natomiast jeszcze przez dobrych kilka chwil stałam oniemiała i układałam sobie w myślach, jak to w ogóle mogło się stać, że pani Cecylia przez tyle lat nie wiedziała o swoim uczuleniu. Czy naprawdę nigdy żadna pszczoła jej nie użądliła? Tak naprawdę, naprawdę?!

Jakby jednak nie było, wzięłam do siebie słowa ratownika i następną godzinę przesiedziałam u swoich sąsiadów, zajmując się dochodzącą do siebie powoli panią Cecylią, panem Kaziem, któremu musiałam zaaplikować leki na zbiecie ciśnienia, bo tak się całym tym zmartwychwstaniem żony podekscytował, i małą Anielką, która na szczęście już miała się lepiej. A gdy wrócił po pracy syn pani Celi i Kazia, Filip, wyjaśniłam mu, co tutaj się stało, wysłuchałam gorących podziękowań, po czym wróciłam do domu.

Rozdział 17

– Zuzka! – krzyząc moje imię już od progu, zjrzała do nas następnego popołudnia Anka. Kasia z Marcelem kopali coś w ogródku, Ludwik biegał ze znajomym profesorem po jakimś starym parku, a ja odpoczywałam na kanapie w salonie po posprzątaniu całego domu.

Swoją drogą, ostatnio naprawdę cieszyła mnie obecność Kasi. Jako jedynej udało jej się zaangażować Marcela w jakiejkolwiek czynności odbywające się na świeżym powietrzu, a ja sama nigdy nie widziałam, żeby rwał się do czegokolwiek tak, jak do kopania w ziemi w jej obecności.

No dobrze. Taki sam entuzjazm wykazywał jeszcze jeśli chodzi o oglądanie kreskówek w telewizji, ale musicie przyznać: z punktu widzenia rodzica to wcale nie to samo.

Przed przyjściem Anki przeglądałam właśnie powoli wypełniane dokumenty, którymi obdarowała mnie pani dyrektor i już miałam iść na górę, żeby skonsultować jeden wniosek z Markiem, kiedy usłyszałam dochodzący z korytarza głos siostry.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała Anka, odrywając mnie od wszystkich tych papierków i usiadła na fotelu naprzeciwko mnie.

– Stało się coś? – zapytałam, zmieniając swoją dotychczasową pozycję i unosząc głowę.

– Co? A nie, nie. – Ania machnęła ręką. – No dobrze... – uległa mojemu pełnemu naciskowi spojrzeniu. – Mam dwie sprawy, ale to właściwie nic ważnego i jeśli jesteś zajęta – przeniosła wzrok na piętrzący się na stole plik kartek – to obie mogą poczekać – dokończyła.

– Eee. – Pokręciłam głową. – Doszkałam się tylko. Mam na to jeszcze kilka dni. Chcesz czegoś do picia? – zaproponowałam, jak to na dobrą gospodynię przystało i zaczęłam mobilizować siły, by wstać z kanapy

– Należę, nie wstawaj. – Wskazała na mnie ręką tak, jak to tylko starsze siostry potrafią, sprawiając, że zastygłam w bezruchu.

– Rządysz się u mnie prawie jak u siebie – mruknęłam rozbawiona.

– I kto to mówi – odcięła się. – Swoją drogą widzę, że masz dziś idealne warunki do pracy. Cisza i spokój.

– Prawda? Coś wspaniałego. Grzechem byłoby tego nie wykorzystać.

– Szkoda, że u mnie tak nie jest. – Anka wróciła do salonu i podała mi też szklanekę soku. – Zośka ma jakiś płacziwy nastrój. Ostatnie dwie noce to prawie w ogóle nie spałam. Więc widzisz. Nie narzekaj, tylko ciesz chwilami wolności.

No cóż. Nie sposób się było z nią nie zgodzić, prawda? Skoro starsza siostra każe... No cóż. Trzeba!

– No to słucham, co cię do mnie sprowadza? – zapytałam.

– Jerzy wyjeżdża już w piątek. Udało mu się pozatlatwiać wszystko jak najszybciej i nie ma na co czekać. Przyszłam zapytać, czy nie pożyczylabyś nam tej swojej wielkiej torby podróżnej. Wiesz, tej czarnej.

– Nie ma sprawy. Jest gdzieś na górze. Poszukam, wypiorę i możesz brać. Na kiedy potrzebujesz?

– Na jak najszybciej.

– Będzie. – Uśmiechnęłam się do Anki, upijając kolejny łyk soku. – A ta druga sprawa?

– Nie będzie miał kto go zawieźć na lotnisko, a szkoda, żeby tłukł się do Warszawy autobusami z dwiema wielkimi torbami. Nie mam z kim Zośki zostawić na jeden dzień, bo z mamą ostatnio jest różnie. Gotowa zapomnieć, że się musi dzieckiem opiekować, taka chodzi rozkojarzona.

– Jeśli chcesz, to Ludwik może wziąć wolne i zawieźć go na lotnisko – zaoferowałam wspaniałomyślnie.

– Nie, nie. – Anka zaczęła kręcić głową. – Poradzę sobie. Chodzi mi tylko o to, żebyś została z małą. Pawełek ze szkoły sam przyjdzie ten jeden raz. Jak będzie ci wygodniej, to podrzucę ci Zośkę do domu razem z całym zapasem pieluch, smoczków i przecierów owocowych.

– Pewnie, nie ma problemu. O której będziecie jechać?

– O szóstej rano, bo to jednak kawał drogi – odpowiedziała, a jej twarz natychmiast posmutniała na samą myśl o rozłące z mężem. Biedulka. Zrobiło mi się jej żal. Nie wiem, czy ja zgodziłabym się na taki wyjazd. Chociaż... będąc w ich sytuacji też pewnie nie widziałabym lepszego wyjścia.

– No dobrze. Porozmawiam z dyrektorką. Myślę, że nie będzie mi robiła żadnych problemów z wzięciem wolnego dnia skoro i tak za półtora tygodnia mamy koniec roku szkolnego.

– Jesteś kochana! – Anka rzuciła mi się na szyję. – Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła siostrzyczko – krzyknęła mi do ucha.

– Dobra, dobra. Udusisz mnie.

– Och, przepraszam...

– Swoją drogą, jak ty się czujesz? – zagadnęłam ją, gdy już się odsunęła, zerkając na jej powoli zaokrąglający się brzuch. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Nie narzekam, chociaż jak mówię, przez Zośkę prawie nie śpię. Po prostu jestem zmęczona. Po jej porodzie na szczęście nie boję się już tak bardzo, jak gdy zaszłam z nią w ciążę. Na szczęście drugi poród był o wiele łatwiejszy. Zakładam, że trzeci też będzie.

– No co ty nie powiesz? – Zaśmiałam się, przypominając sobie pierwszy poród Anki, podczas którego, razem z Jerzym, obecna byłam na porodówce.

Śmiać mi się chciało na samo wspomnienie tego, jak Anka, leżąc na białej kozetce, przez cały czas, równo jak sekundnik w zegarku, powtarzała, oddychając głośno, że nie da rady, podczas gdy Jerzy bez przerwy pytał, czy jest już zielony, trwając mało dzielnie przy cierpiącej bóle żonie starającej się wypchnąć z siebie na świat ich pierwsze dziecko. Obie z położną niemalże śmiałyśmy się w głos, będąc świadkami tej wspaniałej małżeńskiej potyczki słownej, która brzmiała mniej więcej tak:

– Nie dam rady. Czuję, że nie dam rady – mówiła Anka.

– Czy jestem już zielony? Mam wyjść? Jestem już zielony? – Jerzy powtarzał jak katarynka, z chwili na chwilę coraz częściej.

I tak w koło Macieju, dopóki Anka nie musiała zacząć się drzeć, żeby pomóc sobie z pchającym się na świat Pawełkiem, a Jerzy nie stwierdził, że musi iść napić się wody, bo zaraz może paść trupem, widząc tę masę krwi oraz słuchając głośnych jęków Anki i tym samym zachowa się mało męsko. Jak możecie się domyślić, w pogotowiu byłam ja, która nieświadoma tego, że i mnie kiedyś spotka to doświadczenie, zajęłam miejsce Jerzego u boku rodzącej siostry i trzymając ją mocno za rękę (choć to właściwie ona trzymała mnie, a raczej, miażdżyła mi palce), towarzyszyłam Ance w tym jakże zatrważającym doświadczeniu.

Pomijam w tej opowieści znamieny fakt, że gdy Ance odeszły w domu wody i poinformowała Jerzego, że powinni już jechać na porodówkę, ten ze spokojem stwierdził, że musi jeszcze naładować akumulator w samochodzie. Powędrował na podwórko, zostawiając mającą coraz częstsze skurcze Ankę na pastwę matki i kanapy w salonie, która z każdą chwilą zdawała jej się być coraz mniej wygodna.

Na szczęście przy porodzie Zośki było dużo lepiej, bo akumulator został naładowany, a ja, zamiast na porodówkę do rodzącej siostry, trafiłam z Pawełkiem do bufetu dwa piętra niżej, by maluch nie

słyszał krzyków matki i nie przeżył traumy związanej z narodzinami małej siostry. Dopiero gdy wszystko poszło jak z płatka, Jerzy poinformował nas, że możemy już odstawić jedzenie i powędrowaliśmy powitać na świecie małą Zosienkę. To dopiero piękna historia, co nie?

– O, cześć! – Oderwał nas od wspomnień głos powracającej z ogrodu Kasi, za którą szedł zmordowany, choć uśmiechnięty Marcel.

Oczywiście był cały umorusany od grzebania w ziemi.

– Siedzicie sobie? – Kasia zapytała mało ambitnie, podchodząc do kuchennego blatu i naląła do szklanek soku dla siebie i Marcela.

– Dziękuję, Kasiu – jak na dżentelmena przystało, Marcel podziękował jej za picie. Mnie natomiast o mało co, nie zakręciła się łezka w oku. Uświadomiłam sobie, że moje dziecko zapatrzona jest w Kasię jak w obrazek, podczas gdy ona ma na niego zbawienny wpływ.

– Mamo, czemu płaczesz? Boli cię coś? – kiedy jedna z łez popłynęła po moim policzku, zapytał mnie Marcel.

– Nie, kochanie, nie boli. – Uśmiechnęłam się do niego, zastanawiając się, co też kryje się w tej jego małej blond główce. – To są łzy szczęścia. Cieszę się, że mam ciebie i Kasię, i ciocię Anię przy sobie, wiesz? – dodałam, całując go w brudny policzek, gdy podszedł do mnie i zarzucił mi ręce na szyję.

– To dobrze. – Rozpogodził się. – Mogę cię o coś zapytać? – zmienił temat, odsuwając się trochę.

– Pytaj, kochanie – westchnęłam i wbiłam w niego oczekujące spojrzenie, mając świadomość tego, że niektórych jego inteligentnych pytań po prostu strach się bać.

– Bo jak kopaliśmy z Kasią w ogródku, to ona powiedziała, że wszyscy rodzice się kiedyś robią starzy. A jak ty z tatą się zestarzejecie i staniecie się moimi dziadkami, to kto wtedy będzie moimi rodzicami, co?

Przyznam wam, że trudno mi było ukryć zdziwienie i głośno się nie roześmiać.

– Oj, kochanie. Co za głupoty gadasz. My z tatą zawsze będziemy twoimi rodzicami. Nawet, jak już będziemy starzy.

– I brzydcy? – Marcel zapytał, jak gdyby nigdy nic, podczas gdy siedząca obok Anka głośno buchnęła śmiechem.

– Tak – przełknęłam ślinę. – Nawet, jak będziemy brzydcy.

– Ale beznadzieja! – Tupnął nogą. – Będę miał brzydką mamę. Muszę to powiedzieć Ulce w przedszkolu. Jej mama też się zrobi brzydka?

– Kiedyś na pewno. – Poddalam się zrezygnowana i bezsilnie spojrzałam na chichoczącą w fotelu Anię.

Z opresji wyratowała mnie Kasia, która przysłuchiwała się z kuchni naszej rozmowie.

– Chodź, Marcel. – Wyciągnęła w stronę mojego udanego synka rękę i spojrzała na mnie rozbawiona. – Pójdziemy się wykapać, bo zaraz w całym domu będzie brudno. Musimy zdążyć zanim twoja mama zrobi się stara i brzydka, żebyś mógł się nią jeszcze nacieszyć – puściła mi oczko, a ja westchnęłam ciężko.

Marcel posłusznie podał Kasi rękę i bez oporów powędrował za nią na górę, gdzie niedługo potem został wsadzony do wanny i mocno wyszorowany. Ja z Anką natomiast wypiliśmy resztki soku, rozważając, co właściwie powinny zrobić nasze dzieci, gdy będziemy już stare i brzydkie, i wstyd będzie się z nami pokazać.

Ot, dziecięca wdzięczność. Nie ma co.

Kiedy już poubolewałyśmy z Anką nad naszym ciężkim losem, ta postanowiła się zbierać. Kasia z Marcelem włączyli sobie jakiś film Disneya, a ja wróciłam do papierów i ściągnęłam z góry

potrzebnego mi do tego Marcuszka.

Jego obecność znowu zadziałała na mnie jakoś tak... dziwnie. Nie mogło umknąć mojej uwadze, że wygląda wyjątkowo dobrze w granatowych szortach i białej koszulce. Jego opalona już skóra... Zaraz! O czym ja właściwie myślę?

– Jeny, Zuzka! Nie wiem, jak ty to wszystko ogarniasz, naprawdę. – Po około dwóch godzinach papierkowej roboty opadł na naszą sofę Marcuszek. – Przecież to jest cholerna biurokracja. Ci ludzie związani z administracją naprawdę nie chcą nam życia ułatwiać, ale wręcz przeciwnie. Raczej nam je totalnie utrudnić! – jęknął boleśnie i przejechał dłonią po włosach.

Spojrzałam na niego rozbawiona. W takim typowo domowym wydaniu wyglądał całkiem niezłe.

– Ty się tylko podpisujesz w niektórych miejscach, a ja co? W dodatku mam takie dwa. – Wymownie spojrzałam na projekt.

– Dwa?!

– Aha. – Zaśmiałam się. – Skoro ten już prawie zrobiliśmy, to zostały mi dwa tygodnie na zrobienie drugiego. Ale dam radę.

– Z kim masz ten drugi?

– Z muzykiem.

– Z naszym czarującym Adamem? No to chyba się cieszysz.

Popatrzyłam na niego, chowając dokumenty do odpowiednich teczek.

– Praca jak praca. Ważne, żeby był kompetentny.

– I ani trochę nie patrzysz na urodę tego, z kim ten projekt robisz? Nie jest ci milej na myśl o tym, że spędzisz trochę czasu w towarzystwie przystojnego...

– Chcesz coś do picia? – Nie dałam mu skończyć i zerwałam się z fotela, aby nie słuchać tych jego głupot.

– Poproszę – mruknął do mnie rozbawionym głosem i zapatrzył się przez okno. Oświetlony przez zachodzące słońce wyglądał jeszcze lepiej niż dotychczas.

– Cicho tu u was – odezwał się dopiero po chwili, kiedy postawiłam przed nim szklaneczkę z sokiem i ponownie usiadłam na fotelu.

– Jak to na wsi.

– No. – Spojrzał na mnie, dokładnie lustrując wzrokiem moją twarz. – Cisza i spokój powoli zaczynają mnie urzekać. Chyba się starzeję. Coraz bardziej mi się tutaj podoba – rzucił niby od niechcenia, ale w jego głosie było coś takiego, co sprawiło, że to wyznanie nie zabrzmiało do końca jednoznacznie.

– Co masz na myśli? – zapytałam, uciekając wzrokiem za okno.

– Im dłużej u ciebie mieszkam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że mam już dość wielkiego miasta, w którym się wychowywałem i dorastałem i tego jego szumu. Muszę ci powiedzieć, że najpierw rękami i nogami broniłem się przed pracą na wsi. Nie wyobrażałem sobie tego zupełnie. Budzi cię pianie koguta, nie ma kin, klubów, drogich restauracji. Gdybyśmy nie poznali się wtedy z Jagodą to nigdy nie zdecydowałbym się na tę przeprowadzkę. Do miasteczka, bo do miasteczka, ale dla mnie nawet i ono było jak wieś. Z tym, że mieszkaliśmy w bloku. A tu w Jaszczurkach jest jeszcze większa głusza. Nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego nagle zakochałem się w tym miejscu.

– Nie bywałeś często na wsi?

Pokręcił głową.

– Nie. Nawet w dzieciństwie. Otaczali mnie tylko mieszczuchy i zwarta zabudowa w pakiecie z hałasem ulic. Nawet jako dziecko jeździłem do babci nie na wieś, ale do bloku.

– Więc bałeś się czegoś, czego nie znałeś – zauważyłam, przyglądając mu się przy tym uważnie.

Chociaż patrzył nie na mnie, ale w okno, doskonale widziałam, że w jego oczach malowała się teraz jakaś niewypowiedziana tęsknota.

– Raczej swoich wyobrażeń, ale masz rację – odpowiedział z uśmiechem i spojrzał prosto na mnie. Jego wzrok o mało nie zaczął mnie palić. – Gdybym wiedział, że życie tutaj będzie wyglądało właśnie tak jak wygląda, to przeprowadziłbym się do Jaszczurek już wcześniej.

Słyszac te słowa, nerwowo przełknęłam ślinę. Chyba jednak nie uroiłam sobie ostatnio tego, że mogę mu się podobać, ale naprawdę tak było.

– Tak, to znaczy jak? – wychrypiałam, wcale niezadowolona z tego, jak ten człowiek na mnie działa.

Marek pochylił się do przodu.

– Jesteśmy dorośli, Zuzka... Powiedziałem ci ostatnio, że bardzo mnie pociągasz i... – nie zdążył dokończyć, bo drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie i po całym domu rozległ się rozemocjonowany głos Ludwika:

– Zuzka, przywiozłem nowe skarby! – obwieścił, nie wchodząc do środka, ale wsuwając przez drzwi tylko głowę. – Chodź mi pomóc zdejmować je z przyczepy! Tylko ubierz się jakoś gorzej, bo śmierdzą! Właściwie, to ja też! – krzyknął, a ze mnie jakby uszło powietrze. Wzywała mnie jakże frapująca codzienność i uwaga, mój MAŻ!

Poczułam na sobie pełen rozczarowania wzrok Marka, ale po tym, co przed chwilą między nami zaszło, nie miałam odwagi na niego spojrzeć.

– Idę, już idę! – Niechętnie podniosłam się z fotela i ruszyłam ku górze, żeby założyć na siebie coś gorszego.

Marek pochylił się przy stole jeszcze niżej i ukrył twarz w dłoniach, widocznie będąc tak samo rozczarowany pojawieniem się Ludwika, jak ja. Głowę bym dała, że gapił się na mnie, kiedy się oddalałam. Jego spojrzenie niemalże paliło mnie w pupę.

Tej nocy nie mogłam spać i to wcale nie dlatego, że trzy razy znajdowałam gdzieś w naszym łóżku kawałki zakopanego przez Sarę na czarną godzinę chleba, co rozjuszyło mnie do granic możliwości. Ani też nie dlatego, że Ludwik chrapał wyjątkowo głośno. Ani nie przez świecący prosto w nasze okno księżyc.

– Nie no, ja po prostu nie wytrzymam sama ze sobą. Cholernie czarujący wuefista! Że też musiałam przyjąć pod dach właśnie kogoś takiego, jak on! – mruknęłam w końcu, z „niewiadomych” powodów wściekła na cały świat i otulając się swoim milutkim szlafrocikiem, zesłam na dół.

Resztę nocy spędziłam w towarzystwie kubka gorącej herbaty i krzyżówek.

Rozdział 18

Czwartkowy poranek zaskoczył chyba nas wszystkich, ponieważ po długotrwałej fali upałów, z którą zdążyliśmy się już na dobre zaprzyjaźnić, przyniósł nam ciepły, choć ulewny deszcz. Przed wyjściem do pracy musiałam więc wyciągnąć z szafy dawno nienoszone kalosze.

– Zuzka, zaczekaj! – Gdy kryjąc się pod parasolem, byłam już przy bramie, usłyszałam za sobą głos Marka. – Ja też mam na ósmą! – oznajmił i pojawił się tuż obok. – Mogę iść z tobą?

Spojrzałam na niego rozbawiona.

– No przecież już nie mam nic do gadania. – Roześmiałam się. – Ale chyba to ty powinieneś w tym układzie trzymać parasol. Nie chcę uderzać cię nim w głowę.

Marek obdarzył mnie ciepłym uśmiechem i przejął różową parasolkę, muskając przy tym moją rękę.

– Jak ci się spało? – zagadnął, gdy razem ruszyliśmy ku szkole.

– Dziękuję, dobrze – skłamałam.

– A ja na przykład nie mogłem spać. Przez cały czas myślałem dzisiaj o jednym. – Znowu spojrzał na mnie tym swoim dość jednoznacznym wzrokiem, ale uratował mnie z opresji rozchodzący się po wsi klakson samochodu. Mężczyzna użył go, hamując gwałtownie przed biegnącym po drodze kotem.

– Dobrze, że to nie na nas. – Roześmiałam się nerwowo, chcąc zmienić temat.

– Na szczęście oboje trzymamy się norm i przepisów – Marek nie dawał jednak za wygraną i muszę przyznać, że kolejny raz podziękowałam w myślach za to, że mam tak blisko do szkoły, bo gdyby ta rozmowa trwała choć chwilę dłużej, to zrobiłoby się naprawdę niezręcznie.

– Zuzka! – Gdy weszliśmy z Markiem do szkoły, zamachała do mnie Beata, która tradycyjnie stała przy naszym ulubionym grzejniku. Właściwie żałowałam nawet, że nie był ciepły, bo moje mokre poncho wyschłoby dzięki temu dużo szybciej.

– To ja wezmę parasol. Miłego dnia. – Widząc Beatę, uśmiechnął się do mnie Marek i odmaszerował do pokoju nauczycielskiego.

– Cześć. – Ja natychmiast podeszłam do niej.

– Co za pogoda. Cała jesteś mokra – stwierdziła mało odkrywczco, gdy stanęłam obok niej i oparłam się o zimny grzejnik.

– Gdybym miała na to wpływ, nadal świeciłoby słońce.

– Nie narzekajmy. Może nam się to nie podoba, ale pomyśl o rolnikach, którzy od kilkunastu dni modlili się o deszcz. Nie wszystkim można dogodzić, ale ten u góry na pewno wie, jak rządzić pogodą, żeby usatysfakcjonować większość społeczeństwa.

– No dobrze, coś w tym jest – westchnęłam, zerkając na swoje przemoczone do kolan spodnie, podczas gdy do szkoły weszła mama jednego z moich uczniów.

– A jak ten Mareczek? – Beata nachyliła się do mnie konspiracyjnie. – Lepiej się trzyma?

Na samą myśl o nim nerwowo przełknęłam ślinę.

– Tak, chyba tak.

– Nie wróć do siebie z tą całą Jagodą?

– Mówił mi, że nie.

– O proszę. To ciekawe, kogo on sobie teraz upatrzył, bo nauczycielki szeptały ostatnio, że rozanielony po szkole chodzi. Pewnie znowu padło na jakąś nastolatkę.

Spojrzałam na Beatę i poczułam, że robi mi się gorąco. Już miałam jej coś odpowiedzieć, kiedy

stojąca do tej pory przy drzwiach mama mojego ucznia ruszyła w naszym kierunku.

– Dzień doby, pani Zuziu. – Uśmiechnęła się do mnie i stanęła naprzeciwko nas, zasłaniając tym samym widok na dzieci. Choć niezręcznie było mi ją przesuwac, nie do końca mi się to podobało. A co, jak któreś z nich zrobi sobie krzywdę dokładnie w momencie, w którym nie będę widziała?

– Dzień dobry, pani Abramczyk – odpowiedziałam jej, siląc się na uśmiech. – W czym mogę pomóc i to z samego rana?

– Przykro mi to mówić, ale przychodzę ze skargą.

– Skargą na kogo? – zdziwiłam się.

– Na Adasia, który, jak powiedział mi w domu mój synek, zjadł mu wczoraj wszystkie kanapki, podczas gdy moje dziecko chodziło cały dzień głodne.

– Bardzo mi przykro, pani Abramczyk, ale nic nie wiem o tej sytuacji. Jest pani pewna, że pani syn nie konfabuluje i nie chce po prostu zwrócić na siebie pani uwagi? – zapytałam ją, przekrzywiając na bok głowę, bo doskonale wiedziałam, że Adaś, jaki by nie był, na pewno nie zabrałby nikomu kanapek. A nawet gdyby, to na pewno bym to zauważyła, prawda? Dzieci to nie dorośli i one od razu przybiegają na skargę z takimi rzeczami.

Po drugie, pani Abramczyk, znana w okolicy dentystka, to jedna z miejscowych kobiet z tak zwanych wyższych sfer, dla której dużo ważniejsze niż opieka nad dzieckiem są drogie ubrania i chodzenie na bankiety z mężem i miejscowymi urzędnikami zajmującymi, jak możecie się domyślać, dość wysokie rangą stanowiska. Nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby małż Hubert wymyślił całą historię tylko dlatego, żeby zwrócić na siebie uwagę wiecznie niedostępnej matki, która, o ironio, zanedbywała swoje dziecko. Od dawna wiadomo przecież, że niedobór miłości i zainteresowania w przypadku sprawowania opieki nad maluchami jest jedną z form przemocy. A ona śmie przychodzić do mnie na skargę? No błagam.

Beata też musiała wyczuć, co myślę o całej tej sytuacji, bo uśmiechnęła się do mnie wyrozumiale, ukazując swoje zażenowanie, po czym taktownie oddaliła się na moment, żeby dać nam swobodnie porozmawiać.

Pani Abramczyk nie wykazała jednak chęci do dalszej rozmowy i posądzając mnie o spekulacje dotyczące jej nienagannego oddziaływania wychowawczego na Huberta, postraszyła, że zgłosi sprawę do pani dyrektor, skoro ja nie umiem tego załatwić. Przyznam, że zachciało mi się śmiać, bo dyrektorka doskonale знаła stosunek tej matki do swojego, nie pierwszego zresztą, dziecka, a że jest pedagogiem z wieloletnim doświadczeniem, z pewnością nie omieszka powtórzyć moich słów. Z tym, że bardziej dobitnie, na co ja, niestety, ze względu na swoją dość niską pozycję w szkolnej hierarchii, nie mogłam sobie pozwolić.

Gdy pani Abramczyk raczyła oddalić się, razem ze swoją imitującą skórę torebką w panterkę, wróciła do mnie Beatka, i, na nasze nieszczęście, zjawiała się Lena.

– Cześć, dziewczyny – rzuciła do nas typowym dla siebie przygnębionym głosem. – Taka jestem zmordowana. Całą noc nie spałam, bo serce mi się tłukło w piersi jak oszalałe. Mój mąż chciał ze mną nawet na pogotowie jechać, ale woleliśmy nie budzić córusi, która uczyła się do późna na sprawdzian. Ach – pokręciła teatralnie głową nasza ulubiona hipochondryczka – ciężko żyć z dzieckiem geniuszem, naprawdę ciężko.

– Na szczęście my nie mamy takich problemów. – Z karykaturalną wręcz wyrozumiałością pokiwała głową Beatka, którą nagle ogarnęła nieokiełznana fala smutku związana z trudną sytuacją życiową Leny. Albo więcej! Z jej bujną, sięgającą dużo dalej niż granice naszego rozumowania, wyobraźnią.

– Powinnyście naprawdę bardziej to doceniać. No ale nic, jakoś będę sobie z tym radzić prawda?

– Lena uśmiechnęła się blado, ukazując nam tym samym sine wory pod oczami. Głowę bym dała, że nie zatuszowała ich specjalnie, ale co ja tam wiem, prawda? Niczego nie rozumiem. Moje dziecko nie sprawia problemów wychowawczych, a los nie jest dla mnie okrutny. To nie na mnie nasyła się policję, księdza i wyprasza, a raczej wyrzuca się, mojego męża i syna ze sklepu. Co ja mogę wiedzieć o ciężkim życiu, no co?

Wybaczenie. Musiałam. Mój poziom irytacji przekroczył normę, by zaraz zrobić to jeszcze bardziej.

– Nowe spodnie, Zuzka, co? – zagadnęła mnie bowiem Lena, lustrując wzrokiem jeansy, które kupiłam ostatnio w sklepie z używaną odzieżą. Na nieszczęście Leny miały metkę z napisem „Zara”.

– No niestety, niektórym jedzenie idzie w biodra – zmusiłam się do uśmiechu, choć już dostatecznie mnie dziś zirytowała.

– Gdzie kupowałaś? – bezceremonialnie zapytała Lena, sprawiając, że kolejny raz posłałyśmy sobie z Beatką znaczące spojrzenia. Nasza Lenka znana była bowiem z tego, że gdy tylko jakaś rzecz wpadła jej w oko, od razu jechała na zakupy i na drugi dzień przychodziła w takim samym ubraniu, doprowadzając tym samym do szału wszystkich zainteresowanych.

– A nie wiem. – Uśmiechnęłam się sama do siebie. – Byliśmy ostatnio w galerii na zakupach – skłamałam, robiąc jej na złość. – W jakiejś firmówce. Mogłabyś sprawdzić metkę? – Odwróciłam się do niej i lekko podwinęłam bluzkę.

Lena oczywiście, jak to miała w zwyczaju, rzuciła się pełna zapału ku moim spodniom i mało czy jej nie wyszły z orbit, gdy zobaczyła metkę. Ze względu na bibliotekarskie zarobki raczej nie robi tam zakupów. Zresztą, co tu ukrywać, mnie samej na te ubrania nigdy nie będzie stać, bo na dwóch pensjach nauczycielskich ledwo przedziemy z Ludwikiem od pierwszego do pierwszego. Ratowały mnie więc tak zwane ciucholandy, w których, co ciekawe, nieraz można było trafić na naprawdę dobre ubrania w okazyjnej cenie. Na te firmowe spodnie wydałam całe siedem złotych. Piękna sprawa, nie?

– No, no – wracając do swojego słabego głosiku, skomentowała moją metkę, Lena. – Zara. Nie wiedziałam, że robisz zakupy w takich sklepach – dodała, a ja posłałam Beatce rozbawione spojrzenie.

– Nie lubię taniej odzieży. Sama rozumiesz. Rozciągnie się to od razu i jeszcze straci kolor. Nie ma co oszczędzać na jakości. A ty też dziś masz śliczną bluzeczkę – nie mogłam sobie odmówić. – Gdzie kupowałaś?

– Też w jakimś dobrym sklepie – odpowiedziała niemrawo Lenka.

– Daj, sprawdzę na metce – zaoferowała się Beatka, chcąc nacieszyć się chwilą naszego triumfu tak samo mocno, jak ja.

– Nie, nie! – Lena zaprotestowała nagle z niesamowitą energią, o którą żadna z nas by jej nawet nie podejrzewała, biorąc pod uwagę „schorowanie” bibliotekarki. – Pójdę sobie lepiej zrobić herbatkę. Taka pogoda, to i przeziębienie się można – rzuciła na pożegnanie i wycofała się do pokoju nauczycielskiego.

– No przecież! Takie zimnisko, to trzeba już zacząć brać witaminę C na wzmocnienie. – Gdy Lena zniknęła nam z oczu, zaśmiała się Beata.

Oj, kobiety potrafią być wredne, przyznaję. Sama nią jestem, to wiem. Ale jak w takiej sytuacji postąpić inaczej? No jak?

Z przepięknej chwili prywatnego świętowania wyrwała mnie kolejna zaaferowana matka jednego z moich uczniów, która, nie będę ukrywać, od początku września sprawia mi same problemy i cieszę się, że jej córka idzie już do pierwszej klasy, bo obawiam się, że któregoś dnia mogłabym nie wytrzymać i babie, mówiąc kolokwialnie, przywalić. Jak nie wprasza się mnie do domu na kawę

z tym dzieciakiem, to wyprowadza się co chwilę do matki i nie wiem, co mam w dzienniku wpisywać, kiedy przychodzą miesiące, gdy jej córka ma więcej nieobecności niż dni, w których pojawia się w szkole.

– Pani Zuzanno! – Odciągnęła mnie za rękę od Beatki i nachyliła się do mnie konspiracyjnie.

– Słucham – westchnęłam ciężko, przygotowując się na jakąś nieprzyjemną rewelację.

– Sprawkę bym miała, taką malutką – rzuciła bez ogródek i wbiła we mnie swój świdrujący wzrok. – Nie pożyczłaby mi pani dwóch stówek? Co?

No nie wierzę. Gdybym miała coś w ustach, to chyba zaczęłabym się tym krztusić. Czy ja wyglądam jak bankomat?!

– Pani Gajewska, zakładałam już za panią w październiku czterdzieści złotych za ubezpieczenie dziecka, których do tej pory mi pani nie oddała. – Spojrzałam na nią surowo, podczas gdy ona popatrzyła na mnie, jakbym była co najmniej upośledzona.

– I co? – Pochyliła się do mnie bardziej.

– To znaczy, że nie. – Chociaż w środku się we mnie zagotowało, na zewnątrz musiałam być jednak miła i uprzejma.

– Ale na pewno? To może chociaż stówkę? – zapytała, nie zdając sobie sprawy z tego, jak na mnie działa. A działała co najmniej jak płachta na byka. Albo i dwie!

– Niestety. – Rozłożyłam bezradnie ręce i przeprasząc odwróciłam się do niej plecami, chcąc wrócić do Beatki.

– To może pani? – nie dawała za wygraną Gajewska i zwróciła się tym razem do Beatki.

– Słucham?

– Dwóch stówek by mi pani nie pożyczyła?

– No chyba jest pani śmieszna – z typową dla siebie bezpośredniością oznajmiła Beatka i baba poszła sobie od razu.

Ja wiem, że im się w domu nie przelewa, bo ten jej tankuje jak pekaes albo i więcej, ale to już się nazywa bezczelność! Żeby chociaż mi za ubezpieczenie oddała, to może... Co ja gadam! Nie będę się z rodzicami spoufalać. Pieniędźmi nie sikam, a na wieczne przechowanie pożyczać mi się nie opłaca.

Wzburzona powędrowałam więc do klasy, żeby rozpocząć lekcje, gdy niespodziewanie zjawiała się u mnie pani dyrektor.

– Słuchaj, Zuzka, przyszła do mnie pani Abramczyk i awanturuje mi się w gabinecie, że jakiś chłopiec zjadł jej dziecku kanapkę. To prawda?

– No skąd – zaprotestowałam, odrywając się od wypełniania dziennika i wpisywania zaległych tematów zajęć.

– Tak właśnie myślałam. – Dyrektorka zaśmiała się pod nosem, podczas gdy ja kątem oka zauważyłam, jak Adaś wsadza sobie do nosa dwie kredki i pogroziłam mu palcem.

– Co planujesz z tym zrobić? – wróciłam jednak do rozmowy z przełożoną, gdy Adaś odłożył kredki i zabrał się za kolorowanie.

– No co, oddam jej tę kanapkę, niech baba ma i nie gada. – Zaśmiała się pani dyrektor i wyszła z klasy, pozostawiając mnie z wielkim uśmiechem na ustach.

Istny dom wariatów, ta nasza placówka. Może powinni nam dać za to Nobla? Albo chociaż jakiś dyplom? Szkoła przyjazna rodzicom!

Tak że sami widzicie. Jeśli kiedykolwiek myśleliście, że w szkole pracuje się normalnie, to byliście w wielkim, oj wielkim błędzie. Niedługo paranoję i rozdwojenie jaźni powinni uznawać w przypadku nauczycieli za choroby związane z niebezpiecznymi dla zdrowia warunkami pracy. A zamiast emerytury – skierowanie na wczasy w ośrodku w Gostyninie w ramach rekonwalescencji

i powrotu do zdrowia po wielu latach użerania się z dziećmi i ich coraz gorszymi rodzicami. Gdybym była ministrem, to jak nic wprowadziłabym taki nakaz do Karty Nauczyciela, i to obowiązkowo.

A potem nie wiedzą, dlaczego społeczeństwo staje się coraz bardziej chore. Tylko powiedzcie, jak w tych warunkach można być normalnym? No jak?

Rozdział 19

– Jak w pracy? – gdy wróciłam ze szkoły totalnie wykończona i z wielkim bólem głowy, zapytała mnie siedząca w salonie Kasia. Mówiłam wam o zachowaniu dzieci przed burzą, prawda? Deszcz był jej pierwszą oznaką, możecie więc jedynie się domyślać, co odczuwałam, siedząc z nimi zamknięta w klasie przez bite 6 godzin.

– Dramat. Ale na szczęście już jutro wolne. Odkąd pracuję w szkole nie mogę się tego doczekać chyba jeszcze bardziej niż wtedy, gdy sama byłam dzieckiem – rzuciłam do niej, odkładając torebkę na szafkę i przeszłam do kuchni, żeby umyć ręce.

– Zrobiłam obiad – gdy wycierałam je w ściereczkę, nieśmiało odezwała się Kasia, tym samym kolejny raz bardzo mnie zaskakując.

– Obiad?

– Coś nie tak? – zapytała, widząc moją zdziwioną minę.

– Nie. Wręcz przeciwnie.

– Wybacz, że ci grzebałam po szafkach, ale zrobiłam kurczaka w ziołach prowansalskich, do tego surówkę i ziemniaczki. Tylko to znalazłam...

– Kasiu, jesteś po prostu niezastąpiona! – Rozwiałam jej wątpliwości, rzucając się jej na szyję i mocno do siebie przytulając. – Ale zaraz. To ty jesz mięso? – zdziwiłam się, lekko się od niej odsuwając.

– Czasami. – Wzruszyła ramionami dziewczyna.

– Wegetarianka z doskoku?

– Tylko w dni nieparzyste.

– Naprawdę?

– No... – mruknęła zawstydzona.

– W każdym razie jeszcze raz wielkie dzięki. – Postanowiłam nie męczyć jej pytaniami o nawyki żywieniowe i podeszłam do kuchenki, żeby zajrzeć do gotujących się w garnku ziemniaków.

– Oj, przecież to nic takiego – zaprotestowała z typową dla siebie skromnością.

– Nikt mi nie ugotował obiadu odkąd wyszłam za mąż, a może nawet od momentu, kiedy poszłam na studia, a ty to nazywasz niczym takim? Gdzie byłaś całe moje życie, co?! – Zaśmiałam się, widząc jej zmieszaną minę. – Chciałabym mieć taką córkę, naprawdę.

– Korzystaj, póki możesz. Chociaż w taki sposób odwdzięczę się wam za dach nad głową.

– Nie musisz nam się za nic odwdzięczać – zaprotestowałam, chcąc dać jej do zrozumienia, że miłości ani mojej, ani Ludwika, a już tym bardziej Marcela się nie kupuje, ale dostaje gratis.

– Nie nakryłam tylko do stołu, bo chciałam poczekać, aż chłopaki wrócą – powiedziała Kasia, podczas gdy ja nachylałam się nad piekarnikiem, wdychając zapach idealnie dopieczzonego mięsa.

– Chociaż do tego się przydam. – Uśmiechnęłam się, nadal pozostając jednak w ciężkim szoku. Taka Kasia to prawdziwy skarb, a Ludmiła pozbyła jej się jak niepotrzebnego szczeniaka. Mieć taką matkę... Naprawdę współczuję. Naprawdę. Chociaż może cała ta rozłąka to dla Kasi miód na serce i najlepsze, co mogło się jej przydarzyć? Odpocznie sobie od matki, odreaguje wszystkie te stresy związane z jej osobą...

No, są tego też dobre strony, jeśli popatrzeć z perspektywy dwudziestośmioletniej kobiety, która musi zachować aktywność zawodową prawie do siedemdziesiątki. Stanie przy garach to jedna ze znienawidzonych przez każdą matkę rzeczy, bo ile można obierać marchew i skrobać ziemniaki?

W ogóle to może Kasia mogłaby z nami zostać na dłużej?

– Co tak ładnie pachnie?! – przerwał moje rozważania powracający do domu zapalony historyk, za którego niegdyś wyszłam za męża.

– Kasia zrobiła nam obiad! – Uśmiechnęłam się do niego.

– Kasia jest naszą kucharką? – rzucił natomiast Marcel, pojawiając się w kuchni zaraz za tatą. – Super! – ucieszył się.

– O ile wiem, to jeszcze nie. – Zaśmiała się do niego Kasia. – Możemy już chyba siadać. Wszystko odgrzane i ciepłe. – Zaprosiła nas gestem do przykrytego białym obrusem stołu, na którym poustawiałyśmy naszą najlepszą zastawę. Skoro jest okazja, to czemu nie wykorzystać ładniejszych naczyń, prawda?

– A, jeszcze Marek! – Nasza kuchareczka puknęła się w głowę.

– Nie, nie. Marka dzisiaj nie będzie. Mówił mi w szkole, że ma coś do załatwienia i wróci późno. Nie czekamy na niego.

– Aha, no okej.

Obiad, ku ogromnej radości Kasi, smakował nam wszystkim i pożeraliśmy przyrządzonego przez nią kurczaka tak szybko, że aż uszy nam się trzęsły od poruszania żuchwą i stukania zębami. Nawet Marcel, który ostatnio miał miano rodzinnego niejadka, wsunął całą porcję. Doprowadził mnie i Ludwika do konkluzji, że to Kasia powinna u nas w domu gotować, co wyszłoby na zdrowie całej rodzinie.

Oczywiście nie mówię tu o jakimś wielkim wyzysku, ale gdyby chciała, nikt nie będzie jej zabraniał. Nie można ograniczać rozwoju dziecka, trąbią o tym na wszystkich kursach i szkoleniach. A nawet więcej! Powinno się go stymulować, wiadomo nie od dziś.

Z poobiedniego leniuchowania w sypialni w towarzystwie dobrej książki obyczajowej (notabene, gdy byłam w najbardziej znaczącym dla fabuły momencie!), wyrwał mnie jednak telefon zaniepokojonej Anki.

– Halo? Zuzka? Słuchaj, powinnaś do nas wpaść i to jak najszybciej! – bez owijania w bawełnę rzuciła do słuchawki.

– Chodzi o wyjazd Jerzego? Coś się stało? – Usiadłam na łóżku i odłożyłam na bok książkę, uważając jednak, by nie pozaginać przy tym rogów.

– Co? Nie. Z Jerzym w porządku. Jeśli oczywiście ten jego wyjazd w ogóle może być w porządku, bo na samą myśl o tym umieram z przerażenia. Jak ja tu sobie sama z dziećmi przez taki kawał czasu poradzę. Ale do rzeczy! – musiała zreflektować się Anka. – Z mamą dzieje się coś dziwnego!

– Matko kochana! Zamiast gadać tyle, to bądź przy niej. Każ jej oddychać, pamiętaj! Mam wystawiać samochód i jedziemy do lekarza? Dzwoniłaś po pogotowie? Matko kochana, Anka! W tym wieku i w jej stanie zdrowia to nie przelewki. – Przejęłam się nie na żarty, obawiając się kolejnego skoku cukru.

– Nie! Znaczy... nie wiem. Po prostu dziwnie się dziś zachowuje i zaczęłam się o nią mocno martwić. Siedzi tylko jak struta, wzdycha i patrzy w okno, ewentualnie snuje się po domu jak cień. Do nikogo się nie odzywa, a gdy ktoś raczy zapytać, to patrzy jakimś takim ospałym wzrokiem, jakby działa jej się jakaś krzywda i zbywa wszystkich tekstem, że i tak jej nie zrozumiemy i to ona musi rozwiązać ten problem.

– Ale jaki problem?!

– No właśnie tego nie możemy ustalić. Wpadniesz?

– No pewnie – zgodziłam się. – W końcu chodzi o moją matkę – zakończyłam rozmowę i wyszłam z domu, zabierając przy tym Marcela, któremu dla odmiany przyda się towarzystwo Pawełka a nie

telewizji.

– Siedzi w swojej kuchni – Ania zagadnęła do mnie, gdy razem z Marcelem weszliśmy na korytarz. Mój synek od razu pobiegł do Pawełka, ostrzeżony jednak, że w pokoju obok śpi Zosia i jak ją obudzi, to urwę mu głowę, a ciocia Ania poprawi. Ja tymczasem zajrzałam przez uchylone drzwi do kuchni, gdzie, przy stole, siedziała moja mama, patrząc tępo przez okno i ciężko wzdychając.

– Może to depresja? – szepnęłam do stojącej za moimi plecami Anki.

– Oby nie... Ale jakie miałyby powody do depresji? – pochyliła się do mnie bardziej. – Żadnego kryzysu wieku średniego nie przechodzi, pomaga przy maluchach, więc ma zajęcie i nie może narzekać na nadmiar czasu wolnego. Skąd depresja?

– Nie wiem – westchnęłam. – Może przejmuje się wyjazdem Jerzego?

– O tym nie pomyślałam – Anka szepnęła po chwili zastanowienia. – Ale żeby aż tak?

– U starszych ludzi nigdy nie wiadomo. Ty będziesz zajęta dziećmi, może się martwi, że dom w ruinę popadnie? W końcu ten kawałek ziemi to całe jej życie.

– Może i masz rację. – Popatrzyła na mnie z uznaniem.

– No to wchodzimy! – zawyrokowałam i popchnęłam do przodu drzwi, by wejść do kuchni. Od razu uderzył mnie zapach wiszących nad kuchenką ziół.

– Cześć, mamó! – rzuciłam wesoło do mamy, siadając obok niej przy stole.

– O. Córcia – odpowiedziała mi bez entuzjazmu. – Zrobić ci coś do picia? – zapytała, nawet na mnie nie patrząc, co było dziwne (pomijając oczywiście fakt, że nie powitała mnie żadną, typową dla siebie, aluzją do swojej śmierci).

– Nie, dzięki. Co u ciebie mamusiu? – zapytałam, kątem oka zerkając na stojącą przy meblach kuchennych, zaniepokojoną Ankę. – Dobrze się czujesz?

– Jeśli w moim wieku można się dobrze czuć – westchnęła mama – to tak.

– Wydaje mi się, że coś cię gryzie.

– Tak?

Pokiwałam głową.

– Może chcesz o tym porozmawiać?

– Oj, córunia, masz taką masę swoich problemów, że ten jeden chociaż wezmę na swoje barki – powiedziała, wzdychając głośno i wbiła wzrok gdzieś w dal, sprawiając, że zupełnie odjęło mi mowę.

– Mamó, może jednak mogłybyśmy ci jakoś pomóc, co? – wtrąciła się do rozmowy Ania. Podeszła do stołu, po czym odsunęła sobie taboret i usiadła obok nas.

– Sama nie wiem... – mama zawahała się, ale uniosła w końcu wzrok.

No, to mamy przełom! Nawet pomimo tego, że wyglądała, jakby się miała zaraz popłakać.

– Mów, mamó. Rodzina jest od tego, by dzielić się swoimi problemami, prawda? – zachęciłam ją, starając się nie być za bardzo nachalna.

– Oj, dzieci, dzieci. Martwię się po prostu...

Ania spojrzała na mnie spode łba.

A więc jednak miała rację, chodzi o Jurka.

– O co się martwisz mamusiu? – zapytałam, chcąc sprowokować ją do wyrzucenia z siebie tego, co ją gryzło.

– Jakby wam to delikatnie powiedzieć... – zawahała się. – O miłość. Najzwyczajniej o miłość się martwię.

Ania spojrzała na mnie kolejny raz, widocznie tak jak ja nie dowierzając, że mama może tak bardzo przeżywać wyjazd Jerzego.

– Wiecie, jak to jest. Niby kobieta jest silna, ale jednak mężczyzna to by jej się zawsze przydał. Zwłaszcza, jak spotyka się ze znaczącym odrzuceniem ze strony osoby dotychczas bliskiej – odpowiedziała filozoficznie, błędząc wzrokiem w jakiejś bliżej nieokreślonej przestrzeni.

Rzut oka na Ankę wystarczył, by dostrzec pojawiające się w jej oczach łzy. Co ta matka bredzi? Jeszcze Jerzy nie wyjechał, a ona chce ją już na nowo swatać? No to chyba jakaś kpina. Ona i jej konserwatywne poglądy pozwalają na takie rzeczy? Już prędzej półnagiego sąsiada na swoim podwórku bym się spodziewała, niż...

Dobrze, oj, dobrze. Zapomniałam się.

– Ale mam. Myślisz, że w takim krótkim odstępie czasu można na nowo pokochać kogoś innego?

– zapytałam, a Anka pociągnęła nosem. Widać weszła już w etap żałoby za mężem, który nie zdążył nawet porządnie wyjechać. Mama natomiast snuła już plany, na kogo by go wymienić. Jak tu zachować spokój?

– Jak się nie ma wyjścia, to chyba trzeba, prawda? Co to, kobieta całe życie ma cierpieć z powodu samotności porzucona na pastwę losu i zdana sama na siebie? – mama spojrzała na mnie smutno. Co jej się nagle stało?!

– Nie no, pewnie, że nie – wydukałam.

– Dlatego musimy jej kogoś znaleźć, Zuzka. – Dobiła mnie, a Ania odeszła od stołu, nie ukrywając nawet, że płacze i schowała się do łazienki.

– Mam, jak możesz?! – zapytałam, gdy Ania opuściła kuchnię. – Nie widzisz, że jej jest przykro? Co ty w ogóle wymyślasz?! – naskoczyłam na mamę zdenerwowana całym tym jej głupim pomysłem. Co ona myśli, że stanę przeciwko Jerzemu i zacznę Ankę na randki umawiać? Niedoczekanie!

– A kto ma o tym myśleć, skoro Anka ma swoje sprawy, a ty chodzisz z głową w chmurach?

– No tego się po tobie nie spodziewałam.

– Ja po tobie też nie – wypaliła moja mamusia. – Nie tak cię wychowałam, żeby dziecko w domu zamykać. To forma przemocy, Zuzka. Sama mi o tym mówiłaś.

– Ale ja nie chcę Anki nigdzie zamykać. Po prostu nie uważam, żeby szukanie jej męża, bo Jurek wyjeżdża na pół roku, miało jakikolwiek sens. A gdzie twoja wiara w nierozzerwalność sakramentu? Co ty myślisz, że ja sama będę po wsi latać i nowego ojca dla jej dzieci szukać? Wiesz co, mam, tym razem przesadziłaś – uniosłam się.

– Co ty gadasz, Zuzka? – matka spojrzała na mnie i zrobiła wielkie oczy. – Jakiego męża? Dla Anki? Ja mówię o Kasi!

– Jak to Kasi? – zdziwiłam się.

– Że przydałoby jej się chłopaka poszukać. Matka ją zostawiła, to ktoś bliski by się przydał, a ty ją w domu zamykasz – zalamantowała.

– Nigdzie jej nie zamykam. Sama nie chce wychodzić.

– Bo jej nie stworzysz możliwości – westchnęła moja mamusia.

– Mam, no błagam cię. Ona nie ma pięciu lat, żeby ją za rączkę do znajomych prowadzić i przedstawiać przy piaskownicy! – oburzyłam się.

No bo jak tu zachować spokój, skoro takie oszczerstwa lecą w moją stronę? Jak?

– Dlatego postanowiłam, że zaaranżuję jej randkę. A ty mi w tym pomożesz. No... Chyba, że chcesz, żebym po śmierci zaczęła cię straszyć po nocach.

– Nie rozumiem.

– Boże, dziecko... – pokręciła głową. – Moja przyjaciółka, Serafinka, ma wnuka w Sosenkach. Dzwoniłam do niej. Mądry i przystojny. Podobno kształcony jak profesor najlepszy! Przyjedzie do nas zabrać Kasię na spacer.

– I jaka jest w tym moja rola? – zapytałam zrezygnowana.

– Dopilnuj, żeby była w domu, jak on przyjedzie.

– No to akurat nie będzie trudne – mruknęłam pod nosem.

– Ano, nie będzie, jak się dziecko w domu zamyka – nie omieszkała przypomnieć mi swojego stanowiska mamusia.

– Skoro mama się dobrze czuje – powiedziałam cicho, wiedząc, że tej słownej potyczki już raczej nie wygram – to ja może pójdę do Ani, bo sobie oczy w tej łazience wypłaczę, przez te głupoty, co jej mama nagadała.

– Nie moja wina, żeście sobie coś uroiły. Takie niby dorosłe, a nadal myślą jak nastolatki. Wstyd – podsumowała, gdy wychodziłam z kuchni, by pocieszyć moją starszą siostrę i wytłumaczyć jej, że matka wcale nie chce stawać na drodze jej i Jerzego miłości i nie chodziło jej o szukanie nowego kandydata na zięcia.

Musicie jednak wiedzieć, że wcale nie było to takie proste, bo moja Anka jest osobą bardzo impulsywną. Przekonanie jej, że chodziło o Kasię, trwało więc ponad pół godziny. Aż do czasu, kiedy wrócił Jerzy, przyszła matka i rozbudziła się Zosia. Anka dopiero wtedy darowała sobie płacze i lamenty, wracając odpowiednio do roli żony, córki i matki, porzucając płaczkę. Najbardziej chyba jednak do tej ostatniej, bo Zosia obudziła się głodna.

My zaś z Marcelem wróciliśmy do domu. Ja o niebo spokojniejsza, że matce nic nie jest i chodziło jedynie o jakiś jej kolejny genialny plan powstały w wyniku nadmiaru czasu wolnego, a Marcel podekscytowany nową gazetką z samolotami. Pawełek pożyczył mu ją wspaniałomyślnie, gdy mój synus zaczął płakać, że nie chce wracać do domu, bo tam nie będzie mógł jej oglądać.

Kryzys został więc zażegnany i nie pozostało nam nic innego, jak usiąść przy oknie i wyczekiwać, kiedy to kandydat mamy pojawi się, by zdobywać serce Kasi. Może bezpieczniej byłoby zapytać matkę o termin? No cóż. Na tamtą chwilę nie miało to już większego znaczenia, bo rozpadało się na dobre. Przyszła burza, a na drogę między Sosenkami a Jaszczurkami przewróciło się drzewo, tamując ruch na cały wieczór. W wyniku tego kandydat na chłopaka Kasi nie zjawił się, doprowadzając jednak do bardzo ciekawej konkluzji: ze starzejącymi się matkami jest o wiele gorzej niż z dziećmi.

I tak, jak burza nie pomogła rozwojowi miłości między Kasią a jej przyszłym (według mojej mamy) chłopakiem, tak ja spróbowałam wykorzystać ten moment, żeby kolejny raz zawalczyć o uwagę Ludwika, który, wyjątkowo, ten wieczór spędzał w domu.

Okej, popchnął mnie ku temu widok przemykającego z łazienki do pokoju w samych bokserkach Marka, ale moje pobudki nie miały tu większego znaczenia. Ani to, że ten facet budził we mnie jakieś utajone do tej pory instynkty.

Ubrałam się więc w moją ładną bieliznę i weszłam do sypialni, w której Ludwik leżał na łóżku i czytał książkę. Oczywiście nie raczył na mnie nawet spojrzeć, dopóki nie odchrząknęłam głośno, zsuwając przy tym z siebie jedwabny szlafroczek.

– Coś nie tak? – zapytałam, widząc jego skonsternowaną minę, gdy obrzucił mnie spojrzeniem. Nawet nie raczył odłożyć książki, o jakimś zachęcającym gościu w moją stronę oczywiście nie wspominając.

– Nie. Po prostu myślałem, że jest ci dzisiaj zimno. Będziesz tak spać? – zapytał zdziwiony.

Tym razem to na mojej twarzy wymalowała się konsternacja. Nie zamierzałam się jednak poddawać i weszłam na łóżko.

– Nie myślałam o spaniu – przysunęłam się do niego. – Tęskniłam za tobą.

– Przecież cały dzień byłem w domu.

– Ludwik... – zamruczałam mu do ucha, ale nawet na to nie zareagował.

Wyjęłam mojemu ślubnemu książkę z ręki i przysunęłam się jeszcze bardziej.

– Zuzka. – Widać dopiero to go pobudziło, bo w końcu raczył na mnie spojrzeć. – Oddaj mi tę książkę, jestem zmęczony. Miałem ciężki dzień.

– Ale...

– Naprawdę jestem zmęczony. I boli mnie kręgosłup.

Odsunęłam się od niego zaskoczona. Niech ktoś mnie oświeci: od kiedy to mężczyzna bywa zmęczony w takiej sytuacji? Może jeszcze poza kręgosłupem boli go głowa?!

– Nie podobam ci się? – zrobiłam smutną minę.

Mój mąż popatrzył na mnie jak na worek ziemniaków.

– Wyglądasz dobrze – stwierdził beznamiętnie.

– Dobrze?

– No przecież mówię.

– Nie pociągam cię już? – zapytałam coraz bardziej zaniepokojona.

– Zuzka, o tej porze pociąga mnie tylko łóżko.

Westchnęłam głośno, czując, że nic z mojego planu uwiedzenia Ludwika dzisiaj nie wyjdzie. No tak. Łóżko cieszy się większym zainteresowaniem mojego męża niż ja. Czego chcieć więcej?!

Szybko wstałam i schyliłam się po leżący na podłodze szlafroczek. Założyłam go i ruszyłam ku drzwiom.

– Dokąd idziesz? Jest już późno. Nie chce ci się spać? – zapytał Ludwik, biorąc do ręki książkę. Bodajże o funkcjonowaniu starożytnych społeczeństw. Naprawdę interesujące!

– Idę pozmywać. Straciłam ochotę na sen – rzuciłam do niego oschle i zesłam na dół. Za żadne zmywanie się jednak nie wzięłam. Zaparzyłam sobie herbatę i usiadłam po ciemku na kanapie w salonie, a potem, wsłuchując w bębnienie deszczu o parapety, zapatrzyłam się przez okno. Myślałam oczywiście o tym, że moje życie małżeńskie to kompletna katastrofa.

Po jakimś czasie rozległy się na schodach czyjeś kroki. Spojrzałam w tamtą stronę z nadzieją, że to Ludwik, ale słusznie mówią, że nadzieja jest matką głupich. Mój ślubny spał w najlepsze przewracając się z boku na bok, a z mroku wszedł w poświatę księżycy nie kto inny jak Marek.

– Zuzka, ty tutaj? – zdziwił się na mój widok i podrapał po głowie.

– Nie mogę spać.

– Ja też. Przyszedłem po szklankę mleka. Podobno to pomaga.

– To może nalej i mnie. – Uśmiechnęłam się do niego. – Ja pomyślałam tylko o herbacie.

– Jak sobie życzysz. – Spojrzał na mnie ciepło i już za kilka chwil zjawił się z dwoma kubkami gorącego mleka z masłem i miodem. Chociaż mieliśmy już czerwiec, w domu zrobiło się dość chłodno, dlatego był to napój idealny na dzisiejszą, deszczową noc.

– Dla ciebie. – Podał mi jeden z kubków i spojrzął na kanapę. – Mogę?

Przesunęłam się trochę w prawo.

– Tak. Siadaj. – Skinęłam.

– No to o czym myślisz, siedząc sobie tutaj po ciemku? – zagadnął mnie po chwili milczenia. Jego głos brzmiał w cichym, śpiącym domu jeszcze bardziej zniewalająco.

Przygryzłam wargę, nie chcąc zdradzać takiemu facetowi jak on, że nie robię już na swoim mężu najmniejszego wrażenia. Czułam się wystarczająco upokorzona.

– O niczym – odpowiedziałam więc wymijająco.

– Przecież widzę.

Westchnęłam głośno.

– Mam trochę swoich spraw. Nie chcę o tym rozmawiać. Mówienie o nich głośno nie ma sensu.

Marek patrzył na mnie przez chwilę, ale nic nie powiedział.

– Przejmujesz nawyki od swoich dzieci z zerówki?

Na moje usta wypłynął uśmiech.

– Tak. Ale chyba tylko w tym, że jeśli o czymś nie mówię na głos to znaczy, że w gruncie rzeczy tego nie ma. A ty dlaczego nie możesz spać?

– Chyba mam ostatnio trochę zaburzony rytm dnia. Jak chodzę za wcześnie spać, to potem tak samo wstaję, a nie chcę was rano budzić.

– Brakuje ci nocnego życia i wulkanu emocji na parkietach zatłoczonych klubów? – zapytałam nieco ironicznie, w wyniku czego Marek nagle spowaźniał i mimo ciemności spojrział mi prosto w oczy.

– Mówiłem ci już, że nie – zmienił ton.

– Więc o co chodzi?

– Może po prostu mam za bogate życie wewnętrzne.

Poczułam, jak pod wpływem jego wzroku moje serce zaczyna bić szybciej.

– Co masz na myśli? – zapytałam, przetykając ślinę.

– Sferę wyobraźni. Działa ostatnio bardzo intensywnie. Zwłaszcza wieczorami – wyszeptał gardłowym głosem i przysunął się nieco bliżej.

Poczułam na twarzy oddech wuefisty i chociaż wiedziałam, że muszę się cofnąć, nie byłam w stanie tego zrobić. Jego zapach i bliskość były po prostu obezwładniające. I to tak oszałamiająco obezwładniające...

Patrzyliśmy sobie w oczy w ciemności i kompletnym milczeniu, aż w końcu przerwał tę jakże intymną chwilę jakiś łomot w okno. Uderzył w nie pewnie zagubiony ptak, ale natychmiast odskoczyłam od Marka, oblewając się przy tym ciepłym mlekiem.

Marek zerwał się na nogi i zaczął ratować mój szlafroczek, ale skutecznie się od niego odgoniłam.

– Nie trzeba, zostaw! Pójdę już. – Nerwowo odstawiłam na bok pusty kubek i zakryłam się szczelniej mokrym materiałem szlafrocza, a potem minęłam Marka i ruszyłam na górę.

Jednak gdy tylko zrobiłam pierwszy krok w kierunku schodów, mocno złapał mnie na rękę, a potem przysunął twarz do mojego ucha. Znowu poczułam jego oddech.

– Wiesz, co ja zrobiłbym na miejscu twojego męża, gdybyś nie mogła zasnąć? – wyszeptał. – Po prostu porządnie zmęczylbym cię przed snem, zrywając z ciebie tę całkiem niezłą bieliznę – powiedział niezwykle zmysłowo, a potem zostawił mnie samą w ciemności i poszedł na górę, żeby położyć się do łóżka.

Stałam przez chwilę oniemiała, trawiąc jego słowa i nie mam pojęcia, jak udało mi się w końcu dotrzeć na górę. Spojrzałam na śpiącego w najlepsze Ludwika, zmieniłam bieliznę na grubą i ciepłą piżamę, po czym wsunęłam się pod kołdrę, wsłuchując w miarowe pochrapywanie męża.

Chyba trochę kręciło mi się w głowie...

Zasnęłam dopiero nad ranem.

Rozdział 20

– Jedźcie ostrożnie, kochani! – Stojąc na podejździe u Anki, ściszałam kolejno to ją, to Jerzego i nie wiem sama, które z nich wyglądało w tej sytuacji gorzej. On, który stał z opuszczoną głową, patrząc posepnie jak niechciany pies, którego czeka deportacja, czy ona. Moja starsza siostra, która miała świadomość tego, że mieszkanie na starych śmieciach bez męża nie będzie przecież tym samym, co posiadanie go u boku dwadzieścia cztery godziny na dobę. W końcu przecież każdy potrzebuje mieć osobę, na której można się wyżyć, ale też wypłakać jej, a co najważniejsze, przytulić do niej przed snem.

– Ty im nie mów, żeby jechali ostrożnie, tylko żeby któreś z nich raczyło tu do mnie wrócić, bo samej, starej i schorowanej z dwójką dzieci, może mi być ciężko. Tym bardziej, że ja w każdej chwili mogę zakończyć swój żywot. – Z typowym dla siebie lamentem dołączyła do mnie mamusia i już za moment cała czwórka tonęła sobie w objęciach, bo mamusia chyba zdążyła zapomnieć, że ja nigdzie nie jadę i zaczęła ściszać także i mnie, życząc mi przy tym szerokiej drogi.

– Oj, co Zuzanna, nie mogłam się pomylić? Stara już jestem. – Popatrzyła na mnie pełnym wyrzutu wzrokiem, kiedy ośmieliłam się przypomnieć jej o moim nieuchronnym towarzystwie.

– Moje drogie, co to za kłótnie? – Chcąc uniknąć awantury na odchodne, a w jego przypadku raczej odjezdne, wkroczył do akcji Jerzy. – Macie mi tu natychmiast zawiązać komitwę chroniącą moją żonę i dzieci, a nie skakać sobie do oczu!

Anka i ja posłałyśmy sobie rozbawione spojrzenia, wspominając fakt, że jeszcze kilka dni temu, w myśl naszego ułomnego rozumowania, mamusia chciała swoją najstarszą córeczkę swatać na gwałt i to może nawet dosłownie, bo z nią to nigdy nic nie wiadomo.

– Będziemy, Jureczku, będziemy! – Uśmiechnęła się matka, przyciągając go do siebie. – Ale jeśli odstawisz coś w tej Szwecji i ci się noga powinie, nie daj Boże, do czyjegoś łóżka, to żywy nie wracaj, a nawet i martwy, bo osobiście cię wtedy dobiję – dodała słodziuchnym głosem, nie przestając głaskać go po przedramieniu.

Jerzy roześmiał się głośno, a Anka się skrzywiła.

– Mamo! – jęknęła, słysząc słowa matki.

– No co, wolę uprzedzić...

– Spokojnie kochanie, spokojnie – Jerzy podszedł do Anki i przytulił ją do siebie. – Niech sobie mamusia pogada, ja i tak nie mam zamiaru zamieniać cię na żadną inną.

– Oj, skończcie już z tymi czułościami i jedźcie w końcu, bo samolot odleci bez Jerzego! Jak dzieci! – Mama machnęła na nich ręką i powłócząc nogami, wróciła do domu.

– Mleko dla Zośki zostawiłam w podgrzewaczu, pieluchy i chusteczki w pokoju, a gdyby... – Anka przeszła natomiast do rzeczy praktycznych, podczas gdy Jerzy wyjeżdżał samochodem na drogę.

– Poradzimy sobie. Wychowałam Marcela, to i Zosią dam radę się zająć. Nie panikuj! Żyjemy w świecie telefonów komórkowych, więc gdyby coś się działo, to zawsze mogę przecież zadzwonić i zapytać.

– No tak, no tak – zaczęła denerwować się Anka. – Ale gdyby jednak...

– Ania! – Zaśmiałam się głośno, ruszając razem z nią w stronę bramy.

– No wiem, no wiem. Jestem przewrażliwiona, ale pierwszy raz zostawiam ją na tak długo.

– Ty się lepiej zajmij mężem, z którym czeka cię dłuższa rozłąka i jedźcie w końcu, żeby nie okazało się, że mama ma rację i jeszcze się na ten samolot spóźnicie.

– Tak, tak. – Anka uściskała mnie mocno i rzuciła się do samochodu, machając mi przy tym. Gdy tylko ich auto zniknęło mi z zasięgu wzroku, zabrałam się za zamykanie bramy, tylko po to, by zaraz jeszcze raz ją otworzyć, bo Anka z Jerzym wrócili w dosłownie kilka minut od swojego wyjazdu.

– Zapomniałam torebki! – poinformowała mnie tylko wyskakująca z samochodu Anka i pognęła do domu.

– Baby. – Pokręcił głową Jerzy.

– Mówią, że skleroza nie boli. – Zaśmiałam się, opierając o bramę.

– A może powinna, to wtedy nam wszystkim żyłoby się łatwiej.

– Z pewnością.

– Mam, mam! – Anka wybiegła z domu, machając w naszą stronę torebką.

– Na pewno to wszystko? – zapytałam.

– Tak! – posłała mi tylko przelotne spojrzenie i wpakowała się na siedzenie pasażera, rzucając torebkę za siebie.

– Szerokiej drogi! – pomachałam więc im jeszcze raz i ponownie zamknęłam bramę, tym razem nie musząc jej na nowo otwierać, a potem, delectując się delikatnym, porannym wietrzykiem, powędrowałam do kuchni swojej matki, w której zastałam ją siedzącą przy stole z markotną miną. Dzięki całemu temu szaleństwu dzisiejszego poranka udawało mi się skutecznie nie myśleć o minionej nocy.

– Co się stało mamusiu? – usiadłam obok mamy chwilę po wstawieniu sobie wody na herbatę.

– Ach, Zuzanna. Jerzy wyjeżdża, to i na mnie więcej obowiązków spadnie – westchnęła, teatralnie opierając głowę na dłoniach. – Stara jestem, schorowana, to martwię się, czy podołam.

– Ale jakich obowiązków mam, nie rozumiem?

– W piecu trzeba będzie palić, drzewo porąbać, chodnik odśnieżać. Kto to ma robić, Anka z Zosią na rękę? A może Pawełek? Wiadomo, że to wszystko teraz będzie na mojej głowie – zabiadoliła.

– Mam, mamy przecież dopiero czerwiec, a ty już myślisz o odśnieżaniu?!

– Przygotować się do tego przecież muszę. Może powinnam zacząć więcej chodzić, żeby nie pozwolić się mięśniom do tego czasu zastać? – Mama podniosła na mnie wzrok i lekko ścisnęła mnie za rękę. – A jak ja nie dożyję tej zimy, Zuzka?! – Popatrzyła na mnie wielkimi źrenicami i aż zrobiło mi się słabo. – Zajmiesz się dziećmi i Anną, prawda? Obiecuj, że zajmiesz.

W moim gardle pojawiła się nieprzyjemna gęsia skórka. Co też ta matka bredzi?

– Nie rozumiem dlaczego mama ma takie czarne wizje...

– Ty nie musisz rozumieć. W moim wieku wszystko jest możliwe. Jeden dzień pełna sił, a na drugi wrak człowieka. Dzieci małe, Jurka nie będzie... Zuzka, jak nie ty, to kto tej biednej Ance pomoże, no kto?

– Po pierwsze, to nie wydaje mi się, żeby z mamą było aż tak źle, żeby zaraz musiała umierać, a po drugie, żadnych podjazdów mama odśnieżać nie będzie, bo podeślę tutaj z łopatą Ludwika i on wam ten śnieg odgarnie skoro to dla mamy tak wielki problem.

– Ty mi oczu nie mydl, Zuzka, tylko obiecuj, że jak mnie zabraknie to ty się siostrą i jej dziećmi zajmiesz! – matka szła jednak w zaparte, nie dopuszczając do siebie moich racjonalnych argumentów.

– Ja i tak...

– Obiecujesz czy nie?! Bo chcę wiedzieć, czy mogę spokojnie umrzeć!

Wzdychając, pokręciłam tylko głową.

– No jak nie mam wyjścia, to mogę mamie obiecać, co mi szkodzi.

– Zawsze wiedziałam, że z ciebie dobre dziecko, Zuzka. – Ścisnęła moją leżącą na stole rękę i podniosła się z krzesła, oddychając ciężko.

– Dokąd mamusia idzie? – zapytałam, gdy powłócząc nogami skierowała się do wyjścia.

– Idę się jeszcze pożegnać z kim mogę. Niewiele czasu mi zostało – westchnęła, odwracając się do mnie na moment.

– Teraz?! – Spojrzałam na zegarek. – Jeszcze nawet siódmej nie ma. Z kim mama się chce o tej porze żegnać?

– Oj, dziecko, dziecko. Młoda jesteś, to nie rozumiesz. Przejdę się po podwórzu, drzewa obejrzę, róże podleję. Z naturą też trzeba się żegnać kochanie. Trzeba być wdzięcznym Stwórcy za Jego wszystkie dary. – Pokręciła głową, kończąc tę swoją żalobną mowę i udała się na dwór, zostawiając mnie samą z gwizdzącym czajnikiem.

Nie wiem, od kiedy to moja matka stała się takim konserwatywnym ekologiem, a nawet franciszkaną, ale zdecydowanie nie wybrała sobie dobrego dnia na żegnanie się ze światem, skoro miałam na głowie małą Zosię, a od południa także Marcela z Pawełkiem, o Kasi nie wspominając. Mówi mi o wdzięczności, a taka jej wdzięczność! Egoistka. Jakby to już umierać nie miała kiedy, a nie w dzień, kiedy wszystko na mojej głowie.

– Mamy nie ma? – wchodząc do kuchni, zaskoczył mnie Pawełek.

Popijałam właśnie herbatę, bacznie obserwując żalobny spacer mamusi po podwórku.

– Wróci wieczorem. Potrzebujesz pomocy? – zwróciłam się do niego.

– No! Mama mi dała dziurawe majtki do szkoły – oznajmił.

– Ach, no tak. To rzeczywiście może być problem – przyjrzałam mu się dokładniej i odstawiłam kubek na stół.

– Znajdziesz mi nowe? – zapytał z nadzieją.

– Jak trzeba, to znajdę – zgodziłam się i powędrowałam z Pawełkiem do jego pokoju, po czym zabrałam się za przegrzebywanie szaf Anki.

– Te mogą być? – zawołałam triumfalnie, wyciągając z szafki kolorowe bokserki.

– Tych nie lubię – Pawełek pokręcił głową.

– No cóż... skoro nie lubisz, to nie. A te? – pokazałam mu następne.

– Te są za ciasne. Mama miała wyrzucić.

Spojrzałam na Pawełka spode łba, czując, że raczej się z nim nie dogadam.

– Może chodź tu i sam sobie wybierz te, które chciałbyś założyć? – zaproponowałam wspaniałomyślnie.

– Mama może być za to zła – popatrzył na mnie poczciwym wzrokiem.

– Jak to?

– Nie lubi, jak grzebię w szafach. Krzyczy na mnie później, że jej wszystko rozwalam...

– Hm... No dobrze, a co powiesz o tych? – wyciągnęłam w stronę Pawełka kolejne majtki.

– Te nie mają gumki.

Odkładając bieliznę do szafy, nagle doznałam olśnienia.

– Wiesz co, Pawełku? Chodź tu do mnie i wybierz sobie te majtki, a ja nic o tym mamie nie powiem. Umowa? – popatrzyłam na niego z konspiracyjnym uśmiechem.

– Ekstra! – zaklasnął w ręce i podbiegł do szafy, wyciągnął z niej żółte bokserki, a potem pobiegł do łazienki, żeby się ubrać, zostawiając mnie ze słodko śpiącą w łóżeczku Zosią.

– Ciociu?! – dobiegło do mnie jeszcze po kilkunastu minutach, gdy przysiadłam sobie na parapecie i mało dyskretnie wpatrywałam się w Zośkę.

– Słucham, Pawełku? – zerwałam się na równe nogi i ruszyłam ku niemu, żeby tym swoim wołaniem nie zbudził siostry..

– Babcia miała mnie zaprowadzić do szkoły.

– No racja! Babcia jest na dworze, chodzi sobie po ogródku. Pójdiesz do niej sam i jej o tym przypomnisz?

Pawełek popatrzył na mnie i zarzucił na plecy stanowczo zbyt ciężki tornister.

– Aha. – Pokiwał głową i wyszedł tylko po to, żeby wrócić do mnie po kilku minutach.

– Babcia powiedziała, że nie może mnie zaprowadzić – poinformował już od progu, wbijając we mnie swoje wściekle niebieskie oczy.

– A to dlaczego? – zdziwiłam się.

– Mówi, że niedługo umrze i nie ma czasu na takie głupoty, a szkoła wcale nie jest taka ważna i mogę raz zostać w domu – Pawełek mówiąc to, wnikliwie przyglądał się mojej twarzy.

Normalnie, zabiję kiedyś tę matkę, zanim umrze! Żeby dziecku w tym wieku takie głupoty gadać, to już chyba trzeba być tylko nią!

Nerwowo patrząc na zegarek, wyciągnęłam z kieszeni telefon i wybrałam numer Kasi. Odebrała zaspanym głosem już po drugim sygnale.

– Słucham? – rozległo się w słuchawce.

– Kasia, zrywaj się z łóżka szybko i przyjdź do domu mojej mamy. Jesteś mi pilnie potrzebna. Ale tak już! – rzuciłam tylko i rozłączyłam się, zanim dziewczyna zdążyła zaprotestować.

– Kasia cię dzisiaj odprowadzi. Masz coś przeciwko? – zapytałam Pawełka, gdy zaspana Katarzyna wpadła do domu w dwóch różnych butach.

– Dokąd?! – zapytała mało przytomnie.

– Do szkoły.

– Ekstra! – przyklasnął w dłonie Pawełek i podał jedną z nich Kasi, która patrzyła na mnie zdziwiona.

– Wiesz przecież, jak trafić do szkoły – uśmiechnęłam się do niej, zerkając na zegarek. Było dopiero za pięć ósma, a matka zdążyła już zdeorganizować mi wszystko, co ustaliłyśmy wspólnie kilka dni wcześniej. A podobno do rodziny wal jak w dym i takie inne! Widocznie, w wypadku mojej dość często umierającej mamy to powiedzonko nie do końca się sprawdza!

Ku mojej wielkiej radości, zdecydowana większość dnia upłynęła nam raczej zgodnie z ułożonym wcześniej harmonogramem, to znaczy:

Zosia spała jeszcze dwadzieścia minut, a potem obudziła się na jedzenie.

Zosia zapadła w przedpołudniową drzemkę.

Mama pomogła mi zrobić obiad, gdy dotarło do niej w końcu, że jeszcze dziś raczej nie umrze.

Ludwik podrzucił mi Marcela, ponieważ sam wybierał się na poszukiwania skarbów ze swoimi tak samo zapalonymi kolegami.

Pawełek wrócił ze szkoły i wszyscy razem zjedliśmy obiad.

Po południu natomiast dołączyła do nas Kasia i po wyciągnięciu na dwór dwóch sporych koców, całą zgrają usadowiliśmy się pod największym drzewem, chcąc delektować się w końcu spokojem i świeżym powietrzem, co jednak, jak to zwykle w rodzinie bywa, nie do końca było nam dane, bo Pawełka użądliła pszczoła, a Marcel oblał się sokiem, gdy Pawełek zaczął dziko wymachiwać rękami i nogami. Na domiar złego, gdy Kasia próbowała przebrać mojego szarpiącego się synusia, zbiła stojący obok wazon, a potem Pawełek, który rzucił się pomagać w sprzątaniu, pokaleczył się szkłem.

– A ty co? – Anka zastała mnie w salonie półżywą, kiedy Pawełek z Marcelem spali w najlepsze, a ja z Kasią na zmianę czuwałyśmy przy budzącej się ciągle Zosi.

– Macierzyństwo mnie dobiło. – Uśmiechnęłam się do niej blado i zakryłam twarz dłonią, podczas gdy do salonu weszła Kasia, trzymając na rękach śpiącą Zosię.

– Zasnęła?

– Pół godziny temu.

– To czemu jej nie położysz?

– Bo co tylko ją kładziemy, to zaczyna płakać.

– I chodzicie z nią tak cały wieczór?

– No. – skinęła głową Kasia. – Na zmiany.

– Ja też chodzę! – Zajrzał do salonu Ludwik, prezentując tym samym pięknie obrzyganą przez Zosię koszulkę. Wrócił dziś wcześniej ze swoich poszukiwań, więc jego też zatrudniłyśmy.

Anka popatrzyła na niego i buchnęła śmiechem.

– Macierzyństwo dobiło was troje, a co ja mam powiedzieć? Będę musiała sobie radzić z nimi sama!

Rozdział 21

Następny dzień przyniósł mi same niespodzianki. Po południu zjawił się w końcu absztyfikant Kasi, którego upatrzyła sobie moja dogorywająca mamusia. Dostrzegłam go przez okno, gdy tylko zaparkował auto na naszym podjeździe. Gdybym miała ocenić go po tym, czym jeździ, z pewnością dostałby ode mnie szóstkę. Czarna beemka mieniła się w słońcu, jak gdyby właśnie wyjechała z salonu.

– A to co? Daje po oczach gorzej niż latarnia – pojawiając się za moimi plecami, mało nie przyprawił mnie o zawał Ludwik.

Dyskretnie obserwowałam właśnie absztyfikanta zza firanki.

– Cicho bądź! – fuknęłam na Ludwika jak kotka, której ktoś nadepnął na ogon. – Bo jeszcze usłyszysz!

– Kto? – Popatrzył na mnie zaintrygowany.

– Kto, no kto? Absztyfikant Kasi!

– Kto? – Ludwik raczej mnie nie zrozumiał.

– Nieważne. – Pokręciłam tylko głową, kątem oka zauważając, że absztyfikant rusza pojazdem w kierunku drzwi.

– Kaaaasia! – wydarł się natomiast mój mąż.

– Cicho bądź! Co robisz?! – warknęłam na niego natychmiast i odskoczyłam od firanki jak poparzona.

– Kasię wołam. No przecież to do niej...

– A jak on cię usłyszysz? Wstydu dziewczynie narobiłeś i to na starcie. A jak to miłość jej życia?

– Co się tak drzecie? – wtrąciła się do rozmowy wyjątkowo ubrana dziś znowu na czarno Kasia, zniecka pojawiając się za naszymi plecami.

– Ten chłopak to na pewno do niej? – Natychmiast zlustrował ją wzrokiem Ludwik.

Cóż. Musiałam mu w duchu przyznać rację. Chłopak odstawiony był w nietani garniturek, a jej znów się zebrało na funeralne czernie. Może to przez tę nadmierną przyjaźń z moją wiecznie umierającą mamusią? Nieistotne. Żeby chociaż założyła jakąś elegancką sukienkę, byłabym w stanie to zrozumieć. Klasyczna mała czarna zawsze w modzie. Ale nie! Ćwieki na szyi i tyle. Wrócił nasz lokalny postrach.

– Masz gościa – obwieścił Kasi mój ślubny.

Dziewczyna spojrzała na nas zdziwiona.

– Ja? A kto mógłby tu do mnie przyjechać?

Popatrzyliśmy z Ludwikiem po sobie.

– No bo wiesz... – zaczęłam niepewnie. – Moja mama...

– Grażyna wymyśliła sobie, że skoro ona już lada chwila umiera, to wypadałoby cię przedtem zeswatać. Wynalazła ci pewnego absztyfikanta i...

– Kogo? – Znowu spojrzała na nas jak na wariatów Kasia.

– Absztyfikanta.

– To jeszcze używa się takiego słowa?

– Oj, to nie jest istotne – pokręciłam głową, ratując z opresji Ludwika. – Ważne jest to, że on tu właśnie do nas przyjechał i idzie do drzwi. Wyjdź z nim na spacer, żeby mojej mamie nie było przykro, co? No tyle to chociaż możesz dla niej zrobić. Ze względu na przyjaźń.

Kasia przez chwilę trawiła moje słowa.

– Sądząc po waszych minach, to pewnie jakiś przypał, co? – zapytała, biorąc się pod boki.

Znowu popatrzyliśmy z Ludwikiem po sobie.

– Boże... – jęknęła Kasia, ale z jej oczu wyczytałam, że zaraz się zgodzi. – No dobra, niech stracę – poddała się w końcu dokładnie w momencie, w którym rozległ się dzwonek do drzwi.

– Kto otworzy? – wyszeptałam przerażona.

– Ja, jak to kto. Przecież to do mnie. – Dumnie wypięła pierś Kasia i odważnie ruszyła skonfrontować z absztyfikantem.

– A pan do kogo? – wyrwało jej się, kiedy otworzyła drzwi.

Z niepokojem popatrzyłam na mojego ślubnego. Żeby absztyfikant nas nie widział, schowaliśmy się w salonie, skąd jednak wszystko dobrze słyszeliśmy.

– Ja do panienki Katarzyny Halickiej. Czy dobrze trafiłem? – idealną polszczyzną zapytał absztyfikant.

Kolejny raz tego popołudnia wymieniliśmy z Ludwikiem spojrzenia. Trudno mi określić, czy tym razem były bardziej rozbawione, czy zdziwione.

– Tak. To ja. Kasia.

– Miło mi cię poznać panienko – dobiegł do nas głos absztyfikanta. – Maciej Orłowski. Czy dasz mi się zaprosić na spacer? – zapytał, w wyniku czego zachciało mi się śmiać. Biedna Kasia, naprawdę biedna. No ale można się było tego po mojej mamie spodziewać. (Mówiąc tego, mam oczywiście na myśli wywinięcie jakiegoś numeru.) No i po wyglądzie Macieja też.

– Eee – Kasia zająknęła się, słysząc nadzwyczaj kulturalne pytanie absztyfikanta. – No dobrze – zgodziła się jednak po chwili, w wyniku czego ja osobiście odetchnęłam z ulgą. Dzięki Bogu nie palnęła przed nim jeszcze żadnego głupstwa! Uff. Może więc chociaż na pierwszy rzut oka wyda się absztyfikantowi miła i kulturalna, a ludzie nie będą nas potem prześladować gadaniem, że mieszka u nas jakaś nienormalna i niewychowana narkomanka!

– Pragnę zauważyć, że powinienem jeszcze poprosić o zgodę twoich rodziców – przerwał moje rozważania głos absztyfikanta.

– Eee – znowu zacięła się Kasia. Głowę bym dała, że popatrzyła na niego teraz jak na głupka. – Wiesz, niekoniecznie – dopiero po chwili rzuciła do niego wymijająco. – Daj mi minutkę, okej? Wezmę bluzę. Nie wiem, jak długo będziemy spacerować, a wieczorem może być chłodno.

– Ależ oczywiście – odpowiedział absztyfikant jak na ułożonego chłopca przystało, przez co znowu zachciało mi się śmiać.

– Wejdiesz na moment, czy zaczekasz na ganku?

– Nie chciałbym przeszkadzać.

– Czyli czekasz – nie chcąc wchodzić z nim w bardziej zacięte dyskusje, Kasia zamknęła mu drzwi przed nosem i zajrzała do salonu, gdzie ja i Ludwik zwijaliśmy się już ze śmiechu.

– Czuję, że to będzie jakiś przypadek – oznajmiła ściszym głosem i spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Oj, Kasia, dobry chłopak. Ma piękne wnętrze. Sama słyszysz, jaki jest elokwentny. Od razu widać, że to taki...

– Filozof – dokończył za mnie Ludwik, bo znowu zaczęłam śmiać się jak wariatka.

– Taa. Ta jego dykcja i to słownictwo mnie chyba wykończą nerwowo! Czuję, jakbym rozmawiała z jakimś żywcem wyjętym ze średniowiecza słownikiem! – rzuciła kąśliwie zupełnie bez sensu, ale wybaczyłam jej to od razu, bo przecież czego nie mówi się w złości.

– Tylko proszę cię, Kasiu, bądź dla niego miła. On się wydaje być bardzo delikatny – podeszłam

do niej i dotknęłam jej przedramienia.

– To będzie chyba jedno z najtrudniejszych popołudni w moim życiu – jęknęła głosem pełnym bóleści. – No ale dobra, nie zrobię niczego głupiego. Idę po tę cholerną bluzę.

– Tylko nie kluj przy nim! – uczuliłam ją jeszcze, a potem rzuciłam się do okna, żeby zza firanki obserwować, jak się oddalają. Szli prawie pół metra od siebie. Byłam pewna, że z tego poronionego pomysłu mojej mamusi nic nie będzie. Chociaż trzeba przyznać, chęci to może miała i szczerze.

Żeby zabić czas w oczekiwaniu na relację Kasi z tego jakże wyjątkowego spotkania, postanowiłam zajrzeć do Anki i sprawdzić przy tym, jak radzi sobie jako samotna matka. Zabrałam przy okazji Marcela, który, gdy tylko przekroczyliśmy próg domu Anki, od razu pobiegł do Pawełka. Ja natomiast rozsiadłam się w kuchni, wzięłam na ręce małą Zosię i zrelacjonowałam siostrze wygląd absztyfikanta wybranego przez matkę.

– No ale co ty się dziwisz? – gdy skończyłam opowiadać, odezwała się Ania. – Przecież to było do przewidzenia, że mama odstawi jakiś cyrk. Ja to w ogóle od ludzi słyszałam, że ten chłopak to chce iść na księdza. I ponoć bardzo nieżyciowy, bardzo.

– To nie mogłaś uprzedzić mnie wcześniej? – spojrzałam na nią z pretensją.

Anka wzruszyła ramionami i pochyliła się, żeby wyjąć talerze ze zmywarki.

– Mogłaś zapytać. Nie jestem w stanie wszystkiego się domyślać.

– A jak sobie radzisz bez Jurka? – zagadnęłam, żeby zmienić temat.

– Nie jest źle, chociaż smutno spać samej.

Uśmiechnęłam się gorzko, słysząc jej słowa.

– A jak z obejściem? Radzisz sobie przy krowach?

Anka odłożyła trzymane w ręce talerze do szafki i odwróciła się do mnie.

– To ty nic nie wiesz? – zapytała.

Spojrzałam na nią niepewnie.

– Nie wiem, o co teraz chodzi.

– O to, że Jurek zatrudnił swojego kolegę do pomocy w gospodarstwie – oznajmiła. – Miał ci sam o tym powiedzieć!

– Czemu Jurek miałby mi o tym mówić? – zdziwiłam się. – Przecież to wasza sprawa.

Anka patrzyła na mnie przez chwilę i albo mi się zdawało, albo pobladła.

– Bo widzisz, Zuzka... – spojrzała na mnie niepewnie i usiadła na stołku. – Ty też go dobrze znasz.

– Tak? To dobrze, bo ja też mam zamiar ci pomagać. Zresztą, zawsze bezpieczniej, jak nie będzie się tu kręcił ktoś obcy, ale dobry znajomy. Teraz tyle się szerzy patologii, że nigdy nic nie wiadomo, a tak nie będzie trzeba się wiecznie martwić, czy coś nie zginęło.

– Tak, na pewno masz rację – jakoś tak dziwnie popatrzyła na mnie Anka.

– No więc kto to jest? – zapytałam entuzjastycznie, a ona schowała twarz w dłoniach i głośno westchnęła.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – mruknęła.

– Widząc twoją reakcję, zaczynam się bać. To ktoś, kogo nie lubię?

Anka trwała w chwilę w milczeniu, ale w końcu na mnie spojrzała.

– To Teodor – powiedziała drżącym głosem, bacznie przyglądając się mojej twarzy.

Poczułam, jak uderza we mnie fala gorącego powietrza, a w głowie zaczyna wirować ogrom zakopanych w pamięci wspomnień, które przez lata starałam się zepchnąć w jej najgłębsze zakamarki. To nie może być prawda. To nie może być TEN Teodor.

– Kto? – udało mi się tylko powtórzyć pytanie.

Anka podeszła do mnie i wzięła Zośkę, zanim ręce zaczęły mi drżeć, a oddech stał się płytki

i urywany.

– Zuzka, wszystko dobrze? – zapytała chwilę po tym, jak włożyła córeczkę do wózka. – Chcesz wody?

Popatrzyłam na nią wielkimi oczami, czując, że z twarzy odpłynęła mi już chyba cała krew.

– Anka, powiedz, że nie mówisz o TYM Teodorze. Błagam, powiedz...

Siostra spojrzała na mnie pełnym współczucia wzrokiem.

– Przykro mi, Zuzka... Nikt inny nie chciał się zgodzić. Jurek rozmawiał z wieloma kolegami, ale każdy z nich miał dzieci i rodzinę i... – zaczęła się nerwowo tłumaczyć.

– O Boże – jęknęłam, kiedy przez moją głowę przemknęło wspomnienie pierwszego pocałunku z Teodorem.

– Zuzka, ja...

– Nie, nie – wstałam od stołu i ścisnęłam jej rękę. – Jest w porządku, naprawdę. Ja po prostu już pójdę – wymamrotałam, a potem ruszyłam do drzwi. – Muszę pobyć sama.

– Zuzka! – krzyknęła za mną jeszcze, ale zignorowałam jej wołanie i pędem pobiegłam do domu, zapominając zabrać ze sobą Marcela, którego dopiero wieczorem przyprowadziła mama.

– Stało się coś? – zapytał mnie siedzący właśnie w salonie Ludwik.

– Nie – rzuciłam do niego zwięźle i poszłam na górę. Na szczęście oglądał mecz i nie był zainteresowany tym, co właśnie się ze mną działo. Chociaż raz przydał się na coś fakt, że mój mąż, najdelikatniej mówiąc, miał mnie po prostu gdzieś.

Zamykając za sobą drzwi sypialni, bezładnie opadłam na łóżko i starając się poukładać w głowie cały związany z imieniem Teodor chaos, przejechałam dłońmi po twarzy. A więc Teodor wrócił. Będzie codziennie bywał u Anki. Moja młodzieńcza miłość życia będzie każdego dnia krzątała się po podwórku obok. Ten, który zniknął bez śladu i słuch po nim zaginął. Ten, który zostawił mnie zupełnie samą kilkanaście dni po oświadczeniach.

– O Boże – jęknęłam na samą myśl o tym, jak bardzo cierpiałam po rozstaniu z Teodorem. Nagle wszystkie skrywane dotąd uczucia związane z jego osobą wróciły. Cały ten żal, gniew, wściekłość, ale też ogromny sentyment i...

Nagle dobiegło do moich uszu głośne pukanie do drzwi.

– Zuzka, jesteś? – rozległ się głos Kasi.

Natychmiast usiadłam na łóżku.

– Tak, wejdz – rzuciłam do niej dość słabo i już za moment stanęła przede mną Kasia. – Jak było na spacerze? – zapytałam, nie chcąc dać po sobie poznać, że coś jest nie tak.

Dziewczyna dokładnie zlustrowała mnie wzrokiem, ale w końcu się uśmiechnęła.

– Dobrze. Naprawdę wspaniale.

Spojrzałam na nią zdziwiona. A myślałam, że dzisiejszego dnia już nic nie będzie w stanie mnie zaskoczyć. Podobało jej się na randce z absztyfikantem? Naprawdę? A co z tą jego idealną dykcją i historycznym słownictwem?!

– Poważnie?! – wyrwało mi się na głos.

– No! – Kasia o mało co nie podskoczyła do góry. – To był chyba najlepszy spacer w moim życiu! – oznajmiła radośnie. – Ba, gdzie tam chyba! On był naprawdę najlepszy. Genialny, obłudny, wspaniały...

– Hm... Nie będę ukrywać, że jestem tym faktem mocno zaskoczona – popatrzyłam na nią, unosząc jedną brew i poklepałam miejsce obok siebie. – W takim razie siadaj i mów, jak było.

– Poznałam kogoś! – siadając na łóżku, wypaliła Kasia.

– No tak. Tego jak mu tam... Maćka.

– Nie, Zuzka, skąd! Jego to powinni raczej w cyrku zamknąć. Albo w jakimś teatrze. Przecież on jest tak nieżyłowy, że to aż chore. Całą drogę opowiadał mi o prawie kanonicznym. Ja myślałam, że tam po prostu ducha wyzionę. Zresztą o tym też mi zdążył opowiedzieć. O umieraniu i ascezie. Skąd twoja mama go wzięła?!

Popatrzyłam na Kasię, chwilowo zapominając o swoim problemie.

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami. – To syn jakiejś jej przyjaciółki.

– Kompletny wariat, kompletny. Nigdy więcej.

– Ale mam nadzieję Kasia, że ty na tym spacerze nie odstawiłaś niczego głupiego, co? – trochę się zaniepokoiłam. – Mama by mi żyć nie dała. Tak samo zresztą, jak wszystkie jej koleżanki.

– Nie, no skąd – dziewczyna klepnęła mnie w udo. – Grzeczna byłam, słowo. Jak trzeba, to umiem.

Bez obaw.

– Uff – odetchnęłam z ulgą. – No to kamień z serca. Chociaż nie będzie wstydu.

– Boże, Zuzka, nie dramatyzuj. Lepiej zapytaj, kogo ja na tej pseudorandce poznałam!

– Jak znam życie, to jakiegoś faceta – bąknęłam raczej bez entuzjazmu, bo chyba tylko Kasia na randce z jednym, mogła poznać drugiego chłopaka.

– Bingo! – ucieszyła się Kasia. – I to jakiego, Zuzka! – Znowu zaczęła omdlewać z zachwytu. – Przystojny, opalony, blondyn. Taki jak lubię. I te jego oczy... Mogłabym w nie patrzeć bez końca. Mówię ci, jak go tylko zobaczyłam, to dosłownie zważył mnie z nóg.

– Dosłownie?

– No. Wjechał we mnie rowerem, kiedy zjeżdżał z mostu. Ale spokojnie, nic mi się nie stało!

– Kasia, dziecko... – na mojej twarzy wymalował się niepokój i kiedy już miałam pytać, czy aby na pewno, Kasia wpadła mi w słowo.

– Oj, Zuzka, ja jestem dorosła, nie zapominaj.

– No dobrze, dobrze. Nie panikuję – poprawiłam się niemalże natychmiast. – No ale skąd nad naszą rzeką takie bożyszcze? – zapytałam zdziwiona, chociaż w towarzystwie tego całego Macieja to każdy chłopak mógł się wydać ładniejszy.

– A tu się zdziwisz jeszcze bardziej moja droga, bo on jest z Jaszczurek!

– Z Jaszczurek?!

– No! Też się zdziwiłam. Jeny... – znowu rozmarzyła się Kasia. – Ja nadal mam w głowie te jego zabójcze oczy – zamruczała, kiedy ja przebiegałam w myślach po chłopcach w okolicy, starając się odgadnąć, kogo też Kasia mogła spotkać nad rzeką. Żaden z nich nie pasował mi jednak do jej opisu. Na pewno nie.

– Zaprosiłam go tutaj jutro wieczorem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? – wróciła w końcu do rzeczywistości Kasia.

Pokręciłam głową.

– Oczywiście, że nie. Naprawdę jestem ciekawa, kogo ty tam poznałaś. I to w tak delikatny sposób.

Dziewczyna zachichotała tylko, słysząc moje słowa i cała w skowronkach wybiegła z sypialni, pozostawiając mnie samą. Muszę jednak przyznać, że udało jej się skutecznie odciągnąć moje myśli od Teodora, bo zaczęła mnie zżerać ciekawość, kogo też ona na tym spacerze sobie upolowała, a do tego, nie małą niespodziankę przygotował dla mnie też mój, przypominający sobie nagle o moim istnieniu, mąż.

– Słuchaj, Zuzka... – Drapiąc się w głowę, pojawił się w sypialni ze swoją szkolną teczką. – Bo widzisz, mam taki problem – ogłosił.

Widząc nieporadną minę tego sieroty, od razu wywróciłam oczami.

– No bo do czego innego byłabym ci potrzebna, jak nie do rozwiązania twojego problemu. – Mruknęłam, odstawiając na szafkę przy łóżku kubek z herbatą i wbiłam w niego spojrzenie.

– Oj, Zuzka, daruj sobie złościwości. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

– Aż jestem ciekawa w czym – prychnęłam.

– Musisz mi powypełniać moje szkolne dzienniki, bo jutro mam radę na koniec roku. Policzyć średnie, frekwencję i ogarnąć te do zajęć dodatkowych. Miałem w tym roku trzy koła tematyczne.

Że co proszę?! Moje ciśnienie natychmiast wyskoczyło ponad górną granicę normy. Co muszę?! MOGĘ! I to też jedynie ewentualnie. Na przykład go w tym momencie udusić!

– Pomożesz? – Ludwik chyba nie zauważył, że po wypowiedzeniu przez niego „musisz” w moich oczach wymalowała się żądza mordy, bo położył swoją teczuszkę na łóżku i powoli zaczął wykladać z niej dzienniki.

Było ich razem pięć.

Popatrzyłam na nie z miną męczennicy, no ale co mogłam zrobić? Okej, ewentualnie udusić Ludwika i po prostu je zignorować, ale w naszej sytuacji finansowej raczej nie wchodziło to w grę. Na karku mieliśmy dość spory kredyt, który wzięliśmy na budowę domu, a z jednej pensji to raczej nie udałoby mi się go spłacić. Z tego też powodu nie tylko nie mogłam zabić swojego ślubnego, ale też tych dzienników po prostu nie wypełnić. On był takim administracyjnym sierotą, że chyba prędzej zwolniliby go z pracy za brak stosownej dokumentacji, niż by je sam wypełnił!

– Okej. Wypełnię ci te dzienniki – powiedziałam więc w końcu, przysuwając je do siebie.

Na twarzy Ludwika natychmiast wymalowała się ulga, ale zgasła tak samo szybko, jak się pojawiła.

– Ale nie za darmo – wypaliłam bowiem, patrząc mu prosto w oczy.

Nerwowo przełknął ślinę.

– Co chcesz w zamian? – zapytał cicho, czując, co jest grane.

– Dwie bluzki – odpowiedziałam bez namysłu.

– Dwie?! Jak mi wypełniałaś te dzienniki na półrocze, to chciałaś jedną! – jęknął.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Stawki idą w górę. Trzeba się cenić.

– Ale Zuzka, sama ostatnio ciągle mi powtarzasz, że nie mamy pieniędzy i ... – zaczął się plątać.

– W takim razie nie wypełniam. Twoja decyzja. – Tryumfalnie założyłam rękę na rękę. – Nie stać cię, to nie. Radź sobie sam. Zatrudnij sekretarkę.

Ludwik znowu nerwowo podrapał się po głowie.

– Na jedną mogę się zgodzić, ale dwie...

– Dwie albo wcale.

– Jedna i jakiś naszyjnik? Albo bransoletka? Biżuteria jest tańsza.

– Okej, ale srebrna.

– Srebrna?! Czy ty chcesz nas wpędzić w jeszcze większą dziurę budżetową?!

– Nie – zachowałam spokój. – Ja tylko chcę uczciwego wynagrodzenia za swoją pracę. Będę siedziała z tymi dziennikami do późna w nocy, bo jak zawsze przywozisz mi wszystko na ostatnią chwilę! I nawet nie raczysz poprosić!

Słyszając mój nieznośny sprzeciw ton, Ludwik opuścił głowę.

– No dobra – poddał się w końcu, wyglądając przy tym jak skarcony gówniarz. – Niech ci będzie. Bluzka i srebrna bransoletka. Ale zrób to porządnie, skoro tyle ci za to płacę.

– Powiedz mi tylko, że kiedykolwiek zrobiłam coś źle, a będziesz dzwonił po swoich koleżankach z pracy, błagając, żeby któraś się nad tobą zlitowała, bo rzucę ci tymi dziennikami w twarz! –

warknęłam urażona.

Ludwik natychmiast zrozumiał, że nie jest mi tutaj do niczego potrzebny i natychmiast wycofał się z sypialni, żeby zająć się Marcelem. Ja natomiast spędziłam upojną noc w towarzystwie dokumentów mojego niezaradnego życiowo męża, z bólem stwierdzając, że takich zaniedbań jak teraz, to jeszcze chyba w nich nie miał!

– Przecież on nawet nie ma tutaj wpisanej swojej historii... – jęknęłam z bólem, próbując liczyć średnią. Uparcie nie zgadzała mi się bowiem liczba przedmiotów, na które uczęszczali wychowankowie Ludwika i kiedy kolejny raz starałam się wydedukować z dziennika, jakiego przedmiotu nie mają, okazało się, że do dziennika nie ma wpisanej Ludwikowej historii. No tego to jeszcze nie grali! Pół roku nauki minęło, a on nie ma wpisanego swojego przedmiotu i ani jednej oceny! A przecież sama sprawdzałam mu kilka sprawdzianów, kiedy oglądał mecz! Co ja mam teraz zrobić, skoro ta moja niedojda ma jutro radę? Wymyślić sobie te oceny?! Dla trzydziestu gimnazjalistów?! Przecież ja nawet nie wiem, jak oni się uczą... No i to przecież byłoby kłamstwo. Wielkie kłamstwo. Fałszerstwo i oszustwo!

Okej. Dowiedzenie się tego, jakie dzieciaki z klasy Ludwika mają oceny z innych przedmiotów, okazało się wcale takie trudne, jak mi się na początku zdawało. Po kilkunastu minutach napadów złości i zastanawiania się, co powinnam zrobić, przejrzałam tabele z innych przedmiotów i miałam pełen obraz sytuacji. Wiedziałam, kto uczy się dobrze, a kto źle. I chociaż już samo myślenie o tym jest jak przyznanie się do fałszerstwa dokumentów, to co ja miałam, do cholery, zrobić?! Przecież tę moją ślubną ofiarę za coś takiego to od razu by zwolnili z pracy! I to bez machnięcia ręką!

Kilku osobom napisałam więc po trzy, cztery piątki, innym dwóje, tróje... No a potem policzyłam średnią i już. Finalnie wszyscy zdali, więc nic strasznego się nie stało, a nasz dom został uratowany, bo Ludwika z pracy nie zwolnią i na spłacanie kredytu będą pieniądze. Tylko moje sumienie trochę na tym wszystkim ucierpiało, ale trudno. Czymś tam zawsze je zagłuszę. Na przykład nową bluzką. I jakąś ładną bransoletką też, a co! Dawno już sobie niczego nowego nie kupowałam, bo zawsze mi było szkoda pieniędzy.

Coś mi się tylko wydaje, że następnym razem Ludwik POPROSI, a nie KAŻE mi wypełnić tę swoją papierologię. Żeby było taniej.

Rozdział 22

Chłopak, którego Kasia przyprowadziła do domu, sprawił, że ziemia zatrzęsała mi się pod nogami, chociaż może były to kolana, trudno powiedzieć. Szok, którego właśnie doznałam, sprawił, że nie mogłam tego w żaden sposób przemyśleć. Tak samo zresztą, jak niczego innego.

– Nie wierzę... – jęknęłam na widok ubranego w granatową koszulkę młodego mężczyzny, który, razem z Kasią, stał właśnie przede mną. Miał świeżo opaloną skórę i błyszczące oczy. Wcale nie zdziwiło mnie to, że mógł jej się spodobać. Tylko dlaczego, cholera jasna, nie pomyślałam o nim wczoraj, kiedy starałam się dopasować do któregoś z wiejskich chłopaków ten jej prawie baśniowy opis?!

– Coś się stało? – słysząc wydane przeze mnie, pełne rozpaczki dźwięki, wychylił się z salonu Ludwik. Najpierw popatrzył na mnie, a potem na chłopaka i Kasię, w wyniku czego już za chwilę stał obok z taką samą miną jak moja.

– No, to jest właśnie Tomek – radośnie ogłosiła nieświadoma naszego przerażenia Kasia. – Tomek, to Zuzka i Ludwik. Moje wujostwo.

– My się znamy, prawda? – podał Ludwikowi rękę młody mężczyzna.

Mój ślubny pobladł, ściskając mu dłoń i bardzo niemrawo nią potrząsnął.

– Niewątpliwie – mruknął, spoglądając na mnie z trwogą w oczach. Trzeba było przyznać, że wystraszył się kandydata Kasi tak samo jak ja.

– Coś nie tak? – wyłapała to spojrzenie Kasia.

– Nic, nic. Ja się chyba tylko zabiję – wyrwało mi się, zanim zdążyłam te słowa przemyśleć.

– Raczej nie będzie trzeba. Ona robi to za nas – dołączył do mnie Ludwik, a młodzi spojrzeli na nas podejrzliwie, a potem na siebie nawzajem.

– Jaka ona? – bojowo zapytała mnie Kasia. Widać coraz bardziej denerwowała ją cała ta sytuacja. Tomek też wbił we mnie wyczekujące spojrzenie.

– Pani Halina ze sklepu. Tomek jest jej synem.

Kasia natychmiast pobladła tak samo, jak Ludwik przed chwilą.

– Poważnie? – spojrzała na mnie wielkimi oczami.

– Aha.

– Czemu nie mówiłaś mi wcześniej? – oskarżycielskim tonem zwróciła się do Tomka.

Popatrzył na nią skonsternowany.

– Nie wiedziałem, że to jakiś istotny fakt. Tak samo, jak nie wiedziałem, że znasz moją matkę. O co właściwie chodzi?

Kasia przyłożyła palce do skroni i odetchnęła ciężko, ale w końcu pokręciła głową.

– Ale dramat – jęknęła, przymykając oczy.

– Poleje się krew – stwierdził Ludwik.

– Jaka krew?! – Tomek przeraził się, słysząc jego słowa.

– Wiesz co, nieważne – Kasia zwróciła się do niego i dotknęła jego ręki. – Ja ci to wszystko wytłumaczę na gorze. Chodź – pociągnęła go w stronę schodów.

– Ale Kasia... – rzuciłam za nimi błagalnie.

– No co, Zuzka, no co?! – Odwróciła się do mnie i spojrzała mi prosto w oczy. – Jeśli liczysz na to, że poddam się terrorowi tej wariatki, to grubo się mylisz. Nie boję się jej. Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Zwłaszcza jakaś obca baba.

– Ale...

– Chce ze mnie i z Tomka zrobić Romea i Julię, to proszę.

– No ale chyba nie będziecie się zabijać, co? – wtrącił się do naszej wymiany zdań Ludwik.

– Albo truć – dodałam.

– Na jedno wychodzi.

Kasia zaśmiała się głośno.

– Oby – rzuciła z uśmiechem, a potem pociągnęła Tomka na górę.

Jeszcze przez chwilę patrzyłam z nadzieją w tamtą stronę, ale żaden cud nie zaistniał i Tomek wcale nie rozplątał się w powietrzu ani nie okazał się być kolejnym złym snem. Cała ta sytuacja była jak najbardziej prawdziwa.

– Może nie będzie tak źle? – Poglądził mnie po przedramieniu Ludwik.

Odwróciłam się do niego i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz – szepnęłam i wymijając go, przemknęłam do kuchni, żeby wziąć z apteczki ziołową tabletkę na uspokojenie.

– No dobra, Zuzka, to ja lecę – gdy ją popijałam, oznajmił Ludwik.

– Ale dokąd?

– No jak to dokąd? Przecież dzisiaj mecz! Na narodowym, mamy z chłopakami bilety już od kilku tygodni i...

– A jedźże w cholerę! – rzuciłam do niego ze złością, nie dając mu nawet dokończyć. – Zostaw mnie z tym samą, masz rację. Jak zawsze! – wypaliłam. – Niech sklepowa zamęczy mnie na śmierć, a ty jedź sobie i umywaj od tego wszystkiego ręce, zamiast pomagać mi znaleźć jakieś rozwiązanie tego problemu!

– Ale kochanie... – Ludwik podszedł do mnie z wyciągniętymi ramionami.

– Nie chcę twojego „kochanie” ani „przepraszam”. Mam cię najzwyczajniej w świecie już dość. Tych twoich gratów i tych wiecznych wyjazdów! Jak ci tak ze mną źle, to proszę bardzo, fora ze dwora. Jedź i nie wracaj! Tylko nie myśl sobie, że ja tu będę na ciebie czekać! – wylałam na niego całą kumulującą się we mnie złość.

– A to gdzie będziesz? – rżnąc głupka, zapytał mnie Ludwik, w wyniku czego rzuciłam w niego leżącym na blacie pomidorem.

– Zejdź mi z oczu! – wrzasnęłam.

W tym momencie zrozumiał. Odkładając pomidora na stół, wycofał się z kuchni i pojechał na mecz. Aha. Powiedział też, że nocuje u kumpla w Warszawie i wróci dopiero jutro. To tak, żebym się nie martwiła.

A ja wcale nie zamierzałam się martwić! Wściekła do granic możliwości ruszyłam na górę i żeby ukoić zszargane nerwy, zaczęłam składać piętrzące się w garderobie pranie.

I to właśnie tam, w dodatku zapłakaną, znalazł mnie Marek.

– Tu jesteś. – Ucieszył się na mój widok. – Szukam cię od dobrych kilku minut – poinformował, wchodząc do środka.

Spojrzałam w jego kierunku, odkładając poskładaną już kolejną koszulkę Marcela.

– Coś się stało? – zapytałam.

– Nie, nie. Po prostu chciałem ci powiedzieć, że już wróciłem. Może trzeba ci w czymś pomóc?

Pokręciłam głową.

– Nie, nie. Dzięki. Radzę sobie. – Wysiliłam się na uśmiech. – Szybko ci dziś poszło z tymi tajemniczymi sprawami. Zwykle wracasz później – zauważyłam.

Marek przyjrzał mi się dokładnie.

– Dziś wystarczył tylko jeden mój podpis. Nie było sensu siedzieć tam dłużej niż to konieczne.

– Nadal upierasz się przy tym, że lepiej, żebym nie wiedziała, gdzie znikasz na całe popołudnie?

Uśmiechnął się do mnie.

– Tak. Ale obiecuję, że powiem ci w swoim czasie.

– Ale nadal podtrzymujesz, że nie robisz nic złego, prawda? Wolałabym wiedzieć w co wplątał się facet, który chwilowo u mnie mieszka. Nie wiem, czy zauważyłeś, że mam małe dziecko i bardzo zależy mi na jego bezpieczeństwie.

– Gwarantuję, że nie robię nic złego. Słowo. – Marek uniósł do góry dwa palce jak pierwszoklasista do ślubowania. – A teraz powiedz mi, co się stało, bo widzę po tobie, że coś jest nie tak, chociaż skutecznie próbujesz mydlić mi oczy.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Trochę drażniło mnie to, że w przeciwieństwie do Ludwika, Marek tak dobrze odgadywał moje humory.

– Naprawdę wszystko jest dobrze – odezwałam się w końcu, odwracając wzrok.

Marek patrzył jeszcze przez moment na moją twarz, aż w końcu odetchnął głęboko i zrobił dwa kroki w moim kierunku. Stojąc naprawdę blisko, ujął w dłoń mój podbródek.

– Przecież czuję, że coś jest nie tak. Możesz ze mną o tym porozmawiać. Lubię dużo mówić, przyznaję, ale umiem też słuchać – powiedział powoli i cicho.

– Ale...

– Zuzka. – Poglądził kciukiem moją skórę. Jego dotyk sprawił, że znów zachciało mi się płakać. Już dawno nikt nie podchodził do mnie z taką czułością jak on teraz.

– No dobrze. – Poddałam się w końcu i spojrzałam na niego ufnie.

Marek uśmiechnął się lekko i cofnął dłoń.

– Chodź – szepnął i wyprowadził mnie z garderoby.

Po chwili znaleźliśmy się w jego sypialni. Unosił się w niej zapach męskich perfum.

– Tutaj nikt nam nie będzie przeszkadzał – Marek uśmiechnął się ciepło, zamykając za sobą drzwi.

– Ale Marcel... – zdołałam tylko zaprotestować.

– Kasia z Tomkiem się nim zajmują. Widziałem, jak szedłem na górę – nie dał mi skończyć. – Usiądź – wskazał na rozłożoną kanapę.

Popatrzyłam na nią niepewnie. Przebywanie tak blisko tego człowieka nie było wcale takie znowu bezpieczne.

– Wolisz rozmawiać na stojąco? – widząc moją reakcję, rzucił rozbawionym głosem Marek.

Spojrzałam na niego jak mała dziewczynka przyłapana na potajemnym wcinaniu słodczy.

– Nie – mruknęłam zawstydzona i usiadłam na kanapie. Marek zrobił to samo.

– No więc co się stało? Masz jakiś problem? Może mógłbym ci jakoś pomóc?

Słyszając jego słowa, wbiłam wzrok w podłogę.

– Bardzo ci dziękuję, ale chyba będę musiała poradzić sobie z tym wszystkim sama.

Marek uniósł rękę i dotknął mojego ramienia.

– Miałaś mi opowiedzieć, co cię trapi, a nie uciekać od tematu. Podobno kobietom to pomaga.

Jeszcze przez chwilę patrzyłam na granatowy dywan.

– No dobrze – westchnęłam w końcu i opowiedziałam mu o nękanii naszej rodziny przez sklepową od momentu, kiedy wprowadziła się do nas Kasia. Naświetliłam mu też obecną sytuację, którą, tak jak ja, skwitował niezbyt zadowoloną miną.

– Teraz rozumiem, dlaczego się martwisz...

– Ale to jeszcze nie wszystko – nie dałam mu powiedzieć nic więcej. – Mój beznadziejny mąż zamiast pomóc mi wymyślić jakieś wyjście z tej sytuacji, pojechał sobie na mecz. Zresztą... Zniknął

prawie jak co wieczór. Nie dość, że traktuje mnie jak powietrze, nie widzi we mnie kobiety i bardziej interesują go upačkane błotem antyki, to jeszcze przestaje być dla mnie wsparciem, bo jego koledzy są ważniejsi. A ja się czuję zmęczona tymi wszystkim problemami. I samotna. Mam go już dość. Powoli Ludwik staje się w moich oczach problemem – dokończyłam, a z oczu popłynęły mi łzy.

Marek natychmiast otoczył mnie ramieniem i przytulił do piersi.

– Na pewno nie jest tak źle, jak mówisz.

– Nie? To powiem ci jeszcze, że do Anki wprowadził się właśnie mój chłopak z liceum, który zaraz po oświadczeniach nagle i bez słowa rozpląnął się w powietrzu, zostawiając mnie samą i zrozpaczoną. Przez dwa lata nie umiałam sobie poradzić z jego zniknięciem i dzień w dzień faszerowałam się lekami uspokajającymi i przeciwdepresyjnymi. Nie widzieliśmy się przez dziesięć lat, a teraz on się po prostu pojawia i to zaraz za płotem. Nie wyobrażam sobie, jak będzie wyglądało nasze pierwsze spotkanie, ale cholernie się go boję i... – zaczęłam płakać na dobre, żałując w duchu, że w ogóle mu to wszystko mówię. Tylko jego ciepłe ramiona działały na mnie tak jakoś kojąco.

Kiedy w końcu udało mi się trochę uspokoić, Marek odsunął mnie od siebie i ujął moją twarz w swoje dłonie, a potem palcami wytarł ciekące po policzkach łzy. Robił to tak delikatnie, że nie mogłam rozsmakować się w tym jego dotyku. Już zapomniałam, że można doświadczać czegoś tak przyjemnego, jak to. A już na pewno, że mężczyzna może dotykać właśnie w ten sposób.

– Nie ma sytuacji bez wyjścia – powiedział, patrząc mi prosto w oczy. – Nie zostaniesz z tymi wszystkimi problemami sama, pamiętaj. Jeśli tylko w czymś będziesz potrzebowała mojej pomocy, powiedz. Jestem do twojej dyspozycji dzień i noc. A sklepową i byłym narzeczonym się nie przejmuj. Może wcale nie będzie tak źle?

Chociaż wiedziałam, że źle będzie i to na pewno, jego słowa, a może raczej sposób, w jaki je wypowiadał, dodały mi otuchy. Siedząc tu i teraz z tym zapatrzonym we mnie mężczyzną, na chwilę zapomniałam o wszystkich troskach tego świata. Jego zapach przyjemnie drażnił moje zmysł, a te muskularne ramiona sprawiały że...

– Boże, Zuzka... – przywołał mnie do rzeczywistości zachrypiły głos Marka. Nawet nie zauważyłam, kiedy jego dłonie znalazły się w moich włosach, a usta przysuwały się niebezpiecznie do mojej szyi.

Popatrzyłam na niego wielkimi oczami i szybko odsunęłam się w tył. Boże kochany, co ja robię?! Przecież jestem mężatką, na litość boską. I to od dobrych kilku lat!

Marek też na mnie spojrzał, z tym, że jego wzrok był raczej zdziwiony niż wystraszony i pełen zakłopotania.

– Przepraszam cię bardzo, ale muszę już iść – udało mi się wymamrotać, odzyskując rezon i natychmiast zerwałam się z kapany, a potem ruszyłam drzwi.

– Zuzka, zaczekaj... – usłyszałam za sobą jeszcze jego niski głos, ale puściłam go mimo uszu i na drżących nogach wyszłam z jego sypialni i pędem ruszyłam do swojej, gdzie głośno oddychając, oparłam się plecami o ścianę.

Do niczego nie doszło, do niczego nie doszło, jak najęta powtarzałam sobie w myślach, starając się uspokoić wszechobecne drżenie mojego ciała. Było gorąco, ale nic się nie stało. Nie zdradziłam Ludwika, Ludwik o niczym się nie dowie. Cholera jasna! Dlaczego ja przy tym facecie po prostu zaczynam tracić rozum? Przecież jestem mężatką, na litość boską. Beznadziejnego faceta, który wydaje się wcale mnie nie zauważać, ale jednak!

Moje myśli szalały w głowie, jakby miały co najmniej ADHD.

Do niczego nie doszło, do niczego nie doszło, mówiłam po raz tysięczny na szczęście oddychając już wolniej, bo drzwi do mojej sypialni otworzyły się cicho. Mimo względnego spokoju o mały włos

nie podskoczyłam do góry, gdy do moich uszu dotarło skrzypnięcie stawianych na podłodze obok mnie stóp.

– Mamusiu, czemu tak stoisz? – Popatrzył na mnie co najmniej zdziwiony moim zachowaniem Marcel.

Spojrzałam w jego kierunku i oddychając z ulgą, uśmiechnęłam się lekko.

– Źle się czujesz? Chcesz pić? – zaczął mnie pytać zaniepokojony syneczek.

– Nie, nie. – Ukucnęłam obok niego. – Wszystko w porządku, mamusia po prostu patrzyła na...

Pajęczyny! – przyszło mi do głowy w ostatniej chwili i spojrzałam na wiszący nad oknem żyrandol. –

O tam, patrz. Trzeba je będzie sprzątnąć, bo inaczej zalęgną się u nas pajęczki.

Marcel podążył za moim wzrokiem co najmniej zaintrygowany.

– Tak? – zapytał.

– Aha. – Pokiwałam głową. – No ale czemu właściwie mnie szukałeś? Stało cię coś? – płynnie zmieniłam temat, żeby nie wykazać się przed dzieckiem swoją żalną wiedzą na temat pajaków, a raczej jej brakiem. Dzieciaki w tym wieku potrafią być naprawdę dociekliwe, wierzcie mi, a z ogniem lepiej nie igrać.

– A! – słysząc moje pytania, przypomniał sobie Marcel. – Bo wiesz, Sara przyniosła mi do łóżka jakiś chlebek i leży z nim teraz i warczy. Nie mogę się bawić – powiedział, robiąc przy tym smutną minę.

– U, to niedobrze. – Też się skwasiłam, a potem wstałam i wzięłam go za rękę. – Chodź. Mamusia zaraz coś na to zaradzi. – Ogłosiłam rycersko i poszłam do sypialni synka, żeby stoczyć walkę z przygotowującym się na zimę psem, który znowu zachomikował sobie w łóżku jedzenie.

Swoją drogą, to czy psy robią sobie zapasy na zimę? Nie wiem. Trzeba będzie to jakoś sprawdzić. A może Sarze udzielił się apokaliptyczny nastrój mojej mamusi i postanowiła zacząć gromadzić jedzenie na chwilę, w której spadnie na nas z nieba najgorsze? Tylko kto w tych czasach zdoła nadażyć za psem? No kto?

Rozdział 23

W niedzielę obudziłam się bez wyrzutów sumienia, co naprawdę mnie zmartwiło. Chociaż właściwie do niczego wczoraj nie doszło, to wyobrażałam sobie, że rano obudzę się winna. Zeszłam więc na śniadanie, obwiniając się za ten brak poczucia winy i zrobiłam jajecznicę ze szczypiorkiem, na którą już za chwilę zlecieli się wszyscy domownicy, włącznie z Markiem.

– A co tak ładnie pachnie? – zapytała mnie prowadząca za rękę zaspanego Marcela Kasia. – O, jajeczniczka! – ucieszyła się, zaglądając mi przez ramię. – Dla wszystkich?

Pokiwałam głową, kątem oka zerkając na Marka. Łapiąc mój wzrok, posłał mi promienny uśmiech, więc czym prędzej wróciłam do patelni.

– Będzie dla wszystkich. Umyjcie ręce i siadajcie.

– To może ja wyjmę talerze? – zaoferowała się Kasia.

– A ja ponalewam herbaty? – odezwał się Marek.

Ogarnęłam wzrokiem całe to towarzystwo. Byliśmy jak jedna, nie taka znów duża rodzina krzątająca się rano po kuchni. Przystojny mężczyzna, zaspane dziecko i do rany przyłoż nastolatka. Tylko gdzie w tym wszystkim był mój mąż?!

W oczekiwaniu na Ludwika po śniadaniu zajęłam się drugim z unijnych projektów, bo ten pierwszy leżał już spokojnie na biurku dyrekcji. Kasia z Tomkiem zabrali Marcela nad rzekę, a Marek chyba wyczuł, że nie powinien mi się dzisiaj za bardzo pokazywać, bo zaszył się na górze i nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. Mogłam więc w spokoju zebrać myśli i pisać wnioski. Tylko w przerwach zastanawiałam się, czy powiedzieć o wczorajszej sytuacji Ludwikowi.

Po dwóch godzinach myślenia o tym doszłam jednak do wniosku, że nie. Przecież to, co wczoraj zaszło, a raczej nawet nie zaszło, jak doskonale o tym wiecie, to błahostka. Marek mnie pocieszał, ja zachowywałam się jak emocjonalnie rozchwiana nastolatka (tak, to dobre słowo) i było blisko do tego, żeby poniosły nas emocje. Jednak w porę się opamiętałam. Bo przecież jestem porządną małżonką. Wieloletnią mężatką. Wspaniałą mamusią, która nie zrobiłaby czegoś takiego własnemu dziecku. Ani jego ojcu.

A to wszystko, cholera jasna, przecież tylko dlatego, że ja ciągle zasypiam w pustym łóżku! Każdy sąd by mnie za taką zdradę uniewinnił. Do niczego nie doszło, mimo tego, że przecież mogło dojść i to na pewno byłoby po prostu wspaniałe, przez wzgląd na te męskie ramiona, które...

Bredzę. Ja po prostu bredzę.

Ludwik wrócił do domu trochę po tym, jak już zdążyło mnie olśnić i wymyśliłam, czym mogłabym zagłuszyć swoje poczucie winy z powodu braku wyrzutów sumienia.

– Ludwik, a co ty na to, żebyśmy wybrali się gdzieś z Marcelem? – zagadnęłam go, kiedy kończył jeść obiad. – Tylko nasza trójka, co? Ciebie ciągle nie ma, prawie nigdzie rodzinnie nie wychodzimy i... – przygotowałam się do długiego przekonywania, ale mój mąż spojrzał na mnie, uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Tak. Świetny pomysł. Też dzisiaj o tym myślałem. Taka ładna pogoda! – oznajmił.

Co proszę?! Czy ja się aby nie przesłyszałam?

– Ale naprawdę? – Spojrzałam na niego skołowana.

– Aha. Ja też się za wami stęskniłem. Może to zabrzmie ckliwie, ale kiedy nie widzę ciebie i Marcela nawet półtora dnia, to zaczyna mi czegoś brakować. Może tego domowego, niekontrolowanego chaosu? – postanowił mnie wprawić w jeszcze większe zdumienie.

Nie odezwałam się do niego ani słowem, tylko zadzwoniłam do Kasi.

Razem z Tomkiem przyprowadzili Marcela już za kilka chwil.

Postanowiliśmy, że pojedziemy na lody. Najbliższa cukiernia z ciekawym ogródkiem i placem zabaw dla dzieci znajdowała się w sąsiednim miasteczku, a było to naprawdę niedaleko. Gdy tylko wysiedliśmy z auta, Marcel wdrapał się Ludwikowi na plecy i wesoło podskakiwał kołysany w rytm kroków taty, a ja rozkoszowałam się prawdziwym, już prawie letnim słońcem, które ostatnio naprawdę nas rozpieszczało.

– No dobra, zsiadamy kolego i wybieramy lody! – Ludwik zdjął z pleców Marcela i posadził go na jednym z wysokich krzeseł przy okrągłym stoliku.

Chwilę po tym podeszła do nas młoda dziewczyna w czarnym fartuszk.

– Poprosimy dwa razy desery czekoladowe z owocami i bitą śmietaną, a dla tego brzdąca coś mniejszego i słodkiego. – Gdy Marcel lustrował wyczekującym wzrokiem dziewczynę, Ludwik złożył zamówienie.

– Dla tego uroczego brzdąca mogę zaproponować dziecięcy deser smerfowy. Dwie gałki z owocami w wafelku, a do tego jedna z naszych kolorowanek. – Obdarzyła nas wielkim uśmiechem.

– Bierzemy! – zawyrokował mój ślubny, a Marcel posłusznie pomaszerował za ekspedientką, żeby wybrać sobie kolorowankę.

– Dawno tutaj nie byliśmy. – Spojrzałam na Ludwika rozmarzonym wzrokiem. – Jest prawie tak, jak za dawnych lat.

– Nie przesadzaj, Zuzka. Nie jesteśmy już zapatrzonymi w siebie nastolatkami, tylko statecznymi dorosłymi, którzy na nic nie mają czasu i są usilnie miażdżeni przez życiowe problemy. Jednak sporo się zmieniło, odkąd przychodziliśmy tutaj na randki – powiedział dość dosadnie.

Czar tego wypadu prysnął. W słowach mojego ślubnego było dużo racji. Za dużo. Nie zdążyłam mu jednak odpowiedzieć, że ja za tamtym romantyzmem naprawdę tęsknię, bo przybiegł do nas uszczęśliwiony Marcel z kolorowanką.

– Tato, tato, popatrz! – rzucił się od razu do Ludwika, rozkładając przed nim kawałek papieru i żywo przy tym gestykulując. – Ty masz taki pompon, jak ta krowka! – zaczął piszczeć, pokazując paluszkami na obrazek z pasącą się na łące krową, a raczej jego niewielką część.

– To jest wymię syneczku. – starał się zachować powagę Ludwik.

– Tatusiu, ty masz wymię?! – zdziwił się Marcel i zdumiony do granic możliwości wbił w kochanego tatusia pytające spojrzenie.

Wybaczcie, ale nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem. Może i mój ślubny coś takiego ma, skąd mi to wiedzieć? Ludwik natomiast spojrzał na mnie skonsternowany, zrobił wielkie oczy i zaczął tłumaczyć naszemu ciekawemu świata synkowi, że krowa ma wymię po to, żeby dawać mleko, a on nie jest krową i nie ma tej części ciała, bo przecież mleka nie daje.

No. I tym oto sposobem wszystko stało się jasne. Mój Ludwik nie jest krową, o co posądził go pochopnie nasz dociekliwy synek. I dobrze, bo strach się bać, jak mogłoby wyglądać nasze dziecko: skrzyżowanie człowieka z krową. Może byłoby łaciate?

Po tym jakże romantycznym (z założenia) wypadzie, który, ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, okazał się jednak zupełnie wyzuty z czułości, postanowiłam uciec od pogrążonego w oglądaniu telewizji Ludwika i zajrzeć do Anki.

– A co u ciebie tak cicho? – zapytałam już na dzień dobry i jak zawsze rozsiadłam się przy kuchennym stole. Mama nakryła go nową, kraciastą ceratą, przez co poczułam się trochę jak w czasach dzieciństwa.

– Mama poszła do sąsiadki żeby porozmawiać o lęku przed śmiercią, bo ja rzekomo nie nadaję się

do dyskusji na ten temat, ponieważ jestem za młoda. Zosia śpi od dwudziestu minut, więc dobrze trafiłaś, a Pawełek raczył się na mnie obrazić i bawi się na podwórku. Jeśli natomiast pytasz o Teodora to...

– Na co obraził się Paweł? – wpadłam jej w słowa, nie chcąc rozmawiać o Teodorze. Jeszcze nie.

– Ach, właściwie to trochę zabawna historia i właściwie to chyba obraziliśmy się na siebie nawzajem. – Usiadła naprzeciwko mnie Ania. – Poszłam po niego do szkoły i patrzę, że w jego szafce leżą jakieś naklejki, więc zapytałam go, skąd je ma. Mały spojrzał na mnie i powiedział, że od jednego z kolegów, ale ja, jak to ja, jestem przecież stanowczo za bardzo dociekliwa i zapytałam go jeszcze, czy ten kolega o tym wie, bo inaczej wzięcie sobie tych naklejek to byłaby kradzież. Mój synek przymknął więc szafkę, odwrócił się do mnie i przy pełnej rodziców szatni wypalił, że on o tym wie i nie kradnie w przeciwieństwie do mnie, bo ja wyjmuję Jerzemu pieniądze z portfela, jak nie widzi.

– No to pięknie – popatrzyłam na Ankę rozbawiona. – Dobrze wiedzieć, że mam siostrę złodziejkę. Jakoś mi tak z tym różniej.

Słyszając moje słowa, Ania też się roześmiała.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyś ty o tym wiedziała, ale żeby od razu wszyscy rodzice z okolicy?

– E, daj spokój. Przecież nikt na pewno nie wziął tego na poważnie. Wiadomo, że trzeba brać poprawkę na to, co mówią dzieci.

– Och, proszę, proszę, pani pedagog. Zaskakujesz mnie.

Wyszczrzyłam do Anki zęby.

– Do usług. A co tam u Jerzego? Radzi sobie? Jak mu się podoba ta nowa praca? – zagadnęłam, biorąc ze stojącej na stole miseczki ciastko. Swoją drogą, to może nie powinnam jeść aż tyle słodczy, bo potem słyszę od Ludwika w naszej sypialni, że chyba znowu mi się przytyło.

– Och, Jerzy jest naprawdę zadowolony. Ekipę mają młodą, chłopaków chętnych do pracy, warunki mieszkaniowe całkiem dobre – odpowiedziała mi Anka. – Tylko jak z nim rozmawiam, to zawsze jest zmęczony, ale nie ma się co dziwić. Pracuje po dwanaście, czternaście godzin, a to przecież duży wysiłek fizyczny. W każdym razie, nie narzeka.

– Rozumiem. – Pokiwałam głową. – Świetnie, że sobie radzi – powiedziałam i przez chwilę nic więcej nie mówiąc, zapatrzyłam się na miskę z ciasteczkami.

– No dobrze, widzę, że o to, jak radzi sobie u mnie Teodor, też chciałaś zapytać, ale zabrakło ci odwagi – natychmiast rozgryzła moje milczenie Anka.

Spojrzałam na nią co najmniej wymownie. Jednak nie ma to jak siostra, która rozumie cię bez słów.

– Dobra, oj, dobra. Powiem – uśmiechnęła się. – Całkiem nieźle. Jest zorganizowany i ma niezłe tempo pracy, wszystko zawsze robi na czas. W tym tygodniu ma się wprowadzić do naszej kuchni letniej, wiesz, tej przy jednej ze stodół. Jest tam jeszcze mały pokoik i ciasna łazienka, ale powiedział, że całkowicie mu to wystarczy. Jurek wyremontował to dla pracowników, kiedy budowali nową stodołę dla krów, więc wszystko jest względnie nowe i nadaje się do zamieszkania w każdej chwili. Teraz jest ciepło, to nie będzie trzeba przepalać, więc...

– Więc Teodor wprowadza się tutaj na stałe? – zapytałam ze złudną nadzieją, że może Anka powie mi jednak, że ponowne pojawienie się Teodora w naszym życiu to tylko wymysł mojej wyobraźni.

– Tak – powiedziała jednak Anka.

No to pięknie. Nie dość, że mój mąż niemalże mnie nie chce, Marek działa na mnie jak na nastolatkę i do tego jawnie okazuje mi swoje zainteresowanie, to jeszcze pojawia się moja

największa miłość z czasów młodości. I to zaraza płotem. No powiedzcie mi, jak ja mam nie myśleć, że to nie jest jakiś zły sen?! A wystarczyłoby tylko, gdyby Ludwik trochę bardziej... No... Mnie kochał.

– Rozumiem, że się z nim jeszcze nie widziałaś? – nie dała mi dłużej rozmyślać o tym Anka.

Pokręciłam głową.

– Nie. Jeszcze nie, ale zrobię to, bez obaw. Nie zamierzam zachowywać się jak nieradząca sobie z emocjami wariatka.

– Więc jak kto? – Ania spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Dojrzała kobieta, która nie ma żalu ani nie chowa w sobie urazy.

Anka z rozbawieniem uniosła brew.

– Mówisz o sobie?

– Nie. O Świętym Mikołaju! – odparowałam. – Oczywiście, że mówię o sobie! Okej, kiedyś naprawdę przez niego cierpiałam i...

– Cierpiałam? Mało powiedziane – wpadła mi w słowa Anka.

– I nie mogłam z tym sobie poradzić – kontynuowałam. – Ale teraz jest już inaczej. Minęło wiele czasu, ja poznałam Ludwika, jestem z nim szczęśliwa...

– Prawie.

– Anka! – Spiorunowałam ją wzrokiem.

Wzruszyła ramionami.

– No co? Mówię, jak jest. Czujesz się zaniedbana a tutaj nagle pojawia się twoja wielka miłość. Czy ty nie słyszysz, jak to brzmi? Boję się, żeby nie wyniknęło z tego coś złego. Dla nas wszystkich.

– Nie rozumiem.

– Oj, Zuzka... – Ania wywróciła oczami. – Nie bądź jak dziecko. Jesteśmy tylko ludźmi, hormonów i miłości nie przeskoczysz.

– A czy miłość to czasem nie są hormony? – zauważyłam błyskotliwie.

– Zmieniasz temat.

– Bo nie wiem, co ty mi tu teraz sugerujesz. Nie jestem już tamtą Zuzką. Jestem dojrzałą i ustawkowaną kobietą, a nie wrakiem człowieka wpatrzonym w Teodora jak obrazek. – postanowiłam się bronić.

– Powtarzaj tak sobie częściej, a może rzeczywiście w czymś to pomoże.

– Jezu... Ale ty jesteś upierdliwa – jęknęłam, nie chcąc już ciągnąć tego tematu, w odpowiedzi na co Anka głośno się roześmiała.

– Do usług siostrzyczko, do usług.

– Jesteś niemożliwa.

– Och, nie bardziej, niż ty – machnęła ręką. – A teraz wybac, ale wydaje mi się, że Zosia się obudziła. Matczyne obowiązki wzywają.

Rozumnie pokiwałam głową.

– To ja będę już szła. Dzięki za rozmowę. I naprawdę się nie martw. Nie zrobię nic głupiego – zapewniłam ją, chociaż gdy mówiłam te słowa, moje myśli powędrowały do Marka.

Aj! Niedobrze!

Rozdział 24

W poniedziałek rano zdarzyła się rzecz przedziwna, mianowicie, gdy tylko zesłam na dół i wyrzłam przez okno, dojrzałam leżącą przed naszą bramą ogromną hałdę śmieci. I nie mówię tutaj o kupce sięgającej najwyżej pasa, ale ogromnej górze wystającej sporo ponad bramę, która to liczy sobie trochę ponad metr pięćdziesiąt.

– O matko kochana, a to co! – jęknęłam sama do siebie i natychmiast pobiegłam obudzić Ludwika, który dzisiaj, szczęśliwie lub nie, zaczynał pracę o dziewiątej.

– Ludwik, Ludwik, obudź się i to natychmiast. – Zaczęłam go szarpać. – W naszym wjeździe leży góra śmieci!

– Zuzka, daj mi spokój, proszę. – Mój ślubny zamruczał i naciągnął sobie kołdrę na głowę.

Zerwałam ją z niego natychmiast.

– Ludwik, jak ona nie zniknie, to nie wyjedziesz do pracy! – ogłosiłam złowieszczo i dopiero te słowa podziały na niego jak kubek zimnej wody.

– Jaka góra śmieci? – Zerwał się na nogi.

– Potężna.

– Ale skąd?! – Mój ślubny zaczął wciągać na nogi leżące na fotelu pod oknem jeansy.

– Boże, Ludwik, no przecież z nieba nie spadła, ale nie ma pojęcia, skąd ona się tam wzięła! Spałam. Dopiero jak wyrzłam przez okno, to patrzę: o, śmieci. I od razu przybiegłam po ciebie.

– Widzieliście, co leży w waszym wjeździe? – Zajrzał do sypialni też zaczynający dziś na ósmą Marek.

– Widzieliśmy! – odpowiedzieliśmy mu z Ludwikiem niemal jednocześnie, chociaż Ludwik przecież nie widział.

– Muszę to zobaczyć na własne oczy. Z tym trzeba coś zrobić. Ja się nie mogę spóźnić do pracy! – wybiegł z sypialni mój ślubny i muszę przyznać, że w normalnej sytuacji to słysząc jego słowa, zachichotałabym na wspomnienie swojej chwalebnej zemsty z przeszłości.

– Ale numer, co? – Spojrzał na mnie natomiast Marek. – Myślisz, że to się stało przypadkiem, czy po prostu ktoś bardzo was tutaj nie lubi? – zapytał zupełnie nieświadomie, a dla mnie wszystko od razu stało się jasne.

– Sklepowia! – warknęłam ze złością i wymijając wuefistę, pędem ruszyłam do oglądającego hałdę śmieci Ludwika.

– Cholera, jak ja teraz mam jechać do roboty?! – jęknął na mój widok. – Przecież przez ten syf żadne z nas nie wyjedzie z podwórka!

– Ale was nieszczęście spotkało, co? – rzuciła do nas jakaś przechodząca po drugiej stronie chodnika kobieta i pokręciła głową.

Oboje ze ślubnym popatrzeliśmy po sobie.

– Ludwik, tu się nie ma co zastanawiać, to na pewno jest sprawka naszej sklepowej. Mści się za to, że Kasia spotyka się z tym jej Tomkiem. Ja czułam, że tak będzie. Byłam nawet pewna.

– Myślisz? – Ludwik wnikliwie spojrzał mi w oczy.

– No a ty nie? Kto inny chciałby nam zaszkodzić? No kto?

– Boże, Zuzka, to co mówisz, naprawdę ma sens – odkrywczo stwierdził mój ślubny.

– No brawo geniuszu! – rzuciłam do niego ironicznie. – Dedukcja godna mistrza. Powinni ci za to dać medal.

Ludwik popatrzył na mnie niepewnie, ignorując zupełnie moją złośliwość.

– Ale co my mamy teraz z tym zrobić? – zapytał.

– Jak to co? Zadzwoń do zakładów komunalnych, niech to sprzątną. Przecież w tym może żyć jakieś robactwo. Jeszcze nam się tutaj na wsi załęgnie i choroby rozniesie! Użyj argumentu, że te śmieci są zaraz naprzeciwko szkoły. Wtedy na pewno przyjadą z obawy przed gniewem sołtysowej.

– I śmierdzi toto niemiłosiernie! – Ludwik z odrazą popatrzył na śmieci. – Idź, zadzwoń – zwrócił się do mnie.

– Ja?! Ja się spieszę do pracy. Mam dzisiaj na ósmą. Za dziesięć minut zacznę dyżur.

– Ale Zuzka, ja nie mam posłuchu, jak rozmawiam z ludźmi... No weź zadzwoń, proszę. – Popatrzył na mnie błagalnie.

– To chyba w twoim interesie jest dzisiaj pojechać do pracy, nie w moim? Ja mogę zadzwonić, ale po południu. Teraz się spieszę – wypaliłam i ruszyłam do domu po torebkę.

– Ale kochanie, przecież wiesz, że ja się nie nadaję to załatwiania takich spraw... – zaskomlał pędzący za mną Ludwik. Owszem, wiedziałam. Mój mąż był beztalenciem, jeśli chodzi o rozmowy o charakterze administracyjnym. Biurokracja po prostu go przerastała.

– No, zadzwoń, przecież to ci zajmie tylko minutkę – spróbował jeszcze, ale byłam nieugięta.

– Chociaż jedną sprawę załatw sam! Zobacz, z czym ja się muszę męczyć codziennie, kiedy ty sobie wiecznie wyjeżdżasz i zostawiasz mnie samą! Poczuj, jakie to jest przyjemne! – rzuciłam do niego, wychodząc do pracy i wściekła jak osa ruszyłam do bramy. Właściwie, to nie wiem, czy bardziej byłam zła na Ludwika, czy na całe te śmieci!

Na naszym podjeździe dołączył do mnie Marek. Jego zmierzwione włosy od razu przykuły moją uwagę i gdyby nie fakt, że byłam mężatką, to pewnie natychmiast przeczesałabym je palcami.

– Jak się zaczyna tydzień w taki sposób, to potem może być chyba tylko lepiej – zażartował, gdy minęliśmy górę śmieci. – Swoją drogą, ktoś miał niezły pomysł. Przecież to wysypała jakaś śmieciarka. Nikt normalny by tylu worków w domu nie trzymał. I musiałby znosić je tutaj przez całą noc!

– Wiesz co, pojawienie się tutaj tych śmieci obchodzi mnie w tej całej sytuacji chyba najmniej. A resztą z Kasi żadna innowierczyń... –

– Poważnie? – Marek spojrział na mnie zaskoczony.

– Aha. Bardziej martwi mnie to, że to dopiero początek zemsty – powiedziałam, gdy przechodziliśmy przez drogę.

Dotarliśmy do szkoły w milczeniu.

– Matko, Zuzanna, co się stało przed twoją bramą?! – gdy tylko weszłam do środka, dorwała mnie przejęta Beata. – Każdy, kto przyprowadza dzisiaj dziecko do szkoły, nie może się temu bałaganowi nadziwić. Skąd to właściwie się wzięło? I kiedy zostanie sprzątnięte? – zasypała mnie gradem pytań.

Szybko powtórzyłam jej to, co udało mi się rano ustalić.

– No, a teraz właśnie Ludwik dzwoni do zakładów komunalnych, żeby to jak najszybciej sprzątnęli – dodałam na zakończenie.

– I słusznie! Przecież takie śmieci mogą być niebezpieczne. Jeszcze się tutaj potrujemy. A to wiadomo, co w nich jest? W dzisiejszych czasach ludzie wyrzucają po prostu wszystko! Mnie na przykład ostatnio jakiś menel podrzucił na podwórko puszki piwa i swoją kurtkę, jak po nocy wracał z imprezy pod sklepem.

Zdażyłam tylko pokiwać głową, bo do szkoły weszła swoim powolnym, pełnym ubolewania krokiem nasza ulubiona bibliotekarka.

– Och, ale się narobiło, co? – podeszła do nas, głośno wzdychając. – No ale jak się porządym

ludziom naraża, to się potem tak ma.

– O czym ty teraz mówisz? – Beatka wbiła w nią pytające spojrzenie. Dla mnie było jasne jak słońce, że o niczym innym, jak o tych naszych śmieciach.

Zaraz... Naszych? Niedobrze. Zaczynam się już z nimi utożsamiać!

– No, bo wiesz... Tak to się miejscowa społeczność odpląca, jak niewierni się biorą za demoralizację porządnej młodzieży – Lena wytłumaczyła słabiutkim głosem. – Na Zachodzie z nienawiści wobec innowierców meczety palą, a u nas, cóż... Meczetów nie ma, więc podrzucają śmieci.

Wyłapując logikę jej słów, a raczej jej brak, znowu popatrzyłyśmy po sobie z Beatką.

– A to Kasia nie była w waszych oczach wcześniej satanistką?

Lenka spojrzała na mnie jak na idiotkę.

– No chyba mówię, nie?

Znowu posłałyśmy sobie z Beatką jednoznaczne spojrzenia. Jednak zaściankowość ludzi na wsi nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Jak ktoś „inny”, to od razu samo zło, pomijając oczywiście fakt o nierozróżnianiu przez tutejszej ludności różnych religii i subkultur. No bo jak satanizm ma się do islamu i meczetów? No jak? Czy ta moja biedna Kasia chodzi w burce?!

– Ale co ma meczet do śmieci? – Beatka postanowiła jednak dopytać Lenkę, ignorując jej niewiedzę, bo przyznam, że dla mnie te śmieci też były dosyć zagadkowe. – Meczety palą, żeby muzułmanie nie mieli się gdzie spotykać, a śmieciami nie sprawisz, że Kasia się wyprowadzi od Zuzki.

– Nie? – słysząc jej słowa, zdziwiła się Lenka.

– Nie, bo zakłady komunalne zaraz tu przyślą śmieciarkę, która cały ten bałagan uprzątnie. A Kasia jak się spotykała z Tomkiem, tak będzie spotykać i żadna z niej muzułmanka...

– Ani satanistka czy inna innowierczyń! – uzupełniłam.

– Więc nie wiem, co ty sobie w tej swojej bolącej głowie wymyśliłaś – kontynuowała natomiast Beatka. – Zresztą, to nie jest wcale zemsta na Kasi, ale na Zuzce. A co Zuzanna winna, że u niej chce dziewczyna mieszkać albo sobie wymyśliła z synem Haliny się spotykać, no co? Przecież, na litość boską, ona nawet nie jest jej matką!

Lenka jakby pobladła.

– Kasia nie jest żadną muzułmańską satanistką?

Musiałam zasłonić usta ręką, żeby się nie roześmiać.

– Oczywiście, że nie! – rzuciła do niej Beata.

– No cóż... – mruknęła Lena. – No to podrzuciliśmy wam śmieci z zupełnie innego powodu. Nie muszę chyba się z tego tłumaczyć. Nie liczy się cel, ale środek. Czy jakoś tak! – spojrzała na Beatę dość niepewnie. – Ale wiecie co dziewczyny, ja nie mogę z wami dłużej rozmawiać, bo strasznie mnie dziś boli głowa, do tego mam ogromne stresy związane z zakończeniem roku przez córkę. Walka o szóstkę przez dziecko to może jednak całą rodzinę wykończyć. Lepiej już pójdę. Nie każdy się może w życiu zajmować takimi głupotami jak sterta śmieci. Niektórzy mają poważne problemy – jęknęła na zakończenie niezrażona naszymi komentarzami odnośnie jej inteligencji i powłócząc nogami, dotarła do pokoju nauczycielskiego.

– Nie ma sensu tłumaczyć. – Ja zaśmiałam się natomiast do Beatki. – Ona i tak nie zrozumie.

– Ale że ona pomyślała, że...

– Niecodzienny wygląd równa się dla niej obca religia. Ludzie na wsi boją się „innych” i zaraz widzą w nich całe zło tego świata – nie dałam jej jednak skończyć rozważań nad brakiem logicznego myślenia naszej bibliotekarki. – Już ósma. Trzeba dzwonić – ogłosiłam, zerkając na zegarek

i ruszyłam na górę do swojej klasy.

Jak dobrze, że już niedługo wakacje, bo z Leną to po prostu nie idzie wytrzymać. Przyda się odpoczynek od jej pomysłów, oj, przyda, bo słuchając tego, co ona wymyśla, to po pewnym czasie człowiek by chyba zgłupiał.

Wracając z pracy, odkryłam, że śmieci zniknęły, co oznaczało tylko jedno: mój mąż odniósł telefoniczny sukces i coś w końcu udało mu się załatwić. Może więc ta zemsta pani Haliny nie wyjdzie nam wcale na złe? Do pracy Ludwik też zdążył, ale o tym dowiedziałam się już od Kasi.

– No co, wziął łopatę i trochę z boku poprzerzucał na nową kupę i jakoś mu się udało wyjechać. A że śmieci leżały na chodniku i trochę na drodze to zaraz przybiegła do nas przejeżdżająca nie na żarty pani Sołtys i powiedziała, że ona też już w tej sprawie do gminy dzwoniła i sprzątną. Podobno się firmie zepsuła śmieciarka, dlatego te śmieci tutaj leżały.

– Aha, już ja w to wierzę, że ona przypadkowo zepsuła się właśnie w naszym wjeździe – mruknęłam, robiąc sobie kanapkę.

– Zuzka, ale czy ja mam w tej sytuacji rzucić Tomka? – zapytała Kasia. – Bo wiesz, ja naprawdę nie chcę, żebyście wy byli przeze mnie szykanowani przez wieś.

– Po pierwsze, to nie przez żadną wieś, ale sklepową w parze z tą wariatką, z którą muszę pracować, a po drugie, ja rozumiem, że miłość nie wybiera i jak chcesz się z Tomkiem spotykać, to ja nic nie mam przeciwko. Zresztą nie zamierzam tej babie pokazać, że ja się jej boję. Koniec tematu.

Kasia popatrzyła na mnie z wdzięcznością.

– Szkoda, że moja matka nie może być taka jak ty – westchnęła. – No, ale nie ma się nad tym co użalać. Ważniejszą kwestią jest teraz to, że w lodówce nie ma nic na obiad.

– Nic?

– No, a kto zrobił w sobotę zakupy? Cudowne rozmnożenia to chyba nie w tych czasach.

– W normalnych warunkach, to poszłabym do sklepu, ale w tej sytuacji, to nie ma to chyba najmniejszego sensu. Ty z Marcellem, jak wróci z przedszkola, od biedy możecie zjeść wczorajszą zupę, a ja poczekam, aż Ludwik wróci z pracy i pojedę z nim wtedy do miasta. Taki to urok posiadania własnego auta, które ciągle stoi u mechanika.

– Po co do miasta? – włączył się do naszej rozmowy wracający z pracy Marek.

– Po coś na obiad. W szafkach i lodówce pusto – obwieściła mu Kasia.

– To może chciałbyście, żebym ja z wami pojechał? Nie mam żadnych planów na dziś, więc chętnie na coś się przydam.

Popatrzyłam na Marka niepewnie.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł... – zawahałam się, myśląc o tym, jak ten facet na mnie działa.

– Jak to nie, Zuzka? – zwróciła się do mnie nieświadoma niczego Kasia. – Wy sobie jedźcie, a ja poczekam na Marcela i Ludwika i odgrzeję małemu tę zupę. Im wcześniej pojedziecie, tym szybciej wrócić i obiad też będzie wcześniej.

– Kasia ma rację – odezwał się Marek.

– No dobrze – poddałam się w końcu. – Daj mi chwilę, skoczę jeszcze do łazienki i wezmę torebkę – mruknęłam do niego i poszłam lekko przypudrować nos oraz policzki. A wszystko po to, żeby nie było widać moich rumieńców, kiedy będę siedziała z nim w aucie sam na sam!

Zakupy zrobiliśmy w błyskawicznym tempie. Chodzenie po sklepach z kimś, kto nie jęczy, ale dzielnie pcha za mną wózek, było prawdziwą przyjemnością. Nie dobiegało też do moich uszu żadne: „Kupisz mi to mamoo?”, przez co spacerowało mi się między półkami bardzo miło i nie zwracałam na siebie niczyjej uwagi.

– No dobrze. Skoro już zrobiliśmy to, co mieliśmy zrobić, to czy bardzo nieodpowiednie byłoby, gdybym zaprosił cię teraz na lampkę wina? – Marek uśmiechnął się, omiatając mnie wzrokiem, gdy znowu znaleźliśmy się w samochodzie. Swoją drogą, to nagle zrobiło się w nim jakoś wyjątkowo duszno, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Popatrzyłam na Marka trochę zmieszana jego odważną propozycją.

– Tak, chyba tak. To byłoby zdecydowanie nie na miejscu – powiedziałam powoli.

– Rozumiem. – Spuścił wzrok na kierownicę i włożył do stacyjki kluczyk, szykując się do jazdy.

Obrzuciłam go spojrzeniem.

– Ale gdybyś zaprosił mnie na kawę, byłoby to zupełnie co innego – powiedziałam, zanim zdążyliśmy ruszyć i w napięciu oczekiwałam na jego reakcję.

Marek uśmiechnął się i zapalił silnik, a ja odetchnęłam z ulgą. Nie chciałam jeszcze kończyć tego naszego wspólnego wypadu, chociaż jakiś cichy głos gdzieś z tyłu głowy uparcie powtarzał mi, że przecież powinnam. No ale z drugiej strony, to tylko kawa z przyjacielem! Bardzo pociągającym, owszem, ale jednak przyjacielem.

Marek wybrał niewielką, przytulną kawiarnię położoną na obrzeżach miasta. Już sam budynek zrobił na mnie pozytywne wrażenie, bo ukryty był wśród zieleni i kwiatów. Tylko kiedy wysiadaliśmy z samochodu, przez moją głowę przebiegła myśl, że to idealne miejsce, żeby mógł zabierać za miasto swoje nastoletnie panienki. Ale to dobrze. Muszę przecież pamiętać o tym, że to nie jest facet dla mnie. On lubi przelotnie romanse z krągłymi nastolatkami, a ja jestem ustatkowaną mężatką. I mam dziecko.

– No dobrze, więc na co masz ochotę? – zapytał mnie, kiedy już usiedliśmy przy stoliku w zacisznym rogu kawiarni.

– Tradycyjnie na małą czarną.

– Bez mleka? – zdziwił się.

– A co, to mało kobiece? Twarda ze mnie zawodniczka, mój drogi, mleko jest dla rozchichotanych panienek, które sączą kawę dla przyjemności. Zapracowanym kobietom takim jak ja potrzeba porządnych dawek kofeiny.

Marek uniósł brew.

– Och, będziesz teraz na każdym kroku przypominała mi, że jesteś mężatką? – zapytał rozbawiony.

– A powinnam? – nie pozostałam mu dłużna.

– Hm... Czy ja wiem. Jeśli to poprawi twoje samopoczucie to śmiało, nie krępuj się. Tylko wątpię, czy to nam w czymkolwiek pomoże.

Pochyliłam się do niego i znacząco ściszyłam głos. Jego pewność siebie była w pewnym sensie bardzo pociągająca.

– Sugerujesz, że nie zamierzasz patrzeć na mój status i uknułeś sobie w głowie cudowny plan zaciągnięcia mnie do łóżka?

– Nie posądzałam cię o taką bezpośredniość. – Roześmiał się.

– A więc trafiłam?

– Odpowiadając częściowo na twoje pytanie: owszem, zdarzyło mi się spotykać z mężatką.

– Jedną? – zapytałam z miną prokuratura.

– No dobra, kilkoma. Ale jakie to ma znaczenie? – zapytał zupełnie niewinnym głosem.

Tym razem to ja się roześmiałam.

– Dla mnie dość spore – powiedziałam, chociaż miałam świadomość, że moje spojrzenie i wyraz twarzy mówiły zupełnie co innego. – To pójdziesz nam zamówić tę kawę, czy nie?

– Pójdę. – Marek uśmiechnął się do mnie niczym niezrażony i wstał od stolika. – Poczekaj tu.

– Nigdzie się nie wybieram. – Ja też posłałam mu uśmiech.

Już za chwilę Marek wrócił do mnie z dwiema filiżankami przyjemnie pachnącej kawy i apetycznie wyglądającymi ciasteczkami czekoladowymi.

– Pomyślałem, że przyda się też coś słodkiego – powiedział, stawiając talerz z tymi ostatnimi na środku. – Częstuj się.

– A więc nie dość, że chcesz mnie uwieść, to jeszcze utuczyć łakociami? Nie widzisz, jak ja wyglądam? Powinnam ograniczać cukier, a nie się nim opychać – zrobiłam zabawną minę.

– W moim mniemaniu wyglądasz świetnie – jak gdyby nigdy nic powiedział Marek. – Chociaż zdecydowanie woląłem cię w tej seksownej bieliźnie, to tak też nie jest źle.

Przyjrzałam się swojemu dzisiejszemu strojowi. Wcale nie wysilałam się, wyjmując go rano z szafy.

– No nie powiesz mi chyba, że założyłaś tę bluzkę z dekoltem niby przypadkiem –kontynuował wuefista. – Nie uwierzę w ten banał. Bardziej ciekawi mnie fakt, czy zrobiłaś to celowo, bo chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa.

Popatrzyłam na niego wcale niezawstydzona.

– Oczywiście, że nie. Nie zrobiłam tego specjalnie – wyznałam zgodnie z prawdą, w odpowiedzi na co głośno się roześmiał.

– Tak właśnie myślałem. Szkoda. Nie zmienia to jednak faktu, że ja mam ochotę doprowadzić do szaleństwa ciebie.

– Marek! – fuknęłam, słysząc jego słowa. – Obiecałeś być grzeczny.

– Przecież jestem! – Zanosząc się śmiechem, uniósł ręce w obronnym gestem. – Nic złego nie robię.

– Aha, ładne mi nic. Siedzisz tu zadowolony i w najlepsze flirtujesz z mężatką. Karygodne.

Marek znowu nachylił się do mnie jeszcze bardziej.

– A czy to nie mężatka właśnie flirtuje ze mną?

– Ja po prostu chciałam być uprzejma – odpowiedziałam i zabrałam się za ciastko.

– Ja też lubię uprzejmości. Chociaż przyznaję, nie zawsze. – Znowu roześmiał się gardłowo.

– Czy moglibyśmy zmienić w końcu temat na jakiś bardziej neutralny? – zapytałam, czując, że dłużej nie poradzę sobie z tym jego śmiechem i jeszcze gotowa będę rzucić się na niego i to w miejscu publicznym.

– Dobrze, już dobrze – przystał na moją prośbę. – Więc może opowiesz mi o swoim małżeństwie?

Zdziwiłam się, słysząc jego pytanie. Prawdę powiedziawszy spodziewałam się, że zapyta o cokolwiek innego, ale nie o to.

– Dlaczego interesuje cię moje małżeństwo? – zapytałam go, upijając łyk kawy. Delikatny posmak cynamonu przyjemnie otarł się o moje podniebienie. A więc nie była to zwykła mała czarna, jaką chciałam.

– Bo skoro nie mogę cię mieć, to chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o głównej przeszkodzie, która mi to uniemożliwia – odpowiedział jak gdyby nigdy nic.

Musiałam przyznać sama przed sobą, że lekkość, z jaką ten facet rzucał wypowiedane przez siebie słowa, mocno mnie zaskakiwała.

– No dobrze – poddałam się jednak. – Skoro to tylko przyjacielska rozmowa – powiedziałam z naciskiem na „przyjacielska” – to nic nie stoi na przeszkodzie, żebym opowiedziała ci o moim dziecku i mężu. Co dokładnie chciałbyś wiedzieć?

– Jak się poznaliście? – Marek zapytał niemalże od razu i odchylił się do tyłu, wygodnie rozsiadając na krześle.

– Na studiach. Na drugim roku poznaliśmy się na domówce u jednej z naszych wspólnych znajomych. To była mała, kameralna impreza. Właściwie, to przyszły tam same pary i my. Czasem, kiedy wspominamy sobie tę sytuację, komentujemy ją słowami, że po prostu nie mieliśmy wyjścia i też musieliśmy się zejść.

– A więc to żadna romantyczna historia?

– Jakby tak na to spojrzeć, to chyba nie.

– Liczyłem na coś bardziej spektakularnego, przyznaję, ale to nic. Może to i lepiej. – Na jego usta wypłynął leniwy uśmiešek. – Jak długo się znaliście, zanim postanowiliście wziąć ślub? – pytał dalej.

– Nie pamiętam dokładnie, ale wzięliśmy go zaraz po mojej magisterce.

– Dlaczego?

– Nie wiem, czy warto o tym mówić. Mogłabym stracić w twoich oczach, gdybyś się dowiedział – skrzywiłam się, ale to zachęciło go tylko do wysłuchania tej w ogóle nieromantycznej opowieści, bo zaczął prosić mnie rozpaczliwie, żebym mu powiedziała.

– Jeny, jaki ty jesteś uciążliwy! – znowu uległam mu po kilku minutach. – Na imprezie, na której świętowaliśmy moją obronę, trochę przesadziłam z alkoholem, znaleźliśmy się z Ludwikiem w łazience i to właśnie od tamtej pory towarzyszy nam Marcel – powiedziałam, odzierając tę historię z bardziej pikantnych szczegółów, które, notabene, znałam tylko z opowieści moich przyjaciół, bo jeśli chodzi o tamtą noc, to ja sama miałam jedną wielką dziurę w pamięci.

– A więc jednak są chwile, kiedy zupełnie tracisz kontrolę? – zainteresował się Marek. – Wystarczy tylko cię upić i zaciągnąć do toalety? – zapytał z błyskiem w oczach.

– Nie radzę próbować. Naprawdę.

– Dlaczego?! Mogłaby być dobra zabawa!

– Od tamtej pory raczej nie piję.

– Poważnie? – zdziwił się.

– Tak. Właśnie dlatego, żeby unikać podobnych sytuacji. Może to uraz psychiczny?

– Może. Ale może trzeba go po prostu przełamać? Jestem w tym dobry.

– W przełamywaniu urazów? – zaśmiałam się głośno. – Dziękuję za chęci, serio, ale jakoś poradzę sobie z tym sama.

– Gdybyś jednak zmieniła zdanie, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Czy ty znowu składasz mi jakieś niemoralne propozycje? – Zlustrowałam go rozbawionym spojrzeniem.

– Może tak, może nie. Ale naprawdę staram się być grzeczny. Przy tobie to prostu trudniejsze niż mogłoby się wydawać.

Moje spojrzenie stało się nagle zupełnie poważne.

– Opuść sobie Marek, mówię teraz serio. Ta gra nie jest warta twojego zachodu. Jestem zajęta i mam wspaniałą rodzinę. Nie zaryzykuję utraty całego mojego poukładanego życia dla głupiego wybryku tylko dlatego, że jakiś facet mnie pociąga. Nie jestem z tych.

– Chyba raczej masz męża, który zapomniał już o tym, że ma u swojego boku fantastyczną kobietę i zaczął cię ignorować. – Marek zmienił wyraz twarzy na bardziej surowy, co oznaczało, że on też teraz mówi zupełnie serio.

– Miej świadomość tego, że te wszystkie teksty, które dzisiaj między nami padły, to tylko gadki szmatki i nic się za nimi nie kryje.

– Za tą, że mam ochotę rzucić się na ciebie choćby tutaj, też nie?

Popatrzyłam na niego dosyć cynicznie.

– Gdybyś naprawdę tego chciał, tobyś mi tego nie powiedział, ale zdobył mnie w jakiś inny sposób. Na pewno nie bez przerwy mi o tym mówiąc.

– Naprawdę sądzisz, że nie powiedziałbym ci czegoś takiego?

– Tak. Bo jesteś tylko człowiekiem ograniczonym przez wstyd. Jak każdy – powiedziałam niezwykle pewnie.

Marek oparł łokcie na stole i przysunął się do mnie najbliżej, jak tylko mógł.

– Wyjaśnijmy coś sobie. To, że nie zrobię tego, bo jesteś mężatką nie znaczy, że o tym nie myślę, bo myślę. Od tamtego wieczoru, kiedy zobaczyłem cię w skąpym szlafrocuku niemalże obsesyjnie, ale wcześniej też. Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że rzucasz mi swoimi słowami wyzwanie. A ja lubię grać w takie rzeczy.

Tym razem spojrzałam na niego surowo.

– Ale ja nie.

– Jeszcze zobaczymy – powiedział i odsunął się do tyłu, a potem dopił swoją kawę.

– Jedźmy już – zażądałam po kilku chwilach milczenia.

Po drodze powiedział jeszcze tylko, że nigdy nie zrobi niczego, z czym czułabym się nie fair przed swoim mężem i mogę być spokojna.

Nie wiem dlaczego, ale ciężko mi było w to uwierzyć. I tak, mimo tego, że dziś tylko rozmawialiśmy, dopadły mnie w końcu wyrzuty sumienia, więc wieczór spędziłam z Ludwikiem. Co prawda przed telewizorem i oglądając mecz z dwóch sąsiednich foteli, ale przecież robiliśmy coś wspólnie.

Znowu doszłam do wniosku, że po prostu muszę go odzyskać. Dla swojego dobra, owszem, ale też dla dobra jego samego. Obecność Marka sprawiła, że przestałam czuć się tak pewnie, jak do tej pory mi się zdawało. A jedyne, czego potrzebowałam, aby tę wewnętrzną pewność, że jestem szczęśliwa, odzyskać, była uwaga mojego męża. Chociaż obiecałam sobie już tego nie robić, po prostu musiałam znowu zawalczyć o to, żeby ją odzyskać.

Rozdział 25

Tym razem postanowiłam wzbudzić w Ludwiku zazdrość. Nie za bardzo miałam pomysł, co w tym celu zrobić, więc postanowiłam po pracy zaprosić do siebie Beatkę i przedyskutować ten pomysł razem z nią.

– Jak to dobrze, że już za kilka dni wakacje – gdy szłyśmy do mnie po pracy, uśmiechnęła się szeroko. – Lubię pracować w szkole, ale ten hałas na przerwach po pewnym czasie zaczyna mnie wykańczać. Przyda się kilka tygodni bez dzieciaków. Na korytarzach będzie pusto, ale za to jak cicho.

Zaśmiałam się, słysząc jej słowa.

– Tak, doskonale cię rozumiem. Gdyby nie było tej przerwy, to ja na przykład na pewno bym ogłuchła. Im cieplej, tym dzieciaki krzyczą głośniej. Aż zaczęłam w duchu dziękować za to, że mamy plac zabaw, bo gdyby musiały siedzieć ciągle zamknięte w tej małej klasie, to wszystkie dostałyby kota. Zresztą tak samo, jak ja.

– Macie już z Ludwikiem jakieś plany na wakacje?

Pokręciłam głową.

– Nie. Znaczący... Ludwik na pewno jakieś ma, ale wątpię, żeby uwzględniał w nich mnie i nasze dziecko. To, gdzie ja bym chciała pojechać, nie ma dla niego najmniejszego znaczenia.

– A więc to dlatego znowu wracasz do planu odzyskania uwagi swojego męża? – zapytała Beata, gdy otworzyłam przed nią furtkę prowadzącą na moje podwórko i puściłam ją przodem.

Niepewnie pokiwałam głową.

– Tak. Właściwie to można powiedzieć, że dlatego też.

Beata spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Czyli to nie jest jedyny powód? Oj, Zuzka przyznam, że intrygujesz mnie coraz bardziej.

Uśmiechnęłam się do niej, nie bardzo wiedząc, czy powinnam opowiadać jej o fizycznym pociągu do Marka i naszej ostatniej rozmowie w kawiarni. Niby przyjaźniłyśmy się od lat i wiedziałam, że zawsze mogę na nią liczyć, ale była to sprawa stanowczo za dużej wagi, żeby o niej opowiadać ot tak. Poza tym, może jeszcze ktoś by nas podsłuchał i doniósł o tym Ludwikowi? W sumie w naszym domu to mało prawdopodobne, ale gdyby jednak? No i właściwie, to czy było w ogóle o czym mówić? Przecież nic między nami nie zaszło.

Chociaż Marek ewidentnie bardzo chciał, żeby cokolwiek mogło zająć. A ja?

O, mamusiu! Dlaczego to wszystko musiało być takie zagmatwane i trudne? No i czemu ja znowu o tym rozmyślam? Przecież ustaliłam już wczoraj, że odzyskuję zainteresowanie Ludwika, a w tym celu wymyślam jakiś plan! Skąd to nagłe wahanie?

Na pewno przez hormony! Jak nie ma na co zwalić, to one zawsze są w pogotowiu. No ale wracając do mojej rozmowy z Beatą...

– Okej, więc, jeśli dobrze rozumiem, to mam pomóc ci wymyślić, jak wzbudzić w Ludwiku zazdrość, tak? – przyjaciółka rozsiadła się za moim kuchennym stołem.

– Tak – pokiwałam głową, stawiając przed nią herbatę i czekoladki. – Myślałam o tym całą noc, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Chyba się wypaliłam, jeśli chodzi o pomysły związane z odzyskiwaniem Ludwika.

Beata zachichotała i włożyła jedną z czekoladek do ust.

– Ciężko mi w to uwierzyć, przecież ty jesteś maszyną od genialnych pomysłów! No ale tak na poważnie, to jak to co powinnaś wymyślić? Oczywiście, że faceta. I to najlepiej żywego.

– Mam wymyślić żywego faceta? A tak w ogóle się da?

– Chodziło mi o to, że musimy znaleźć kogoś, kto na niby się w tobie zakocha. – Beata wywróciła oczami, słysząc moje głupiutkie pytania. – Wiesz, żeby wzbudzić zazdrość w Ludwiku! – wyjaśniła.

Popatrzyłam na nią uważnie. Na usta cisnęło mi się, że długo nie musiałybyśmy szukać, bo z Markiem mieszkamy przecież pod jednym dachem, a on na pewno byłby do tego chętny. Tylko mógłby mieć problem z tym, żeby udawać. Właściwie, to ja chyba też...

– Ale czy to by nie było za bardzo... No nie wiem. Drastyczne? Myślałam o takim delikatnym wzbudzaniu zazdrości. Nie chcę od razu wytaczać ciężkich dział.

– No to określaj precyzyjnie, czego ty właściwie ode mnie oczekujesz! Jak masz zamiar bawić w jakieś głupiutkie podchody, to ja nie widzę w tym sensu, wybac.

– Oj, ja też nie, Beata. Chodzi mi o to, że gdyby Ludwik zobaczył mnie z jakimś mężczyzną w dwuznacznej sytuacji, to jeszcze gotów posądzić mnie o romans. Ja nie chcę go stracić, ale odzyskać. Rozumiesz różnicę w znaczeniu tych słów?

– No dobrze, dobrze. Ten facet to może rzeczywiście przesada, nie pomyślałam – przyznała się do błędu Beata. – Rzeczywiście. Dzisiaj mężowie są głupi i pierwsze co to oskarżą o romans. Mój błąd.

– Właśnie. – Pokiwałam głową. – Musimy tak wiesz, jakoś delikatniej, ale równie sugestywnie.

Beata myślała przez chwilę tak samo, jak ja.

– Mam! – wykrzyknęła w końcu. – Zuzka, jakie to proste. No przecież, że kwiaty!

– Co kwiaty? – Popatrzyłam na nią, nie za wiele rozumiejąc z tego jej okrzyku radości.

– Musimy wysłać ci kwiaty głuptasie! I to najlepiej z jakimiś tajemniczymi liścikami. Czerwone róże! Piękne i wielkie bukiety czerwonych róż! Przecież to będzie strzał w dziesiątkę. Już bardziej sugestywnego znaku dla Ludwika nie da się wymyślić. No, chyba, że wyślemy ci też jakąś skąpą bieliznę.

Zaśmiałam się, słysząc jej ostatnie słowa.

– Nie, bielizna to nie. Ludwik i tak stwierdzi, że na pewno jej nie założę, bo będzie mi za zimno. Ale z kwiatami bingo, Beata! – Zaczęłam ekscytować się tak samo, jak ona. – Tylko musimy je zamawiać pocztą kwiatową, wiesz... Żeby nie wyszło, że kupuję je sobie sama.

– Z tym to będzie najmniejszy problem. Tylko wiesz, że takie kwiaty to nie jest za tani interes?

– Trudno, najwyżej poskapię sobie na nowe garnki i patelnię. Będziemy nadal jeść przypalone kotlety, ale chociaż będę się czuła kochana. Mam tylko nadzieję, że to zadziała.

– Nie może nie zadziałać, Zuzka, po prostu nie może! Dawaj laptop, to zaraz pierwsze zamówimy. Tutaj nie ma na co czekać.

– Wiedziałam, że ty coś wymyślisz! – Uśmiechnęłam się szeroko do zadowolonej z siebie Beatki i tak, jak zasugerowała, pobiegłam na górę po laptop, a już chwilę potem wybierałyśmy piękny bukiet na stronie internetowej poczty kwiatowej.

– Wszystkie są ładne – stwierdziłam, nie mogąc się zdecydować. – Nie potrafię wybrać.

– No to może ten? – moja przyjaciółka wskazała na wysoki i smukły bukiet z dwunastu róż. – Elegancki i zmysłowy. Bez zbędnych upiększeń. Tak wyobrażam sobie właśnie bukiety, które wysyła się swoim kochankom.

Z uwagą przyjrzałam się wybranej przez nią wiązance.

– Myślisz?

– No a nie? Przecież z nimi się głównie sypia, a czerwony to kolor namiętności. I jest w nim taka jakaś dzikość... – Beata przekreśliła głowę, jeszcze wnikliwiej przyglądając się upatrzonym kwiatom.

– No dobra, niech będzie – po chwili przyznałam jej rację. – I bierzemy liścik, tak?

– Obowiązkowo! Tylko co w nim napisać?

– Zaznaczę pismo odręczne, nie drukowane, a o resztę będziemy się martwić za chwilę – powiedziałam i wykonałam kilka ruchów na panelu dotykowym w laptopie.

– To może krótko? „Kochanej Zuzannie”. Co ty na to? – zaproponowała natomiast Beata.

Przez chwilę analizowałam w głowie jej słowa.

– A czy to nie brzmi, jakby to były kwiaty od ciotki? Kochanej Zuzi, rośnij duża i okrągłutka – zamarudziłam. – To nie jest zbyt zmysłowe.

– No dobra, masz rację – zgodziła się ze mną Beata. – To co proponujesz?

– Może coś w stylu: „Na zawsze twój”?

– Dobrze, dobrze! – Zaklasnęła w dłonie podekscytowana. – Podoba mi się. Ma coś w sobie. Takie z pazurem. I do tego chwytliwe.

– Ale może dałybyśmy na początku jeszcze imię? Wiesz, żeby nie było wątpliwości co do tego, że to do mnie.

– „Zuzannie, na zawsze Twój”.

– Idealnie! – Ucieszyłam się, słysząc, jak to brzmi. Ludwik na pewno nie przejdzie obok takiego wyznania obojętnie.

– Bez podpisu? – zapytała jeszcze Beata.

– No chyba bez. Całą tożsamość mam temu niby-kochankowi od razu wymyślać?

– Nie, no nie. Chociaż wydaje mi się, że to by mogło być dosyć zabawne – roześmiała się. – To może podpiszemy „X”?

Spojrzałam na Beatę jak na głupią.

– I od razu zrobimy z niego niepiśmiennego analfabetę? To by się Ludwik dopiero przejął, już to widzę! Raczej parsknąłby śmiechem, zamiast być zazdrosnym. Zostawimy bez podpisu. Jak do kilku bukietów dołączymy taki sam liścik, to będzie naprawdę dobrze wyglądać. Zresztą... W ten sposób owiejemy mojego wielbiciela odrobiną tajemnicy, co wyjdzie mu tylko na dobre. I jemu i mnie – zadecydowałam i zamówiłam bukiet róż. Miał przyjść jeszcze dzisiaj po południu i tak też się stało. Koło szesnastej młody goniec zjawił się z nim w moich drzwiach.

– Pani... Eee... Zuzanna? – jękając się, popatrzył w kartę do potwierdzenia odbioru.

– Tak, to ja. – Pokiwałam głową, starając się udawać zdziwioną.

– To dla pani. – Chłopak wręczył mi bukiet. – Tylko jeszcze podpisik. – Podsunął długopis i kartę.

– Niezły bukiet, nie? – zagadnął, kiedy oddałam się tej prozaicznej czynności, jaką było składanie parafki. – Też bym dziewczynie wysłał. Tylko mi szkoda kasy.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego spode łba.

– No tak, miłość wymaga poświęceń – zauważyłam.

– Ja tam jestem z tych, co jednak wolą się najeść – bąknął chłopak dokładnie w chwili, gdy za moimi plecami pojawił się Ludwik.

– A co tutaj się dzieje? – zapytał.

– Nie uwierzysz kochanie, ale dostałam kwiaty! – Znowu wysiliłam się na zaskoczoną minę i wtuliłam nos w największych rozmiarów bukiet róż, jaki kiedykolwiek dostałam.

– Od tego pana? – obrzucając wzrokiem chłopaczka, zapytał Ludwik.

– No gdzie! – Poczulałam się urażona, że posądza mnie o dostawanie kwiatów od takiego podlotka. – Przecież pan tutaj tylko dostarcza!

– I to na pewno nie jest żadna pomyłka? – Ludwik jeszcze raz popatrzył na kwiaty.

– Pomyłka?! – Ożywił się, słysząc te słowa goniec i nerwowo zaczął przeglądać trzymane w ręku

dokumenty.

– Jaka pomyłka, Ludwik! A to ja już nie mogę dostać od kogoś bukietu?! – Popatrzyłam na ślubnego, nie kryjąc oburzenia.

– Nie obraź się, Zuzka – tym razem mój ślubny omiółł wzrokiem nie kogo innego, ale mnie – ale po co ktokolwiek miałby ci wysyłać kwiaty? Od dobrych kilku lat jesteś mężatką. Żaden normalny facet by ci ich nie wysłał, bo dla znacznej większości mężczyzn poszukujących miłości najzwyczajniej w świecie już wypadłaś z obiegu. Dla mnie to ewidentnie pomyłka – Ludwik jak gdyby nigdy nic zupełnie nieświadomie wymierzył mi właśnie policzek. A może nawet i dziesięć! A do tego kopniakiem zepchnął ze schodów i wywiózł do lasu!

Bo co z tego, że stwierdził tylko fakty?! Poczulałam się urażona i aż zrobiło mi się siebie żal. Czy to, że byłam mężatką, naprawdę oznaczało, że nie mogę się już nikomu podobać? No bo tak właśnie myślał mój mąż!

– Nie no, adres się zgadza – zanim jednak zdążyłam ryknąć na mojego ślubnego, poinformował nas dostawca. – A do tego jest przecież liścik. Może nadawca raczył się podpisać i to rozwiąże państwa problem?

– Rzeczywiście! – Popukałam się w głowę i zamiast urządzać awanturę, zaczęłam szukać liściku. – O, jest!

– No i co tam jest napisane? – nachylił się do mnie mój ślubny.

– „Zuzannie, na zawsze Twój” – przeczytałam.

– Phi, mówiłem, że to nic ważnego – skomentował treść liściku mój ślubny i odwrócił się na pięcie, żeby wrócić przed telewizor.

– A to niby dlaczego?! – zanim zdążył się oddalić, zapytałam go z jawną złością.

– Bo gdyby to było od kogoś ważnego, to na pewno by się podpisał. Co to w ogóle znaczy: „Na zawsze Twój”. Takie wyznania to piszą sobie na liścikach moi gimnazjaliści – nie patrząc na mnie, rzucił Ludwik i wrócił do oglądania meczu.

– No to co, ja już chyba pójdę – zająknął się natomiast młody chłopaczek. – Do widzenia – uklonił się grzecznie i ruszył podjazdem do samochodu.

Ja natomiast stałam w drzwiach jeszcze przez chwilę, próbując ułożyć sobie w głowie to, co przed chwilą tu zaszło. Mój mąż nie dość, że zignorował ten bukiet kwiatów i tajemniczego adoratora, to jeszcze porządnie mnie obraził. Chyba nie tak miało to, do cholery, wyglądać! To jego: „to chyba musi być pomyłka” w niczym nie przypominało sceny zazdrości, którą sobie wymarzyłam. Gorzej! One były jej pełnym zaprzeczeniem...

– Ja ci jeszcze pokażę! – szepnęłam sama do siebie, myśląc o Ludwiku i jeszcze mocniej przytulając kwiaty do siebie, ostentacyjnie przeszłam do kuchni i wstawiłam je do wazonu.

– O, jakie ładne kwiaty. – Po powrocie do domu zainteresował się stojącymi w salonie różami Marek. – Od kogo? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

Poczulałam, że nagle robi mi się gorąco.

– To chyba jakaś pomyłka – zamiast mnie odpowiedział mu nadal leżący przed telewizorem Ludwik.

Wzrok Marka stał się jeszcze bardziej intensywny.

– Pomyłka? – niemalże wyszeptał, składając przy tym usta w wyjątkowo podniecający sposób.

– Taki tajemniczy wielbiciel, że nawet się nie podpisał – znowu odezwał się Ludwik, a ja głośno przełknęłam ślinę, niemalże rozpluwając się pod spojrzeniem wuefisty. Po moim ciele przebiegł przyjemny dreszczyk. I to w dodatku w obecności męża. Aj, niedobrze!

– Więc nie masz o co być zazdrosny, tak? – Marek zapytał niby to Ludwika, ale doskonale

wiedziałam, że były to słowa skierowane do mnie.

– Wszyscy w okolicy wiedzą, że Zuzka jest moją żoną. Więc nie – bąknął nader pewnym siebie tonem, ale moja głowa i ciało były jednak tak zajęte spojrzeniem Marka, że kompletnie zignorowały tę wtórnie wygłoszoną obelgę.

Marek natomiast uśmiechnął się do mnie naprawdę sugestywnie i musiałam mocno walczyć ze sobą, żeby nie przygryźć wargi.

– Oj, żebyś się czasem nie zdziwił. – Roześmiał się gardłowo i zrobił krok w moim kierunku, co wywołało prawdziwą lawinę zdarzeń. Czując, że zaraz stanie się coś straszego, natychmiast gwałtownie cofnęłam się, wpadając tym samym na stojący za moimi plecami stół. Szklany wazon upadł na podłogę i potoczył się pod okno, a ja z głośnym hukiem wylądowałam na stole, chociaż właściwie, to częściowo też i na podłodze. W dodatku w jakiejś naprawdę dziwnej pozycji.

– Nic ci się nie stało?! – Niemalże od razu zaczął ratować mnie Marek. – Wszystko dobrze?! Zuzka?! Jesteś cała?!

Pod wpływem jego dotyku moje policzki zrobiły się krwistoczerwone.

– Tak, tak. – Zaczęłam miotać się jak szalona, próbując odzyskać przy tym równowagę. – Nic mi nie jest, dziękuję – gdy już udało mi się wstać, wyswobodziłam się z jego dłoni najszybciej, jak tylko się dało i skutecznie unikając jego wzroku, odwróciłam się i odgarnęłam z czoła zwichrzone włosy. Cała ta sytuacja po prostu zwała mnie z nóg. I to dosłownie.

– Widzisz? – mruknął natomiast do Marka Ludwik, który nie wysilił się na żadną reakcję w związku z moim upadkiem i pogłodził telewizor, podczas gdy ja rzuciłam się do okna i podniosłam wazon.

Na szczęście wuefista wyczuł, co jest grane i na resztę dnia zniknął gdzieś na górze. Muszę jednak przyznać, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak gorąco jak wtedy, kiedy leciałam na ten stół! I to wcale nie z obawy, że zrobię sobie krzywdę, ale z zupełnie innego powodu...

Rozdział 26

Mimo wczorajszych przejść związanych z kwiatami postanowiłam być uparta i wysyłać je sobie dalej. Może nieco naiwnie wierzyłam w to, że jeśli będą przychodziły do mnie codziennie, to Ludwik zainteresuje się w końcu moim tajemniczym adoratorem i zacznie być zazdrosny.

We wtorek znowu wysyłałam sobie róże, tym razem piętnaście, a w środę, dla odmiany bukiet bordowych i białych goździków. Róże stały już w salonie i sypialni, więc wybrałam coś, co bardziej pasowałoby mi do kuchni.

– Tutaj też stawiasz to zielsko? – Widząc bukiet w kuchni, skrzywił się Ludwik.

– O co ci chodzi? – Spojrzałam na niego ze złością.

– Może mogłabyś już powiedzieć temu swojemu wielbicielowi, że już nam tych kwiatów wystarczy? Dom nam tylko zaśmieca. Niech zacznie wysyłać czekoladki. Chociaż się wszyscy najemy.

– Ludwik, na litość boską! Kwiaty są piękne, a ja ci się nie podobają, to nie patrz. Ty mi tu znosisz jakieś zabłocone metale i inne wazy, a ja kwiatów dostać nie mogę! Obcy facet postanowił być romantyczny, a mój mąż co?

Mój ślubny nie mówił nic przez krótką chwilę, aż w końcu wzruszył ramionami i stwierdził:

– Ja też ci swego czasu kwiaty dawałem, nie możesz mówić, że nie. Teraz nie widzę w tym sensu.

Z mojej twarzy odpłynęła krew.

– Jak to nie widzisz w tym sensu?!

– Normalnie. Zuzka, jesteś dorosła, kochasz mnie, ja kocham ciebie. Na co nam w tym związku jeszcze kwiaty?

– Może jako dowód miłości?

– Ja ci nie potrzebuję dawać żadnych dowodów.

– Tak?! A może ja potrzebuję je od ciebie otrzymywać?

– A więc nie jesteś pewna moich uczuć, tak? I mówisz mi to po czterech latach małżeństwa? –

Ludwik wziął mnie pod włos, nie unosząc przy tym jednak głosu ani na chwilę.

– Oczywiście, że jestem ich pewna! – prychnęłam oburzona. – Co nie zmienia faktu, że byłoby miło, gdybyś zdobył się czasem na jakiś romantyczny gest w kierunku mojej osoby.

– Zuzka... Błagam cię – jęknął mój ślubny. – Ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Kocham cię. To chyba wystarczy? Mieszkamy razem, mamy dziecko. Przestań szukać dziury w całym i drzeć się na mnie z byle powodu. Jak masz okres, to idź się wykrzyzczyć do Anki. A teraz odsuń się od tej lodówki, bo jestem głodny, a zaraz wychodzę. Jest jakaś kiełbasa? – powiedział, co wiedział, wsadzając głowę do lodówki, a ja pomyślałam, że zaraz chyba ducha wyzionę, a ziemia się pode mną rozstąpi, dlatego z wściekłością wymaszerowałam z kuchni.

Pech oczywiście chciał, że pędząc przed siebie, na schodach zderzyłam się z Markiem.

– A ty co jesteś taka zła jak osa? – zapytał, gdy już odbiłam się od jego muskularnego torsu.

– Lepiej nie pytaj, bo ciebie też użądle – odciłam się i spróbowałam wyminąć go, żeby dotrzeć na górę, co jednak skutecznie mi uniemożliwił, zagrządzając drogę.

– Taka zła jeszcze bardziej mnie pociągasz, więc lepiej uważaj – wyszeptał, nachylając się do mojego ucha. Jego oddech przyjemnie musnął moją skórę. Wściekłość natychmiast zaczęła ustępować miejsca zupełnie innemu uczuciu. Jeśli fakt, w jaki ten facet na mnie działał, można było w ogóle nazwać uczuciem. – A tak poważnie, to co się stało? – zapytał, odsuwając się ode mnie, żebym tym

razem z wrażenia może nie spadła ze schodów.

– Ludwik ma gdzieś fakt, że dostają kwiaty od tajemniczego wielbiciela. Interesuje go tylko to, że zaśmiecają nam dom – odpowiedziałam, na wszelki wypadek łapiąc się balustrady.

– A co, dzisiaj też przyszedł? – zainteresował się Marek.

– Tak. Dla odmiany goździki.

– No to ten gość musi być na ciebie mocno napalony, skoro nie znudziło mu się po trzech dniach. Wiesz może kto to?

– Nie. – Potrząsnęłam głową, kłamiąc jak z nut.

– A szkoda, bo chętnie obiłbym mu mordę.

Popatrzyłam na Marka co najmniej zaskoczona.

– Co?

– No przecież słyszysz. Nie dość, że w zdobyciu ciebie przeszkadza mi twój mąż, to jeszcze jakiś gościu wysłał ci kwiaty. Co jak co, ale ja byłam tutaj pierwszy – kończąc ostatnie zdanie, Marek spojrzał na mnie znacząco.

– Znowu sobie żartujesz... – udało mi się tylko wydusić, widząc jego minę.

Marek ponownie przysnuł się do mojego ucha niebezpiecznie blisko.

– Jak chcesz się przekonać, to chodź ze mną na górę... – szepnął zmysłowo, kładąc mi przy tym dłoń na biodrze.

Chwilę trwało, zanim udało mi się go od siebie odepchnąć.

– Przestań, bo jeszcze Ludwik usłyszy – prychnęłam, chociaż oczy mi płonęły.

– Mi to wcale nie przeszkadza – zaśmiał się rozbawiony moją reakcją. – Ale pogadamy o tym później, bo teraz się spieszę – spojrzał w kierunku wyjściowych drzwi.

– Rozumiem, że to znowu ta ważna sprawa i mam nie pytać dokąd idziesz? – zapytałam i wygładziłam dół swojej bluzki.

– Powiem ci w swoim czasie. – Marek puścił do mnie oczko i zbiegł na dół. – Na razie – rzucił jeszcze, kierując się do drzwi, za którymi, gdy tylko je otworzył, ukazała się moja zmartwiona siostra.

– Zuzka, musisz koniecznie iść ze mną do mamy! – ogłosiła bezceremonialnie, nawet nie wchodząc do środka.

Widząc jej przejętą minę, natychmiast zbiegłam na dół.

– Znowu skoczył jej cukier?! Mam brać kluczyki?! – zaniepokoiłam się nie na żarty.

– Nie, nie! Zuzka, jest znacznie gorzej!

– O matko kochana, Anka! Przychodzisz do mnie, zamiast ją ratować?

– Zuzka, tu nie chodzi o stan jej zdrowia, ale o mój dobytek! – rozpaczliwie poinformowała mnie siostra. – Mama zaprosiła do nas za moimi plecami jakichś obcych ludzi, którzy kupują właśnie jej meble kuchenne. Wyprzedaje się!

– Swoje meble kuchenne?! A na czym ona będzie gotować?! I jak to „się wyprzedaje”?! – Wysłałam na zewnątrz. W mig pojęłam, że to dramatyczna sytuacja i zamknęłam za sobą drzwi.

Co ta moja matka? Chyba kompletnie jej rozum odjęło!

– Mnie się pytasz? – Kiedy biegiem pędziłyśmy przez podwórko, wychrypiała struchlała Anka. – Oświadczyła mi tylko, że skoro zaraz umiera, to chce mi zostawić jakieś pieniądze na życie. Tak, na wszelki wypadek. One przydadzą mi się bardziej niż lodówka czy stół. Czy ty to w ogóle rozumiesz?! Handluje z tymi ludźmi jak przekupka na targu i w dodatku wcale nie chce mnie słuchać. Zaraz z tego naszego domu to kamień na kamieniu nie zostanie, jak tak dalej pójdzie!

– Nie no, po prostu nie wierzę... – wyrwało mi się tylko w odpowiedzi, ale jednak chyba bardziej

nie dowierzałam temu, co już za kilka chwil zastałam w matczynej kuchni.

– No, więc sam pan widzi, że one są prawie wcale niezniszczone... – Mamusia pokazywała właśnie kuchenne szafki jakiemś ubranemu w kraciastą koszulkę facetowi. Ten oglądał je niczym jakiś znawca sztuk pięknych, chociaż szafkom daleko było do jakiegokolwiek sztuki.

– A za te stołeczki ile? – Gdy stałam w drzwiach kompletnie oniemiała całą tą sytuacją, dobiegł mnie głos półnagiej blondynki, której widok przelał chyba moją czarę goryczy. Spojrzałam tylko na wystraszoną Ankę i mężnie wkroczyłam do gry.

– Te stołki nie są na sprzedaż! – oznajmiłam głośno i wyraźnie, wchodząc do kuchni. – Tak samo zresztą, jak reszta mebli. W kuchni i w całym tym domu.

– Ale co ty mówisz, Zuzka? – Popatrzyła na mnie mamusia. – Ja tutaj aukcję urządzam, żeby móc bez zobowiązań pożegnać się z życiem – poinformowała mnie słabiutko, w odpowiedzi na co posłałam jej groźne spojrzenie.

– Nic tu mama nie urządza, bo z żadnym życiem się mama jeszcze nie żegna. Ani z życiem, ani czymkolwiek innym. A już zwłaszcza nie ze swoimi meblami – byłam nieugięta.

– Ale jak to nie, Zuzka... – Mamusia podeszła do mnie. – Tak mnie w plecach rwie, ręce mi się trzęsą jak głupie, a na oczy to zupełnie niedługo przestanę widzieć... – obwieściła, wzdychając przy tym ciężko, co spotkało się z pełnymi współczucia spojrzeniami potencjalnych kupców jej dobytku.

Chora to może mama jest, ale chyba na głowę, cisnęło mi się na usta, ale wiedziałam, że w zaistniałej sytuacji nie ma co mamusi obrażać, bo jeszcze gotowa się tutaj popłakać. A z uspokajaniem jej wcale nie było tak łatwo, jak mogłoby się wydawać. Potrafiła wyc wniebogłosy i to godzinami, z chwili na chwilę wymyślając sobie do tego płaczu coraz więcej powodów.

– Wie mamusia, co? To skoro mama tak źle się czuje, to może pójdzie do Ani położyć się i trochę odpocznie, a ja się tutaj wszystkim zajmę, co? – zaproponowałam wspaniałomyślnie.

– Ale... – spróbowała zaoponować, ale Ania w porę złapała ją pod ramię.

– Tak, tak. To bardzo dobry pomysł – przytaknęła mi żarliwie. – Chodź mamó. Zuzka jest młoda, ma dużo energii no i przede wszystkim jest świadoma cen na rynku, bo przecież sama niedawno urządzała swoją kuchnię. A mama? Przecież mamusia ostatnio kupowała meble jeszcze przed moim ślubem. Zuzanna zdecydowanie ma rację. Zresztą jakoś tak mama blado wygląda. Powinna się położyć – powiedziała i wyprowadziła mamusię do siebie, gdzie będzie miała ciszę i spokój.

Ja tymczasem odwróciłam się do zainteresowanych moim wkroczeniem potencjalnych kupców maminych mebli.

– No to co, państwu już chyba dziękuję – odezwałam się pewnie. – Żadnej sprzedaży tu dzisiaj nie będzie, mogą już państwo iść – ogłosiłam z uśmiechem.

– Ale jak to? Przecież my tutaj już prawie dobiliśmy z panią Grażyną targu... – spróbowała podważyć mój autorytet półnaga blondynka, co spotkało się z moim groźnym spojrzeniem.

– Czy ja mówię niewyraźnie? – zapytałam, patrząc jej prosto w oczy. – Czego pani nie zrozumiała? Do widzenia.

Blondynka natychmiast stała się jakby mniejsza.

– Ale... – chciał stanąć w jej obronie ubrany w kraciastą koszulkę mężczyzna.

– Czy opuszczą państwo ten lokal samodzielnie, czy może mam wezwać policję i oskarżyć państwa o bezprawne wtargnięcie na moją posesję.

– Pani?! Policję?! – wystraszyła się blondynka.

– Boże kochany, no, czy pani ma problemy ze słuchem!? Mówię przecież, że mają państwo stąd wyjść. OBOJE! – nie wytrzymałam tego jej tępego, przerażonego spojrzenia i w końcu puściły mi

nerwy.

Niedoszli kupcy chyba wystraszyli się tego mojego wrzasku, bo natychmiast złapali swoje rzeczy i opuścili dom, a nawet podwórze Anki, o mało nie przewracając się przy tym o własne nogi.

– Chyba nieźle ci poszło. – Gdy dobiegł mnie odgłos odjeżdżającego sprzed domu auta, zjawiała się u mojego boku Ania. – Uciekali, gdzie pieprz rośnie.

– I bardzo dobrze! Matka zawsze nasprasa do domu hołoty, a potem takie są skutki. Z czasem to ją będzie trzeba chyba ubezwłasnowolnić, bo jeszcze was wszystkich z tym dobytkiem wyniosą, jak ona taka rozrzutna! – nie mogłam przestać ekscytować się zaistniałą sytuacją. Ciśnienie to miałam tak wysokie, że jeszcze chwilę i uszami zaczęłaby buchać mi para.

– Oj, Zuzka. – Uspokajająco przytuliła mnie Anka. – Na szczęście czuwa nad nami ktoś taki, jak ty. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Podejście mamusi sposobem nie przyszło mi nawet do głowy. Zresztą... Przez to mieszkanie pod jednym dachem straciłam u niej już chyba cały autorytet. Musisz trzymać rękę na pulsie.

– Będę siostrzyczko, będę. O to się nie martw. A teraz idź lepiej do tej naszej umierającej sieroty i daj jej dzisiaj pochorować ze świadomością, że ma dobre i troskliwe córki. A o anulowaniu sprzedaży lepiej na razie jej nie mów. Do jutra pewnie sama o tym zapomni. – Uśmiechnęłam się do Ani i oddychając z ulgą, wyszłam na świeże powietrze. A towarzyszyła mi myśl, że moja mamusia zamiast umrzeć pierwsza, to swoimi pomysłami wpędzi do grobu najpierw mnie i Ankę. Wspomnicie moje słowa. Oj, wspomnicie!

I chociaż reszta dnia upłynęła mi już dużo spokojniej, to przez zamieszanie z mamusią, zapomniałam o jednym: nie wysłałam sobie kwiatów na czwartek. A niech to szlag! Znowu będzie jeden zero dla Ludwika. No dobrze, może poza tym, że zaoszczędzę. Niedługo wakacje, a ja szastam pieniędzmi na prawo i lewo. Może to los daje mi w ten sposób znać, żeby sobie już tę dziecinadę w końcu darować, skoro Ludwik jak nie zwracał na mnie uwagi, tak zawzięcie nie robi tego nadal?

Życie żony pozbawionej zainteresowania ze strony męża jest trudne. Naprawdę trudne. Można się starać i starać, a tu nadal nic. Jak grochem o ścianę. Pff. A może nawet i gorzej, bo ściana, jak o nią czymś rzucisz, to chociaż ci odda, a Ludwik niczego nie oddał, tylko znowu się zmył. Tak, tak. Wieczór z kolegami. Jestem dorosła. Powinnam to przecież zrozumieć.

I kiedy na drugi dzień byłam naprawdę bliska, żeby mu to kolejne zniknięcie z domu wybaczyć, zdarzyło się coś naprawdę dziwnego, co o mały włos nie zważyło mnie z nóg. Nie, nie, spokojnie. Na żaden stół tym razem nie wpadłam, bez obaw. O to możecie się nie martwić, jestem cała.

Chodzi mi raczej o to, że kiedy po ostatnim prawdziwym dniu w pracy (bo jutrzejszego zakończenia roku to już nie ma co liczyć, ponieważ to żaden stres) wróciłam do domu i zjadłam obiad z zakochaną Kasią, zapłakany Marcellem, który nie lubi brukselki, nieobecny myślami Ludwikiem i zapatrzonym we mnie Markiem, po całym domu rozniósł się dźwięk dzwonka do drzwi.

– Otworzę – zaproponowałam ofiarnie i ruszyłam do drzwi, za którymi, o dziwo, stał goniec z poczty kwiatowej i ścisnął w dłoni największy bukiet białych róż, jaki w życiu widziałam.

– Dzień dobry – tak samo, jak przez ostatnie dni przywitał się chłopak. – Podpisik tutaj i tutaj – swoim zwyczajem podstawił mi pod nos stosowne dokumenty.

– Ale to na pewno do mnie? – zapytałam zdziwiona, składając parafkę.

– Widać pani wielbicielowi jeszcze się nie znudziło. Tylko dziwna sprawa, dzisiaj nie dał karnetu – poinformował mnie chłopak.

Popatrzyłam na kwiaty. Były naprawdę ładne, chociaż sama bym sobie takich raczej nie wysłała.

– Proszę. – Wepchnął mi je w ramiona chłopak i schował do torby podkładkę z dokumentami. – To co, chyba do jutra. – Uśmiechnął się do mnie ciepło i wrócił do samochodu.

Ja natomiast popatrzyłam na kwiaty i zanurzyłam w nich nos. Pachniały oszałamiająco, a do tego było ich naprawdę dużo. Jeśli dobrze policzyłam, to równe trzydzieści.

– O. Znowu kwiaty? – zapytała, pojawiająca się za moimi plecami Kasia.

– Tak. – Pokiwałam głową i odwróciłam się do niej.

– Dzisiaj to ten twój tajemniczy Alvaro przeszedł samego siebie. Przecież one są śliczne! – Kasia podeszła i przejechała dłońmi po białych główkach róż. – Mam nadzieję, że te, które w tym roku posadziłam z Tomkiem w twoim ogródku, też będą kwitły tak ładnie. Swoją drogą, wiesz, Zuzka, mam jeszcze jeden pomysł, jak upiększyć ten wasz ogród. Znajdziesz dla mnie chwilę dziś albo jutro, żebyśmy mogły go przedyskutować?

– Jasne. – Skinęłam głową, nadal nie mogąc przestać się dziwić.

– Super. To ja lecę. – Kasia radośnie cmoknęła mnie w policzek. – Nie czekajcie na mnie z kolacją, wrócę późno. Będę dziś malować nad rzeką – oznajmiła tylko i pobiegła do garażu, w którym czekały na nią zbite przez Ludwika sztalugi.

Patrzyłam przez chwilę, jak niesie je w stronę furtki, ale gdy tylko zniknęła, moje myśli wróciły do kwiatów, a raczej ich tajemniczego nadawcy. No bo kto mógłby mi je wysłać? No i dlaczego?

O mój Boże! Czy ktoś mógł się we mnie podkochać, a ja nic bym o tym nie wiedziała?! Serce zabiło mi szybciej na samą myśl o jakimś tajemniczym wielbicielu. No bo na pewno musiał być wielbicielem, skoro postanowił wydać tyle pieniędzy na kwiaty dla kogoś takiego jak ja i...

Odetchnęłam głęboko. Myśl logicznie, Zuzka, myśl! Ktoś się w tobie kocha! Aaa! Gdybym umiała, to chyba wywinęłabym koziołka z radości.

Tylko kto to, do cholery, mógł być?!

Żeby rozwiązać tę jakże mroczną tajemnicę, zaczęłam od telefonu do Beatki, która oznajmiła mi jednak, że z wysyłką kwiatów nie miała nic wspólnego i zasugerowała, że może wysłałam je sobie sama, tylko już o tym nie pamiętam.

– Co jak co, ale sklerozy to jeszcze nie mam. Innych zaburzeń pamięci też nie. Poza tym w tych nie ma karneciku, więc na pewno nie moje. Ja bym sobie wysłała karnecik.

– Oj, twoje to one są, Zuzka. Tylko pytanie od kogo. Może Ludwik poczuł się zazdrosny i postanowił też wysłać ci kwiaty? – zasugerowała Beatka.

Pokręciłam głową, trzymając przy uchu telefon.

– Nie, na pewno nie. Ludwik by się podpisał. I przyniósł mi je sam. Zresztą o czym my w ogóle mówimy! – Popukałam się w głowę. – Ludwik nie wysłałby mi kwiatów! Nie dalej niż kilka dni temu powiedział mi dobitnie, że w jego oczach to marnowanie pieniędzy i kompletna głupota.

– Czyli twój ślubny odpada...

– Tak. I nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Hm... – mruknęłam Beatka. – Nikt inny nie przychodzi mi raczej do głowy. Może rzeczywiście masz jakiegoś tajemniczego wielbiciela? A może to są kwiaty od tego gońca?

– Od tego młodego chłopaka?! Dlaczego miałby wysłać mi kwiaty?

– Nie wiem, może zobaczył, że dostajesz je codziennie i wpadł mu w oko...

– Beatka, błagam cię. On wygląda tak, jakby nie był jeszcze nawet pełnoletni, a ze mnie żadna bogini seksu, żeby zakochać się od pierwszego wejrzenia. Nie. To na pewno nie on.

– W takim razie nie wiem. Nie pomogę ci.

Westchnęłam głośno, słysząc jej słowa.

– No cóż. Będę szukać gdzie indziej. Ale dzięki za chęci – rzuciłam tylko jeszcze do telefonu, a potem się rozłączyłam.

I właśnie wtedy przyszło mi do głowy, że te kwiaty mógł wysłać mi...

– Marek! – wpadłam do jego pokoju bez pytania. No tak. Jakie to proste! Dlaczego ja o nim od razu nie pomyślałam?

– Czy ja mogę cię o coś zapytać? – wypaliłam, zamykając za sobą drzwi.

Marek popatrzył na mnie zdziwiony tym nagłym wtargnięciem, ale na mój widok na jego usta od razu wypłynął łobuzerski uśmiech.

– Jeśli chcesz zapytać, czy zrobię to z tobą tutaj i teraz to oczywiście. Jestem na tak. – Zaśmiał się, odkładając na bok laptopa.

– Och, ja wcale nie o tym! – Machnęłam ręką, zupełnie ignorując tę jego niemoralną propozycję.

– No dobrze, w takim razie jestem rozczarowany, ale zamieniam się w słuch – wuefista popatrzył na mnie uważnie. – Usiądziesz?

– Nie, nie. Dzięki. – Pokręciłam głową i zrobiłam kilka kroków w jego kierunku. – Bo wiesz... – zaczęłam jakoś niepewnie. – Przyszłam, żeby cię spytać, czy może przypadkiem to nie ty wysłałeś mi dzisiaj te kwiaty...

Marek przez chwilę przyglądał mi się wnikliwie. Nie mogłam z jego twarzy niczego wyczytać.

– Nie, to nie ja – powiedział po chwili trzymania mnie w niepewności. – A co? Są od kogoś innego, niż wcześniej? – zainteresował się.

– Och... – westchnęłam cicho, słysząc jego słowa. – Tak, chyba tak. Nie ma w nich tego karneciku co wcześniej i... – zaczęłam tłumaczyć, ale słowa zaczęły grzęznąć mi w gardle, kiedy Marek uniósł się z wersalki i zaczął powoli do mnie zbliżać.

Odruchowo zrobiłam kilka kroków w tył. Nagle poczułam za swoimi plecami zimną ścianę.

Marek uśmiechnął się lekko, jakby tylko na to czekał i natychmiast znalazł się naprzeciw mnie. Oparł ręce po obu stronach mojej głowy i przysunął twarz do mojej twarzy. Jego zapach natychmiast obezwładnił mnie bardziej skutecznie niż jego fizyczna obecność. Mój oddech stał się jeszcze bardziej płytki niż dotychczas, a przez głowę przemknęła myśl, że...

– Zuzka... – nie zdążyłam jej jednak dokończyć, bo usta Marka znalazły się tuż przy moim uchu. – Gdybym wiedział, że chcesz, to wysyłałbym ci te kwiaty codziennie – zamruczał, muskając przy tym moją szyję. – Wydaje mi się jednak, że ty chcesz ode mnie czegoś innego niż kwiatów...

Przyłożyłam dłonie płasko do ściany, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Moje ciało reagowało na tego faceta o wiele szybciej niż głowa.

– Ja... – wyrwało mi się, kiedy poczułam jego dłonie na swoich biodrach.

– Csi – szepnął.

Przymknęłam oczy. Jego oddech stał się płytki i jeszcze bardziej urywany. Usta Marka zaczęły coraz bardziej zachłannie wyciskać swoje ślady na mojej szyi. Nawet się nie zorientowałam, gdy wsunęłam palce w jego włosy... Boże! Całował po prostu nieziemsko, czułam te pocałunki całym ciałem i...

– Mamusiu! – rozległ się na korytarzu głośny krzyk Marcela, który natychmiast przywołał mnie do porządku. – Gdzie jesteś?!

Marek natychmiast odskoczył ode mnie na stosowną odległość. Jego oczy błyszczały, a klatka piersiowa gwałtownie wznosiła się i opadała. Miał czerwone z emocji policzki i...

– Tutaj kochanie, tutaj! – patrząc mu w oczy, odpowiedziałam Marcelowi. Drżącymi dłońmi wygładziłam włosy i bluzkę, a potem pochyliłam się do przodu, głośno łapiąc powietrze. W mojej głowie panował totalny chaos. Totalny.

Gdzie tam chaos! Przechodziło przez nią właśnie tornado!

– Mamusiu, a czy mogłabyś przyjść?! – ponownie dobiegł do mnie głos dziecka.

Powoli znowu się wyprostowałam. Nie chciałam stąd wychodzić. Nie teraz, kiedy...

PRZECIEŻ JA JESTEM MEŻATKĄ!

Bez słowa wyminęłam Marka i wyszłam do synka na korytarz.

– Co się stało? – ukucnęłam przed nim i wzięłam go za ręce, starając się nie wyglądać przy tym jak wariatka, która właśnie się całowała z nieswoim mężem, co wcale nie było takie łatwe, bo serce nadal tłukło mi się w piersi niemiłosiernie, a policzki piekły mnie jak diabli.

– Bo wiesz mamo, malowałam sobie właśnie farbami i trochę mi się wyjechało poza kartkę. Mogłabyś iść ze mną to posprzątać?

– Ależ oczywiście, kochanie. – Odgarnęłam mu opadającą na czoło grzywkę. – Zaraz to wszystko posprzątamy. Nie musisz się denerwować. – Uśmiechnęłam się uspokajająco, wzięłam Marcela za rękę i walcząc z przemożną chęcią spojrzenia w kierunku drzwi do sypialni Marka, razem z synkiem powędrowaliśmy do jego pokoju, w którym czekał na mnie prawdziwy Armagedon.

– Widzę, że rzeczywiście tylko trochę wyjechało ci się poza kartkę – jęknęłam boleśnie. Większość podłogi, w tym także długowłose dywan i fragment jednej ze ścian zostały idealnie pokryte wielokolorowymi malunkami Marcela.

– Po prostu nie zauważyłem, kiedy skończył mi się papier...

– Tak... – westchnęłam ciężko, uświadamiając sobie, że sprzątania to będzie tutaj co najmniej na całą wieczór. – No dobrze, wiesz co, chodźmy na dół po jakąś miskę z wodą i ściereczki. Gołymi rękami, to tutaj niczego nie wskóramy – uśmiechnęłam się blado do przejętego dziecka i łapiąc go za rękę, poprowadziłam na dół do kuchni.

I tak to właśnie u mnie zawsze jest. Od sfery sacrum, można powiedzieć, do profanum.

Tylko które w tej sytuacji było czym?!

No i co z kwiatami? Nadal nie wiedziałam, kto je wysłał! Tej nocy znowu długo przewracałam się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Dlaczego życie mężatki musi być takie trudne?

Rozdział 27

Zakończenie roku... Ach, jak prozaicznie to brzmi, ach, jakie to wytęsknione. Mniej więcej od października śni o nim większość pedagogów, a w maju już tylko o nim się marzy. Magiczna furтка zwiastująca koniec niedoli, początek wakacji. Okej. Oczywiście przesadzam i gloryfikuję. Ale czego chcieć więcej?

Zakończenie roku w mojej szkole odbyło się bez większych ekscesów, dlatego już o dziesiątej byłam wolna, a po tłumie żegnających mnie ludzi pozostały tylko naręcza kolorowych kwiatów i słodycze. Dzieci razem z rodzicami sownie mnie wyściskały, nie zabrakło też łez.

– Ale pani Lidko, dlaczego pani płacze? – zapytałam z uśmiechem jedną z matek, która jako ostatnia zawisała mi na szyi, zalewając się łzami.

Słyszając moje słowa, pani Lidzia odsunęła się ode mnie na bezpieczną odległość i drżącą dłonią otarła łzy.

– Och, pani Zuzanno. Bo jak pomyślę, do kogo dalej moje maleństwo trafi, to po prostu żal duszę ściska. Czy by się nie dało tej mojej jakoś odroczyć... Cokolwiek, żeby ona tu tylko u pani jeszcze została! Przecież ona w przedszkolu to miała jak u pana Boga za piecem, a teraz? Nauka i nauka... – lamentowała przerażona.

– Pani Lidziu, ale tu nie ma co płakać. – Pogłaskałam ją po ramieniu na uspokojenie. Miałam już w tym głaskaniu pewną wprawę, bo takie wpatrzone w swoje dzieci ewenementy jak pani Lidzia trafiły mi się praktycznie co roku. – Pierwsza klasa to nie jest koniec dzieciństwa, niech pani mi wierzy. Może już nie będzie tyle zabawy co u mnie i zacznie się nauka, ale wcale nie oznacza to wielkiego dramatu, a wręcz przeciwnie. Pani córka wejdzie w świat starszaków, zacznie powoli się usamodzielniać, zbierać nowe doświadczenia...

– To wszystko tak tylko pięknie brzmi – nie dała mi jednak dokończyć wyćwiczonego uspokajania zrozpaczona pani Lidzia. – Wie pani tak samo jak i ja, że to tylko puste słowa.

Popatrzyłam na nią z politowaniem. Szkoda kobiety, tak samo zresztą jak jej dziecka, no ale co ja mogłam zrobić?

– Zuzanno, mogę cię prosić na słówko? – postanowiła wyratować mnie w końcu z opresji obserwująca z ukrycia cały ten prywatny dramat pani Lidzi Beatka.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością.

– Tak, tak – mruknęłam i ostatni raz zwróciłam się do pani Lidzi. – Musi pani być dzielna – powiedziałam do niej, na pokrzepienie poklepałam po ramieniu i już mnie przy niej nie było.

– Ale ewenement, co? – gdy tylko znalazłyśmy się w bezpiecznej odległości, szepnęła do mnie Beatka. – Jakby to był koniec świata, że dziecko skończyło zerówkę. Ci ludzie to naprawdę mają czasem nasrane w głowach. No! Ale nie ma co o tym gadać. Porywam cię do pokoju nauczycielskiego na pyszną krówkę. Sama piekłam i nie przyjmuję odmowy! – Zachęciła mnie skutecznie, wiedząc, że jej krówce po prostu nie mogę się oprzeć. To ciasto w wykonaniu Beatki działało na mnie jak magnes. Albo i gorzej! Miało taką siłę, jak co najmniej nasza ziemską grawitacja.

– O, jesteście w końcu! – Gdy tylko z Beatą przekroczyłyśmy próg pokoju nauczycielskiego ucieszyło się grono pedagogiczne, które zasiadało przy stole prawie w pełnym składzie.

– Chodźcie na ciasto, bo zaraz dla was zabraknie! – Roześmiała się młodzianka nauczycielka przyrody.

– Dla nas? Dla nas to na pewno nie! – Beatka popchnęła mnie w stronę stołu i już za chwilę i my objadałyśmy się krówką ile wlezie.

– Naprawdę pyszna – mruknęłam do niej, przeżuwając kolejny kęs.

– Nie sposób się nie zgodzić. Sama słodycz – niespodziewanie dobiegł do moich uszu niski głos wuefisty. Moje spojrzenie natychmiast powędrowało w jego kierunku, a połykany właśnie kęs ciasta o mało nie ugrzązł mi w ustach.

Marek uśmiechnął się do mnie zadziornie i upił łyk ciepłej herbaty.

– Sekret tkwi w masie kajmakowej – odpowiedziała mu natomiast nieświadoma niczego Beatka.

– To brzmi naprawdę ciekawie. Chętnie o tym kiedyś posłucham.

– E, nie musisz ode mnie. – Machnęła w jego stronę ręką. – Zuzka też ma mój przepis, więc sama może ci wszystko objaśnić, skoro teraz razem mieszkacie.

Marek popatrzył mi prosto w oczy.

– Tak. Zuzka na pewno chętnie mi wszystko bardzo dokładnie wytłumaczy. A może nawet pokaże co nieco – powiedział wolno i wyraźnie, w wyniku czego zaczęłam dusić się ciastem i kaszleć jak szalona.

– Matko kochana, Zuzka! – Natychmiast zareagowała Beatka. – Do góry ręce, do góry! – Zerwała się na równe nogi, wylewając przy tym stojące na stole herbaty i uniosła moje obezwładnione przez obecność Marka kończyny.

– Uderz ją w plecy, uderz w plecy! – zaczęła krzyżeć równie przejęta jak Beatka polonistka, w wyniku czego ta pierwsza zaczęła z całej siły walić mnie płaską dłonią między łopatki, bardziej robiąc mi krzywdę, niż pomagając.

– Wystarczy, wystarczy... – udało mi się wychrypieć dopiero po chwili całego tego przedstawienia. Byłam czerwona na twarzy jak burak a do tego oplułam przy tym nie tylko siebie, ale i stół.

Słyszając moje nawoływanie, Beata zaprzestała swoich chaotycznych czynności ratowniczych i uważnie mi się przyjrzała.

– Na pewno nic ci nie jest? – zapytała zatrwożonym głosem.

– Na pewno. Dziękuję – wymamrotałam, kątem oka zerkając przy tym na Marka. – Po prostu się zakrztusiłam, ale doceniam twoją pomoc. – Uścisnęłam rękę Beatki.

– Zawsze do usług, kochana, zawsze do usług. Ale z łaski swojej nie strasz mnie tak już więcej. – Uśmiechnęła się do mnie blado. – A teraz pójdę po jakąś szmatkę. Przecież trzeba czymś wytrzeć ten stół, zanim ktoś się tym wszystkim ubrudzi.

– To co, my już chyba pójdziemy, prawda? – odezwał się natomiast uporczywie wpatrujący się we mnie Marek. – Jeszcze nam się tutaj Zuzka naprawdę udusi i będziemy mieli zgon. I to prawdziwy, w dodatku w tak chwalebny dzień, jak zakończenie roku szkolnego.

Popatrzyłam na niego zawstydzona, ale widząc jego szczery, wcale nie ironiczny, uśmiech, wstałam od stołu i przewiesiłam przez ramię torebkę.

– Tak, chyba na mnie już czas. Zaraz wrócą Ludwik z Marcelem, więc trzeba będzie zabrać się za obiad – uśmiechnęłam się do patrzących na mnie nauczycieli.

– Pozdrów od nas tego swojego malucha! – odezwała się jedna z pań. – W przyszłym roku przychodzi już do nas do szkoły, prawda?

Pokiwałam głową, podchodząc do parapetu, na którym ułożyłam wszystkie otrzymane od dzieci i rodziców kwiaty.

– Tak. Nie będzie go trzeba już wozić w te i z powrotem.

– Ach, jak te dzieci szybko rosną – westchnęła nauczycielka. – A jeszcze niedawno był taki

malutki!

– Wiesz co, może lepiej ja to zabiorę. – Rycersko zjawił się u mojego boku Mareczek. – Jeszcze się pokłujesz. Przecież te róże mają kolce, a jest ich tutaj naprawdę dużo.

– Ale przecież to tylko kwiaty... Dam sobie radę – spróbowałam zaoponować. Na nic się to zdało, bo Marek wziął ode mnie całe naręczce, a także pozostałe kwiaty, które leżały jeszcze na parapecie, i czekoladki.

– No cóż, niech ci będzie... – mruknęłam, widząc jego zaangażowanie i jeszcze raz posłałam promienny uśmiech goszczącym się jeszcze nauczycielkom. – No to co, miłych wakacji dziewczyny i do zobaczenia jesienią. Oby wszystkim nam udało się tego lata porządnie wypocząć!

– Oj tak, oj tak. I wzajemnie, Zuzka. – Uściskała mnie polonistka. – I uważaj na siebie, kochana. Szczególnie przy jedzeniu ciasta – zażartowała, w odpowiedzi na co Marek głośno odchrząknął, a na moje policzki wypłynęły pełne zawstydzenia rumieńce.

– Ja też dołączam się do życzeń Zuzanny – powiedział. – Miłego odpoczynku.

– Udanego letniego romansu. A jak znam życie, to nawet kilku – rzuciła do niego któraś z kobiet, w wyniku czego zrobiło mi się o wiele bardziej gorąco, niż było w rzeczywistości.

– No to my już chyba rzeczywiście pójdziemy – bąknęłam cicho, a po zaproszeniu do siebie na jutro Beatki, ruszyłam do drzwi, Marek za mną i już za chwilę oboje byliśmy na zewnątrz.

– Ostatnio ciągle dostajesz kwiaty. Nie nudzą cię? – odezwał się pierwszy, kiedy powoli ruszyliśmy ku szkolnej bramie.

– Nie. – Uśmiechnęłam się, mrużąc oczy. – Wbrew pozorom to całkiem miłe.

– A rozwiązałaś już zagadkę wczorajszego tajemniczego bukietu? Wiesz, od kogo go dostałaś?

– Nie. Ale jestem zdeterminowana, żeby się tego dowiedzieć, więc prędzej czy później to zrobię – powiedziałam stanowczo, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że nie chcę o tym rozmawiać, bo ten temat prowadził tylko do jednego: do tego, co stało się wczoraj wieczorem, kiedy na chwilę straciłam czujność, a o czym, jak o czym, ale w tej chwili (i to niemalże publicznie) na pewno nie chciałam z nim rozmawiać.

Zresztą... Chyba w ogóle jeszcze nie chciałam. Pogubiłam się w tym, co czuję i do kogo. Z jednej strony mój Ludwik. Ciapowaty i zupełnie niezainteresowany, ale jednak mój. I to ślubny. Cywilnie co prawda, ale zawsze. Z drugiej strony Marek. Bożyszczce nastolatek i to dosłownie nastolatek, w którego zainteresowanie jakoś trudno było mi uwierzyć. No bo co on mógł we mnie takiego zobaczyć? Sadło i tłuste włosy. O czym ja myślę, do cholery! Przecież to nie jest żaden kandydat na męża ani ojca. No i męża to ja już w sumie mam. Tylko jakiegoś takiego niezainteresowanego. Który niedługo zacznie mylić mnie z szafą. Trzydrzwiową i obrypaną. Bo nie mam kiedy o siebie dbać!

A to zabójcze spojrzenie Marka, którym rozpala mnie do czerwoności... Znowu nogi się pode mną ugięły.

– To co, teraz możemy się lenić – po chwili milczenia oderwał mnie od chaosu w głowie Marek.

Wystawiłam twarz do słońca. Uśmiechając się błogo na samą myśl o odpoczynku, objęłam ramiona rękami. Byłam bliska zamruczenia z rozkoszy. Wakacje!

– O tak, zdecydowanie należy nam się błogie lenistwo – szepnęłam z uśmiechem.

– To co, skapana w słońcu Hiszpania? A może nieskazitelnie czysta Chorwacja?

Roześmiałam się, słysząc jego słowa.

– Chyba raczej podwórko i dmuchany basen.

– Poważnie? – Spojrzał na mnie jak na wariatkę.

– Aha – Znowu parsknęłam śmiechem, widząc jego minę. – Jestem tylko matką. I to w dodatku nudną. A co? Coś nie tak?

– Nie, skąd, tylko... – chciał mi odpowiedzieć, kiedy zaczęła go jedna z miejscowych kobiet.

Popatrzył na mnie przeprasząco i odszedł z nią kilka kroków dalej, pozostawiając mnie samą na chodniku.

– Zuzka! – Zamachał do mnie natomiast znajdujący się przy naszej bramie po drugiej stronie ulicy Ludwik. Musiałam przyznać, że w swoim zadbanym i eleganckim wydaniu, na które wysiłał się tylko od święta, wyglądał naprawdę korzystnie. – Skończyłaś już? – wydarł się na pół wsi, jakby, kurczę, nie widział!

Nie chcąc drzeć się równie głośno, posłałam mu tylko ciepły uśmiech i nie rozglądając się na boki, pewnym krokiem weszłam na jezdnię, żeby rzucić się w jego ramiona, zapomnieć o całym złu tego świata i pozwolić uściskać na dobry początek wakacji.

I to był właśnie błąd, bo już po chwili dobiegł do moich uszu głośny klakson rozpędzonego samochodu, który, nie zwalniając ani na chwilę, jechał prosto na mnie. Nogi ugięły się pode mną natychmiast, serce biło jak szalone, a wydarzenia zaczęły rozgrywać w przerażająco wolnym tempie. Torebka zsunęła się z mojego ramienia, a ja, zamiast uciekać, sparaliżowana przez strach stanęłam jak wryta oko w oko z pędzącym na mnie samochodem, którego kierowca ani myślał hamować. Moje spojrzenie kątem oka zarejestrowało tylko otwierające się usta przerażonego Ludwika i to, że gdy tylko Marek zorientował się, co się dzieje, z jego rąk wypadły wszystkie kwiaty.

Nader wyraźnie widziałam natomiast skupioną do granic możliwości twarz jadącej wprost na mnie sklepowej, która naciskając na klakson, ani myślała zwolnić, śmiejąc się przy tym głośno i perfidnie.

Zdając sobie sprawę z tego, że sparaliżował mnie strach i nie jestem już w stanie uciec przed samochodem, który był w tej chwili zaledwie kilka metrów ode mnie, mocno zacisnęłam powieki i przygotowałam się psychicznie na przeraźliwy ból, który miał już za chwilę nastąpić.

Przed moimi oczami w jednej chwili ukazały się setki, a może nawet tysiące obrazów z mojego życia, które przebiegły przed nimi niczym w kalejdoskopie. Malutki Marcel, ślub z Ludwikiem, obraz Ani trzymającej maleńką Zosieńkę, wiecznie przygnębioną twarz mojej mamusi. Moment, w którym pojawiła się w naszym domu Kasia, ciepłe i zaborcze usta Marka błędzące po mojej szyi...

Wbiłam paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni i mimowolnie zacisnęłam zęby. Dźwięk klaksonu stał się jeszcze głośniejszy, niż sekundę temu i niemalże udało mu się skutecznie zagłuszyć docierający do moich uszu przerażony męski głos, który tak bardzo potrzebowałam usłyszeć w ostatniej chwili swojej marnej egzystencji...

CIĄG DALSZY NASTĄPI...

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)